

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



# **K**AROL GIDE **K**OOPERATYZM

NAKŁADEM „SPOŁEM” ZWIĄZKU SPÓLDZ. SPOŻ.  
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ W WARSZAWIE





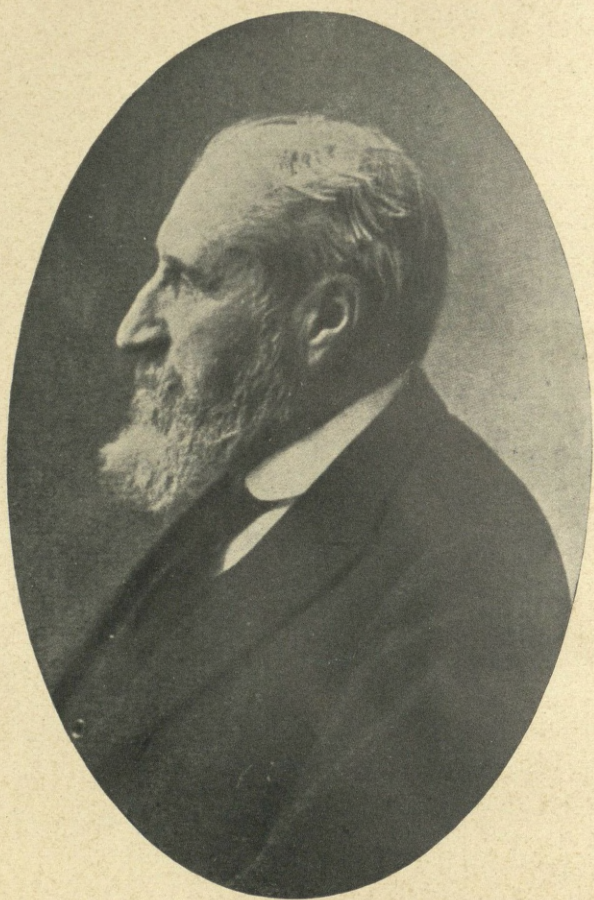
**K**AROL GIDE  
**K**OOPERATYZM

NAKŁADEM „SPOŁEM” ZWIĄZKU SPÓLDZ. SPOŻ.  
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ W WARSZAWIE



KOOPERATYZM





Karol Gide



KAROL GIDE

# KOOPERATYZM

T ł u m a c z y ł

z V francuskiego wydania

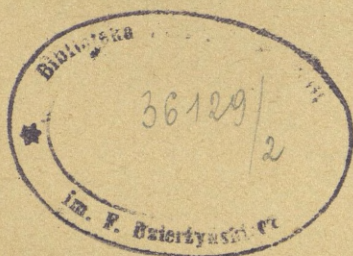
STANISŁAW THUGUTT



„SPOŁEM” ZWIĄZEK SPÓLDZ. SPOŻYWCÓW R. P.  
WARSZAWA 1937



334



Zakł. Druk. F. Wyszynski i S-ka, Warszawa

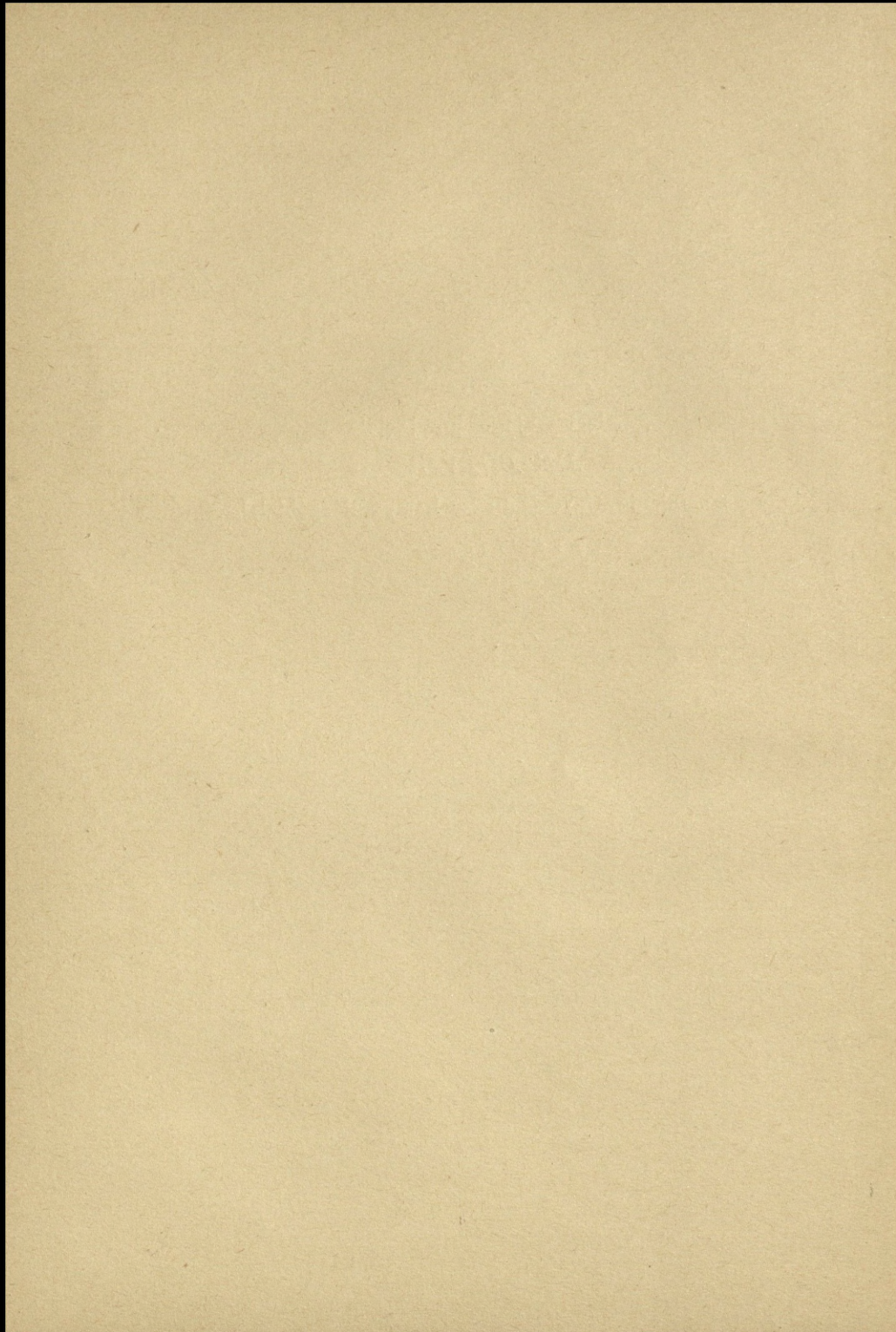
Pamięci mojego przyjaciela

*DE BOYVE*

jako wspomnienie trzydziestu lat kampanii spółdzielczej

*p o ś w i ę c a m*





## OD TŁUMACZA

Nie bez wahania przystąpiłem do przekładu tej książki.

Wprawdzie dobra książka spółdzielcza jest coraz bardziej poszukiwana i to nie tylko przez wydawców, ale — co znacznie jest ważniejsze — przez szerokie warstwy praktycznych działaczy, ale też polska literatura spółdzielcza w przeciwieństwie do zgoła jeszcze nie wystarczającej praktycznej realizacji idei spółdzielczej, przedstawia się dość okazale, zarówno pod względem ilości wydanych książek, jak i nierzadko ich niepośledniej wartości. Zarysowują się już coraz bardziej wyraźnie i szczegółowo w zastosowaniu do potrzeb czytelników o różnych poziomach przygotowania umysłowego, w bardzo różnorodnym ujęciu ogólnym, zarówno historia ruchu, jak jego podkład teoretyczny, jego cele i pochodzenie, jego znaczenie i wartość społeczna i gospodarcza. Obok broszurek, służących potrzebom dnia, mamy już niekrotki szereg dzieł, będących owocem samodzielnych przemyśleń albo długoletniego doświadczenia osobistego. Literatury tej nie potrzebujemy się wstydzić nawet w porównaniu z piśmiennictwem krajów, w których spółdzielczość powstała dawniej niż u nas i osiągnęła znacznie więk-



sze niż u nas wyniki. Stąd nasuwająca się konieczność jak najbardziej krytycznego doboru nowych wydawnictw spółdzielczych, ograniczenia ich do prac istotnie wartościowych czy zapełniających istniejące jeszcze luki. Stosuje się to, oczywiście, przede wszystkim do rzeczy przyswajanych z literatur obcych.

A był i inny jeszcze wzgląd, budzący pewne wątpliwości. Przeważającą część czytelników „nowości spółdzielczych“ stanowią praktyczni działacze, którzy w książce szukają bądź wskazówek, chroniących ich od błędów w codziennej pracy, bądź utwierdzenia w wierze spółdzielczej, przez zaznajomienie się z podstawami ideologii spółdzielczej, tworzącymi w zaokrąglonym schemacie całość systemu.

Otóż ta osobliwa książka, którą pozwalam sobie przedłożyć polskim spółdzielcom, nie zawiera żadnych wskazań praktycznych i nie jest zgoła zaokrąglonym mniej czy bardziej podręcznikiem, wyczerpującym zakres teoretycznych zagadnień spółdzielczych. Nie jest to nawet propaganda w ścisłym tego słowa znaczeniu, autor bowiem zwraca się najczęściej do ludzi już przekonanych, nie dlatego, żeby ich przyciągnąć do ruchu, ale żeby im wyjaśnić kwestie, które by jeszcze mogły dla nich być sporne. Wziąwszy pod uwagę, że są to niemal wyłącznie przemówienia przygodne, wygłoszone z racji jakiegoś kongresu albo jakiegoś zgromadzenia publicznego, nie może tu być mowy o żadnym systematycznym wykładzie, zwłaszcza gdy przemówienia obejmują w całości ogromny w skali życia ludzkiego okres od 1886 do 1927 r. Nic też tych 13 przemówień, umieszczonych w tomie niniejszym, nie łączy ze sobą prócz tematu — spółdzielczości, ujętej jak najszerzej jako objaw współdziałania ludzkiego, i przekonań au-

tora, które poza drugorzędnymi szczegółami pozostały przez cały ciąg długiego i pracowitego życia niezmiennie.

Niezmiennosc ta nie byla skutkiem ani uporu ani trwozliwosci mysli, obawiajacej sie odstapic od prawd zasadniczych, raz juz przemyslanych czy przyswojonych od innych. Gide nie byl niczym mniej niz doktrynerem. Wręcz przeciwnie: przez cały tak dlugi czas swego zetkniecia sie z ruchem spoldzielczym nie przedstawal on ani na chwile mierzyc wartosci swoich teorii skalą zycia, jakze zmienną i dramatyczna nieraz w swoim napieciu. Jezeli mimo wszystko nie zmienial swoich pogladow, bylo to mniej moze skutkiem jego umyslownosci niz zasadniczego stosunku do zycia: jego miłości człowieka, jego glębokiego szacunku dla prawdy, której szukal ciagle i wszędzie z najwyzszą sumiennoscia, jego drazliwego poczucia sprawiedliwosci społecznej, której nigdy zreszta nie chcial osiagac przez uzycie przemocy, jego niczym nie zrazajacego sie idealizmu w rozumieniu ciaglego dazenia do realizacji swoich idealow.

Jeżeli do tego dodamy umysl jasny i scislý, niezwyklą zdolność przejrzystego formułowania swych mysli, styl wytworny i żywy, choć zawsze trzymany w karbach dobrego smaku, łatwo zrozumiec, że te trzynaście przemowien, trzynaście pozornie nic ze sobą wspólnego nie majacych fragmentów nie są wprawdzie systematycznym wykładem o spoldzielczosci, są natomiast jej żywym, barwnym i pociągającym obrazem, tak jak on się odbija w umyśle mądrego i szlachetnego człowieka. Dodajmy też — obrazem bardzo pełnym, przy wielkiej bowiem wszechstronności w ujmowaniu spraw przez autora, przy jego daleko patrzących oczach są



tam wprawdzie niekiedy echa spraw już przygasłych, są nieuchronne powtarzania tych samych rzeczy w przemówieniach, które dzieliło od siebie lat kilkanaście, ale jest mnóstwo spraw i zagadnień, które dopiero teraz doszły do zupełnej dojrzałości i które oświetlane są tak jak gdyby był to wykład wypowiedziany wczoraj i dotyczący spraw całkiem aktualnych. Nie mógłbym nikomu doradzać, aby poprzestał na przeczytaniu tej książki Gide'a — jednej z jego wielu książek o spółdzielczości — jeśli chce się gruntownie zaznajomić z teorią ruchu. Polecam ją natomiast najgoręcej jako wstęp do dalszych badań nad istotą i znaczeniem ruchu spółdzielczego, który chce się zrozumieć, jeżeli nawet nie chce się z nim związać na stałe.

To jest powód, dla którego brak tej książki w literaturze polskiej, książki tłumaczonej na tak wiele już języków, uznałem za lukę, która bez dalszej zwłoki winna być zapełniona.

Skądże jednak w takim razie wahania? Stąd, że czas idzie, a my wszyscy podążamy za nim, ale z niejednokową szybkością. Książka niniejsza posiada niewątpliwie wszelkie zalety, kwalifikujące ją do wprowadzenia na poczesne miejsce w naszym piśmiennictwie, ma też jednak dość liczne ustępy, wymagające krótkiego zastanowienia się przed zaleceniem jej polskiemu czytelnikowi. Od czasu, w którym wygłaszane były pierwsze spółdzielcze przemówienia Gide'a, dzieli nas już pół wieku. Świat spółdzielczy poszedł od tej pory znacznie naprzód, czy jeśli kto woli, na lewo, bardziej uświadomił sobie swoje miejsce w toczącym się sporze społecznym, swoje cele ostateczne i wynikające z nich w codziennym działaniu wnioski.

Nie zawsze zgadzają się one z wnioskami autora. Biorąc pod uwagę, że książka ta dotrze, śmiem spodziewać się, do najszerzych mas członków ruchu, można by obawiać się niekiedy pewnego pomieszania pojęć. Mimo wszystko jednak sędzę, iż zalety dziełka: jego żywość, jasność wykładu, uczciwość w prowadzeniu sporu — przeważają tak dalece, iż wszelkie wahania i wątpliwości muszą ustąpić. Pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę czytelnika na niektóre z tez autora inaczej dziś rozumiane przez większość spółdzielców. Przedtem jednak jeszcze musimy w najbardziej pobieżnym skrócie bodajby poznać się z samym autorem, choćby dlatego, że jego życie jest tak ściśle związane z tym, co pisał i mówił, iż nie ma żadnego przedziału między człowiekiem a nauczycielem, pisarzem i mówcą.

\*

Urodził się 1847 r. w małym południowym miasteczku francuskim Uzès, gdzie ojciec jego był prezesem trybunału cywilnego; prawnikiem był także i dziad. Pochodził ze starej hugonockiej rodziny; stąd zapewne jego surowy stosunek do zagadnień i praktyki moralności. Był stryjem znakomitego dziś pisarza francuskiego — Andrzeja Gide'a.

Początki wiedzy zdobywał w kolegium miejscowym, szkole niesłychanie staroświeckiego typu, bez nauk przyrodniczych, bez języków obcych. Wykształcenie uzupełniało przysłuchiwanie się uczonym dysputom prawniczym w domu rodzinnym i częste wycieczki w piękne okolice miasta, skąd wracał obładowany ciekawymi minerałami, które później w domu przerysowywał. Od dzieciństwa bowiem ujawniały się w nim dwie cechy tak charakterystyczne potem



w jego działalności nie tylko pisarza i naukowca, ale i człowieka: pociąg do piękna i niemała ilość twórczej fantazji. Byłby wolał zostać artystą; nie bez nacisku na pewno atmosfery domowej poszedł śladem ojca i dziada, wstępując w Paryżu na prawo. Tam zetknął się po raz pierwszy z elementami gospodarki społecznej, wczytując się w ofiarowane mu przez starszego o 15 lat brata dzieła głośnego podówczas ekonomisty, Bastiata, do którego mimo dzielącą ich różnicę poglądów zasadniczych zachował przez całe życie sympatię. Sympatia ta szła tak daleko, że na parę dni przed śmiercią wyrażał w rozmowie z jednym z przyjaciół ubolewanie z powodu swoich dawnych ataków przeciwko Bastiatowi, z którym łączył go wprawdzie wspólny pogląd na znaczenie w życiu gospodarczym spożywczy, ale od którego odrzucała go zasadnicza wiara znakomitego ekonomisty w automatyczne i dobroczynne działanie współzawodnictwa.

Obudzone przez Bastiata zainteresowanie ekonomią polityczną wepchnęło Gide'a na drogę, po której miał iść aż do śmierci. Właśnie w tym czasie zaczęto tworzyć na wydziałach prawa uniwersytetów francuskich pierwsze katedry ekonomii politycznej. W roku 1874 młody uczony mianowany zostaje docentem, w pięć lat później profesorem uniwersytetu w Bordeaux na katedrze ekonomii politycznej. W 1880 przenosi się ze względów rodzinnych na taką samą katedrę do Montpellier, w 1900 r. do Paryża, gdzie wykłada w kilku wyższych zakładach naukowych, a od 1921 do 1930 wygłasza swoje głośne wykłady o spółdzielczości w Collège de France, zajmując ufundowaną przez Federację Spółdzielni Spożywców katedrę spółdzielczości, katedrę ufundowaną dla niego i zniesioną po

jego ustąpieniu. Wykłady te, wydawane potem w oddzielnych książkach, dotyczyły różnych działów naszego ruchu, zajmowały się spółdzielczością w różnych krajach, Fourierem, którego Gide cenił bardzo wysoko, programem spółdzielczości i kilkoma jej najbardziej kapitalnymi zagadnieniami. Ostatnim był kurs o solidarności, która była linią przewodnią poglądów Gide'a.

Równolegle z pracą nauczycielską rozwijała się mniej może obfita, ale cenna działalność ściśle naukowa. W roku 1884 wyszły słynne jego *Principes d'économie politique* (Zasady ekonomii politycznej), których ogółem ukazało się 26 wydań i które przetłumaczone zostały na wszystkie niemal języki cywilizowane. W 1909 r. *Cours d'économie politique* (Kurs ekonomii politycznej) 10 wydań — w 1909 r. razem z Ristem wydał równie głośną *Histoire de doctrines économiques* (Historię doktryn ekonomicznych), tłumaczoną zarówno jak *Principes* na język polski. Poza tym kilkanaście książek mniejszej doniosłości, sporo broszur i około 3000 artykułów w różnych czasopiśmie naukowych.

Zakres jego zainteresowań był ogromny, nie było zjawiska, koło którego przeszedłby obojętnie. Od samego początku jego działalności naukowej upodobań artystyczne i żywa wyobraźnia pociągały go w najbardziej nieoczekiwanych, na pozór nic wspólnego z tematami jego bezpośrednich prac nie mających kierunkach. Jako początkujący profesor w Bordeaux ściągał szeroką publiczność na swoje wykłady o „Historii wieszczek“, „Kościele mormonów“, „Źródłach Nilu“ i „Rewolucji w Japonii“. Ściągały one publiczność, ale źle usposabiała ekonomistów, którzy



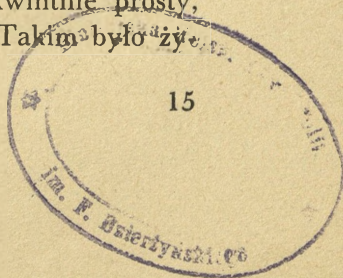
najwidoczniej sądzili, iż są to tematy zbyt frywolne, nie zgodne z przyrodzoną suchością ekonomii politycznej. Później, kiedy Gide wstąpił w szranki czynnej walki w obronie ideologii spółdzielczej, uznano go po prostu za heretyka; niechęć ta szła tak daleko, że poważniejsze czasopisma naukowe nie wspominały nigdy nazwiska Gide'a. Niewiele mu zapewne na tym zależało, stosunek jego bowiem do wielkich tego świata był pełen lodowatej wyniosłości, serdeczny był tylko dla małych, dla uczniów swoich, bezpośrednich towarzyszy pracy, tych, którym wierzył. Nie pisywał też do wielkich i uznanych czasopism ani tym bardziej do bulwarowych „organów” opinii publicznej, nie występował na świetnych zgromadzeniach, poprzestając najchętniej na wygłaszaniu swoich przemówień na zgromadzeniach robotniczych.

Z masami tymi i ze spółdzielczością w ogóle zetknął się przy praktycznej robocie, do której zresztą nie miał wielkich uzdolnień ani, mniemać wolno, wielkiego upodobania. W czasie pobytu w Montpellier założył tam spółdzielnię spożywców, którą zresztą, jak sam to żartobliwie opowiadał, wkrótce zabiły tamtejsze kucharki. W okresie powstawania pierwszego związku spółdzielni spożywców we Francji Gide brał udział w pracach zarządu jako rzeczoznawca teoretyk, udział skromny zresztą ze względu na to, iż nie mieszkał wówczas w Paryżu. Godnym mocnego podkreślenia i wysokiego uznania pozostał tylko fakt, iż w roku 1912 był jednym z głównych promotorów połączenia dwóch odłamów francuskiego ruchu spółdzielczego — socjalistycznego i neutralnego — oraz był autorem słynnej deklaracji, stanowiącej podstawę tego połączenia.

Dwie są, można sądzić, przyczyny tej abstynencji od praktycznego działania. Był Gide przede wszystkim wybitnym typem mózgowca, człowiekiem, którego całą energię pochłaniała praca myślowa. Był poza tym dotknięty jakąś chorobą braku decyzji: lubił naprz. pasjami podróże, ale z małymi wyjątkami nigdy nie mógł się na nie zdecydować.

We właściwej swojej dziedzinie pracy, w nauczaniu, ujawnia niekiedy pewien sceptycyzm, odejmujący jego propagandzie wszelki posmak fanatyzmu. On, który jak Fourier roztaczał często przed słuchaczami wspaniałe wizje przyszłego uszlachetnionego ustroju, kiedy indziej zdradzał pewien brak wiary: zwalczał pasożytnictwo, czemu poświęcił cały jeden swój wykład, ale na zakończenie jego stwierdził, iż nie bardzo wierzy w całkowite zniknięcie tej plagi z życia ludzkości. Zdeklarowany i odważny pacyfista, „międzynarodowiec“ w najlepszym tego słowa znaczeniu, w czasie wojny narażał się na konfiskowanie swoich broszur broniących pokoju, na zamykanie zakładanych przez siebie stowarzyszeń, na sąd wojenny, od którego ocaliło go jedynie jego wielkie już imię, ale równocześnie polecał spełniać całkowicie swój obowiązek wobec ojczyzny — stracił syna na wojnie — a przed wojną gniewał się na skrócenie służby wojskowej, mniemając, iż Francja nie powinna wchodzić na tę drogę pierwsza. A po wojnie już oświadczył na zgromadzeniu stowarzyszenia „Pokój z mocy prawa“ (*La Paix par le Droit*): „znikną obecne przyczyny wojen, ale sama wojna, choroba wrodzona rasie ludzkiej, nie zniknie nigdy“.

Takim był obraz człowieka — wykwiłtnie prosty, czysty, uspołeczniony do szpiku kości. Takim było życie.





cie wypełnione po brzegi pracą i obowiązkiem. Mało w nim zmian, jeszcze mniej zagadek. Przy całkowitym braku chęci podobania się wywierał ogromny wpływ na masy i młodzież. To dobrowolne odosobnienie się człowieka, który nigdy nie szukał w życiu łatwizny, dawało mu rzadko spotykaną siłę moralną.

Zmarł 12 marca 1932 roku w Paryżu.

\*

Teraz, znając człowieka, łatwiej nam będzie zrozumieć jego dzieło i uzgodnić z naszymi obecnymi poglądami. Nie trzeba tylko zapominać przy tym, że działalność propagandystyczna Gide'a w samej dziedzinie spółdzielczości ciągnęła się na przestrzeni kilku dziesiątków lat, w okresie dużych zmian zarówno w formach ruchu, jak w panujących w nim poglądach.

Pierwszą rzeczą, nie znajdującą już uznania w szerokich masach spółdzielców, jest p o w s z e c h n o ś ć ruchu, przynajmniej tak pojmowana, jak ją Gide pojmuje. Nie ulegało nigdy wątpliwości — od Rochdale'u aż po dzień dzisiejszy — że dostęp do ruchu otwarty jest dla wszystkich z wyjątkiem ludzi działających na szkodę organizacji; wymaganiem dalej jeszcze idącym, choć w praktyce nie zawsze stosowanym, było by zamknięcie wstępu do spółdzielni ludziom niedość skrupulatnie uczciwym, notorycznym paskarzom, lichwiarzom, oszustom, nie mówiąc już o złodziejach i bandytach. Ale Gide idzie dalej, twierdząc, że powszechność ruchu leży nie tylko w interesie spółdzielczości, ale wszystkich członków społeczeństwa niezależnie od ich stanu majątkowego i uprawianego przez nich zawodu. Wynikać to ma stąd, że spółdzielczość jest organizacją spożywców, a spożyw-

ca jest każdy. Dla milionera zarówno, jak dla pracującego w jego fabryce robotnika jednakowo ważna jest sprawa zagadnienia cen płaconych przez nich za produkty spożywcze. Jeżeli milionerzy nie interesują się dziś na ogół spółdzielczością, dzieje się to wskutek jakiegoś nieporozumienia, które należy usunąć, tłumacząc im ich błąd.

Otóż tak nie jest. Tłumaczenie bogaczom pożytku należenia do spółdzielni jest na ogół dość bezcelowe, ponieważ jest to temat w najlepszym wypadku i z małymi wyjątkami mało ich interesujący. Oczywiście każdy człowiek jest spożywcą w znaczeniu fizjologicznym. Ale spółdzielczość nie jest zjawiskiem fizjologicznym, tylko gospodarczo-społecznym. Ważnym w tej sprawie jest nie to, że każdy jada, tylko jaki odsetek dochodu ogólnego danego człowieka stanowią wydatki na jedzenie, ubranie i mieszkanie czyli ograniczone do niezbędnego minimum spożycie. W budżecie człowieka bogatego jest ten odsetek nikły, zwłaszcza jeśli chodzi o rzeczy jadalne, i dlatego więcej go interesuje doborowy gatunek nabywanych produktów niż ich cena. U biedaka, wręcz przeciwnie, czasami cały zarobek nie starczy na najskromniejsze pożywienie dla siebie i swojej rodziny. Stąd jego zainteresowanie spółdzielczością wzrasta w miarę spadających zarobków. Powiedzmy przeto lepiej razem z Hansem Müllerem, szwajcarskim spółdzielcą, że spółdzielnia spożywców jest wolnym zrzeszeniem, które prowadzi wspólne gospodarstwo, opierając je o interesy świata pracy. I przestańmy się łudzić, że w otwarte drzwi spółdzielni wejdzie z własnej woli któregoś dnia cały świat bez wyjątku.



Nie jest to bynajmniej spór czysto teoretyczny. Z przyjęcia za punkt wyjścia absolutnej powszechności spółdzielni wynika konieczność odrzucenia w ideologii spółdzielczej wszystkiego, co zrealizowanie tej powszechności utrudnia, a więc w pierwszym rzędzie w a l k i k l a s. Gide to czyni konsekwentnie we wszystkich swoich wystąpieniach — jest to jeden z najbardziej stałych punktów jego światopoglądu spółdzielczego. Stąd jego stosunkowo ostre wystąpienia przeciwko socjalistom - rewolucjonistom, którzy interpretując, niezbyt zresztą dokładnie, Marxa, lekceważyli spółdzielczość, a przynajmniej chcieli ją podać w zupełną zależność od wyzwolenczego ruchu politycznego proletariatu. Ten dość gorszący stan nieporozumienia w łonie klasy robotniczej doprowadził w pewnej chwili we Francji do zupełnego zerwania spółdzielni „rewolucyjnych“ ze spółdzielniami „neutralnymi“, czemu kres położył dopiero w 1912 r. układ, tworzący ogólnofrancuską Federację.

Wina w tym sporze leżała, jak zwykle, po obu stronach. „Rewolucjoniści“, prowadząc ostrą walkę za pomocą swoich organizacji politycznych i zawodowych, spodziewali się w bardzo nieodległej przyszłości ostatecznej rozgrywki, która im przyniesie zwycięstwo; wszystko inne, a więc i spółdzielczość działająca środkami powolnymi, musiało być podporządkowane temu głównemu celowi. „Neutralni“ pod wodzą Gide'a mieli wstręt do walki wręcz, prowadzonej środkami brutalnymi. Rzeczywistość szła sobie swoją drogą, nie szczędząc rozczarowań obu stronom i doprowadzając do wielkiego rozwoju ruch spółdzielczy, ogarniający coraz szersze masy. Zaczęto pomału dostrzegać, że walka klas toczy się nie tylko środkami

gwałtownymi, ale ujawnia się w drobnych nawet działaniach życia codziennego.

A jest jeszcze i inny, dużo ważniejszy powód, dla którego znaczna część dzisiejszych spółdzielców zmuszona jest zmienić swoje zapatrywania na walkę klas. Zaprzeczać istnieniu walki klas może tylko ten, kto zamyka oczy na rzeczywistość; może ona być przytłumiona siłą w ustroju korporacyjnym, naturalnym jednak stanem rzeczy jest odwiecznie ciągnący się spór o podział dochodu społecznego, spór nie tylko między jednostkami, ale między klasami. Jednym z najbardziej jaskrawych objawów tego sporu jest walka o płace robotnicze. Toczy się ona ze zmiennym powodzeniem. Związkom zawodowym udaje się często zmuszać przedsiębiorców do podniesienia płac, ale odbijają oni to sobie przez podnoszenie cen, co czyni uprzednią wygraną robotników zupełną złudą. W tym momencie wkracza spółdzielczość spożywców, która hamuje wzrost cen. Czyni to wprowadzając ze względu na swoje niedostateczne rozpowszechnienie w sposób niewystarczający, w każdym jednak razie z wolą czy bez woli wmieszana przez to zostaje w walkę klas, staje się jednym z jej niemało ważnych czynników. Pisałem już dawniej <sup>1</sup>: „Kto by jeszcze i wówczas twierdził, że spółdzielczość nie interesuje się walką klas, ten powiedziałby innymi słowami, że spółdzielczość nie interesuje się skutkami swoich działań“.

Dziś, w okresie coraz bardziej wzmagającego się uświadczenia społecznego szerokich warstw spółdzielców, rzeczy te stają się bardziej oczywiste, niż w okresie walk Gide'a z „rewolucjonistami“, walk

---

<sup>1</sup> *Spółdzielczość. Zarys ideologii*, str. 128.



Ale i dziś nie brak jeszcze teoretyków, którzy powtarzają ten błąd, i dlatego pozwoliłem sobie nie tyle polemizować z autorem, którego książkę przyswajam polskiej literaturze spółdzielczej, ile rzucić nieco bardziej nowe oświecenie na tę starą kwestię. Nie potrzebuję zaś chyba dodawać, iż z tego, że spółdzielczość jest czynnikiem walki klas, nie wynika bynajmniej, żeby mogła być w czymkolwiek ręką narzędziem, a najmniej partii politycznych, które dążą może niekiedy do tego samego co spółdzielczość celu, ale zgola odmiennymi drogami. O to właśnie chodziło Gide'owi, który bronił niezależności naszego ruchu.

Nie trzeba tego było rozumieć jako ugodowość w stosunku do istniejącego ustroju. Odrzucając użycie gwałtu, szedł tym niemniej Gide bardzo daleko, twierdząc, że celem spółdzielczości jest zniesienie kapitalistycznego zysku. Rzecz cała w tym, że spodziewał się on osiągnąć to drogą pokojowego rozwoju ruchu spółdzielczego, za pomocą walki „koszykiem do zakupów“, a my dzisiaj w możliwość tak pokojowego zwycięstwa tracimy wiarę.

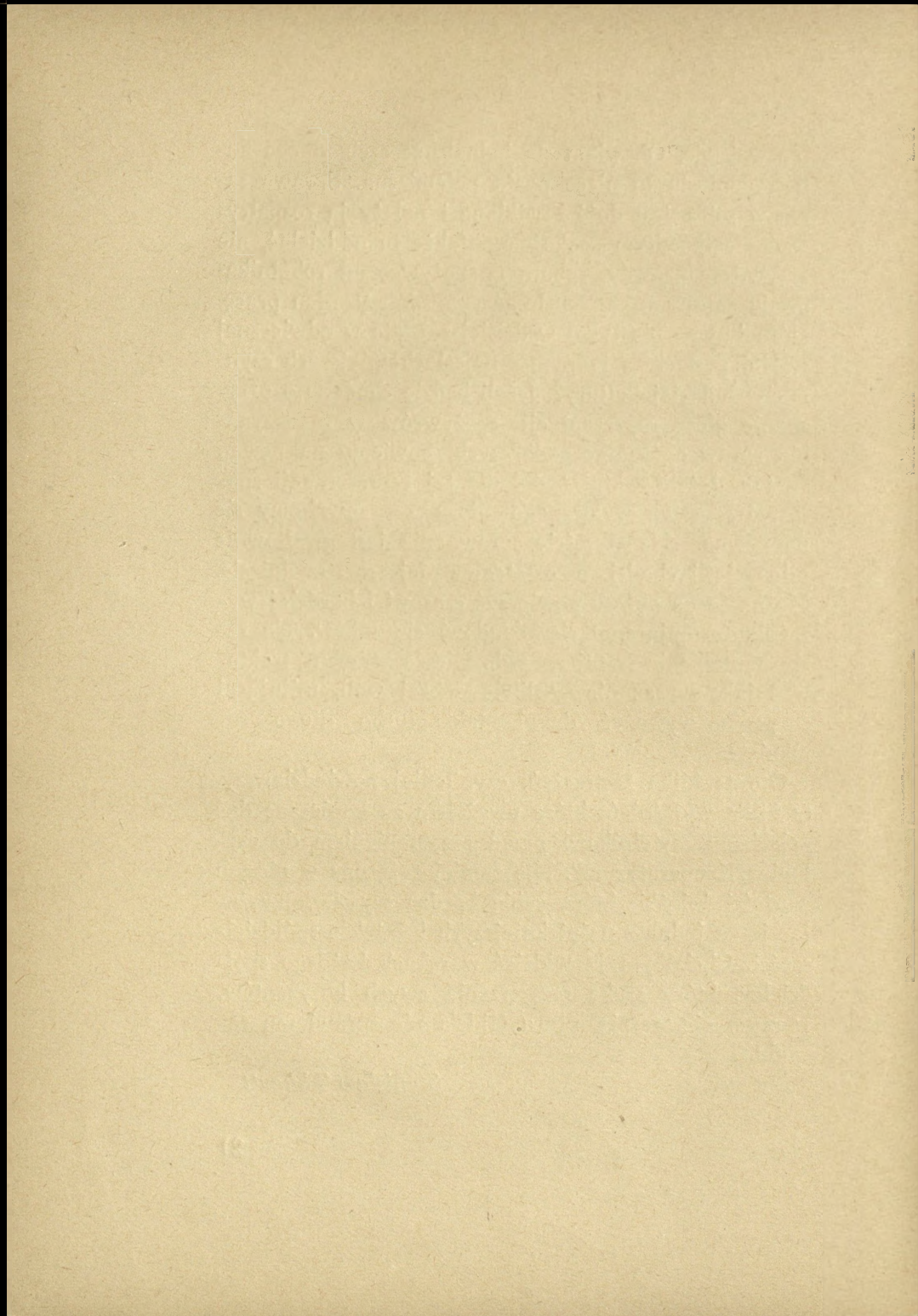
I jeszcze jedna rzecz. Nie tylko w swoich pracach spółdzielczych, ale i w dziełach ekonomicznych wysunął Gide na pierwsze miejsce s p o ż y w c ę, czyniąc z niego oś, dokoła której winna się obracać cała gospodarka społeczna. Uczynił to już przed nim Bastiat, ale uczynił to mimochodem, nie pozostawiając trwalszego śladu. Gide doprowadził tę zasadę do końca, nie tylko czyniąc ze spożywcy centralną figurę, ale odsuwając na całkiem daleki plan p r a c ę jako czynnik gospodarczy. Jako spółdzielcy-spożywcy musimy mu być wdzięczni za wysunięcie na front tego kopciuszka, który przez tyle stuleci stał gdzieś pokor-

nie w kącie. Obawiam się jednak, że czcigodnego autora poniosła tu nieco pasja polemiczna. Sprawa sama w sobie jest dość zawikłana i należy ją rozpatrywać z całkowitym spokojem. Jakże tu oddzielać, nie krzywdząc prawdy, robotnika-spożywcę od robotnika-producenta? Jakże zepchnąć na dalszy plan pracę, która jest — nie tylko w dzisiejszej, ale w odwiecznej swojej postaci — jednym z najszlachetniejszych czynników ludzkiej kultury? Jeżeli będzie chodziło o przyznanie głosu reprezentacji spożyców w rozstrzygnięciu spraw ogólnogospodarczych, powiemy na pewno — tak. Jeżeliby ktoś żądał dla tej reprezentacji spożyców prawa wyłącznego głosu — zawahamy się na pewno. Na szczęście sprawa nie jest gwałtownie pilna, jeśli chodzi o ostateczne jej rozstrzygnięcie. Można je na pewno powierzyć czasowi i bardziej wyraźnie formującemu się układowi stosunków. Na razie wystąpienia w tej sprawie Gide'a trzeba traktować jako wyraz niewątpliwie dobrej woli, usiłującej z pasją wyważyć drzwi, tak głucho długo zamknięte.

Oto te kilka zastrzeżeń, czy, lepiej powiedziawszy, te kilka wyjaśnień, które uważałem za konieczne dać polskiemu czytelnikowi przed przystąpieniem do czytania „Kooperatyizmu“. Nie zmniejszają one w niczym wartości książki, którą cenię bardzo wysoko, uważając ją za jedną z najpiękniejszych książek o spółdzielczości. Chciałbym ją widzieć w rękach każdego spółdzielcy, który szuka rozszerzenia swych horyzontów, w czym nie wątpię, praca Gide'a nie sprawi mu zawodu.

*Stanisław Thugutt*





## PRZEDMOWA

Tytuł książki niniejszej został nieco zmieniony: *Kooperatyzm* zamiast *Kooperacja*. Wahałem się z tym przechrzczeniem, gdyż książka była już w wieku poważnym, tym niemniej zmiana końcowych liter wydała mi się konieczna: przede wszystkim dla uniknięcia pomieszania z tytułami wielu innych moich książek, noszących tytuł *Kooperacja*, a także ponieważ nazwa na *yzm* lepiej wyraża myśl przewodnią, wiążącą wszystkie te konferencje: wyłożenie charakterystycznych cech systemu społecznego, różniącego się zarówno od indywidualizmu, jak i od kolektywizmu.

Ewolucja gospodarcza, przyśpieszona przez wielkie wypadki ostatnich lat, przyznaje, jak się zdaje, rację tym, którzy od dawna już, choć wyszydzano te przepowiednie, oddawali cześć zrzeszeniom spółdzielczym, nie tylko jako nowej formie przedsiębiorstwa handlowego, ale jako nowemu czynnikowi przemiany społecznej.

Wojna dała istotnie nieoczekiwany popęd ruchowi spółdzielczemu we wszystkich krajach, za granicą bardziej jeszcze niż we Francji. W Europie Wschodniej widziano Rosję, jak również wszystkie te młode republiki, które powstały z rozbiorów dwóch wielkich państw, rzucające się do spółdzielczości w jej różnoro-



dnym formach jak tonący rzucają się do łodzi ratunkowych.

W samej Francji można by powiedzieć, że ze wszystkich wielkich form zrzeszeń ludowych — związków zawodowych, stowarzyszeń wzajemnej pomocy, spółdzielni — tylko te ostatnie posiadają dziś większą liczbę członków i wzmożone znaczenie. Nie tylko publiczność uznała wartość ich usług, ale władze publiczne, niegdyś mało dla nich przychylne, zmuszone były odwołać się w wielu okolicznościach do ich pomocy, bądź to na froncie dla uwolnienia milionów zmobilizowanych od wyzysku handlarzy, bądź wewnątrz kraju dla zahamowania zwyczajki cen i zaradzenia niedostatkom taks urzędowych, bądź wreszcie w departamentach zniszczonych — dla ułatwienia i przyspieszenia dzieła odbudowy. Przez utworzenie Naczelnej Rady Spółdzielczej otrzymała ona nawiąże do pewnego stopnia charakter urzędowy: jest w ten sposób powołana do wywoływania i dyskusowania wszelkich interwencji ustawodawczych, które mogłyby interesować tę osobę gospodarstwa społecznego, jaką ekonomiści nazywają słusznie „trzecim zapomnianym“ — spożywcą.

Trzydzieści konferencji ogłoszonych w tej książce i wybranych spośród wielu innych <sup>1</sup> ułożone zostały po prostu w porządku chronologicznym, czyli według dat, pod jakimi zostały wygłoszone; obejmują one okres przeszło czterdziestoletni. Zestawienie tych konferencji jest przeto niejako historią formowania się programu spółdzielczego we Francji, przynajmniej co

---

<sup>1</sup> Wydanie niniejsze różni się od poprzedniego dodaniem dwóch nowych konferencji, ostatnich w tomie. Za to dwie dawniejsze zostały usunięte, obie o solidarności; znajdują się one w innej książce.

się tyczy spółdzielczości spożywców, jedynej, o której jest mowa w tej książce.

Nie trzeba bynajmniej szukać w tej książce praktycznego wykładu o organizacji stowarzyszeń spółdzielczych, daliśmy go bowiem gdzie indziej<sup>2</sup>, ani też doktrynalnego i systematycznego nauczania. Czytelnik ze chce pamiętać, że nie są to tutaj rozdziały książki, ale konferencje na zgromadzeniach ludowych, świeckie kazania, że się tak ośmielę powiedzieć, których celem było przyciągnąć do spółdzielczości tych, którzy jej nie znają.

Po raz pierwszy książka ta była wydana w momencie wielkiego zapału do uniwersytetów ludowych, w których wiele z tych konferencji zostało wygłoszone. Te uniwersytety ludowe nie istnieją już, ale zamierzony skromny cel dokonywania propagandy idei spółdzielczych za pośrednictwem tych konferencji osiągnięty został w dość szerokiej mierze, o ile mi wolno sądzić z licznych wydań tej książki w językach cudzoziemskich, bądź to w tomach, bądź oddzielnie w formie broszur.

Większość zagadnień, które mogą interesować spółdzielców, są tu poruszone, jakkolwiek w pewnym rozproszeniu; treść podana w nagłówku każdej konferencji pozwoli je odnaleźć z łatwością. Niektóre z przedmiotów, o których mowa w tych konferencjach, stykają się, a nawet są dla siebie częściowo nadrzędne, wobec czego czytelnik, który zadałby sobie trud przeczytać książkę od początku do końca, ryzykowałby, że odnajdzie w niej rzeczy powtarzane — nie jest to jednak

---

<sup>2</sup> *Spółdzielcze Stowarzyszenie Spożywców*, jak również w większości trzynastu kursów, ogłoszonych w książkowym wydaniu.



wielką wadą. Było by znacznie przykrzejsze dla autora, gdyby czytelnik odnosił tu i owdzie wrażenie, że czyta rzeczy już powiedziane, a nawet przestarzałe; w tym jednak wypadku, jeżeli zechce on zauważyć daty, podane przy każdej konferencji, przekona się, że ta i ta teza albo taka czy inna formuła, która się od owej chwili stała szablonem, nie była nim jeszcze podówczas.

*Karol Gide*

# I

## SPÓŁDZIELCZOŚĆ

### I PARTIA ROBOTNICZA WE FRANCJI<sup>1</sup>

*§ 1. Dawny program spółdzielczy partii robotniczej. — § 2. Walka kooperatyizmu z kolektywizmem. — § 3. Organizacja ruchu spółdzielczego. — § 4. Kooperatyzm międzynarodowy. — § 5. Krytyka programu spółdzielczego. — § 6. Spółdzielnie jako środek wychowawczy.*

Powinienbym, stosując się do zwyczaju, rozpocząć od oświadczenia, jak dalece nie czuję się odpowiednim do wykonania powierzonego mi przez was zadania. Pozwólcie mi jednak oszczędzić wam tego banalnego wstępu i przeciwnie, powiedzieć, z jakimi uczuciami radości i usprawiedliwionej dumy wstaję dla zabrania głosu na tym wielkim zgromadzeniu.

Jestem dumny, przede wszystkim na mój własny rachunek, z powodu dopuszczenia mnie przez was, mnie, który łączę w swojej osobie podwójny charakter, na o-

<sup>1</sup> Przemówienie na otwarciu 2-go kongresu spółdzielczych stowarzyszeń spożywców, odbytego w Lyonie w Théâtre Variété dnia 19 września 1886 r. Przemówienie to było drukowane w urzędowym sprawozdaniu z kongresu (Drukarnia Kugelmanna, 1886, Paryż).

Na kongresie obecni byli liczni goście zagraniczni, mianowicie: Vansittart Neal z Anglii, Vigano i Mg. Rabbeno z Włoch, Edmund Pictet ze Szwajcarii.

Ten Kongres Lyoński był drugim kongresem spółdzielczym. Pierwszy, z inicjatywy p. de Boyve, odbył się w Paryżu w roku poprzednim 1885 i zgromadził po raz pierwszy wszystkie francuskie stowarzyszenia spółdzielcze spożywców.



gół mało sympatyczny klasie robotniczej: burżuja, jeżeli sądzić z ubrania, i ekonomisty, jeżeli sądzić z tytułu, dopuszczenia mnie, mówię, do walki w waszych szeregach. Dziękuję wam za wielki zaszczyt, jaki wyświadczyliście mi, zapraszając mnie tutaj i powierzając bodajby na jedną godzinę wasz sztandar.

A kiedy widzę obok mnie delegatów Anglii, Włoch i Szwajcarii, a zwłaszcza pp. Francesco Vigano i Vansittart Neale'a, tych dwóch osiemdziesięciolatków, weteranów armii spółdzielczej, liczących w swoim stanie służby tyle kampanii i tyle zwycięstw, i których nazwiska należą już teraz do historii spółdzielczości, jestem szczęśliwy, że mogę im pokazać w tej sali widowisko, którego się, być może, nie spodziewali w naszym kraju, widok kongresu robotniczego, pokojowego i praktycznego. Bądźcie panowie świadkami naszych obrad a nie wątpię, że po powrocie do kraju będziecie mogli powiedzieć swoim rodakom, iż widzieliście tu przedstawicieli tysięcy robotników, dyskutujących o najważniejszych swych interesach bez deklamacji, bez pogroźek, bez odwoływania się do siły, bez szukania protekcji państwa i nie oczekujących niczego więcej niż wolności! I z tego jestem dumny w imieniu swojego kraju.

Pozwólcie mi jeszcze dodać, że jestem bardzo szczęśliwy, widząc, iż ten kongres, który ma ostatecznie uregulować ruch spółdzielczy, zebrał się w Lyonie. Widzę w tym rękojmię powodzenia. To wielkie miasto robotnicze jest jednym z miast świata, gdzie najbardziej pracowano. Zaproszą was na pewno do zwiedzenia Croix Rousse, panowie delegaci z zagranicy; tam będą mogli wam pokazać takie domy robotnicze, w których warsztaty pracują od kilka pokoleń, w których również z jednego pokolenia na drugie przekazywano tradycje

uczciwego i pracowitego życia i które, gdyby praca nie gardziła tymi próżnostkami, mogłyby się również poszczycić swoją genealogią. Żadna inna ludność nie zna lepiej praw życia powszedniego i jego dolegliwości i nie jest lepiej przygotowana do rozwiązania zagadnień społecznych w duchu bardziej robotniczym.

Tutaj to zresztą powstały pierwsze stowarzyszenia spożywców <sup>1</sup>. Tutaj także najliczniejsze są stosunkowo stowarzyszenia robotnicze wszelkich rodzajów. Tutaj zbierają się najchętniej kongresy, zajmujące się zagadnieniami społecznymi. Wystarczy przypomnieć kongres robotniczy z 1878 r., który był drugim krajowym kongresem robotniczym i który odbywał się w tej samej sali, w której się znajdujemy.

---

<sup>1</sup> Dzięki interesującej broszurze p. Godarta, ogłoszonej w roku 1904, *Les origines de la coopération lyonnaise* (Początki spółdzielczości lyońskiej), a od niedawna dzięki broszurze p. Gaumonta, wiemy dziś lepiej, w jaki sposób w 1835 dwóch tkaczy lyońskich stworzyło — „według teorii Karola Fourier’a” — mówi jeden z tych naszych poprzedników — spółdzielczy sklep korzenny, który nazwano „pierwszym zakładem rzetelnego handlu”. Patrz bardzo ciekawy list, wysłany przez jednego z nich do kupców lyońskich.

Stowarzyszenie spożywców pod nazwą „Zjednoczeni pracownicy”, utworzone w 1849 r., miało w 1851 siedem sklepów korzennych, piekarnię, dwie rzeźnie, dwa składy węgla, skład win, ciastkarnię, fabrykę czekolady i skład hurtowy z 50 urzędnikami i robotnikami. Cała suma wypadająca na zwroty poświęcana była na cele solidaryzmu społecznego. Co prawda, zwroty te były nieznaczne, ponieważ spółdzielnia sprzedawała po cenach kosztu. W 1850 r. powstało kilka innych stowarzyszeń spożywców, z których najznaczniesze było stowarzyszenie w Castors. Wszystko to było rozpędzone przez zamach stanu z 2 grudnia 1851 r. Mało jest znanym na ogół, że zamach ten, którego konsekwencje polityczne dla Francji były tak straszliwe, opóźnił o pół wieku rozwój ruchu spółdzielczego u nas.

Po 35 latach kongres spółdzielczy odbył się znowu w Lyonie (w maju 1921) i mógł, stawiając pomnik swym poprzednikom, powitać już bardzo rozwiniętą organizację spółdzielczą, grupującą się koło wielkiego stowarzyszenia *L'Avenir régional* (Przyszłość regionalna).



Zgromadzenie się tego kongresu było właśnie ważną datą w historii ruchu spółdzielczego naszego kraju. Niech mi wolno będzie powrócić do niego i dać wam w streszczeniu historię tych ostatnich ośmiu lat; ten okres czasu, jakkolwiek krótki, pełen był wielkich wypadków i w rozwoju spółdzielczości we Francji jest przełomem, którego przyczyny trzeba poznać.

#### § 1. DAWNY PROGRAM SPÓŁDZIELCZY PARTII ROBOTNICZEJ

Dziesięć lat temu wiara w spółdzielczość była jeszcze nietknięta: robotnicy francuscy widzieli w niej zbawienie. Pierwszy kongres robotniczy w Paryżu w 1876 roku nie wskazał innego rozwiązania kwestii społecznej, a kongres lyoński 1878 r., o którym wam mówiłem przed chwilą, powtórzył, wzmacniając je, te same deklaracje.

„Zważywszy, stwierdził on na posiedzeniu z 8 lutego 1878 r., że system obecny jest tylko stanem przejściowym pomiędzy poddaństwem a jakimś stanem bez nazwy, izby związkowe powinny użyć wszelkich środków dla zorganizowania ogólnych stowarzyszeń spóżywców, kredytowych, wytwórczych, opartych na poważnej kontroli, której brak jest przyczyną przeszłych niepowodzeń“.

Składając tu solenną deklarację, zgromadzeni w Lyonie robotnicy, pomiędzy którymi znajdowało się niewątpliwie wielu z tych, którzy mnie tu słuchają, nie podlegali żadną miarą, jak to utrzymywano bezczelnie, wpływom mieszczańskim i nie zdradzali wcale swej partii. Wręcz przeciwnie, wyrażali tylko uczucia, których zawsze pełne były serca robotników francuskich.

Czegóż oni chcieli w rzeczywistości, zakładając te stowarzyszenia spółdzielcze? Polepszyć swój byt codzienny? zmniejszyć swoje wydatki czy nieco powiększyć swe płace? Bynajmniej. Cel, który mieli na oku, był dużo wyższej wartości i jest on bardzo wyraźnie scharakteryzowany przez ustęp wstępny, który wam dopiero odczytałem. „Zważywszy, że system płacy najemnej *jest tylko stanem przejściowym* pomiędzy poddaństwem a jakimś stanem bez nazwy...” Oto cel: przekształcić pomału system płacy najemnej, ażeby dojść do stanu, w którym pracownik, zamiast ograniczać się jak dziś do używania na cudzy rachunek narzędzi produkcji, samemu będąc zwykłym narzędziem, stałby się właścicielem tych narzędzi produkcji i pozyskałby przez to zarówno niezależność, jak posiadanie i wolną dyspozycję produktami swej pracy.

Podobnie jak nasi chłopci, to znaczy robotnicy wsi francuskiej, pieścą od tysiąca lat marzenia o pozyskaniu na własność swego instrumentu pracy, który dla nich nazywa się ziemią, i nie cofają się przed żadną ofiarą, aby cel ten osiągnąć, tak samo robotnicy miejscy dążyli zawsze do tego samego celu: zdobyć na własność narzędzia pracy, które dla nich nazywają się fabryką, kopalnią, maszyną, warsztatem. I ten wspólny cel, który dręczy dwie wielkie klasy naszych pracowników, znalazł swój wyraz w tej słynnej formule, którą powtarzano właśnie na tym kongresie lyońskim: „Ziemia dla chłopca, narzędzia dla robotnika”.

Być niezależnym! Pracować u siebie i dla siebie, być właścicielem narzędzi swej pracy i jej produktów, oto ideał, który dzisiaj uważa się za przestarzały, ale który zawsze wrastał głęboko w serce każdego robotnika francuskiego i który stanowi w pewnym rozumieniu je-



den ze składników naszego temperamentu narodowego. Nigdzie nie jest on bardziej żywy niż tutaj, pomiędzy waszymi robotnikami, którzy nie chcą życia fabrycznego, tylko chcą pracować w swoim pokoju, w określonych przez siebie godzinach, według własnego uznania i na swych własnych warsztatach!

I nie waham się powiedzieć tutaj, różniąc się tym od większości ekonomistów, że uważam te ambicje za uprawnione; jest moim głębokim przekonaniem, że zostaną one kiedyś zrealizowane w mniej czy bardziej odległej przyszłości. Tak, wierzę razem z Kongresem Lyon'skim z 1878 r., że systemu pracy najemnej nie można traktować jako stanu ostatecznego, a tylko jako stan przejściowy: jest on niewątpliwie postępem i wielkim postępem w porównaniu z czasem poprzednim, ale jednak jest on stosunkowo mało wartościowy i będzie usunięty w kolei wypadków przez to samo prawo postępu, żeby być zamienionym przez nowy sposób, nazwany ostrożnie przez ustęp, jaki wam odczytałem, „stanem jeszcze bez nazwy“.

A dlaczego ustrój pracy najemnej wydaje mi się ustrojem skazanym na zagładę? Nie dlatego bynajmniej, żebym uważał ten ustrój za szczególnie niesprawiedliwy dla klasy robotniczej i nie dlatego, żeby dawał on przedsiębiorcom prawo odciągania lwiej części zysku i obdzierania najemników, jak twierdzą kolektywiści, więcej niż z połowy tego, co się im należy. Nie! nie dowiedziono mi bynajmniej, że gdyby robotnicy otrzymali to, co nazywają całkowitą wartością produktu ich pracy, dochody ich zwiększyłyby się przez to poważnie. Sądzę, że skromność płac zależy daleko więcej od niedostateczności masy do podziału aniżeli od sposobu, w jaki dokonywa się podział, ale właśnie system pracy

najemnej jest jedną z głównych przyczyn tej niedostateczności.

Nasz zarzut przeciwko systemowi pracy najemnej jest nie tylko natury gospodarczej, ale moralnej. Polega on na tym, że ustrój ten przyzwyczaja tych, których nazywamy klasami kierowniczymi społeczeństwa, do patrzenia na klasy najemników jako na zwykłe instrumenty produkcji. Otóż nie jest to dobre ani dla najemników, ani dla tych, którzy ich opłacają. Nieszczęsne to wychowanie człowieka, które go przyzwyczaja do widzenia w człowieku sobie podobnym środka do zbożacania się. Człowiek nie powinien być dla człowieka narzędziem.

Bez wątpienia, można mi zarzucić, że ponieważ ten świat jest ciągłą wymianą usług, każdy z nas w pewnym rozumieniu *posługuje się* podobnymi do siebie, ale ta wymiana usług, którą nazywa się podziałem pracy, może zadośćuczynić idei sprawiedliwości tylko wtedy, gdy zawiera w sobie równość i wzajemność; otóż system pracy najemnej nie spełnia tych dwóch warunków, dużo do tego brakuje. Istotnie, jeżeli można powiedzieć, że robotnicy pracują dla dobra przedsiębiorców, było by wielką przesadą twierdzić, że przedsiębiorcy pracują dla zysku swoich robotników.

Oto dlaczego wierzę mocno, że przyjdzie dzień, w którym żaden naród nie będzie już rozdzielony na dwie klasy — pracującą i tę, która każe pracować, — w którym ludzie będą produkowali w stosunkach, nie będących już stosunkami zależności, ale wzajemnej pomocy, takich, jakimi są stosunki charakteryzujące stowarzyszenia.

Mówi się, że ta idea stowarzyszenia nie jest żadnym odkryciem. Nie, na pewno! gdyż przez wszystkie czasy



stowarzyszenia były środkiem, do którego ludzie uciekali się, szukając triumfu swoich idei i realizacji swoich zamiarów. Tak przez stowarzyszenia, które nosiły nazwę *gmin*, ojcowie nasi przed pięciu czy sześciu wiekami, biedni jak wy, ale bardziej uciskani niż wy kiedykolwiek byliście uciskani, uwolnili się od jarzma magnatów i biskupów i stworzyli ten trzeci stan, którym stało się mieszczaństwo. Tak przez stowarzyszenia, które nosiły miano kongregacji religijnych, zwyciężył kościół katolicki pogan i przy ich pomocy dziś jeszcze daje uczuć swą potęgę aż po krańce świata. Tak przez stowarzyszenia stworzyli ludzie pierwsze państwa i pierwsze miasta i na pewno przez stowarzyszenia również, zanim jeszcze powstała historia, mogli pierwsi ludzie zrzesać się przeciwko siłom natury i drapieżnym zwierzętom oraz wyjść zwycięzcami z tej straszliwej walki o życie, która zdawało by się winna była zgnieść rodzaj ludzki w kołysce. Stowarzyszenie jest więc równie stare jak ludzkość, bardziej jeszcze, gdyż długo przed tym, zanim zjawili się ludzie na świecie, zwierzęta, nie tylko te, które znacie, jak mrówki i pszczoły, ale wiele innych również i zwłaszcza najmniejsze, najsłabsze, najbiedniejsze z nich potrafiły zażądać od stowarzyszenia pomocy dla swojej słabości, broni do walki z mocniejszymi i środków do polepszenia swego nędznego życia.

Ale to słowo *stowarzyszenie* obejmuje tysiąc rozmaitych form. Trudnością jest znaleźć dobrą formę.

Pierwsi spółdzielcy z 1848 r. używali formy „stowarzyszenie wytwórcze”; było to tyle, co złapać byka za rogi, ale nie oni byli silniejsi. Do założenia przedsiębiorstwa wytwórczego trzeba w rzeczywistości kapitału, a spółdzielcy owej epoki znali tylko jeden spo-

sób zebrania tego kapitału, ale jakże niewystarczający: oszczędności osobiste, zbierane z wielkim trudem z dziennych płac.

W 1863 — 1866 spróbowali z niewiele lepszym powodzeniem gromadzić ten kapitał przez banki ludowe, przez kredyt dla pracy, ale posługiwanie się tym doskonałym narzędziem, jakim są stowarzyszenia spółdzielcze kredytu, było jeszcze mało znane.

W dwadzieścia lat później robotnicy, zgromadzeni na kongresie lyońskim, poznali już inny sposób gromadzenia niezbędnego kapitału, sposób doskonale skuteczny i cudownie prosty, który zalecają w czytany wam przeze mnie wstępie pod nazwą „Stowarzyszenie Spożywców“.

Powiedziałem: cudowne odkrycie, i nie cofam tego wyrazu; nie jest mi wiadomym, prawdę powiedziawszy, żeby wynaleziono w dziedzinie społecznej coś bardziej zadziwiającego. Podziwia się maszyny dlatego, że wynikiem ich jest zwolnienie człowieka ze zbyt wielkiej pracy, usunięcie najbardziej bolesnego wysiłku. Ale czyż oszczędzanie nie jest dla robotnika żyjącego z dnia na dzień najbardziej mozolną pracą, wysiłkiem najbardziej bolesnym, tak dalece, że jest to dla niego nieosiągalne i że drwiną jest po prostu zalecanie mu tego sposobu? Gdyby więc można wynaleźć mechanizm, który by usunął to utrapienie i wysiłek, sposób, który by wyciągnął oszczędność z woreczka biedaka tak, żeby on wskutek tego nie cierpiał i żeby się nawet tego nie domyślał, czy nie byłby to cudowny wynalazek?

Otóż ten mechanizm jest wynaleziony: jest nim właśnie stowarzyszenie spożywców, które kupuje po cenach hurtowych, a sprzedaje po cenach detalicznych



i przelewa osiągnięty zysk na rachunek członka proporcjonalnie do jego zakupów. Stowarzyszony, który nabył za 1.000 franków artykułów spożywczych, dowiaduje się, że zaoszczędził w ten sposób 100, 120, może 150 franków, czyli 10 do 15 od sta. Oto wszystko! Jest to bardzo proste, a jednak trzeba to było wymyślić. Ożenić te dwa składniki, które wydają się być tak nieprzyjazne sobie jak ogień i woda, czyli oszczędność i wydatki, stwierdzić, że spożycie, a więc użytkowanie, może dać te same korzyści, co odmawianie sobie czegoś, a więc cierpienie, — powiedzieć sobie, że za każdym razem, kiedy się wkłada franka do rąk sprzedawcy, gdzieś tam dwa soldy wpadają do skarbonki, móc, jak mówią Anglicy, zebrać swój kapitał po prostu tylko jedząc i pijąc, a przy każdym bochenku, który się kończy jeść, powiedzieć sobie, że pozostaje jeszcze jedna kromka dla dzieci czy dla nas samych, kiedy się już zestarzejemy — oto doskonały sposób automatycznego oszczędzania. Któż dał nam tę ideę? Nie wiadomo. Jakkolwiek Pionierzy Roczdelscy wyciągnęli z niej pierwsi użytek, wiadomo jednak, że była ona znana i praktykowana przed nimi. Jak większość wielkich wynalazków i ten wyszedł z tłumu bez nazwiska.

Możemy więc określić spółdzielnię spożywców, mówiąc, że jest to zrzeszenie robotników, pragnących pracować wspólnie nad wspólnym wyzwoleniem i wyzwoleniem ich braci przez wysiłek zgromadzenia niezbędnego do tego celu kapitału sposobem najmniej uciążliwym i najbardziej skutecznym.

Nie jest to celem jedynym, są inne cele, do których wrócimy później, mianowicie realizacja słusznej ceny przez usunięcie zysku. Ale historycznie, definicja,

którą tylko co daliśmy, jest właśnie ta, która określa, jakie były dążenia francuskiej partii robotniczej prawie przez pół wieku od 1830 r. aż do lat ostatnich, ściśle mówiąc aż do 1879 r., zobaczymy bowiem, że ta właśnie data zaznaczyła się załamaniem się ruchu spółdzielczego.

## § 2. WALKA KOOPERATYZMU Z KOLEKTYWIZMEM

Partia robotnicza bowiem była już głucho podminowana przez inne doktryny; miały one nazwy zgoła nie swojskie dla naszych uszów francuskich, przychodziły bowiem z daleka. Jedna z nich nazywała się kolektywizmem i miała za ojca Niemca — Karola Marxa; inna nazywała się anarchizmem i miała za ojca Rosjanina — Bakunina. Zwłaszcza pierwsza, przybywszy z za Renu, za nauczycieli i propagatorów miała nie robotników, ale młodych ludzi, studentów lub dziennikarzy najczęściej, z pomiędzy których zacytuję tylko Juliusza Guesde. Ten sztab rozpoczął kampanię na zgromadzeniach publicznych i w kilku dziennikach i prowadził ją z zadziwiającym rozmachem i zręcznością. Już na tym właśnie kongresie lyońskim próbowali oni narzucić swój system. Przedłożona przez nich poprawka brzmiała następująco: „Kongres zaleca wszystkim stowarzyszeniom robotniczym badanie środków dla zastosowania kolektywnej własności ziemi i narzędzi pracy“. Żądanie to zostało jednak odrzucone olbrzymią większością głosów.

Półtora roku później, w 1879 r. trzeci kongres robotniczy zgromadził się w Marsylii. Środowisko zostało zmienione. Oczywiście większość członków tego kongresu stanowić musieli i stanowili istotnie marsylczycy. Na 130 delegatów tylko mała liczba członków była



tym razem waszymi współobywatelami, delegatami z Lyonu. Nie chciałbym mówić nic złego o marsylczykach, należę sam do nich prawie, pochodząc z Gard. Trzeba jednak przyznać, że przy tej pamiętnej okazji zdradzili oni sprawę spółdzielczości. Nie stało się to co prawda bez sprzeciwu. Większość zapisanych do głosu mówców mówiła, tak jak w Lyonie, na rzecz spółdzielczości, ale wybrane do przygotowania komisje złożone były z członków przychylnych w większości doktrynom kolektywistycznym. Komisja, której polecono przedstawić rezolucję dotyczącą stowarzyszeń spółdzielczych, zredagowała ją w takiej pogardliwej formie: „Kongres stwierdza, że stowarzyszeń tych nie można żadną miarą uważać za środki dość potężne do osiągnięcia wyzwolenia proletariatu..., że tym nie mniej powinny one być traktowane tak samo jak inne rodzaje stowarzyszeń, biorąc za jedyny cel dojście do rozwiązania zagadnienia społecznego przez najbardziej aktywną propagandę rewolucyjną“. I ta rezolucja została przyjęta. Komisja, której polecono przedstawić rezolucję w sprawie „własności“, oświadczyła, że celem partii robotniczej powinno być „kolektywne władanie ziemią i tym, co się pod ziemią znajduje, narzędziami pracy, surowcami, przeznaczonymi dla wszystkich i uczynionymi niezbywalnymi przez społeczeństwo, do którego winny powrócić“. Ta rezolucja została przyjęta 73 głosami przeciwko 27.

Oto w jakich okolicznościach doktryna kolektywistyczna pobiła doktrynę spółdzielczą.

Nowy cel zmienił się więc całkowicie: nie jest to już cel znany nam i określony w formule: „ziemia dla chłopu, fabryka dla robotnika“. Dziś wyraża to inaczej inna formuła: „ziemia i wszystkie narzędzia pracy dla

społeczeństwa, dla wspólnoty". Publiczność często płacze ze sobą te dwie formuły; w rzeczywistości są one sobie całkiem przeciwstawne.

Pierwsza formuła to własność narzędzi pracy *przyznanych indywidualnie każdemu wytwórcy*; druga to własność tych samych narzędzi *odebranych jednostkom* dla przyznania ich abstrakcji, która się nazywa kolektywem.

Bez dyskutowania do głębi tego zagadnienia własności indywidualnej czy kolektywnej ograniczam się do stwierdzenia faktu, że wszystkie instynkty i cała energia naszego ludu wyłożone są w kierunku nabycia własności indywidualnej, czego dowodem jest to, że tam gdzie istnieje bodajby ślad własności kolektywnej, np. nasze tereny gminne, najpilniejszym dążeniem mieszkańców jest domagać się ich podziału.<sup>1</sup> Jest to uczucie, które jak się wydaje, jest wrodzone naszej rasie, bardzo w tym odmiennej od rasy germańskiej, a zwłaszcza słowiańskiej. I nawet gdyby to uczucie było tylko, jak twierdzą kolektywiści, czystą rutyną, nie wykorzeniło by go się łatwo, gdyż żaden kraj wbrew pozorom nie jest bardziej niż nasz przywiązany do swojej rutyny. Nie trzeba chcieć czynić Francuzów szczęśliwymi wbrew ich woli.

Może wielu spośród słuchaczy myśli, że profesor ekonomii politycznej na uniwersytecie państwowym, tak jak ja, zmuszony jest przez obowiązek zawodowy bronić

---

<sup>1</sup> Pogarda wszelkiej własności kolektywnej jest jedną z najmocniej zaznaczających się cech charakteru francuskiego (i zresztą — gotów jestem to przyznać — jedna z najbardziej przykrych pod wieloma względami); książki w bibliotekach publicznych są grabione i niszczone, trawniki w ogrodach publicznych deptane i zaśmiecane, nawet obsadki w urzędach pocztowych przywiązane są, na próżno zresztą, sznurkiem, żeby ich nie zabierano.



własności. Otóż mogę was zapewnić, że własność indywidualna nie ważyłaby według mnie nawet tyle, co żdźbło na wadze, gdyby mi dowiedziono, że zniesienie jej może polepszyć los większości moich współobywateli i przyczynić się do rozwoju rodzaju ludzkiego. Niestety, nigdy nie można mi było dać takiego dowodu, podczas kiedy dowodów przeciwnych dostarczało sto razy doświadczenie przeszłości, mianowicie w ten sposób, że wszędzie widziano własność kolektywną przetwarzającą się na własność indywidualną, nie dostrzeżono zaś jeszcze, o ile wiem, ani jednego przykładu powodzenia w sensie odwrotnym.

Tyle o celu. Co się tyczy środka, znamy go również. Jest nim wywłaszczenie, czyli przejęcie siłą—albo, jeśli to będzie możliwe mocą ustawy—własności wszystkich narzędzi produkcji, wszystkich kapitałów. Zapewne, jest to środek znacznie bardziej pośpieszny niż środki spółdzielczości i znacznie krócej trwa zabrać gotowy kapitał aniżeli zgromadzić go.

Ale trzeba bardzo mało znać naturę kapitału, żeby wyobrazić sobie, że da on się wziąć jak ryba w sieć. Niewątpliwie, możecie w wyniku rewolucji społecznej, przypuściwszy, że będzie ona zwycięską, zawładnąć według formuły manifestów kolektywistycznych „ziemią, tym co się w głębi niej mieści, fabrykami, warsztatami, maszynami i domami“. Ale wszystko to nie jest jeszcze kapitałem, a przynajmniej są to kapitały martwe. Prawdziwy kapitał, ten, który służy do produkcji wszystkich bogactw i nawet samych narzędzi pracy, ten, który nazywa się w ekonomii politycznej kapitałem obiegowym, gdyż tak jak krew obiega on niewidzialnymi kanałami cały organizm produkcji, ten, który doprowadza do wrzenia w kotle i do biegu maszyny, ten, któ-

ry pozwala oddychać i żyć fabryce i bez którego wszystkie te wielkie organizmy byłyby trupami — ten nie da się wziąć. Czy to pod formą monet, czy pod formą papierów kredytowych toczy się on, ucieka, przekracza morza, ma orle skrzydła, śmieje się z konfiskat i dekretów.

Mówię tu do robotników lyońskich. Niech powiedzą szczerze, czy spodziewają się zawładnąć przemysłem jedwabniczym Lyonu za pomocą dekretu.

Oto dlaczego przypuszczam, że dzień, w którym kolektywizm markowski odniósł zwycięstwo w Marsylii, był dniem nieszczęsnym nie tylko dla spółdzielczości, ale dla partii robotniczej we Francji, gdyż pociągnął on ją za sobą do ścigania celu sprzecznego z jej prawdziwymi dążeniami i to bez praktycznych wyników.

### § 3. ORGANIZACJA RUCHU SPÓŁDZIELCZEGO

Ale partia może odnaleźć swój cel. Kongres, który nas dzisiaj zgromadził, jest interesujący i ważny przez to, że nawiązuje do tradycji starego socjalizmu francuskiego, przerwanej osiem lat temu. Jeżeli ktoś będzie odtwarzał na początku przyszłego wieku historię ruchu spółdzielczego we Francji, jak ja czynię to dzisiaj, chcę wierzyć, że będzie mógł zacytować Kongres Lyoński i datę 19 września 1886 roku jako punkt zwrotny nowej ery.

Nie potrzebuję pouczać większości swoich słuchaczy, w wyniku jakich okoliczności zebrał się nasz kongres. Wiecie, że roku ubiegłego p. de Boyve, prezes i założyciel spółdzielni spożywców w Nîmes powziął pomysł połączenia wszystkich spółdzielni Francji w jednym związku. Wiecie, z jaką wytrwałością uskuteczniał on



ten zamiar i z jakimi utrapieniami, ale również z jakim sukcesem zrealizował go. Pierwszy kongres spółdzielczy we Francji zgromadził się w roku ubiegłym w Paryżu. Zaczął on już organizować spółdzielnie spożywców, dając im wszystkie organy rządu, mianowicie dwie izby ustawodawcze, jedną zwaną „Izbą Doradczą“ do rządzenia i propagandy, drugą — „Izbę Gospodarczą“ do operacji handlowych — skarbnika, sekretarza i wreszcie pismo.

Był to już dobry początek. A od pierwszego występu zwróciła ta nowa organizacja uwagę na fakt zgoła nieoczekiwany i który zadziwił osoby, nawet najlepiej w tej materii poinformowane, fakt mianowicie, że idea spółdzielcza zapuściła na naszym gruncie korzenie znacznie głębsze niżby to kto przypuszczał. Statystyka wymieniała tylko setkę spółdzielni spożywców; otóż wasz sekretarz generalny, p. Fougereousse oświadcza, że we Francji istnieje około 600 spółdzielni spożywców, 60 stowarzyszeń wytwórczych i przeszło 200 syndykatów rolnych, mających charakter spółdzielczy <sup>1</sup>. Podczas więc, gdy oświadczano pogardliwie, że idea spółdzielcza jest bezsilną i martwą, szła ona bez hałasu swą drogą.

Żeby stać się w państwie potęgą, stowarzyszenie spółdzielcze potrzebuje tylko wykończyć swoją organizację i uświadomić sobie swą siłę. Kongres, który się dziś zgromadził, powinien wykonać pracę związania z Federacją nie tylko wszystkich spółdzielni spożywców, które do niej jeszcze nie przystąpiły, ale również wszystkich stowarzyszeń wytwórczych i wszystkich syndyka-

---

<sup>1</sup> Obecnie, w 1928 r., istnieje 4.000 stowarzyszeń spożywców, około 1.000 robotniczych stowarzyszeń wytwórców albo rolniczych i 6—8.000 spółdzielni kredytowych.

tów rolnych, które wspólnie dokonywują sprzedaży i zakupów w formie spółdzielczej. Kongres powinien wywołać tworzenie się nowych stowarzyszeń, zrehabilitować w tym celu wzorowe statuty, które niechby były kartami konstytucyjnymi spółdzielni. A zwłaszcza wobec rewolucyjnej partii socjalistycznej, która przywłaszcza sobie wyłączne prawo do nazwy „narodowej robotniczej“, a której program nie jest właśnie „robotniczy“, wynaleźli go bowiem uczeni i dziennikarze, ani zwłaszcza „narodowy“, ponieważ sprowadzono go z zagranicy — chcielibyśmy, żeby ten kongres stwierdził istnienie partii równie jak tamta zdecydowanej pracować nad wyzwoleniem klasy robotniczej, ale zdecydowanej dojść do tego prawem, a nie siłą, równie socjalistycznej we właściwym tego słowa znaczeniu i mogącej z większym prawem dobijać się dla siebie nazwy „narodowej partii robotniczej“, gdyż idea spółdzielcza nie jest teorią gabinetową, tylko wyszła z praktyki życiowej i potrzeb klasy robotniczej. Nie rozkwitła pewnego pięknego dnia w mózgach kilku uczonych, tylko wyszła z wnętrza ludu. W Anglii ma za ojców w 1844 r. jakiś tuzin biednych tkaczy flaneli, a tu jednego z waszych ludzi. A co się tyczy spółdzielni wytwórców, nie zapominajmy we Francji o tych heroicznych robotnikach z 1848 r., których życie, pełne poświęceń i oddania się sprawie spółdzielczej, będzie kiedyś, jeśli jest sprawiedliwość w historii, tak samo legendą jak życie Pionierów Roczdejskich.

#### § 4. KOOPERATYZM MIĘDZYNARODOWY

Nie myślcie tylko przypadkiem, że słowem „narodowy“ chciałbym poruszyć u was jakiś szowinizm, a zwłaszcza wyrazić przypuszczenie, że idea spółdziel-



cza należy do Francji. Jestem bardzo daleki od takich zamiarów. Mamy pewną odmianę sprawy spółdzielczej, która istotnie jest właściwością naszego kraju; mianowicie to, co usiłowałem tutaj wyjaśnić. Ale idea spółdzielcza jest tak obszerna jak ludzkość i w wyniku tego jest ona własnością wszystkich narodów. Otóż, dalecy od zamierzeń zamykania tej idei w formule, specjalnie należącej do naszego kraju, organizatorzy tego kongresu zamierzają przeciwnie proponować wam nawiązanie łączności ze spółdzielniami całego świata. Kongres paryski stworzył pierwszą *Federację Krajową*, my zaś chcielibyśmy, aby Kongres Lyonński stworzył pierwszy *Związek Międzynarodowy*<sup>1</sup>.

Międzynarodówka? Słowo nie jest nowe, ani rzecz tym bardziej, a socjaliści rewolucyjni mogą nam powiedzieć, że zrealizowali ją przed nami. A kiedy Karol Marx powziął ideę zsolidaryzowania wysiłków pracowników w Międzynarodówce robotniczej, była to istotnie idea genialna.

Bądź co bądź stwierdzimy jednak, że nasza Międzynarodówka nie ma na celu zamiany nienawiści nacjonalistycznych na nienawiść społeczną, a wojny ludów przez wojnę klas. I nawet nie dąży zupełnie do roztopienia ojczyzny w ludzkość. Podziału na narody nie uważamy za bezużyteczny ani przestarzały.

Podzielony na narody i państwa szedł rodzaj ludzki od swoich pierwocin drogą cywilizacji i pomimo wszystkich zatargów, jakie wywołał i jeszcze wywoła,

---

<sup>1</sup> Zyczenie to sformułował p. de Boyve trzy miesiące wcześniej na kongresie spółdzielczym w Plymouth. W wyniku Kongresu Lyonńskiego powstała komisja, złożona z przedstawicieli trzech krajów: Francji, Anglii i Włoch, która jednak nic nie zdziałała. Dopiero w 1892 r. powstał *Międzynarodowy Związek Spółdzielczy* a w 1895 r. odbył swój pierwszy kongres w Londynie. (Patrz jedną z dalszych konferencji niniejszego tomu).

podział ten powinien być przyjęty jako przejaw naturalnego prawa podziału pracy, zapewniającej postęp. Pozostanie więc Anglikami, zostanie Włochami, towarzysze — my zostaniemy Francuzami. Świat straciłby zbyt wiele, choćby tylko pod względem rozwiązania sprawy społecznej, gdyby te gwiazdy zagasły albo utonęły w jakiejś mgle.

Ale jeżeli nie chcemy zniesienia ojczyzny, chcemy zrzeszenia ludów, co jest zgoła odmienne, gdyż tak samo jak stowarzyszenie spółdzielcze nie ma za cel zniszczenia jednostek, ale wręcz przeciwnie, rozwinięcie i zużytkowanie ich różnych uzdolnień, tak samo zrzeszenie ludów nie może mieć za cel zniknięcia indywidualności każdego narodu, lecz wręcz przeciwnie, uwypuklenia i zużytkowania dla dobra ogólnego tych wszystkich zdolności, oryginalności i geniuszu, właściwego każdemu z nich. Każdy kraj zapatruje się na sprawy robotnicze w sposób odrębny, tak samo jak na wszelkie inne sprawy, a każdy może korzystać z zalet, a nawet, śmiem twierdzić, z błędów swoich sąsiadów. Wy, towarzysze Włosi, jesteście bardzo posunięci w sprawach oszczędności i banków ludowych; nauczycie nas tego. Wy, panowie Anglicy, macie praktyczny rozsądek, co jest wielką zaletą; udzielicie nam go nieco, zrobi nam to bardzo dobrze. Co do nas, jesteśmy trochę idealisci a nawet trochę utopiści, jest to wada, tym nie mniej spróbujemy zaszczepić jej trochę naszym przyjaciołom Anglikom — na pewno nie będzie to dla nich złe.

#### § 5. KRYTYKA PROGRAMU SPÓŁDZIELCZEGO

W kampanii, którą rozpoczniemy, będziemy wystawieni na ataki nie tylko ze strony socjalistów rewolucyjnych, ale także ekonomistów, reprezentujących dok-



tryny konserwatywne. Te ataki mogłyby, być może, zaskoczyć niejednego z was i zachwiać jego odwagę. Sądzę więc, że największą usługą, jaką mogę wam oddać, gdyście mnie zaprosili tu do mówienia, będzie zabezpieczyć was przed tymi krytykami, zaznajamiając was z góry z argumentami waszych przeciwników. Posłuchajcie więc.

Jeżeli robotnicy — mówią oni — myślą dojść do własności narzędzi pracy przez spółdzielczość — spółdzielnie spożywców, a nawet spółdzielnie wytwórcze — ścigają w ten sposób chimere.

Niech się zastanowią przede wszystkim, że wartość wszystkich narzędzi pracy, znajdujących się we Francji — grunty, kopalnie, drogi żelazne, fabryki i wszelkie kapitały — nie może być oceniona niżej 150 miliardów i niech pomyślą w ciągu ilu generacji musieliby zgromadzić swoje nędzne oszczędności zanimby zgromadzili tak olbrzymi kapitał<sup>1</sup>.

Niech się zastanowią także, że przemysł przekształca się ciągle w kierunku wielkiej wytwórczości, że praca, aby się stać produkcyjną, zmuszona jest organizować się w postaci kolosalnych przedsięwzięć, wymagających udziału i tysięcy rąk i milionów kapitału. I właśnie w chwili, kiedy ta ewolucja się ujawnia, robotnicy mieliby pretensję rozpocząć walkę z tymi olbrzymami współczesnej produkcji, mając kilka groszy w swych kasach? To jest bajka o glinianym i żelaznym garnczku. Że robotnicy mogą dojść przez spółdzielczość do utworzenia kilku małych warsztatów, to możliwe, ale minęły już czasy tych małych przedsięwzięć: każdy prze-

---

<sup>1</sup> Socjalista Benôit Malon mówi w swym *Podręczniku Ekonomii Społecznej*: „Złudzeniem jest oczekiwać od oszczędności robotniczych wykupienia kapitału”.

chodzący dzień dzwoni podzwonne pewnej ich liczbie. M. in. zrzeszenia robotnicze mogłyby mieć powodzenie w zeszłym stuleciu, dzisiaj są anachronizmami.

Być może, uda się spółdzielniom spożywców zrujnować małych handlarzy, robiąc im konkurencję, ale cóż to za korzyść? Ci drobni sklepikarze, kiedy się ich już zrujnuje, spadną do szeregów proletariatu i rzucając swoje ręce na rynek, obniżą tylko płace.

Jakież są zresztą te wyniki, które nam tak zachwalają? Zaiste niewielkie. Co do stowarzyszeń wytwórczych, zaledwie jakieś sześćdziesiąt z nich utrzymało swój byt —wszystkie w małym przemyśle—podczas gdy nie liczy się już nawet tych, którym się nie udało. Co do spółdzielni spożywców, jeżeli nawet zaoszczędzą robotnikowi do 12%, to i wszystko; inaczej mówiąc, robotnik, który w nich kupuje za franka dziennie, może otrzymać jako zwrot 10 do 12 centymów. Najmniejszy strajk, o ile się uda, może dać znacznie więcej. Weźmy nawet Anglię, którą nam każą ciągle podziwiać, i przyjrzyjmy się bliżej. Wyobrażają sobie, że olśniali nas, mówiąc, że spółdzielnie spożywców liczą milion członków i zgromadziły 250 milionów kapitału; ale z tego wynika, że jeżeli podzielimy drugą liczbę przez pierwszą, dostaniemy po prostu iloraz 250 franków. Tak, 250 franków na głowę, oto cały kapitał, jaki spółdzielczość mogła dać robotnikowi i to w kraju, gdzie osiągnęła największe wyniki. Otóż duża jest we Francji liczba robotników, którzy mogli zaoszczędzić w ciągu swojego życia 250 fr., i to bez zadawania sobie tyle kłopotu.

Czyżby więc nasza spółdzielczość była tylko, jak nam mówią, przynętą, siecią na zające, którą burżuazja stawia na klasę robotniczą?



Poco zastawia? Przede wszystkim dlatego, że byłby to dobry sposób do obniżenia płac. Może się to wydawać ciekawym paradoksem, ale oto jak kolektywiści dowodzą nam tego. Twierdzą oni przede wszystkim, że w obecnym stanie społeczeństwa wysokość płac nie może się podnieść ponad to, co jest niezbędne do wyżywienia klasy robotniczej i jej reprodukcji. Jest to założenie, które oni uważają za absolutnie pewne i które oznaczają grzmącą nazwą *spiżowego prawa*, jakście to już na pewno wielokrotnie słyszeli. Wynika z niego, że jeżeli skutek jakichkolwiek okoliczności koszty utrzymania robotnika zniżą się, równolegle musi się zniżyć również jego płaca. A jaki jest cel spółdzielni spożywców? Po prostu pozwolić robotnikowi lepiej żyć, wydając mniej. Otóż, przypuśćmy, że dają mu one tę korzyść—przedsiębiorca będzie po prostu mniej płacił robotnikowi i po całym trudzie, jaki sobie zadał, i wszystkich ofiarach, jakie poniósł, okaże się, że robotnik ten jest takim samym biedakiem jak przedtem.

Wielcy przedsiębiorcy i wielkie spółki wiedzą dobrze, co robią, kiedy śpieszą otwierać w swoich zakładach i fabrykach sklepy spółdzielcze i budują mieszkania dla robotników. Kiedy im się uda w ten sposób zmniejszyć wydatki swoich robotników na żywność i mieszkanie o 10 do 15%, zmniejszają zarobki o 10 do 15% i sprawa jest załatwiona.

Burżuazja miałaby jeszcze inne powody do zachęcania robotników do zakładania spółdzielni: doprowadziłaby ona w ten sposób do wyjścia z masy proletariackiej pewnej ilości robotników, którzy stawaliby się małymi burżuami. Z chwilą, kiedy ci robotnicy osiągnęliby pewne zyski, można by mieć nadzieję, że staliby się dobrze prowadzącymi, oszczędnymi, nieprzyjaciółmi

strajków i rewolucji, obrońcami porządku i własności, zbiegami, którzy w dniu wielkiej bitwy zmniejszyliby szeregi armii robotniczej i o tę samą liczbę powiększyliby armię burżuazyjną.

Takie jest ich rozumowanie. Nie sądzę, żeby nasi przeciwnicy, jeżeli który z nich jest tutaj obecny, mogli mnie oskarżyć o świadome jego osłabianie.

Nie zaprzeczam bynajmniej istnieniu spiżowego prawa albo raczej, ponieważ jest zbędne używanie tego słowa, jestem skłonny wierzyć, że sposób życia robotnika i rodzaj jego egzystencji mają wielki wpływ na wysokość jego płacy. Naprzykład, gdyby przez jakiś kataklizm robotnicy naszego kraju doszli do takiego stanu degradacji, że nauczyliby się żywić kartoflami i odziewać w starzyznę po bogaczach jak robotnicy irlandzcy, nie można wątpić, że wysokość płac spadłaby znacznie. Zauważcie jednak, że spółdzielczość w praktyce nie doprowadza bynajmniej do obniżenia poziomu życia robotników ani zniżania ich potrzeb. Wręcz przeciwnie, ma ona za skutek podniesienie poziomu życia klasy robotniczej, tego, co Anglicy nazywają *standart of life*; nie zmniejsza ona w niszym jego zdolności spożycia, nie usuwa żadnej z potrzeb, które mogą przyczyniać się do jego dobrobytu, przeciwnie, rozwija ją, ucząc go lepiej żyć. Jest faktem niezaprzeczalnym, że spółdzielczość bardzo rozwinęła komfort wśród robotników angielskich; zwroty od zakupów są najczęściej używane na zakup jakiegoś mebla, często pianina. Argument spiżowego prawa obraca się więc przeciwko tym, którzy go używają, gdyż jeżeli prawo to jest prawdziwe, instytucja jak nasza, której wynikiem jest podniesienie rodzaju życia robotnika, pozwalając mu lepiej żyć i czyniąc z przezorności przyzwyczajenie, pra-



wie konieczność, powinna mieć raczej za skutek podniesienie wysokości zarobku.

Ale ja idę dalej. Jeżeli rzeczywiście prawo śpiżowe istnieje, jak można je wyjaśnić? Dlaczego płaca robotnika nie mogłaby podnieść się ponad minimum niezbędne do życia? Oczywiście, można to wytłumaczyć tylko przypuszczeniem, że robotnik musi znosić warunki, jakie mu są narzucone, że podporządkowany jest jak towar bierny i martwy prawu podaży i popytu. I co prawda aż nadto często rzeczy się odbywają właśnie w ten sposób dla proletariusza, który rozporządza tylko swoimi rękami, który żyje z dnia na dzień i nie mogąc czekać, zdany jest na łaskę prawa fatalizmu. Ale jeżeli ten robotnik ma, jak to mówią, „chleb na desce“, albo, co jeszcze jest lepsze, ma poza sobą sklepy aprowizacyjne potężnego i bogatego stowarzyszenia i pieniądze złożone w kasie tego stowarzyszenia, nie jest on już więcej rzeczą — jest człowiekiem, nie znosi warunków, tylko je ze swej strony narzuca, a co najmniej dyskutuje o nich jako człowiek wolny. W takiej właśnie sytuacji stawiają robotnika spółdzielnie spożywców i kredytowe. A jeżeli ma temperament rewolucyjny, nie straci go, lepiej będąc żywiony, lepiej odziany i lepiej mieszkając. Wręcz przeciwnie.

Jednakże winienem tu zrobić zastrzeżenie. Jeżeli argumentacja krytyków, którą przytoczyłem wyżej, nie jest słuszna, jak myślę, w stosunku do spółdzielni spożywców, które sprzedają po cenach detalicznych i zwracają albo kapitalizują swoje nadwyżki, mogłaby ona mieć większą wartość w zastosowaniu do instytucji znienawidzonych przez robotników — sklepów fabrycznych, których nie należy płatać ze spółdzielniami. Jakkolwiek większość tych instytucji po-

wstała z ducha filantropii, przedstawiają one istotnie niebezpieczeństwo obniżki płac w pieniądzach, a poza tym mają inne niewłaściwości.

Zakłady te na ogół sprzedają na kredyt, z czego wynika, że przedsiębiorstwo dla uniknięcia straty zatrzymuje to, co mu się należy, z zarobków robotniczych w drodze kompensacji. A ponieważ najczęściej suma zakupów równa się sumie zarobków, zdarza się nie rzadko, że w dniu wypłaty robotnik nic prawie nie otrzymuje — sytuacja bardzo przykra, którą dobrze określił ten robotnik z Bessèges, mówiąc do obywatela Fournière: „Pracuję już 25 lat w kopalni i jeszcze ani razu mi się nie zdarzyło, żebym miał w ręku sztukę 20-frankową“.

O ileż byłoby rozsądniej ze strony przedsiębiorców i towarzystw, we własnym interesie jeszcze bardziej niż w interesie robotników, przekształcić te instytucje zgodnie z zasadami spółdzielczymi, mianowicie — administracja pozostawiona robotnikom dla uniknięcia wszelkiego podejrzenia szpiegostwa albo wyzysku, sprzedaż po cenach detalicznych dla zgromadzenia kapitału i nie doprowadzania do rozpaczliwych miejscowych kupców, ale za zwrotami nadwyżek; sprzedaż za gotówkę, żeby nie było potrąceń z płacy. W takich warunkach zniknęłoby wszelkie niebezpieczeństwo znizienia płac<sup>1</sup>.

Przejdźmy do drugiej krytyki. Mówią nam, że jeśli nawet spółdzielczość w praktyce niekoniecznie w skutkach swych obniża płace, tym nie mniej daje ona mierne rezultaty, bez żadnej proporcji do wyników, jakie

---

<sup>1</sup> Niedawno uchwalone prawo zabrania wszelkich sklepów fabrycznych (z wyjątkiem sklepów towarzystw dróg żelaznych pod pewnymi warunkami).



sobie obiecujemy; nigdy nie dojdzie ona do przekształcenia obecnego ustroju gospodarczego ani zniesienia najemnictwa.

Ten argument nie pochodzi specjalnie od socjalistów rewolucyjnych, słyszymy go także z ust ekonomistów. Nawiasem mówiąc, jest to gruby błąd ze strony socjalistów przypuszczać, że ekonomiści i burżuazja już z góry zachwalają spółdzielczość. W rzeczywistości, przeciwnie, najbardziej znani ekonomiści traktują ruch spółdzielczy dość pogardliwie i nie potępiając go otwarcie, sądzą, że nie jest on takiej miary, iżby mógł wprowadzić głęboką zmianę w obecną organizację gospodarki społecznej. Mógłbym cytować nazwiska, ale to jest zbyt ciężkie. Powiem tylko o jednym z nich, ponieważ już zmarł. P. Thiers, którego można by uważać za uosobienie jeżeli nie ekonomii politycznej, której wcale nie lubił, to co najmniej burżuazji, oświadczał, że spółdzielczość nie da nigdy niczego, co by było coś warte, i że im prędzej skończy się z tym szaleństwem tym lepiej. Ta opinia człowieka o nieskończenie zdrowym rozsądku i bystrości przeraziłaby mnie zapewne, gdybym sobie nie przypomniał, że p. Thiers dopuścił się uprzednio innego proroctwa. Z powodu pierwszych kolei żelaznych, które budowano w tym czasie, powiedział on: „Dwie sztaby żelaza położone koło siebie nie zmieniają świata“. Dobrze, zadowolmy się życzeniem, aby drugą przepowiednię spotkał taki los jak pierwszą.

Ale powróćmy do zarzutu. Czyżby wyniki dotychczasowe spółdzielczości były tak mierne? Nie myślę, żeby o rezultatach otrzymanych w Anglii można powiedzieć, że mało co są warte. Sposób, polegający na dzieleniu sumy kapitałów albo zysków przez liczbę zrzeszonych jest dziecinny argument. Przede wszystkim wyni-

ki otrzymane w ten sposób są tylko przeciętną z dodawania stowarzyszeń, którym się udało, do stowarzyszeń, robiących złe interesy, dodawania również spółdzielców gorliwych do innych, których noga nie postoi nigdy w sklepie. A trzeba by poznać wyniki indywidualne. Trzeba by zbadać każde stowarzyszenie, żeby móc powiedzieć, ilu jego członków powinno mu być wdzięczne za pomyślnie zamknięcie swego budżetu <sup>1</sup>.

Co większa, powodzenie spółdzielczości, tak jak szczęście, nie może się wyrażać we frankach i centymach. Od czasu swego istnienia w Anglii dawała ona milionom ludzi, jakgdyby składając u ognisk tysięcy rodzin dary gwiazdkowe, nie tylko był codzienny bardziej wygodny, co nie jest do pogardzenia, ale to, co jest bardziej jeszcze cenne: rozwałę w wydatkach, zbauienną obawę długów i kredytu, bezpieczeństwo jutra, nowe poczucie jakiejś godności i ten złoty promień, który potrafi rozjaśnić najbiedniejszy dom — nadzieję rodzącą się z już dokonanego postępu i pozwalającą spodziewać się dalszego postępu.

Ale na to trzeba poświęcić część zysków, i to możliwie największą część, dla rozwoju stowarzyszenia, bądź to w formie powiększenia jego kapitału, bądź tym bardziej w formie wydatków, poniesionych dla zbiorowego interesu, mogących zacisnąć jeszcze silniej więzy pomiędzy członkami. Jest wyższością stowarzyszeń angielskich, że one właśnie to robią, nie tylko wielu członków pozostawia swoje zwroty w kasie spółdzielni, ale co więcej na mocy swoich statutów spółdzielnie te po-

---

<sup>1</sup> Badania dokonywane w Anglii wykazują, że niektórzy członkowie, najbardziej wierni, pozostawiali w spółdzielni sumy, które mogły sięgać kilku tysięcy franków.



święcącą poważną część swoich zysków na organizowanie bibliotek, czytelni pism, konferencji, koncertów, herbatek, nabywając nawet wille, nieomal pałace z parkami, służące za miejsca spacerowe dla członków i przeznaczone do ich wypoczynku latem. Patrzcie, czym są obok tego nasze spółdzielnie francuskie — członkowie nie utrzymują żadnych ze sobą stosunków i nic więcej nie jest im znane w stowarzyszeniu oprócz szyldu, umieszczonego nad sklepem, do którego idą załatwić swoje zakupy albo raczej — do którego posyłają swoje żony. W tych warunkach spółdzielnia jest tylko sklepikiem, nie jest ona zrzeszeniem duchowym, nie ma wcale duszy<sup>1</sup>.

Mówią nam, że tym niemniej nigdy spółdzielczość nie da możliwości robotnikom wykupić kapitału i wszystkich dóbr produkcji krajowej, których wartość ocenia się z przesadą na 150 miliardów franków. Ależ nigdy kierownicy spółdzielczości nie wysuwali tak śmiesznych pretensji, nie mając do tego żadnej ochoty. Idea wykupu narzędzi produkcji jest w istocie swej ideą kolektywistyczną, a wcale nie spółdzielczą. Niewątpliwie, jeżeli chodzi o ziemię, trzeba, żeby chłopci nabyli ją, jeżeli ją chcą posiadać. Ale inaczej jest z kapitałami — nie ma potrzeby kupować ich, można je zrobić, kiedy się tego chce. Robotnicy spółdzielcy chcą *sami stworzyć* nowe kapitały oraz narzędzia produkcji, których potrzebują, i w ten sposób usunąć pomału obecny sposób produkcji, tak zwany sposób kapitalistyczny. Czyż to jest zbyt daleko idąca pretensja? Że ją za taką mogą mieć ekonomiści i ludzie interesów, to pewna. Ale nigdy

---

<sup>1</sup> Dziś te stosunki zmieniły się na lepsze we Francji (*przyp. tłum.*).

socjaliści. W jaki bowiem sposób istniejące kapitały zostały stworzone? Kolektywiści mówią: z zysków zatrzymywanych z pracy robotników. Dobrze, ale jeżeli przez spółdzielczość robotnicy zatrzymają w przyszłości te zyski dla siebie, dlaczego nie mogliby z nich utworzyć odpowiednich kapitałów?

Mówią nam też, że te wielkie zamiary są chimeryczne, gdyż środowisko, w którym musi się rozwijać nadal współczesny przemysł, to wielka produkcja, a nasze warsztaty czy sklepy spółdzielcze nie będą mogły się dostosować do tych warunków.

Odpowiem na to, że ci, którzy tak biją podzwonne małemu przemysłowi, będą pochowani dużo wcześniej przed nim. Ja wierzę, choć w tym różnię się co prawda od doktryny prawie powszechnie przyjętej nie tylko przez ekonomistów, lecz i przez socjalistów, wierzę w utrzymanie się, może nawet rozwój, małej własności i małego przemysłu. Statystyki okazują się przychylne raczej dla tej tezy aniżeli przeciwnej. Liczba małych handlarzy zwiększa się, a rzemieślników nie zmniejsza. Nie sądzę wcale, że powinniśmy przedstawiać sobie przyszłość w kształtach wielkich koszar, w których będą nagromadzone tak jak dziś pułki robotników. Ten stan rzeczy, który uważa się za ostateczny, zawdzięcza, być może, swoje istnienie faktowi w istocie rzeczy przejściowemu — użyciu maszyny parowej. Niech przyjdzie dzień, kiedy wynaleziona zostanie inna siła motoryczna, bardziej łatwa w użyciu, albo wyobraźcie sobie rzecz niemal już zrealizowaną — nowy sposób przenoszenia i rozdziału obecnej siły motorycznej, będziemy mogli dostrzec nowego robotnika, pracującego bądź to w rodzinie, bądź małymi grupami, a wtedy gru-



py spółdzielcze znajdują się najlepiej dostosowane do nowych warunków <sup>1</sup>.

Weźmy teraz ostatni i największy zarzut: jeżeli nawet spółdzielczość może polepszyć warunki bytu kilku robotników, branych indywidualnie, albo nieznacznej mniejszości robotników, nie zmieni ona warunków masy robotniczej jako klasy.

Tym razem nie będę nawet próbował odpowiadać. Jeżeli waszym ideałem jest świat, w którym wszyscy ludzie, pomieszani między sobą i bez żadnej różnicy, prostacy zarówno jak inteligenci, leniwi i pracowici, źli i dobrzy będą podniesieni każdy przez swoją dźwignię jak gdyby siłą mechaniczną miliona koni parowych — w takim razie nie jesteśmy wam w niczym przydatni. Ale naszemu ideałowi wystarcza świat, w którym dobry los byłby dostępny każdemu człowiekowi dobrej woli, w którym każdy miałby pewność zebrania tego, co zasiał, w którym nikt nie bogaciłby się cudzym kosztem, w którym natomiast wszyscy korzystaliby z tego, co czynią najłepsi.

Otóż twierdzę, że taki świat spółdzielczość pozwala zrealizować, nie zaraz i nie dla wszystkich, ale w małej skali i wewnątrz zrzeszeń, które tworzy, gdyż daje ona wszystkim tym, którzy tego chcą — rozumiem przez to tych, których wola nie ogranicza się do platonicznych życzeń, ale ujawnia się czynami — środek poprawy

---

<sup>1</sup> Dzisiaj możnaby lepiej odpowiedzieć: jeżeli prawdą jest, że robotnicze stowarzyszenie wytwórcze jest ograniczone do małego i średniego przemysłu, to stowarzyszenie spożywców przeciwnie, nadaje się do najbardziej okazałych przedsiębiorstw. Kiedy się widzi Hurtownię Angielską z jej 15 miliardami franków obrotu i 3-miliardową produkcją artykułów wszelkiego rodzaju (frank z 1929 r.), argument beziły spółdzielczości wydaje się bardzo przestarzałym.

swojego losu i równocześnie losu swych towarzyszy zrzeszonych.

Hasłem, które umieszczone jest w nagłówkach naszej spółdzielni w Nîmes, jest winietka wyobrażająca dwie ręce w mocnym uścisku z napisem: *Każdy za wszystkich, wszyscy za jednego*. Otóż, któż najwięcej korzysta z tej maksymy? Najsilniejsi? Napewno nie, bo tym i tak udałoby się zawsze poradzić sobie samym; raczej przeciwnie, najsłabsi, nie ci, którzy się dźwignęli kilka stopni w górę, ale ci, którzy są jeszcze na dole i którzy dla podniesienia się potrzebują się ucześcić bardziej krzepkiej ręki. Spółdzielczość trzeba sobie wyobrazić nie jako dźwignię, która podnosi masy z mechaniczną i nieprzewyciężoną siłą, ale w kształcie drabiny, na którą każdy wchodzi, pomagając sobie rękami i nogami, na której ci, co są u góry, podają rękę tym, którzy są u dołu i która jak drabina, jaką Jakób widział w swym śnie, opiera się na twardej ziemi, a wierzchołkiem sięga nieba.

Czy nie wyobrażacie sobie, o ile wolicie jako środek rewolucję i nawet, dajmy na to, rewolucję zwycięską, że także tylko mniejszość będzie z niej korzystała? Jedyną różnicą jest obawa, żeby to nie była tylko mniejszość zręcznych i intrygantów, która będzie z rewolucji ciągnęła korzyści, a nie mniejszość oddanych sprawie, która własną krwią opłaci zwycięstwo partii.

Nie wystarcza, żeby ludzie oddani spółdzielczości podawali rękę towarzyszom, którym brak wiary, trzeba pomagać nawet tym, którzy są na zewnątrz spółdzielni, obcym i obojętnym. Nie trzeba, żeby spółdzielnia była zarezerwowana tylko dla jednego wyznania, jednej partii albo jednej klasy. Trzeba pozostawić drzwi otwarte dla wszystkich i każdego zapraszać do we-



wnątrz. Stowarzyszenia producentów są z konieczności zamknięte, gdyż liczba robotników, którą może zużytkować jakiekolwiek przedsiębiorstwo, jest ściśle ograniczona, przede wszystkim przez zbyt, o poza tym przez kapitał. Ale spółdzielnie spożywców mogą zawsze pozostać otwarte bez szkody, gdyż liczba ich obrotów wzrasta w stosunku do liczby członków — im więcej ich przybywa, tym lepiej dla wszystkich.

#### § 6. SPÓŁDZIELNIA JAKO ŚRODEK WYCHOWANIA

A teraz chcę powiedzieć coś innego. Gdyby nawet uważać te krytyki za uzasadnione, a odpowiedzi, jakie usiłowałem dać, za niesłuszne, nie wzruszałbym się tym wcale. Stowarzyszenia spółdzielcze mają w swoich oczach charakter pożyteczny, o którym wcale jeszcze nie mówiłem, a który silnie góruje nad całą tą dyskusją. Służą one do wdrożenia klasie robotniczej wiadomości i cnót, bez których nigdy nie uda jej się zająć w ustroju społecznym miejsca, do jakiego aspiruje i do jakiego ma prawo.

Oto ich czynność istotna.

Wydaje mi się, że gdybym należał do partii rewolucyjnych socjalistów, byłbym szczególnie wrażliwy na tę korzystną i pożyteczną właściwość spółdzielczości. Istotnie, przypuszczając nawet, że rewolucja społeczna pozwoli klasie robotniczej zawładnąć niespodzianie narzędziami produkcji, możecie uważać za pewne — i roztropni socjaliści nie żywią pod tym względem iluzji — że rewolucja ta zostanie bezpłodna, gdyż klasa robotnicza nie będzie w stanie z niej wyciągnąć pożytku.

Jakież więc są te warunki powodzenia, których by jej brakło? Widzę dwa istotne:

z jednej strony brak ludzi, będących w stanie kierować przedsiębiorstwami, a jeszcze więcej brak dobrej woli u innych pozwolić sobą przez tych pierwszych kierować;

z drugiej strony brak kapitałów, a zwłaszcza sposobów posługiwania się nimi.

Otóż praktyka spółdzielczości powinna im dać to wszystko.

Powinna przede wszystkim, dostarczając im kapitałów, nauczyć ich co to jest kapitał, dlaczego jest niemożliwe obejść się bez niego i równie niemożliwe zgromadzić go darmo. Nauczy ich kochać go, określając, czym powinien być: narzędziem w służbie pracy. Nie chodzi o to, żeby przyznawać kapitałowi, jak to często robią ekonomiści, jakieś własności magiczne. Wiemy przecież, że kapitał sam w sobie jest bezpłodny i nieruchomy. Wiemy, że tylko praca może w niego przelać swoją siłę i płodność i pod tym kątem widzenia praca najbardziej pierwotna ma w sobie więcej życia i energii niż góry kapitału. To jest wiadome, ale z tego wynika tym niemniej, że kapitał jest niezbędnym narzędziem produkcji i że wobec tego trzeba się nauczyć obchodzenia się z nim, tak jak z każdym innym narzędziem.

Spółdzielczość nauczy robotników zwłaszcza ważności pracy, zarządu i sprzedaży. Pod tym względem są oni tak samo pełni złudzeń jak to się tyczy kapitału: wyobrażają sobie, że praca ręczna jest wszystkim. Zapewne, jest to niezbędny czynnik produkcji; on to waszymi zręcznymi rękami przetwarza bez przerwy materię i tworzy te cuda dobrego smaku, które są zaszczytem i bogactwem przemysłu naszego kraju, a szczególnie tego wielkiego miasta. Ale pod kątem



widzenia zysków daleko mniej zależy na wytwarzaniu produktów co na ich *sprzedaży*. Możecie wytworzyć na waszych warsztatach niezliczone bogactwa, ale po co, jeżeli nie znajdą zbytu? Nie będą to już bogactwa, gdyż będą bez wartości, i produkt waszej pracy będzie równym zeru.

Sztuka dostosowywania produkcji do potrzeb, sztuka odkrywania, a nawet tworzenia potrzeb, jest ważniejsza nawet niż kapitał. Otóż tego was nauczy spółdzielczość. Stworzy ona personel sprzedawców, akwizytorów hurtowych i rachmistrzów, którzy nauczą się zarządzania sprawami handlowymi.

Bez wątpienia, wszyscy stowarzyszeni nie mogą być kierownikami ani nawet członkami zarządu. Ale nawet ci, którzy nie będą należeli do wybranych, nauczą się tego, co nie jest najmniej istotne w edukacji klas robotniczych, nauczą się niezbędności organizacji w każdym przedsiębiorstwie, wyższości gospodarczej pracy umysłowej nad pracą ręczną i jej prawa do wynagrodzenia proporcjonalnego do oddanych usług. Żadne bowiem przedsiębiorstwo nie jest możliwe bez kierownika i bez dyscypliny. Otóż niezbędność powołania przedsiębiorstwa spółdzielczego nauczy jednych sztuki rozkazodawstwa, innych cnoty dyscypliny i posłuszeństwa statutowi. Słuchać! Wiem, że jest to słowo irytujące robotników i mające tę właściwość, że ich uszy nabiegają od niego krwią. Zapewne, posłuszeństwo poniżej człowieka, jeśli mu odbiera jego wolność i zgina go przed cudzą wolą, ale jeżeli posłuszeństwo przepisowi jest aktem naszej własnej woli, jeżeli chodzi o prawo swobodnie uznane, tak, jak to się odbywa w stowarzyszeniu, w tym wypadku podnosi ono człowieka zamiast go poniżać i za-

szczyti tego, który słucha, więcej jeszcze niż tego, który rozkazuje.

A o ileż to jest jeszcze bardziej prawdziwe, jeżeli jedynym źródłem prawa rozkazu jest oddanie się wspólnej sprawie, jak to naogół zdarza się w stowarzyszeniach spółdzielczych, a zapłatą jest często niewdzięczność? Na kongresie paryskim 1876 r. obywatel Finance mówił: „We wszystkich stowarzyszeniach spółdzielczych, a zwłaszcza spożywców, mniejszość ludzi czynnych i oddanych realizuje (chciał powiedzieć — tworzy) wszelkie zyski i jest ona wyzyskiwana przez większość swarliwą i samolubną, która oddawanie jej usług uważa za powinność“.

I nie przypuszczajcie, że jakakolwiek inna forma stowarzyszenia, np. towarzystwa wzajemnej pomocy albo robotnicze związki zawodowe, może zastąpić pod kątem widzenia wychowania stowarzyszenia spółdzielcze. Nie.

Zapewne, robotnicze związki zawodowe mogą oddać klasie robotniczej znakomite usługi i angielskie Trade-Uniony, które są równoważnikiem naszych izb syndykalnych, uczyniły to w sposób doskonały. Tylko przy oparciu się o związki zawodowe będzie mogła idea spółdzielcza zdobyć masy. Związki zawodowe będą więc mogły pracować u boku stowarzyszeń spółdzielczych i przygotowywać je, ale nie będą mogły ich zastąpić. Ich funkcje i cele są w rzeczywistości zgoła odmiennie i pożytecznym będzie zaznaczyć tu ich różnicę.

Przedewszystkiem stowarzyszenie spółdzielcze, czy zajmuje się wytwarzaniem czy tylko spożyciem, po prostu jest *przedsiębiorstwem*, a więc serią związanych operacji, mających charakter przemysłowy lub handlowy i dążących do określonego celu. Związki za-



wodowe nie są przedsiębiorstwami w tym znaczeniu; ustawa z 1884 r. nie pozwala na to zresztą. Nie mogą więc uczyć sztuki kierowania przedsiębiorstwami ani użytkowywania kapitału. Dążą one bez wątpienia do pewnych celów wysokiego znaczenia, takich jak powiększenie płacy, zmniejszenie godzin pracy, ale to są na ogół sprawy, mające charakter sporadyczny. Mają one na celu jedynie obronę najemnika. Nie znają innego środka obrony niż strajk, i wynika stąd, że członkowie tych stowarzyszeń łatwo się odłączają, będąc związani tylko węzłem codziennego interesu. Zbliżają się do siebie w czasach krytycznych, rozpraszają się w okresach powodzenia.

Prócz tego związki zawodowe roztrząsają z przedsiębiorcami interesy sporne, a kto mówi dyskusja, mówi najczęściej spór. Skutkiem tego związki te odgrywają rolę machin wojennych w nie jednej okazji. Jest to rola potrzebna, ponieważ w obecnym ustroju społecznym nie można znieść czegoś w rodzaju stanu wojny i słuszne jest, żeby klasa robotnicza była dobrze uzbrojona do obrony. Nie chcemy jednak wierzyć, żeby stan wojenny trwał wiecznie, zarówno w stosunkach społecznych jak międzynarodowych, i nie możemy dopatrywać się w związkach zawodowych zarówno jak w stałych armiach niczego innego, jak instytucji prowizorycznych.

Inaczej ma się sprawa ze stowarzyszeniami spółdzielczymi. Należą one już do przyszłości, są zwiastunami ustroju pokoju społecznego. Prowadzą swoje interesy bez potrzeby kłócenia się z kimkolwiek. Nie koniecznie składają się one wyłącznie z robotników tego samego zawodu, mogą włączyć do swych szeregów i włączają istotnie — ten kongres jest tego dowodem — repre-

zentantów wszystkich klas społeczeństwa, którzy tam żyją w zgodzie.

Ale oto wielki zarzut przeciwko spółdzielniom: szkoła rewolucyjna, przyjmując za dogmat walkę klas, nie chce instytucji, która przyzwyczajałaby klasy robotnicze do traktowania innych klas społeczeństwa nie jako nieprzyjaciół, lecz pomocników. I dla uniknięcia podobnego zbliżania nie przestaje się mówić robotnikom, że powinni liczyć tylko na siebie samych, i krzyczy się, że wszyscy ci, którzy należą do t. zw. klas kierowniczych, sprzyślegli się na ich zgubę. A ponieważ te twierdzenia mogą oprzeć się na faktach wyzysku, niestety aż nadto częstych, potrafią one z łatwością przekonywać tych, którzy cierpią. Nie czuliby oni takiej nienawiści, gdyby nie wierzyli, że są nienawidzeni.

Zagadnienie społeczne jednak, jak je nazywają, zaprzęta ciągle umysły, jeżeli nie próżniaków, bo ci się nie liczą, to przynajmniej wszystkich tych, którzy szukają i kierują światem. Zwłaszcza w ostatnich latach stworzyło ono całe ustawodawstwo, całą literaturę, cały teatr.

Nie wiercie więc, że jesteście nienawidzeni, wiercie, że jesteście kochani. Powiew szlachetnej sympatii przeszedł nad obecną generacją i jest on dość silny, aby pomimo, iż jest ona pozioma, podnieść ją ku górze. Będzie was popychał jak pomyślny wiatr, jeżeli zechcecie mu się powierzyć. Zawierzcie mu tylko. Cały świat potrzebuje sympatii: jest ona siłą popędową niezbędną do powodzenia każdego przedsięwzięcia ludzkiego; przyjmijcie przyjazne ręce, które ze wszystkich stron wyciągają się tu do was i nie odpychajcie żadnej pod pozorem, że to mogłaby być ręka burżuja. Uścisk dłoni uczciwego człowieka nie przyczynił nigdy nikomu zła.



Niesprawiedliwie sǳicie czas i  rodowisko, w kt rych  yjecie. Powiedziano du o z ego o naszym stuleciu; nie przestaje si  m wi ,  e jest ono panowaniem egoizmu, zacieklej walki interes w, zgniecenia s brych przez silnych — wszystko to jest prawda, a jednak s d ,  e du o mu b dzie wybaczone, nie z racji jego wiedzy i jego cudownych wynalazk w, ale dlatego,  e wi cej ni  kt rykolwiek z jego poprzednik w poczu  on lito   dla cierpienia ludzkiego. Tak wszyscy ci, kt rzy w naszych wsp łczesnych spo ecze stwach cierpi  z powodu s bo ci lub przez niesprawiedliwo  losu: ubogi inwalida, dziecko, kt re z nieuformowanym jeszcze cia em i umys em musi mozoli  w pracy r ce stworzone do zabawy, kobieta, m łoda dziewczyna, ma onka lub matka, kt ra musi porzuca  swoje ognisko dla zamykania si  w warsztacie i jest tam nara ona na najniegodniejsze uwodzenie, i nawet ci nasi pokorni towarzysze naszych prac i trud w, jakimi s  zwierz ta domowe — wszyscy oni doczekali si  w tym wieku praw, kt re je chroni , i serc, kt re je kochaj .

Sko czy em. Pokaza em wam cel bezpo redni i dzisiejszy: wychowanie gospodarcze klasy robotniczej przez stowarzyszenia sp łdzielcze — i cel dalszy: wyzwolenie klasy robotniczej przez transformacj  najemnictwa. Nie wiem, w jakim kraju i w jakim czasie te cele b d  osi gni te, ale mog  stwierdzi , my l : ten kraj b dzie pierwszy w stanie rozwi za  zagadnienia spo eczne, kt ry potrafi osi gn ć najwy szy stopie  rozwoju sp łdzielczo ci.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Konferencja ta spowodowa a krytyczny artyku  p. Paw a Leroy-Beaulien, szczeg lnie ta jej cz  , kt ra dotyczy ewentualnego zniesienia najemnictwa (powiedzia em bowiem: zniesienia, a nie przekszta cenia), w *Economiste Fran ais* z 9 i 22 pa dziernika 1886 r. — artyku , na kt ry odpowiedzia em listem,

wydrukowanym w numerze z 26 października. P. P. Leroy-Beaulieu oświadczył, że „gdyby stowarzyszeniu robotniczemu udało się zniszczyć najemnictwo, okazało by się, że zmniejszyło ono w znacznej mierze wolność indywidualną i cofnęłoby po prostu ludzkość do czegoś w rodzaju poddaństwa... Najemnictwo jest w całym znaczeniu tego wyrazu formą wolnej umowy... Zniesienie go nie wydaje nam się ani możliwe, ani nawet pożądane. Zjawia się tu kwestia wyższego rzędu. Czy istnieją w instytucjach ludzkich rzeczy, które można by uważać za ostateczne i raz na zawsze załatwione? Co do nas, wierzymy, że istnieją pewne punkty stałe, od których ludzkość nie odstąpi“.

Pewnym jest, że jeżeli za najemnictwo uważa się fakt otrzymywania pewnej sumy pieniędzy jako ceny swej pracy, trzeba przyznać, że ten sposób wynagrodzenia nie zniknie nigdy. A w każdym razie nie zmusi go do zniknięcia spółdzielnia spóżywców, ponieważ ona sama dąży do zatrudniania coraz większej liczby robotników najemnych w swoich sklepach, wytwórniach i t. d. Ale co innego, jeżeli za najemnictwo będziemy uważali, jak należy uważać, ustrój pracy pod rozkazami i na rachunek właściciela, „wynajem usług“ jak to nazywa kodeks. Zniesienie najemnictwa będzie więc po prostu podstawieniem demokracji przemysłowej na miejsce właścicieli prywatnych i zniesieniem zysku przez zniesienie wszelkiego pasożytniczego przywłaszczania sobie części produktu pracy. W tym to znaczeniu używa się dziś tej formuły w programie spółdzielczym; było to już zaznaczone w tej konferencji.



## II

### PRZYSZŁOŚĆ SPÓŁDZIELCZOŚCI<sup>1</sup>

§ 1. *Udoskonalenia praktyczne* — § 2. *Zasługi zrzeszania się* —  
§ 3. *Przeszkody* — § 4. *Spółdzielczość czy rewolucja?*

Zawsze były w ruchu spółdzielczym dwa prądy, mógłbym niemal powiedzieć dwa duchy, odpowiadające dwum odwiecznie walczącym ze sobą tendencjom w naturze ludzkiej: jedna raczej pozytywna, poszukująca w spółdzielczości korzyści bezpośrednio osiągalnych, i druga, raczej idealistyczna, szukająca w spółdzielczości nie tyle tego, co ona może nam dać, ile tego, co może nam obiecać. Są one zresztą nierozłączne, idąc razem jak Sancho Pansa i Don Kiszot.

#### § 1. UDOSKONALENIA PRAKTYCZNE

O tych będę mówił niewiele. Zapewne, te korzyści praktyczne spółdzielczości nie są bynajmniej do pogardzenia, ale są one już znane starym spółdzielcom, jak ci, którzy mnie słuchają. Pozwólcie mi jednak przypomnieć je wam w kilku słowach.

<sup>1</sup> Konferencja ta zorganizowana została przez trzy paryskie spółdzielnie spożywców d. 13 maja 1888 r. w sali Borel przy ul. *Rendez-vous*. Obecni na niej byli przedstawiciele wszystkich prawie spółdzielni spożywców Paryża i okolicy; przewodniczył p. Audéoyt, prezes stowarzyszenia w Bevey, przy pomocy p. de Boyve.

Drukowana była w *Revue Socialiste* w lipcu 1888 r. i w odbitce jako broszura propagandowa.

Nie jest to, na przykład, byle jaką korzyścią w czasach, w których dowiadujemy się z dzienników, że trzystu mieszkańców Hyères zatruli się po wypiciu „wina domowego“, a prawie równa liczba mieszkańców w Nîmes zatruli się jedząc pasztet — móc nabyć *uczciwe artykuły spożywcze* w dobrym gatunku i widzieć je na swoim stole bez uzasadnionego uczucia niedowierzania. Kiedy się ma przywilej żyć w epoce, w której dzięki postępowi wiedzy rozwiązano zagadnienie fabrykacji produktów z materiałów, które są niczym mniej niż spożywczymi, w której udało się już fabrykować kawę bez kawy, czekoladę bez kakao, wino bez winogron, masło bez mleka, a mleko — o cudzie — bez krowy ani kozy; kiedy się spotyka przemysłowców, którzy nam pokazują z uczuciem dumy, aż nadto usprawiedliwionej zresztą, apetyczne konfitury z porzeczek, sporządzone z galarety z morskizyny i osłodzone sacharyną — wtedy można doprawdy pomyśleć, że stowarzyszenia spółdzielcze zjawiły się o właściwej porze, w momencie psychologicznym. Wydają się nam one narzędziami zbawienia publicznego dla wszystkich spożywców, a zwłaszcza dla klas robotniczych, które mniej są w stanie bronić się przeciwko bezwstydnyemu fałszerstwu, jakim zresztą mniej są winni dopuszczający się ich kupcy niż ta opłakana organizacja handlowa, ta zaciekła konkurencja, której kupcy są pierwszymi ofiarami i która ich zmusza oszukiwać, byle żyć. Rozwój spółdzielczości spożywców dąży właśnie do zreformowania obyczajów handlowych, radykalnie zmieniając same organizacje.

Nie jest to też korzyścią do pogardzenia przyjąć za regułę i wpoić w obyczaje, jak czynią to, mam nadzieję, wszystkie wasze stowarzyszenia, sprzedawać za



gotówkę i oswobodzić przez to robotnika od zgubnego zwyczaju kupowania na kredyt, zgubnego dla jego kieszeni, gdyż widoczne jest, że kupiec ostatecznie zawsze odbija sobie zaległości każąc płacić drożej za towar i nawet szuka odszkodowania kosztem uczciwych ludzi, którzy płacą za tych, co nigdy nie płacą ze zwyczaju — zgubnego dla swego spokoju, gdyż gromadząc nad swoją głową z tygodnia na tydzień i miesiąca na miesiąc rachunki i długi, zatruwa tymi kłopotami i sprawianą goryczą nawet chleb, który spożywają; zgubnego zwłaszcza dla jego godności i niezależności robotnika, gdyż ten, który dał się raz schwycić tym fatalnym trybom, nie rozporządza już sobą i jest własnością dostawców.

Korzyścią najbardziej znaną i najbardziej namacalną, jeżeli tak można powiedzieć, jest *zmniejszenie wydatków*, jeżeli stowarzyszenie sprzedaje swoje towary po cenie kosztu własnego, albo *zwiększenie dochodu*, jeżeli sprzedaje je po cenach bieżących i rozdziela pomiędzy swych członków osiągnięte w ten sposób zyski. Oba te systemy wydają się równoznaczne, gdyż 10 od sta zwiększonego dochodu albo 10 od sta zmniejszonych wydatków, czyż nie wychodzi na to samo? A jednak tylko drugi sposób, znany pod nazwą systemu roczdelskiego, uświęcony jest przez jednoznaczne doświadczenie stowarzyszeń spółdzielczych wszystkich krajów. Powody wyjaśniające wyższość systemu sprzedaży po cenach bieżących są oczywiste.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Wymieniam je w kilku słowach. Można je znaleźć w naszej książce „Stowarzyszenia żywoców“.

Sprzedaż po cenach bieżących jest bardziej wskazana:

a) ponieważ pozwala stowarzyszeniu lepiej rozwinąć się własnie z racji zysków, które mu pozwala zrealizować i których część ono zatrzymuje;

b) ponieważ daje ona bardziej realną korzyść robotnikowi,

Największą zresztą, być może, korzyścią praktyczną, jaką spółdzielnia spożywców dać może, jest działanie jej jako kasy oszczędności, jeżeli stowarzyszony zgadza się pozostawić w kasie zrzeszenia część zysków, do jakiej jest uprawniony, przekształcając ją w ten sposób w oszczędność dla siebie i w kapitał dla stowarzyszenia. Tu mówią mi wprawdzie, że większość wazszych stowarzyszeń, z wyjątkiem kilku wiernych prawdziwej zasadzie spółdzielczej, nie uprawia tego systemu, a członkowie ich śpieszą podnosić całość dywidendy, która na nich wypada i dywidendy te są zjadane natychmiast po odebraniu. W takim razie stowarzyszenie spożywców posiada zaledwie słabą użyteczność, stara się nawet rozwijać bardzo złe uczucie — miłość dywidendy. Jeżeli przeciwnie, tak jak w stowarzyszeniach angielskich, roczne zyski są pozostawiane przez większość w kasie spółdzielni, stowarzyszenie może osiągnąć rozwój daleko znaczniejszy, a stowarzyszony dokonywa oszczędności, nie domyślając się nawet tego.

Ja wiem, że słowo „oszczędność“ stało się niemiłe dla robotnika. Być może istotnie pchano mu je za wiele do uszów. Nie należę do tych, którzy opowiadają, że oszczędność jest łatwa dla robotnika, że jeżeli nie oszczędza, jest to z jego strony zła wola. To pewne, że jest to rzecz zawsze przykra, często niemożliwa, niekiedy mordercza. Ale dlaczego? Gdyż oszczędność domniemywa zwykle postradanie czegoś, ofiarę; gdyż jest ona zawsze operacją bolesną, ampu-

gdyż dodatkowy dochód, podniesiony w końcu roku w postaci znaczniejszej sumy, stanowi zasób daleko bardziej skuteczny i nadający się do zużytkowania aniżeli codzienne zaoszczędzanie kilku groszy;

c) ponieważ zwalnia zarząd od określania kosztów własnych, które są zawsze niepewne aż do dnia inwentarza.



tacją, jakiej pracownik jest zobowiązany dokonać w stosunku do którejś ze swoich istotnych potrzeb: oszczędzanie na chlebie powszednim to powolna śmierć. Ale pomyślcie, że tutaj chodzi o oszczędność, która nic nie kosztuje, która nie wymaga ze strony pracownika żadnego wyrzeczenia się, która nie zobowiązuje go bynajmniej, aby jadał mniej — przeciwnie, jada lepiej — ani do zmniejszenia swoich wydatków — przeciwnie, im więcej kupuje, tym większej dokonywa oszczędności. Ta operacja chirurgiczna, do której porównywałem oszczędzanie, straciła więc wszelki przykry dla pacjenta charakter. Może popełniliście kiedy nieostrożność i weszliście do gabinetu dentysty, nad którym można czytać ten napis zachęcający: „tu wyrrywają zęby bez bólu“. Otóż na wystawach wszystkich sklepów spółdzielczych powinno się umieszczać napis daleko bardziej prawdomówny: „tutaj oszczędza się bez bólu“.

## § 2. ZALETY ZRZESZENIA SIĘ

Korzyści praktyczne spółdzielczości są więc bardzo realne; powiem nawet, że w dziedzinie ulepszeń społecznych natychmiastowo osiągalnych nie wynaleziono niczego lepszego.

Ale doświadczenie nas uczy, że chcąc, aby spółdzielcy pasjonowali się do idei spółdzielczej, trzeba im w niej pokazać coś więcej niż stronę pozytywną. Ciągłe nam powtarzają, że interes kieruje ludźmi; jest to prawdą w stosunku do jednostek, nie jest prawdą w stosunku do mas. Na chwałę natury ludzkiej trzeba powiedzieć, że przeciwnie, ludy powstają tylko dla idei, które im się wydają wyższe od interesów prak-

tycznych, a serce swoje i wiarę swoją dają tylko tam, gdzie wierzą w ideał.

Czy ideał ten istnieje w stowarzyszeniu spółdzielczym? Tak myślę. Myślę, że trzeba je traktować jako rodzaj organizacji gospodarczej, wyższej ponad obecny ustrój gospodarczy i przeznaczony do zastąpienia go w bliższej czy dalszej przyszłości, do której możemy się zresztą przybliżyć. Gdyby spółdzielczość była tylko środkiem prowadzącym do lepszego życia albo do podniesienia kilku robotników ze szczebla najemnictwa do wysokości przedsiębiorcy, nie stałaby się prawdziwą pasją, czymś w rodzaju religii dla tylu ludzi, niekiedy starych, jak ta nierozłączna trójka: Francesco Vigano z Włoch, Vansittart Neale i Holyoake z Anglii, których widzieliśmy w Lyonie, w Mediolanie, w Tours, jeżdżących tak z kongresu na kongres, zawsze wiernych, stwierdzających swą wiarę w sprawę, której poświęcili życie; innych, bardzo jeszcze młodych, jak Ugo Rabbeno z Włoch, który przybył w roku ubiegłym odwiedzić nasze spółdzielnie paryskie i którego wielu z was bez wątpienia pamięta <sup>1</sup> — młodych rekrutów gotowych zastąpić weteranów.

Gdyby spółdzielczość nie miała innego celu oraz innej przyszłości niż utworzenie kilku udoskonalonych sklepików albo jakiegoś mniej czy bardziej dowcipnego mechanizmu do oszczędzania, wiercie mi, proszę, że nie zrzeszyłaby w jednej wierze i we wspólnej nadziei milionów ludzi wszelkich języków — Anglików, Włochów, Amerykanów, nawet Rosjan, czego świadkiem jest Rosjanin z Charkowa Mikołaj Ballin, który pisał do spółdzielców francuskich, zgromadzonych tej jesieni

---

<sup>1</sup> Zmarł w kwiecie młodości wkrótce potem.



w Tours, w liście, który sam czytałem w środowisku wzruszonym do łez: „Jestem szczęśliwy myśląc, że Francuzi czy Rosjanie, widzimy w spółdzielczości ten sam ideał, tak samo jak jestem szczęśliwy patrząc na gwiazdę, że mój daleki brat patrzy na nią również“. Gwiazda to jest tylko słowo, a nie znak spółdzielczości, ale to jest gwiazda, do której miliony ludzi podnosi oczy, szukając słowa zagadki społecznej, i która, jeśli nawet nie ujawniła jeszcze swojego sekretu, to przynajmniej zesłała z góry do niejednego wzburzonego serca trochę swej pogodnej czystości.

Czy wy jesteście z tych ludzi? Czy widzicie także w spółdzielczości gwiazdę? Zapewniają mnie, że tak nie jest, mówią mi, że nie oczekujecie od niej niczego więcej jak kilku korzyści praktycznych, które wymieniłem dopiero co, i że uważacie za marzycieli i utopistów tych, którzy oczekują od spółdzielczości jakiegoś przekształcenia obecnego porządku rzeczy. Jeżeli to jest prawdą, znajdujecie się w najzupełniejszej zgodzie — więcej was to zdziwi niż wam pochlebi — z przywódcami liberalnej i mieszczańskiej ekonomii politycznej, którzy oświadczają także, że podobne perspektywy są chimeryczne, i sądzą, że ci, którzy im dają przytułek w swych mózgach, są lunatykami.

Otóż chciałbym wam dowieść dzisiaj, że ta perspektywa przekształcenia obecnego ustroju gospodarczego przez zrzeszenie spółdzielcze nie jest tak utopijna jak to się komu podoba mówić. Chciałbym was przekonać, że chodzi tu o przewidywania oparte na metodzie naukowej, które nawet jeżeli nie mają charakteru pewności, do czego zresztą wcale nie pretendują, są jednak co najmniej hipotezą najbardziej racjonalną, jaką nam wolno utworzyć.

Słowo „zrzeszenie“ nie jest nowe. Powtarzane tysiące razy przez wszystkich socjalistów z pierwszej połowy obecnego stulecia, stało się męczące przez swoją banalność i dopiero nauka współczesna przyszła na szczęście pomścić je za zdyskredytowanie, jakiemu podległo, podnosząc tę banalność do rzędu najwyższych prawd naukowych i wykazując, że zrzeszanie się było w rzeczywistości najpowszechniejszym prawem świata, tym, które rządzi zarazem nieskończenie wielkimi i nieskończenie małymi.

Wiadome było, że nasz system słoneczny jest tylko zrzeszeniem światów, nie wiedzano jednak, że wszystkie gwiazdy, które widzimy na obszarze niebios, są związane ze sobą w wiry i mgławice.

Wiedzano dobrze, że wszystko, co możemy widzieć i czego możemy dotykać, są to zrzeszenia drobin, nie wiedzano jednak, że te drobiny są z kolei zrzeszeniami atomów, zgrupowanymi według pewnych praw, które przez różnorodne kombinacje nadają bezwładnej materii różne właściwości i zmieniające się formy. Nie ma na pewno ani jednego pomiędzy wami, któryby nie widział wielokrotnie tak zwanych kryształów; otóż te kryształy są niczym innym jak zrzeszeniem drobinek, tworzącym się dobrowolnie w sprzyjającym środowisku według pewnych praw, które można by nazwać *statutami* tych zrzeszeń i które nadają im formy geometryczne, kolory i ogień zdobiące rubin lub diament.

Wiadome było dobrze, że pomiędzy zwierzętami istnieją pewne formy zrzeszeń jak np. u mrówek lub pszczół, nie wiedzano jednak, że te zrzeszenia zwierzęce były nieskończenie liczne i że właśnie przez te zrzeszenia maluczkich natura spełniała swe największe plany, czego świadkami są stowarzyszenia tych żyjątek,



które nazywają się koralami i które wznoszą powoli z głębi Oceanu Spokojnego rafy, wyspy, archipelagi i całe kontynenty, jakie będą służyły przyszłym pokoleniom wtedy, gdy nasz stary świat stanie się zbyt ciasny do ich pomieszczenia.

Wiedzano dobrze, że ciało ludzkie jest zrzeszeniem organów, mięśni, nerwów, kości, naczyń, serca, płuc, z których każdy ma swoje zadanie do spełnienia albo, używając terminu naukowego, swoją „funkcję” odrębną—ten zajęty dawaniem popędu krwi, tamten filtrowaniem jej, inny ogrzewaniem maszyny, każdy współdziałający — to jest właściwe słowo — dla życia i dobrobytu całości, to jest całego ciała. Ale nie wiadomo, że każdy z tych organów był tylko zrzeszeniem jednostek zbyt małych, aby były widzialne gołym okiem, które nazywamy komórkami, mającymi swoją indywidualność i swoje własne życie, a w całości złączonych we wspólnej pracy. Tak, wy, którzy mnie słuchacie, ja, który do was mówię, i nawet ci, którzy drwią z iluzji spółdzielczych, my wszyscy jesteśmy tylko zrzeszeniami spółdzielczymi, złożonymi z miliardów mikroskopijnych jednostek, zrzeszeniami zrzeszeń. One to dają nam ruch i życie i obejmują zarówno dziedzinę ciała jak dziedzinę ducha, gdyż to, co na mocy prawa psychicznego wiąże w łańcuch myśli i słowa na tej konferencji, co może mi pozwolić wyrazić je, a wam pojąć, jest „zrzeszeniem idei”.

I jest to także prawem bardzo pewnym wiedzy biologicznej, że w każdej z istot żyjących złożoność tych zrzeszeń jest o tyle większa, a solidarność, która łączy wszystkie te części, o tyle ściślejsza, o ile sama istota mieści się na wyższym szczeblu życia. Ustrój zrzeszeniowy rośnie bez przerwy od minerała do robaka zie-

mnego, od robaka ziemnego do człowieka i stopień jego doskonałości staje się dla nas w ten sposób sprawdzianem postępu.

Dlaczegoż by więc to prawo, które bezpodzielnie rządzi naturą, nie rządziło również ludźmi, żyjącymi w społeczeństwach i narodach, i dlaczego by nie uważać za pewne, że w miarę jak ciało społeczne rozwinie się i osiągnie wyższy stan życia, prawo zrzeszania się nabierze również większego znaczenia? Nie tylko węzły łączące wszystkich członków narodu albo nawet całego rodzaju ludzkiego staną się coraz bardziej ściśle, ale zobaczymy jeszcze formujące się w łonie masy coraz liczniejsze grupy, coraz bardziej różnorodne, prawdziwe organy, których zadaniem będzie spełnianie różnych funkcji społecznych.

Widzimy to w rzeczywistości i jest to nawet fenomen tak widoczny, że skacze do oczów. Przede wszystkim węzeł współdziałania powszechnego, który łączy wszystkich ludzi tego samego kraju, a nawet różnych krajów, daje się odczuwać coraz wyraźniej. Chłopiec od kupca korzennego ważący worek kawy i gospodyni gotująca w swoim imbryku, współdziałają, nie zdając sobie z tego sprawy, z Murzynem, który zebrał te ziarenka na brazylijskich plantacjach, i ze sternikiem, który kierował statkiem niosącym je do naszych portów. Tak, wszyscy jesteśmy ze sobą powiązani niewidzialnymi łańcuchami i nie możemy kiwnąć palcem, nie wprowadzając równocześnie w ruch, jak pajaca na nitce, jakiegoś Chińczyka czy Australijczyka na drugim końcu świata. Wszyscy jesteśmy oplątani olbrzymią siecią, którą rzuciła na nas solidarność ludzi między sobą i która pokrywa cały świat.



A w tym powszechnym zrzeszeniu widzimy mnożące się codziennie poszczególne stowarzyszenia nie tylko polityczne albo religijne, ale literackie dla ochrony praw autorów, artystyczne dla organizowania wystaw, jak Salon z Pól Elizejskich, dla udzielenia pomocy ran-  
nym w czasie wojny, dla organizowania wypraw naukowych, dla ćwiczenia się w strzelaniu albo w gimnastyce, dla wspólnych rozrywek — stworzono nawet niedawno stowarzyszenie dla dokonywania sekcji po śmierci — wszędzie widzimy nowe stowarzyszenia. A w dziedzinie gospodarczej ściśle wziętej; czy chodzi o otwarcie sklepu, czy o założenie winnic albo eksploatację kopalni, wszędzie widzimy także tworzące się stowarzyszenia handlowe, przemysłowe lub rolnicze, noszące tak rozpowszechnioną dziś nazwę spółek akcyjnych. Można by powiedzieć, że nie ma dzisiaj ani jednego rodzaju działalności ludzkiej, która by nie była reprezentowana przez jakąś formę zrzeszenia dobrowolnie zawartego.

Naturalne prawo zrzeszania się sprawdza się więc całkowicie przez analogię, dochodzącą do najdrobniejszych szczegółów. Trzeba jednak zaznaczyć jedną różnicę: kiedy atomy tworzące ciało pierwotne lub nieorganizowane są istotami pozbawionymi woli, a funkcja, jaką mają wypełnić, dokonywa się nieświadomie i fatalistycznie, indywidua tworzące różnorodne formy zrzeszeń ludzkich są, a przynajmniej powinny się stać — wręcz przeciwnie — *świadomymi* zadaniami, jakie mają do wypełnienia; funkcja społeczna, która im przypada, dokonana będzie tym lepiej, im wyraźniej będą się one czuły czynnikami i współdziałaczami we wspólnym dziele i im bardziej świadome współdziałanie wniosą do tej pracy.

Otóż ten warunek, trzeba przyznać, jest jeszcze bar-

dzo niedostatecznie obserwowany w naszych współczesnych organizacjach gospodarczych. Liczne stowarzyszenia, o których mówiłem przed chwilą, a zwłaszcza te wielkie spółki akcyjne, które dążą do powolnego wchłonięcia całej dziedziny produkcji, muszą być uważane jako formy jeszcze bardzo niedoskonałe zrzeszenia i kiedy sporej liczbie ekonomistów podoba się widzieć w nich ostateczną formę ewolucji społecznej, my nie moglibyśmy dostrzec, o ile to nas dotyczy, nic więcej niż formę niedoskonałą i przejściową, która nas zbliża bezsprzecznie do normalnej organizacji, ale która jest jeszcze od niej bardzo odległa.

Przypatrzcie się istotnie jednemu z tych stowarzyszeń, np. Towarzystwu kopalń, czy to w Bessèges, czy w Anzin, mniejsza o nazwę. Widzę tam armie ludzi zgromadzonych dla pewnych interesów: z jednej strony kilka tysięcy pracowników ryjących ziemię, z drugiej kilka tysięcy akcjonariuszów, którzy wpłacili swoje kapitały; ale czy można w tym widzieć zrzeszenie we właściwym tego słowa znaczeniu? W żadnym razie. Pracować na czyjś rachunek nie oznacza bynajmniej, by się było jego stowarzyszonym. Nie widzę, przeciwnie, między nimi żadnego powinowactwa naturalnego, tylko antagonizm; kiedy jedni skarżą się na każde podniesienie płac zmniejszające dywidendy, inni skarżą się przy każdym podziale dywidendy, zmniejszającym ich płace; jedni pracują w przedsiębiorstwie, w którym nie zbierają owoców swej pracy, inni zgarniają owoce w przedsiębiorstwie, w którym wcale nie pracują: szczególne stowarzyszenie zaiste, do którego jedni przynoszą tylko swoje portmonetki, a inni swoje urazy, a do którego nikt nie wnosi swojego serca. Czy robotnicy zatrudnieni przez te spółki są przynajmniej między



sobą zrzeszeni, zrzeszeni w dobrej i złej doli, zrzeszeni na starość, na wypadki, na kalectwa? Niekiedy, ale w stopniu niedostatecznym. Czy przynajmniej akcjonariusze są zrzeszeni? Zrzeszeni na papierze, tak, w tym znaczeniu, że wszyscy mają w portfelach papiery tego samego koloru i pokryte tymi samymi rysunkami, które nazywają się akcjami, ale nie ma między nimi żadnej solidarności prawnej, gdyż odpowiedzialność każdego jest ograniczona do wysokości jego wkładu, ani nawet solidarności faktycznej, gdyż nie znają się nawet osobiście. Często nawet nie znają przedsiębiorstwa, w którym są rzekomymi stowarzyszonymi. Pośród akcjonariuszy „de la Vieille Montagne” ogromna większość, jestem pewien, nie wie, o jaką górę chodzi, a pomiędzy 400.000 akcjonariuszy Kompanii Kanału Panamskiego <sup>1</sup> możecie być pewni, że dobra ilość nie umiałaby nawet powiedzieć, czy Panama znajduje się w Azji czy w Ameryce.

Czy to się nazywa być stowarzyszonym? Nie, do prawdy, jest to profanacja tej nazwy.

Nie wystarczy pozornego związku, aby miało się prawo powiedzieć, że jest to solidarność. Drzewo i bluszcz, który je otacza, są także związane, ponieważ oplatają się swymi gałęziami i kojarzą swoje listowie; obejmują się, ale po to, aby się udusić. W spółkach kapitalistycznych możemy tylko widzieć nakładanie na siebie elementów różnorodnych, które nie tylko nie łączą się ze sobą, ale się odpychają. Prawdziwe zrzeszenie, jedyne, które zasługuje na tę nazwę, domniemywa identyczność interesów, wzajemność oddanych usług, chętne i radosne zbieganie się dobrych chęci, uczucie

---

<sup>1</sup> W tym czasie Kompania ta egzystowała jeszcze.

współdziałania we wspólnym dziele, które należy równocześnie do wszystkich i do każdego — oto dokładnie to, co charakteryzuje zrzeszenie spółdzielcze, takie jak wy sami posiadacie w praktyce. Tak, macie ten honor reprezentować w waszej skromnej sferze formę organizacji gospodarczej, która siłą faktów stanie się formą przyszłości, i móc sobie powiedzieć, że wasze małe stowarzyszenia są już obrazem tego, czym stanie się pewnego dnia całe społeczeństwo.

Oto dlaczego wierzymy w przyszłość spółdzielczości. Wierzymy, ponieważ widzimy w niej wyniki prawa naturalnego, potężniejszego niż ludzie, i które działa dobrowolnie pomimo wahań i chwilowych niemocy.

Nie trzeba jednak wyciągać stąd wniosków, że możecie tylko skrzyżowawszy ręce pozwolić, żeby coś stało się samo i że sam rozwój wypadków bez żadnego z waszej strony trudu zapewni triumf idei spółdzielczych. Prawa społeczne nie działają bynajmniej mechanicznie i fatalistycznie, służą one ludziom o tyle, o ile oni umieją się nimi posługiwać. Mogą ich pchać naprzód, pod warunkiem jednak, że i ludzie pchać będą ze swej strony i w jakikolwiek sposób współdziałać z prawami. Jeżeli naród albo klasa, przez obojętność albo ignorację, nie czynią niczego dla osiągnięcia celu, do którego ewolucja ich prowadzi, bądźcie pewni, że nie osiągną go; zawsze zostaną gdzieś w drodze, a inni, bardziej szczęśliwi, przybędą przed nimi.

Nie będę wam mówił o Anglii, wiecie, jakie rozmiary przybrał w tym kraju ruch spółdzielczy: obejmuje on dzisiaj około miliona rodzin <sup>1</sup>, szóstą część ludności

<sup>1</sup> Liczba członków spółdzielni spożywców w Anglii wynosiła w 1935 r. — 7.483.976. Obroty — 220 milionów funtów szterlingów. Obroty Hurtowni — 98 mil. f. szt. Łącznie ze Szkocką Hurtownią posiadała Hurtownia Angielska 227 fabryk z blisko 50.000 robotników (*przyp. tłum.*).



wysp Brytyjskich. Wiecie, że co rok stowarzyszenia te zgromadzają się na kongresach, które są zdarzeniami w życiu publicznym Anglii. Mówiono wam, że te stowarzyszenia posiadają przeszło 200 milionów franków kapitałów, które częściowo przeznaczają na tworzenie zakładów wytwórczych, a częściowo zamierzają obrócić na nabywanie ziemi i ferm, na których te stowarzyszenia produkowałyby same wszystkie produkty spożywcze, zboże, jarzyny, owoce, mięso, drób, mleko, masło, jaja, niezbędne do spożycia ich członkom.

Słyszeliście chyba zapewne o tym wielkim stowarzyszeniu robotników amerykańskich, noszącym dość uroczyście imię „Szlachetnego i świętego zakonu rycerzy pracy“, które jest czymś w rodzaju wolnomularstwa, założonego przez krawca Uriaha Stephensa przed dziewiętnastu laty; liczy ono dzisiaj przeszło 500.000 członków, a oto cel, który sobie wytknęło swoim programem:

„Mieć wartość moralną i gospodarczą raczej niż bogactwo za prawdziwą podstawę wielkości kraju;

„zapewnić pracownikom całkowite używanie bogactw, które produkują... zarówno jak wszelkie korzyści, przyjemności i wczasy, które im może dać stowarzyszenie;

„utworzyć organizacje spółdzielcze, które dzięki wprowadzeniu nowego systemu gospodarczego pozwolą dojść do zniesienia najemnictwa“.

A to, co powiedzieli, nie pozostało czczym słowem, postarali się je zrealizować, utworzyli Biuro Spółdzielcze, zakładają wszędzie, gdzie tylko mogą, spółdzielcze stowarzyszenia wytwórcze i otworzyli niedawno w New-Yorku sklep do sprzedaży własnych produktów. W pracy bardzo niedawnej i bardzo wyczerpującej prof.

Ugo Rabbeno znajduje się tuzin stowarzyszeń wytwórczych, założonych przez Rycerzy Pracy: szewstwo, drukarstwo, rękawicznictwo, gotowe ubrania, fajanse, wyroby gumowe itd. Jest rzeczą godną uwagi, że w odróżnieniu od angielskich stowarzyszeń spółdzielczych, które powstają w sposób od siebie niezależny i do kasy związku wpłacają minimalną tylko składkę, stowarzyszenia spółdzielcze Stanów Zjednoczonych są filiami zakonu Rycerzy Pracy i muszą wpłacać do ogólnej kasy zakonu znaczną część swoich zysków, niekiedy 10% tylko, kiedy indziej jedną trzecią, czasem nawet wszystko, i te zyski są używane do subwencjonowania i zakładania nowych przedsiębiorstw spółdzielczych.

Pismo zakonu „*Knights of labor*“ oświadcza, że fundusze te trzeba doprowadzić do 30 milionów franków i dodaje: „żadnych funduszków na strajki, a wszystko na fundusze spółdzielcze“<sup>1</sup>.

### § 3. P R Z E S Z K O D Y

We Francji, niestety, nie poszliśmy jeszcze tak daleko.

Nie znaczy to, żebyśmy nie mogli się we Francji doliczyć dość poważnej ilości stowarzyszeń spożywców, mniejszej niewątpliwie niż w Anglii, ale tyleż lub więcej, co w innych krajach, nie licząc syndykatów rolni-

---

<sup>1</sup> Ta organizacja Rycerzy Pracy umarła już, a ruch spółdzielczy w klasie robotniczej rozwinął się nieznacznie. Stało się to skutkiem przyczyn gospodarczych, takich jak nieustalone życie robotnika amerykańskiego i jego wysokie zarobki, które mu kazały pogardzać drobnymi oszczędnościami. Ale spółdzielczość rolników dla sprzedaży i przewozu ich płodów rozwinęła się kolosalnie, w Kalifornii dla owoców, w Kanadzie dla zboża itd.

Trzeba zaznaczyć, że polityka spółdzielcza tego zakonu, która polegała na tworzeniu spółdzielni lokalnych dopiero po utworzeniu centralnej spółdzielni, została dzisiaj z powodzeniem wznowiona.



czych, których ilość wzrasta szybko codziennie. Mamy także stowarzyszenia wytwórcze. Nie jesteśmy więc w stanie niższości pod względem ilości, jeżeli chodzi o ścisłość, ale idea spółdzielcza nie pociągnęła bynajmniej masy ludności robotniczej, nie udało jej się nawet zgrupować dokoła siebie wielkiej partii. To, co nadaje życie spółdzielczości — mam na myśli wiarę — nie istnieje: klasa robotnicza nie wierzy już dziś w spółdzielczość, przynajmniej jako w sposób zmiany obecnego systemu społecznego.

Nasz Związek Spółdzielczy, który powstał przed trzema laty, musiał zrzec się otrzymywania od zrzeszonych spółdzielni skromnej składki 15 centymów od członka rocznie, a nawet niższy ją do 5 centymów, nie zaw sze ją otrzymuje.

Skąd ten bezwład? Tłumaczono go w różny sposób: niedostateczność kapitału, zła administracja, brak dyscypliny stowarzyszonych itd. Wszystkie te racje są słuszne bez wątpienia, ale myślę, że nieudanie się ruchu spółdzielczego u nas jest skutkiem pewnych przyczyn natury bardziej ogólnej i bardziej niepokojącej.

Pierwszą z tych przyczyn jest duch niezgody, ten nieszczęsny duch, który, jak się zdaje, jest kalectwem od urodzenia naszej rasy. Nie wiem, jaka zła wróżka rzuciła do kołyski naszego ludu to przeznaczenie, mówiąc mu: wszędzie, gdzie się zbierze dwóch Francuzów, powstaną dwie partie. Nie przesadzam bynajmniej. Niech mi wolno będzie przytoczyć bardzo charakterystyczną anegdotę. Mam sposobność wyjeżdżać dość często do pewnej gminy, która ma przywilej na równi z Paryżem, iż jest jedyną w swoim rodzaju we Francji w tym znaczeniu, że jest ona najmniejszą gminą, kiedy Paryż jest największą: posiada wszystkiego 7 wy-

borców. Jak wiecie, prawo ustala minimalną liczbę 10 członków rady gminnej. Ta szczęśliwa gmina ma przede wszystkim więcej radnych do wybrania niż wyborców. Myślicie na pewno: oto gmina, w której nie powinni się często kłócić w dniu wyborów. Otóż mylicie się: przy ostatnich wyborach gminnych były dwie listy rywalizujące ze sobą... i mało brakowało, aby trzeba było dokonać ściślejszych wyborów.

Pomyślcie sobie może, że jest to cecha bardzo prowincjonalna. Ale w Paryżu nie brak także przyczyn niezgody, być może nie takich samych, ale tyle jest przecie innych.

Uprzedzono mnie np., że wszyscy tutaj nie cierpieć burżujów. „Nie mów im pan o nich wcale“, szeptano mi na ucho. Pozwólcie mi jednak, wręcz przeciwnie, mówić wam o nich. Przyznaję, że w burżuazji są tacy, którzy są nienawistni, tak samo jak między robotnikami zresztą. Jednak gdybyście przesiąkli nieco więcej ideą, którą rozwijam tu przed wami, a mianowicie, że następujące po sobie formy organizacji społecznej określane są przez pewne prawa naturalne, nie mielibyście do nich niechęci, przekonalibyście się bowiem, że wszyscy: właściciele, kapitaliści, przedsiębiorcy są tylko tak samo jak najemnicy produktem pewnego porządku rzeczy, z którego co prawda korzystają, ale za który nie są odpowiedzialni, gdyż nie oni go stworzyli. I może znaleźlibyście coś dobrego, czego moglibyście się dowiedzieć w ich towarzystwie, bodajby sekretu zajęcia pewnego dnia ich miejsca.

Nie wiem, czy robotnicy angielscy albo amerykańscy gustują bardziej w burżuazji niż wy; może być, że nie, ale nie wykluczają ich ze swoich szeregów. Zakon Rycerzy Pracy, o którym tylko co mówiłem, wyłączał



ze swego łona tylko trzy kategorie burżujów, o których, jeśli łaska, nie będę się upominał: polityków, adwokatów i kupców winnych.

I sędzę, że jeżeli można będzie znieść pewnego dnia tę antypatię między burżuazją a robotnikami, może to uczynić jedynie spółdzielczość.

Szedłem kiedyś bulwarem w Nîmes z moim przyjacielem de Boyve; padał deszcz i dwaj zamiatacze ulic zajęci byli popychaniem na jezdni swoimi grabkami kup płynnego błota. Jeden z nich, widząc nas, przerwał swoją robotę i kiwnął p. de Boyve przyjacielsko głową, wołając: „do wieczora“. „Do wieczora? powiedziałem nieco zdziwiony, co on chce przez to powiedzieć? Czy mu pan naznaczył spotkanie w biurze dobroczynności?“ — „Nie, odpowiedział mi, tych dwóch zamiataczy są to nasi spółdzielcy, a dzisiaj mamy wieczorem nasze zgromadzenie miesięczne“. — Wieczorem udałem się na to zgromadzenie. Spotkałem tam rzeczywiście naszych dwóch zamiataczy, a razem z nimi robotników, mieszczan, socjalistów; byli tam nawet, pamiętam to dobrze, jakiś anarchista i jakiś bankier. I wszyscy, zapewniam, obradowali bardzo zgodnie.

Nasze stowarzyszenie w Montpellier, przeciwnie, jest raczej mieszczańskie; mamy jednak robotników, choć nie zamiataczy ulic — jest to zawód zbyt rzadki niestety w Montpellier — ale innych: mularzy, malarzy pokojowych, drukarzy; zapewniam was, że nie dają się przez nas ślepo prowadzić i że my nie dalibyśmy się także przez nich prowadzić, co jest warunkiem trwałej przyjaźni. Zbieramy się także od czasu do czasu wieczorami w naszym sklepie, w którym nie starcza dla wszystkich krzeseł, i kiedy, zapaliwszy gaz i założywszy okiennice, zaczynamy dyskutować, jedni siedząc na

krzesłach, inni na ladzie, niektórzy na workach z kartoflami, ale wszyscy, nawet najbiedniejsi, z poczuciem, że się jest u siebie i w sklepie, którego można się z takim samym prawem jak inni nazwać właścicielem, i w domu, który można nazwać swoim domem — mogą wam powiedzieć, że czułem nie raz owładające nami uczucie usprawiedliwionej dumy na myśl, że w tym pokójku za sklepem nasze małe stowarzyszenie nabierało cech, które robią demokracje uczciwymi, pracowitymi, miłującymi pokój, realizującymi we właściwym tego słowa znaczeniu i lepiej niż kłamliwe hasła, równość praw, wolność zdania, braterstwo oddanych usług. I największe rzeczypospolite mogłyby się uważać za szczęśliwe i dumne, gdyby im były podobne.

Drugą przyczyną, która odwróciła partię robotniczą od idei spółdzielczej, był wpływ idei socjalistycznych, a zwłaszcza kolektywizmu marksowskiego. Socjaliści twierdzili, że wszyscy ci, którzy wejdą do spółdzielni, przekształcą się pomału na zwyczajnych burżujów. Zależy to od punktu widzenia. Przed kilkoma tygodniami sklepikarze i rzeźnicy w Montpellier, przerażeni rozwojem naszego stowarzyszenia spółdzielczego, sprowadzili specjalnie jakiegoś mówcę z Paryża dla zwalczania spółdzielczości na konferencji publicznej. I ten ich adwokat rozwinął tezę, że my, wszyscy spółdzielcy, jesteśmy w rzeczywistości kolektywistami-hipokrytami, że świadomie czy nieświadomie pracujemy na rzecz socjalistów, że pracujemy nad zrujnowaniem własności, wolnego współzawodnictwa, indywidualizmu itd. Trzeba było się porozumieć co do tych sprzecznych epitetów, którymi nas zarzucają. Przyznam się, że miałem zawsze pewne zaufanie do ludzi, których równocześnie kamienują z dwóch stron.



Co prawda, myślę, że to raczej adwokat paryski nie wiedział, co mówił. Nie, spółdzielcy nie są nieświadomymi kolektywistami. Nie, nie pracujemy na zgubę własności indywidualnej i nie widzimy konieczności znoszenia jej ani co do przedmiotów spożycia, ani nawet co do narzędzi produkcji, zwłaszcza, powiedziałbym, co do tych ostatnich. Chcielibyśmy, przeciwnie, móc uczynić robotnika właścicielem swoich narzędzi wytwarzania. Był on nim dawniej, wtedy gdy nie znano innych instrumentów produkcji niż narzędzie rzemieślnicze. Wtedy był on niezależnym, autonomicznym rzemieślnikiem; przestał nim być wtedy, gdy narzędzie produkcji stało się maszyną; odtąd narzędzie to, zbyt kosztowne dla robotnika, stało się własnością kapitalisty i w ten sposób dokonał się fatalny rozwód pomiędzy producentem a narzędziem produkcji. I chcielibyśmy po prostu, żeby rozwód ten przestał być rozwo-dem i żeby robotnik stał się znowu, nie sam tylko, bo to było by już niemożliwe, ale za pośrednictwem zrzeszenia, współwłaścicielem narzędzi produkcji.

Drugą różnicą między nami a kolektywistami jest to, że mamy więcej od nich antypatii do przymusu, do środków nakazu, do których niestety było by niezbędne odwołać się dla zrealizowania zapowiadanego nam ustroju, dla urodzenia społeczeństwa, jak mówi Marx. Bo kto byłby akuszerem? Czy będzie to po prostu komitet rewolucyjny? To nas niepokoi tym więcej, że jeżeli urodziny mają miejsce przed czasem, nazywa się to raczej poronieniem. Kiepski interes. Nie bardzo wierzymy w skuteczność rewolucji ani nawet rewolucji przez prawo dla stworzenia drogą autorytetu nowego porządku społecznego. Widoki na urodziny przy pomocy kleszczy zgola nam się nie uśmiechają, jakkolwiek byłaby rola

przeznaczona dla naszych stowarzyszeń w tej oparacji: rola matki czy dziecka.

Tym nie mniej, z tymi zastrzeżeniami, czujemy się zgodni ze szkołą socjalistyczną, mianowicie co się tyczy wyobcowania wszelkiego pasożytniczego pośrednictwa, co do przyznania nadwartości wyłącznie temu, komu się ta nadwartość istotnie należy, co do zamiany pracy najemnej na pracę w zrzeszeniach. Nic więc nie przeszkadza tym spomiędzy was, którzy należą do partii kolektywistycznej, do wejścia do ruchu spółdzielczego dla dokonania wspólnej z nami drogi, co najmniej w okresie pewnego czasu i z zastrzeżeniem rozłączenia się później, abyśmy poszli jedni na prawo, a inni na lewo. To rozdroże jest jeszcze daleko, dojdziemy do niego dopiero tego dnia, kiedy zjawi się kwestia zniesienia własności prywatnej, a zapewniam was, że nie stanie się to tak szybko. Mamy czas, nawet najmłodszy spośród obecnych tu, dla dokonania kawałka drogi razem.

Socjalizm i spółdzielczość są zresztą braćmi z pochodzenia w tym znaczeniu, że mieli tych samych ojców, Roberta Owena w Anglii, Karola Fouriera we Francji. Rosły one razem i przez długi czas nie rozróżniano ich nawet: ta sama nazwa służyła do oznaczania obu tych ruchów. Pionierzy rocdelscy i robotnicy francuscy z 1848 r. nazywali się na zmianę socjalistami lub spółdzielcami. Można powiedzieć, że szli oni pod rękę do 1879, do Kongresu Marsylskiego, na którym kolektywiści i spółdzielcy po raz pierwszy pokłócili się i poróżnili przez tę nieszczęsną kwestię kolektywnego przywłaszczenia ziemi, kopalń, fabryk, maszyn itd. Stwierdzam jednak z radością, że od pewnego czasu kolektywiści, jak się zdaje, przyznają, iż nieco pośpieszyli się, zry-



wając z ruchem spółdzielczym. Obywatele Benedykt Malon i Cezar de Paepe bardzo lojalnie i wyraźnie stwierdzili to. Pozwólcie mi odczytać kilka wierszy z artykułu, jaki Cezar de Paepe ogłosił przed kilkoma miesiącami w *Avant-Garde* pod tytułem „Spółdzielczość i socjalizm“.

„Zaczyna się rozumieć, że ci dwaj rzekomi bracia-wrogowie: kooperatyzm i socjalizm — nie byli tak nie do pogodzenia, jak myślano, że mogli bardzo dobrze iść razem, wspierając się na sobie wzajemnie... w Niemczech widzieliśmy przed kilkoma tygodniami berlińską *Uolks-Tribüne*, organ oficjalny partii socjalistycznej, w którym współpracują Liebknecht i Bebel, zwracającą uwagę swoich czytelników na sposób, w jaki spółdzielczość była traktowana w łonie partii robotniczej, i kończącą zapytaniem, czy socjaliści mieli rację, zwalczając ruch spółdzielczy oraz czy *nie należało by nawrócić z tej błędnej drogi*. Ten sam pogląd wypowiada *Philadelphia Tageblatt*, socjalistyczny organ w języku niemieckim w Stanach Zjednoczonych.“

#### § 4. SPÓŁDZIELCZOŚĆ CZY REWOLUCJA

Braterski węzeł pomiędzy spółdzielczością a socjalizmem zerwany został pewnego pięknego dnia przed 10 laty, kiedy robotnicy Francji uwierzyli, iż dokonali pewnego odkrycia: dla osiągnięcia wyzwolenia klasy robotniczej; miał to być sposób daleko bardziej szybki i pewny niż spółdzielczość, mianowicie rewolucja społeczna. Lud nie wierzył już więcej w spółdzielczość od dnia, w którym nabrał wiary w rewolucję.

Nie chcę tu dyskutować prawowitości idei rewolucyjnej. Nie chciałbym zaprzeczać, że ten krańcowy sposób może się niekiedy narzucać; w każdym razie złe

bym się wybrał, przypuszczając to właśnie w przededniu przygotowywania się całej Francji do święcenia setnej rocznicy pierwszej ze swych rewolucji. Chciałbym po prostu dowieść wam, że nawet przypuszczając, iż ta rewolucja jest niezbędna, spółdzielczość byłaby najlepszym sposobem i warunkiem wstępnym, pozwalającym na zebranie oczekiwanych od niej owoców.

Przypuśćmy istotnie, jeśli chcecie, że rewolucja społeczna dokona się jutro. Krwawy dzień skończył się powodzeniem, lud zatriumfował na całej linii, burżuazja została zniszczona jako klasa, własność indywidualna zniesiona, ziemia, kopalnie, fabryki, maszyny, sklepy, koleje, banki, wkłady bankowe, wszystko jest w rękach ludu. Widzicie, że daję wam tłusty kąsek. Położyliście się do łóżek burżuazji i złożone sny kołyszą was we śnie... A co dalej? Te folwarki, fabryki, koleje, banki i sklepy — trzeba je puścić w ruch. Trzeba uruchomić cały ten olbrzymi aparat gospodarczy, aparat produkcji, wymiany i rozdziału, który z dnia na dzień podtrzymuje życie gospodarcze kraju i który, gdyby się na jeden dzień zatrzymał, pociągnąłby przez to za sobą śmierć całego ciała społecznego, tak samo jak wstrzymanie obiegu krwi spowodowałoby natychmiast zniszczenie życia. I nie mówcie, że to się stanie pomału, że zarezerwujecie sobie czas, że odbędziecie swoją praktykę. Czy to w dniach zamieszek i na barykadach będziecie odbywali praktykę tych sztuk pokojowych? Nie, nie, wymagania życia społecznego nie dadzą wam ani jednego dnia, ani jednej minuty. Kierowanie życiem gospodarczym i objęcie odpowiedzialności za nie muszą się dokonać natychmiast, w przeciwnym razie społeczeństwo zginie albo raczej nie, nie zginie, ale w spazmie agonii odrzuci nowy porządek rzeczy, który go dławi, i powróci



do dawnego życia. Przypomnijcie sobie, że jakakolwiek partia przyjdzie do władzy, jeżeli nie potrafi ona zapewnić bez przerwy dalszego ciągu życia gospodarczego kraju, zginie. Socjaliści rewolucyjni mogą zwyciężyć w stu bitwach, legiony robotnicze przenosić zwycięski sztandar od kapitału do kapitału; jeżeli nie będą w stanie zastąpić z godziny na godzinę właścicieli, kapitalistów, przedsiębiorców, kupców przez ludzi wyznaczonych spośród siebie, wszystko to nie posłuży do niczego i trzeba będzie zaczynać na nowo. To nie ja mówię w ten sposób, to jeden z ojców anarchizmu, Herzen pisał: „Jeśli nawet proch (nie znał on jeszcze dynamitu) wysadziłby dzisiaj w powietrze stary świat, zobaczylibyśmy go powstającego ze zgliszcz, niestety zawsze burżuazyjny“.<sup>1</sup>

Otóż czy czujecie się w stanie zastąpić tak z dnia na dzień klasę, która wykonywała dotychczas kierownictwo gospodarcze? Jeżeli powiecie — tak, pozwolę sobie myśleć, że talent jest na ogół bardziej skromny. Być może, że w sprawie produkcji i fabrykacji bogactw wiedzielibyście tyle, co i przedsiębiorcy, ponieważ produkuje te bogactwa sami. Ale pomyślcie, że fabrykacja jest dzisiaj drugorzędną stroną przedsiębiorstwa; najważniejszą i jedynie decydującą o powodzeniu albo ruinie jest strona handlowa. Otóż czy posiadacie tę znajomość interesów, administrowania kapitałami, w której wystarczy błędu o kilka centymów w przewidywaniach, ażeby potem otrzymać różnice setek tysięcy franków w wyniku? Tę sztukę tak osobliwą, która wysiła się na szukanie klientów na krańcach świata i stwarzanie ich tam, gdzie jeszcze nie istnieją, na śledzenie

---

<sup>1</sup> Czyż trzeba zaznaczać nieoczekiwane potwierdzenie, jakie 25 lat później Rewolucja rosyjska dała tym przewidywaniom?

kaprysów mody, na odgadywanie, jaka będzie moda jutrzejsza i zażegnawanie tych nieustających zmian uprzednimi zmianami sposobów produkcji, całą tę strategię handlową, równie uczoną jak wojskowa, i która na równi z nią ma swoich oficerów i swoich generałów, a w której wiele narodów, naszych sąsiadów i naszych rywali, stało się mistrzami? A czy klasa robotnicza na-  
zajutrz po rewolucji, jeszcze pijana swoim triumfem, potrafi poddać się dobrowolnie i bez zwłoki dyscyplinie i regularności pracy, która jest niezbędnym warunkiem wszelkiej zbiorowej gospodarki?

I nie mówcie mi, że nauczycie się tego dobrze, ponieważ jesteście równie inteligentni jak burżuje. Sądzę, że nie należę do tych, którzy w kierownictwie przedsiębiorcy dopatrują się nadprzyrodzonych cech, ale jeszcze raz to powtórzę: gdzie i kiedy nauczylibyście się tego? Nie nastąpi to przy pracy w charakterze najemników, tym więcej przez nauczanie darmowe i przymusowe, nawet przez wyższą naukę, której się domagają niektóre programy, jak gdyby przywiązując do tych słów wartość magiczną. Pozwólcie profesorowi, który, jak ja, odbył już nie mało egzaminów w swoim życiu, być dosyć sceptycznym w stosunku do tego, czego można się nauczyć na ławach szkolnych, jeżeli chodzi o wiedzę praktyczną. Jest tylko jeden sposób dla klasy robotniczej wprawić się w obracanie kapitałami, nabrać praktyki handlowej, poznać mechanizm przedsiębiorstw zbiorowych — jest nim nauczyć się prowadzić samemu swoje interesy na swój własny rachunek, to znaczy zorganizować się w stowarzyszenia spółdzielcze. I właśnie te spółdzielcze stowarzyszenia spożywców, kredytu albo produkcji dostarczą klasie robotniczej w chwili potrzeby kadr, jakie jej będą niezbędne.



Wyraziłem już tę opinię przed dwoma laty na Kongresie Lyońskim i byłem szczęśliwy, mogąc ją potwierdzić prawie w tych samych słowach świadectwem, jakie zaledwie przed kilkoma dniami przyszło ze Stanów Zjednoczonych. Jest to broszura, ogłoszona przez sekretarza Biura spółdzielczego Rycerzy Pracy, Johna Samuela. Wymienia on różne przyczyny, które powinny skłonić robotnika, aby się stał spółdzielcą, i kończy następująco:

„Ponieważ jest to jedyna dostrzegalna dla mnie droga, którą pracownicy mogą się podnieść do położenia, jakie mogą i powinni zająć... ponieważ sklep spółdzielczy da im razem z kapitałem znajomość interesów, nauczy ich mechanizmu wielkiej zbiorowej produkcji we wszystkich jej działach, da im środki wykonywania akcji propagandowej przez konferencje, kongresy, ośrodki okręgowe, obdarzając ich potęgą i ucząc ich równocześnie używać tej potęgi dla największej swojej korzyści i dla najszlachetniejszego z zamiarów“.

Ci więc, którzy wam mówią, że istniejący ustrój gospodarczy może być zmieniony jednym zamachem ręki, mylą się albo was w błąd wprowadzają. Kiedy chodzi o rewolucję polityczną, jest to możliwe; trzy dni mogą wystarczyć dla obalenia króla — tron jest rzeczą tak kruchą. Ale jeżeli chodzi o zamianę całego organizmu gospodarczego na nowy organizm, trzeba do tego długiej uprzedniej pracy przygotowawczej na kształt tej wolnej i milczącej pracy, o której wam dopiero co mówiłem i która wyłania z łona Oceanu Spokojnego niewidzialnym i nieprzerwanym naciskiem wyspy koralowe albo która formuje wewnątrz naczyńia tajemniczą architekturę kryształów... pod warunkiem jednakże, że płyn nie zostanie zmacony.

Przypominam sobie przy tej okazji rozmowę, jaką miałem pewnego dnia z jednym z przywódców partii socjalistycznej. Mówił mi o konieczności rewolucji, na co mu powiedziałem: „Pan wierzy w ewolucję (wierzył w nią istotnie), a więc wierzy pan, że społeczeństwo może się przekształcić tylko przez grę praw naturalnych i że te przekształcenia są zawsze powolne i mało odczuwalne. Iluż wieków było potrzeba dla przejścia od niewolnictwa do poddaństwa i od poddaństwa do najemnictwa? Jakże może pan myśleć, że rewolucja społeczna dokona się jednego dnia?”

Odpowiedział mi na to: „Ewolucja nie jest bynajmniej niezgodna z rewolucją i sama natura daje nam tego przykład. Niech się pan przypatrzy pisklęciu w jajku: kształtuje się ono według praw naturalnych, które nakreślają drogi ewolucji każdej istoty żyjącej, ale przychodzi dzień, kiedy aby wyjść z jaja, kurczę musi uderzeniami dzioba rozbić skorupę, która mu służy za więzienie. To jest jego rewolucja. Tak samo klasa robotnicza, w dniu, w którym będzie się chciała wyzwolić ostatecznie i wyjść na światło słoneczne, będzie musiała rozbić siłą tę grubą skorupę przesądów, monopolów, którą czas ją otoczył i którą ją zamyka w prawdziwym więzieniu; to będzie nasza rewolucja i będzie najzupełniej zgodna z prawami naturalnymi.“

To nie była zła odpowiedź. Chciejcie mi pozwolić, żebym wam powiedział, co mu z kolei odrzekłem: „Nie wątpiście pisklę, żeby się wykluć, zmuszone jest do swojej małej rewolucji, jak pan to nazywa, ale stara się rozbić skorupę dopiero tego dnia, w którym już jest uformowane, kiedy ma już pierze, dziób i pazury. To też, ledwie że wyjdzie z jaja, widzimy je, jak dziobie tak jak ojciec i matka. Gdyby rozbiło swoją skorupę



kilka dni wcześniej, umarłoby. Otóż istotą sprawy jest wiedzieć, czy klasa robotnicza jest w tej chwili całkowicie uformowana do tego nowego życia i do tych warunków bytu, jakich się domaga. Uczyni dobrze, nie tłukąc skorupy wcześniej, niż zdobędzie tak samo pierze, dziób i pazury — a tylko spółdzielczość pozwoli im prawidłowo wyrosnąć, dając robotnikom ich narzędzia pracy i ucząc ich posługiwania się nimi. Nie zapominajcie, że klasa mieszczańska, tak zwany trzeci stan, była gotowa do wzięcia kierownictwa gospodarczego społeczeństwem i wykonywała je istotnie od dawna, kiedy zrobiła swój 1789 rok.

Jeżeli staram się wyobrazić sobie organizację przyszłego społeczeństwa, o ile nasza krótkowzroczna nauka może nam pozwolić przewidywać przyszłość, zjawia mi się ona w postaci mnóstwa wszelkiego rodzaju i wszelkich rozmiarów zrzeszeń, jedne olbrzymie, inne małe, do których będą należeli dobrowolnie wszyscy ludzie z wyjątkiem może kilku dzikusów — zrzeszeń, w których pracownicy otrzymają całą wartość wyprodukowanych przez siebie przedmiotów, ponieważ będą posiadali na własność swoje narzędzia pracy; — zrzeszeń, które zniosą pośredników, ponieważ wymieniać będą swoje produkty bezpośrednio pomiędzy sobą; — zrzeszeń, które nie będą kaleczyły jednostki, ponieważ inicjatywa indywidualna pozostanie ukrytą sprężyną, poruszającą każde z nich; chronić one będą, przeciwnie, przez solidarność jednostkę przeciwko wypadkom życiowym; — zrzeszeń wreszcie, które, nie znosząc niezbędnej dla postępu emulacji, złagodzą konkurencję i walkę, usuwając większość przyczyn konfliktów, rzucających dziś ludzi przeciwko sobie.

Istotnie, nie dostrzega się dostatecznie, że wszelka

forma spółdzielczości jest niczym innym jak rozwiązaniem tego pojedynku.

Czymże jest bowiem stowarzyszenie spożywców, jeżeli nie zniesieniem pojedynku pomiędzy sprzedawcą a nabywcą?

Czymże jest stowarzyszenie kredytowe? Zniesieniem pojedynku pomiędzy pożyczającym a tym, który pożyczka.

Czymże jest stowarzyszenie wytwórcze? Zniesieniem pojedynku pomiędzy przedsiębiorcą a najemnikiem.

Oto moje marzenie; chciałbym, żeby stało się również waszym. Zarzucano mi niejednokrotnie, być może i wy zrobicie mi ten zarzut, że wskazuję w spółdzielczości dalekie perspektywy, i powiedziano mi, że zamiast doprowadzać spółdzielców do błąkania się pomiędzy gwiazdami śladem rosyjskiego przyjaciela, Ballina, lepiej bym zrobił, pokazując sposoby robienia dobrych interesów, lepszego jedzenia, a zwłaszcza nie zjadania swoich pieniędzy. W tych krytykach jest trochę prawdy, nie rażą mnie one. Pewne jest, że jeśli się chce iść naprzód, nie wystarczy patrzeć w błękity, ryzykując skręcenie sobie karku. Na kongresie stowarzyszeń spółdzielczych, który się odbył roku ubiegłego w Tours, honorowy przewodniczący, p. Fryderyk Passy, zakończył swoje wymowne przemówienie, zalecając spółdzielcom słuchanie rozsądku i ostrożności: „Nie patrzcie zbyt wysoko, mówię, i wstępując na drabinę, nie podnoście nogi, dopóki druga noga nie będzie umocniona solidnie“. Powiedziałem sobie: oto są rozsądne rady. A jednak, słuchając go przypomniałem sobie historię, jaką mi często opowiadano o chłopcu żeglarskim, który pierwszy raz wdrapywał się na drabinę wielkiego masztu. Stosując się do rady, którą wam przed chwilą przytoczyłem,



patrzył on na swoje nogi i nie odrywał ich od szczebla, dopóki dobrze się nie przyjrzał następnemu szczeblowi, na którym miał nogę postawić. Mimo to poczuł jednak wzmagający się zawrót w głowie i upadek zdawał się nieuchronny. W chwili, kiedy miał już puścić się, kapitan schwycił swoją tubę i zawołał mu: „patrz do góry, nie upadniesz wtedy.“

Oto dlaczego będę mówił zawsze spółdzielcom, ilekroć razy będę miał zaszczyt do nich przemawiać: patrzcie w górę, nie upadniecie wtedy. Jest to niewątpliwą zbrodnią usypiać lud chimerycznymi iluzjami, ale obowiązkiem jest wskazywać cel tym wszystkim, którzy walczą z móżolem i przykrościami drogi i którzy, jeśli nie zobaczą od czasu do czasu szczytu przez ukrywające go chmury, poczuliby zużywające się we wstępowaniu bez końca swoje siły i swoją odwagę.

### III

## PRZEMIANY W USTROJU GOSPODAR- CZYM, DO KTÓRYCH WYKONANIA SPÓŁDZIELCZOŚĆ JEST POWOŁANA <sup>1</sup>

§ 1. *Konieczność wspólnego celu.* — § 2. *Konieczność rewolucji dla spożywców.* — § 3. *Program spółdzielczy.* — § 4. *Robotnicze stowarzyszenia wytwórcze.* — § 5. *Rzeczpospolita spółdzielcza.*

Cztery lata minęły zaledwie od chwili, kiedy pierwszy kongres spółdzielczych stowarzyszeń spożywców we Francji zgromadził się w tym samym mieście, w Paryżu z inicjatywy p. de Boyve i małej grupy oddanych sprawie spółdzielców z Nîmes. Cztery lata to coś znaczy

<sup>1</sup> Mowa ta, w której wyłożony jest program t. zw. Szkoły z Nîmes, wypowiedziana była przy otwarciu Międzynarodowego Kongresu Spółdzielni Spożywców, jaki się odbył w Paryżu dn. 8 września 1889 w *Palais d'Économie Sociale* podczas Wystawy Powszechnej, otwartej dla uczczenia setnej rocznicy Rewolucji Francuskiej.

W kongresie tym, który był pierwszym międzynarodowym kongresem spółdzielczym, wzięli udział główni przedstawiciele ruchu spółdzielczego wszystkich krajów w tym okresie. Anglię reprezentował Vansittart Neale i Holyoake; Włochy — Ugo Rabbeno, Wollemborg i Ponti; Belgię — Vandervelde, Cezar de Paeppe, prof. Hektor Denis, Demblon; Szwajcarię — prof. Wuarin i Racine; Brazylię — Santa Anna Néry.

Jeżeli niektóre ustępy wydadzą się czytelnikowi przestarzałe albo już czytane, niech zechce pamiętać, że jest to mowa sprzed 40 lat.



w życiu człowieka, ale jest niczym w życiu instytucji. A jednak ten krótki przeciąg czasu wystarczył do nadania spółdzielczości we Francji nowego oblicza. Nie tylko ilość stowarzyszeń spółdzielczych powiększyła się znacznie, ale przede wszystkim obudziło się w nich to, co nazwałbym duchem spółdzielczym. Do tej chwili nasze stowarzyszenia żyły życiem odosobnionym, nie znając się wzajemnie, i przez osobliwą niekonsekwencję zdawały się trwać w swoim życiu spółdzielczym w indywidualistycznych praktykach i programie: „każdy dla siebie“. Dziś nie możemy jeszcze powiedzieć, że obyczaje te całkowicie zniknęły spośród nas. Wiemy, że ilość stowarzyszeń spółdzielczych we Francji, które zgodziły się porozumieć i związać ze sobą, jest jeszcze bardzo mała i w tej sali, choć jest ona tak szczelnie zapełniona, reprezentowana jest zaledwie szósta część naszych francuskich stowarzyszeń. Nic to nie szkodzi, te, które tu widzimy, są przynajmniej najbardziej żywe. Są tu między nimi takie, których wiara w ideę spółdzielczą nie załamała się od pierwszego dnia ich istnienia, i jesteśmy szczęśliwi, że widzimy je powracające, zawsze wierne, z kongresu na kongres. Obecność, — to jest nowe — prawie wszystkich spółdzielczych stowarzyszeń spożywców Paryża, które jesteśmy szczęśliwi powitać tutaj, dowodzi nam, że dużo przesądów rozwiało się, dużo małych kłótni uciszyło się i że nasze stowarzyszenia francuskie nabywają z roku na rok coraz jaśniejszej świadomości węzła, który je łączy, swych wspólnych interesów i także wspólnego celu, do którego powołane są dążyć razem. Wreszcie obecność u naszego boku wybitnych spółdzielców, przybyłych ze wszystkich krajów świata dla podniesienia tego kongresu autorytetem swoich nazwisk i blaskiem swojej obecności, do-

wodzi najbardziej ślepym, że spółdzielczość nie zostanie już nadal zamknięta w sklepiku spożywczym jak szczer w serze. Czuje się, że wyrastają jej skrzydła i że drżąca już, a jeszcze niezdecydowana szuka ona na niebie miejsca, do którego się wzniesie.

#### § 1. KONIECZNOŚĆ WSPÓLNEGO CELU

W którą stronę należy skierować ten wzlot? Jaki cel ma on mieć na oku? Jakich przemian gospodarczych należy oczekiwać? Nie wchodząc tutaj w szczegóły praktyki organizacyjnej, które będą bardziej na miejscu w dyskusjach, chciałbym tylko przedstawić wam kilka ogólnych rozważań.

To poszukiwanie celu spółdzielczości jest, być może, bardziej u nas potrzebne niż w jakimkolwiek innym kraju. W Anglii naprz. wszystkie stowarzyszenia spółdzielcze ukształtowały się na wzór Rochdale'u i otrzymały, żeby tak powiedzieć, przy urodzeniu swoją formę i swoje statuty. We Francji, jak mówiłem przed chwilą, stowarzyszenia spółdzielcze wyrastały tu i owdzie odosobnione w przypadku okoliczności lokalnych, a ponieważ zawdzięczają swoje urodziny przyczynom bardzo różnym, wynika stąd, że każde z nich wyrabia sobie inne pojęcie o spółdzielczości i wyznaczyłoby, gdyby je o to pytano, inny cel.

Te np. powstały jedynie dla uniknięcia zdzierstw i ciemństwa ze strony miejscowych kupców. Tamte, w wielkich miastach zwłaszcza, powstały, żeby pozwolić robotnikowi lepiej żyć i spożywać więcej przy tej samej płacy.

Jedne widzą w spółdzielczości maszynę do produkowania dywidend. „Jaka będzie dywidenda w tym roku?” — pytają. — 12%. — „Brawo! doskonała rzecz



ta spółdzielczość. Możecie liczyć na mnie“. — „3%“. — „Dobranoc, wracamy do sklepikarza z rogu“.

Jeszcze inne widzą w spółdzielczości środek do zbudowania instytucji przezorności, stowarzyszeń wzajemnej pomocy, kas oszczędności albo kas emerytalnych, które będą miały tę korzyść, iż nie będą narzucały swym członkom żadnych ofiar.

Niektóre, a nie są to najmniej roztropne, uczyniły ze swoich stowarzyszeń coś w rodzaju klubów robotniczych dla zebrzań rodzinnych, których celem jest dawać pewną rozrywkę albo trochę oświaty w bardzo szarym często bycie pracownika.

Są i takie wreszcie, które na wzór Pionierów Roczelskich szukają w spółdzielczości środka wyzwolenia społecznego, nowego sposobu organizacji przemysłu, a wieczorem po skończonym dniu pracy członkowie ich, zgromadzeni za sklepem swojego stowarzyszenia, paląc sobie fajkę zachwycają się swoim marzeniem.

Nie wypowiadam się na razie co do stopnia ważności tych różnych celów; wystarczy, jeśli stwierdzę, że nie można dążyć do nich wszystkich razem, przeważnie bowiem są one sprzeczne ze sobą. Tak np. oczywiście jest, że jeżeli dąży się po prostu do zmniejszenia wydatków stowarzyszonych, jeżeli szuka się taniości, trzeba sprzedawać towary po cenach kosztu własnego; ale wtedy nie można osiągnąć żadnego zysku ani zgromadzić żadnego kapitału; wskutek tego musielibyśmy się wyrzec budowania czegokolwiek. Jeżeli z drugiej strony dąży się do założenia kasy emerytalnej albo jakiegokolwiek innej instytucji przezorności, jasne jest, że nie można myśleć o użyciu posiadanego funduszu na jakiś inny cel, taki np. jak wydatki na oświatę albo założenie stowarzyszenia wytwórczego.

Powiecie mi może, że nie jest konieczne dokonywać wyboru pomiędzy odmiennymi celami, że wystarczy, aby każde stowarzyszenie szło swoją drogą. Zgoda, jest oczywiste, że tak samo przed naszą dyskusją jak po niej każde stowarzyszenie ma swobodę działania według swojego uznania. Nasze kongresy nie są zgromadzeniami ustawodawczymi, a decyzje ich nie krępują niczyjej wolności. Ale ten imponujący kongres międzynarodowy nie pozostawiłby jednak żadnego śladu po sobie, gdyby nie doprowadził do sformułowania programu wspólnej akcji. Nie przyszliśmy tutaj budować wieży Babel, ale raczej coś w rodzaju wieży Eiffla,<sup>1</sup> której niezwykłą sylwetkę witaliście już razem z jej trzema piętrami, symbolem gmachu społecznego, jaki chcemy zbudować:

na pierwszym piętrze restauracje, kawiarnie, wszystko, co służy do życia materialnego;

na drugim — drukarnia i pisma, wszystko, co służy do życia intelektualnego;

na trzecim — obserwatorium, które nas łączy z niebem, a na samym szczycie latarnia, płomień ideału, który może się czasem zaćmić — ognie latarni są umieszczone w eklipsach — ale zawsze zabłyśnie znowu, byle by tylko kilku wiernych strażników jej pilnowało.

## § 2. NIEZBEDNOŚĆ REWOLUCJI DLA SPOŻYWCÓW

Pewien fakt uderza mnie od razu. Przynosimy tu, jak powiedziałem przed chwilą, różnorodne interesy. Ale czy nie mamy wszyscy razem wspólnego interesu? Tak, robotnicy czy mieszczenie, urzędnicy kolejowi czy pracownicy handlowi, spółdzielcy z Paryża czy z prowincji,

<sup>1</sup> Wieża Eiffel otwarta była z racji wystawy, ale nie służyła jeszcze do telegrafowania bez drutu.



czy nawet z krańców świata, czyż nie mamy wszyscy tego wspólnego charakteru s p o ż y w c ó w? Otóż więcej mi nie potrzeba; ten wspólny charakter wystarcza nam do wskazania drogi, na którą mamy wejść, i pozwala nam nakreślić program, bardzo obszerny program zaiste, jak to zobaczycie, gdyż dąży on ni mniej ni więcej tylko do całkowitego obalenia istniejącego porządku rzeczy — drogą pokojową, to samo się przez się rozumie.

Przed stu laty napisał Sieyès zdanie, będące jak gdyby sygnałem rewolucji, której setną rocznicę święcimy w tym roku: „Czym jest stan trzeci? Niczym. Czym być powinien? Wszystkim.“ Otóż przyszła godzina podjęcia z lekką zmianą tego słynnego słowa, ażeby z niego zrobić program nowej rewolucji, powtarzając z kolei: „Czym jest spożywcza? Niczym. — Czym być powinien? Wszystkim.“

Tak, spożywcza powinien być wszystkim: społeczeństwo powstało dla niego. Wszyscy jesteśmy stworzeni do spożywania, a produkujemy tylko, aby móc spożywać. Spożycie jest celem, jest zakończeniem całego mechanizmu gospodarczego, produkcja jest tylko środkiem. W dobrze uregulowanym porządku rzeczy produkcja powinna być na usługach spożycia z tej samej racji, z jakiej ręce są na usługach żołądka; każde społeczeństwo, w którym ten porządek rzeczy jest przewrócony, zginie.

Otóż w obecnym mechanizmie gospodarczym wytwórca jest wszystkim, spożywcę ma się za nic. Otwórzcie na chybił trafił jedno z klasycznych dzieł ekonomii politycznej, zobaczycie tam największą część tomu poświęconą produkcji, a spożyciu zaledwie kilka stron. Co prawda, nie można z tego wcale robić zarzutu ekonomi-

stom, gdyż są oni zmuszeni mówić o tym, co jest, o tym, co widzą; otóż widzi się, że obecny porządek społeczny jest zorganizowany pod kątem widzenia produkcji, bynajmniej zaś nie w celach spożycia, albo jeśli wolicie, *pod kątem widzenia zysku osobistego, a bynajmniej nie pod kątem widzenia potrzeb społecznych*. Jeżeli istnieją rzeźnicy i piekarze, kupcy win i właściciele obszarów rolnych, to wcale nie dlatego, aby nam dostarczać możliwie najtaniej i w możliwie największych ilościach zboża, chleba, mięsa, wina, co zdawało by się jednak jedyną racją bytu na tym świecie rzeźników, piekarzy, kupców i posiadaczy gruntów—nie, jedynym celem jest tam umożliwienie tym wszystkim ludziom życia i robienia swoich interesików. Jest francuskie powiedzenie, które się często słyszy: wszyscy muszą żyć. Szanowni słuchający mnie goście wyobrażają sobie może, iż mówiąc, że wszyscy muszą żyć, ma się przede wszystkim na myśli spożywców, ponieważ żyć znaczy spożywać.

Bynajmniej, tu chodzi tylko o producentów. Co do spożywcy, funkcją jego na świecie nie jest, ściśle mówiąc, żyć — tym się nikt nie interesuje — tylko pozwalać żyć innym. Z niego to, słabizny, żyje i nim się pasie niezmierzony legion producentów, dostawców i pośredników wszelkich kategorii. A kiedy się buntuje — przypuszczenie chimeryczne zresztą, bo on się nigdy nie buntuje—ale ostatecznie, jeżeli jakiś nierozważny, jak my tutaj, zamierza wziąć w ręce swoje interesy, trzeba widzieć, jak go się wtedy traktuje. Tu nawet przed kilkoma tygodniami kongres związków piekarskich zwrócił się w formalnej uchwale do rządu, aby „trzymał otwarte oczy na działania stowarzyszeń spółdzielczych“. Bardzo dziękujemy, zobowiązujemy się



sami i bez potrzeby zalecania tego w sposób tak pełen wdzięku uwadze rządu trzymać oko otwarte na działania piekarzy. Panowie kupcy winni nie zapomnieli o nas również na swoim kongresie: zachęcają oni rząd — zawsze rząd — aby nam kazał płacić patent, dodając uwagę, „że w dniu, w którym doprowadzimy do zniknięcia wszystkich handlarzy win, rząd będzie musiał znaleźć swoje pieniądze gdzie indziej i że lepiej było by zacząć zaraz“. Dzień, w którym doprowadzimy do zniknięcia wszystkich handlarzy win — co wy na to mówicie? Ależ to będzie piękny dzień. Przyjmujemy przepowiednię i zalecamy rządowi, aby się nie przestraszył tej ewentualności, jeśli chodzi o jego wpływy skarbowe, gdyż w tym wypadku znajdzie on je z łatwością we wzmożonym bogactwie publicznym.

Biedny spożywca. Czy on się aby domyśla, że w tej chwili istnieje na świecie powszechna zniżka cen, która doprowadza do rozpaczny producentów i dziwi ekonomistów? Nie, on tego nie podejrzewa i nie korzysta z tego, płaci w dalszym ciągu tak samo drogo. Tylko co porównywałem go do trzeciego stanu przed rewolucją. Niestety, to porównanie jest zbyt pochlebne dla niego. Raczej do Jakóba pocziwiny<sup>1</sup> trzeba by go porównać, do tego biednego ludu, uginającego się pod podatkami i pańszczyzną, na łasce wszystkich i pełnego rezygnacji. Dla Jakóba pocziwiny był rok 1789-y, ale kiedy on przyjdzie dla spożywcy?

Ale oto co jest, być może, jeszcze ważniejsze. Ten sam stan rzeczy, który wytwarza stały antagonizm pomiędzy producentem a spożywcą, stwarza również trwały antagonizm pomiędzy samymi producentami.

---

<sup>1</sup> Jakób pocziwina — Jacques Bonhomme — stare określenie francuskie chłopca.

Zdawało by się, że zdarta ze spożywców skóra mogłaby im pozwolić szeroko żyć wszystkim. Ale nie: sprawiedliwym obrotem rzeczy zdarza się, że producenci, zjadłszy spożywców, zmuszeni są zacząć zjadać się wzajemnie. Każdy z nich produkując oddzielnie i na swój własny rachunek, każdy starając się coś uciuć i mówiąc: „po mnie choćby potop“, każdy zajęty jedynie zabiciem swojego konkurenta i zajęciem jego miejsca na rynku świata, doprowadza do tego, że produkcja nabiera nieporządnego, przerywanego chodu: nie produkuje dostatecznie dla zaspokojenia potrzeb, to znowu częściej jeszcze produkuje zbyt wiele; idzie skokami jak nie-szczęśnicy, dotknięci okropną chorobą, nazywaną ataksją ruchów, dla której uleczenia lekarze znaleźli ciekawe lekarstwo: powieszenie. Stąd całe to zło, bo to są prawdziwe choroby dobrze znane ekonomistom i często przez nich studiowane pod nazwami kryzysów, zniżek cen, nadprodukcji, bezrobocia.

Mamy tu wszyscy pełne głowy cudów tej wystawy, a w szczególności tej galerii maszyn, która jest najwspanialszą świątynią, jaką kiedykolwiek ludzkość wzniosła na swoją cześć. Otóż, przebiegając ją, nie można się obronić uczuciom smutku i zniechęcenia, dobrze zresztą znanym tym, którzy kiedykolwiek rozmyślali nad tymi sprawami, że to niesłychane rozwinięcie potęgi produkcyjnej daje w sumie więcej zadowolenia próżności człowieka, niż jego rzeczywistym potrzebom. Wydaje się, że przemysł ludzki, tak dziś potężnie uzbrojony, po obłaskawieniu wszystkich sił natury kształtujący dowolnie materię, nie powinien mieć trudności z zapewnieniem każdemu człowiekowi przynajmniej tego, co mu jest niezbędne, a nawet dużej części tych wszystkich skarbów, którymi oślepia nasze



oczy. Tak jednak nie jest. Tłum, który codziennie ciśnie się dokoła tych kolosalnych maszyn, ujawnia więcej podziwu aniżeli wdzięczności. I ma rację: co w rzeczywistości zrobiły one dla szerokich mas? Czy dostarczyły im większego dobrobytu, czy ułatwiły im życie? To jeszcze jest kwestia. Czy dostarczyłyby pracownikowi przynajmniej tego dobra, które zdawało się leżeć w ich naturze,—trochę więcej wypoczynku i wolnego czasu? Znakomity ekonomista, Stuart Mill, oświadczył, że nie dały ani chwili więcej wczasów. Myli się on jednak; dają mu one te wczasy aż nadto często niestety i w odstępach aż nadto zbliżonych do siebie, ale w tej ironicznej i okrutnej formie, która się nazywa bezrobociem. A co do kapitalistów i producentów, czy wiecie, jakim okiem patrzą oni na te cudowne maszyny? Wydają im się one jak gdyby machinami wojennymi, na wzór wystawionych niedaleko stamtąd machin Ministerstwa Wojny; są one nimi istotnie — straszliwe w swojej potędze produkcyjnej narzędzia wojny między fabrykantem a fabrykantem, między jednym a drugim ludem. Maszyna, która wyrabia na minutę setki artykułów, sprawi nie mniejsze zniszczenie na rynku gospodarczym niż kartaczownica Gattlinga albo Maxima, które co minutę rzygają na pole bitwy setkami pocisków. Bo nie jest to zabawą mieć do czynienia ze strasznymi aparatami współczesnego przemysłu: jeżeli robotnik zostawia czasem w ich trybach swoją rękę lub nogę, fabrykant zostawia w nich swoją fortunę. Producenci, patrząc na nie, zapytują z trwogą, jakim sposobem będą mogli zapewnić wystarczający zbyt takim czynnikom produkcji, które znacznie przekraczają zdolności spożycia. Mówią oni sobie, że takie aparaty, kosztujące miliony, nie mogą się zatrzymać, nie dopro-

wadzając ich tym do ruiny, że trzeba je puszczać za wszelką cenę pod groźbą upadłości i że co godzinę trzeba im rzucać na pastwę węgiel i surowiec. Wszystkie te potwory domagają się chleba powszedniego i jeżeli pewnego pięknego dnia nie będą sobie mogły nic położyć na swój ząb brązowy czy stalowy, będą gotowe odwrócić się i pożreć swoich właścicieli.

Oto wierny obraz obecnego stanu rzeczy: niezmierna potęga produkcji, która nie będąc postawiona na swoim właściwym miejscu, to jest w wyłącznej służbie spożycia, pracuje w sposób nieuporządkowany, przy czym przez straszliwą przeciwstawność potęga produkcji zatrzymuje ostatecznie samą produkcję. Wziąłem przykład z produkcji przemysłowej, ale mógłbym go znaleźć w każdej innej dziedzinie, także w dziedzinie handlu. Słyszeliście o niedawnym strajku robotników w dokach londyńskich. Ponieważ okręty nie mogły wyładować swoich towarów, trzeba było w tych dniach wyrzucić do wody 80.000 baranów, 16.000 ćwierci wołowych, cały ładunek jarzyn, owoców, nawet królików. I w ten sposób, podczas gdy Tamiza zatruta jest przez góry rozkładających się artykułów żywnościowych, na wybrzeżu sto tysięcy ludzi walczy i cierpi o otrzymanie prawa nieumierania z głodu.

Ostatecznie producenci, którzy zawsze byli znacznie inteligentniejsi i przezorniejsi niż spożywcy, mają tak silne wyczucie niebezpieczeństw, które im grożą w tej anarchicznej sytuacji, że szukali i umieli znaleźć lekarstwo. Są w trakcie zakładania we wszystkich krajach świata wielkich stowarzyszeń dobrze znanych pod różnymi nazwami: *syndykatów* przemysłowych we Francji, *trustów* w Anglii i Stanach Zjednoczonych, *karteli* w Niemczech i Austrii, które mają na celu regu-



lowanie produkcji przez uprzednie umowy pomiędzy producentami takich samych towarów: zobowiązują się oni fabrykować albo dostarczać tylko ilości określone z góry, ażeby utrzymać albo podnieść ceny na rynku. Kto nie słyszał o syndykacie miedzianym albo cukrowym? Ale jest ich dużo innych również i ekonomiści zgadzają się, że w zмовach tych trzeba widzieć charakter bynajmniej nie przypadkowy, ale stałą w przyszłości formę produkcji. Zapewne, nie wszystko należy krytykować w tej nowej instytucji; w każdym razie trzeba przyznać, że jest ona bardzo dobrze pomyślana dla zabezpieczenia interesów producentów, ale co stanie się z nami, biednymi spożywczymi? W zjadłej konkurencji, jaką po dziś dzień uprawiali pomiędzy sobą producenci, spożywcy znajdowali bodaj by jakąś szansę przejścia przez oka sieci, jak się to mówi, ale od dnia, w którym producenci się porozumieli i w którym spożywcza znajdzie się w obliczu tych straszliwych zмów kapitalistycznych, wyposażonych w faktyczny monopol, będzie miał ręce i nogi związane i nie będzie mógł nawet próbować bronić się. Jeżeli już w ustroju współzawodnictwa jest on ofiarą, cóż z nim będzie w ustroju monopolistycznym?

Cóż zatem czynić?

Lekarstwo narzuca się samo. Przeciwno tym olbrzymim stowarzyszeniom producentów, które ze wszystkich stron zjawiają się i które dążą do tego, by stać się normalną formą organizacji gospodarczej, jedną rzecz tylko można uczynić, a mianowicie przeciwstawić im zrzeszenia spożywców, bardziej jeszcze potężne i zdecydowane do obrony, przeciwstawiając naciskowi monopolów powszechne i stałe interesy społeczeństwa. Te zrzeszenia spożywców — znacie je przecież i prak-

tykujecie — nazywają się one spółdzielniami spożywców; wystarczy dać im tylko rozmiary proporcjonalne do wagi celu, jaki się chce osiągnąć, żeby były zdolne spełnić wysoką funkcję, o której dopiero co mówiłem. Nasze stowarzyszenia odpowiadają jednej z najbardziej pilnych potrzeb naszego czasu; gdyby nie istniały, trzeba by je wynaleźć. Ale po co mówić o wynajdowaniu? Słowo to nie ma tu sensu i było by absurdem widzieć tu wynalazek angielski czy francuski; to, co trzeba widzieć, jest produktem dobrowolnej ewolucji, czymś w rodzaju ciśnienia zjawiającego się pewnego dnia i w momencie obranym przez naturę, ciśnienia podobnego temu, które doprowadza mleko do piersi matki natychmiast, kiedy małe krzyczy i kiedy jest głodne.

### § 3. PROGRAM SPÓŁDZIELCZY

W ewolucji społecznej natura nie obchodzi się bez naszego udziału i trzeba jej dopomóc, jeżeli chcemy, żeby ona nam dopomogła. Można się łatwo domyślić, że nie przez odosobnienie, rozproszone i anarchiczne, będą mogły nasze małe stowarzyszenia spółdzielcze wystarczyć do wielkiego dzieła obrony społecznej i do skutecznej walki z wielkimi stowarzyszeniami kapitalistycznymi. Trzeba sporządzić plan kampanii albo raczej nie ma po co go sporządzać, gdy jest już całkiem gotowy. Przewiduje on trzy następujące po sobie etapy:

- 1) Zgrupować między sobą stowarzyszenia, odciągnąć z ich zysków możliwie największą część dla założenia wielkich hurtowni i dokonywać zakupów na wielką skalę — oto pierwszy etap.

- 2) Kapitałem, w ten sposób zgromadzonym rozpo-  
ścić wielką pracę, produkując bezpośrednio wszystko,



co jest niezbędne do zaspokojenia potrzeb stowarzyszonych, tworząc piekarnie, młyny, fabryki sukna i gotowych ubrań, fabryki obuwia, kapeluszy, mydła, ciastkarnie, papiernie — oto drugi etap.

3) Wreszcie w przyszłości mniej czy bardziej odległej nabywać dobra ziemskie i folwarki i produkować na tych ziemiach zboże, wino, oliwę, mięso, masło, drób, jaja, jarzyny, owoce, kwiaty, drzewo, które są podstawą spożycia — oto trzeci etap.

Żeby się streścić w trzech słowach: w pierwszym zwyczajnym etapie dokonać podboju gospodarki *handlowej*; w drugim — gospodarki *przemysłowej*, w trzecim wreszcie — gospodarki *rolnej* — taki powinien być program spółdzielczości każdego kraju. Jest on heroicznej prostoty i mam przekonanie, że tego czy innego dnia na przekór nawet naszej słabości i naszym wątpliwościom, zostanie zrealizowany. W Anglii zresztą dziś już można powiedzieć, że spółdzielnie posunęły tę kampanię daleko naprzód i przebyły już nie jeden z etapów, o których mówiłem. W dziedzinie handlowej, hurtownie Manchesteru i Glasgowa w Szkocji są przedsiębiorstwami, które można porównać wobec ich olbrzymich rozmiarów i obrotów chyba tylko z naszymi magazynami *Bon Marché* albo *Louvre*. W dziedzinie przemysłu fabrycznego spółdzielnie są mniej posunięte, jednak produkują już własnymi środkami towary wartości 50 milionów franków i zaczynają już nawet spełniać tę wysoką funkcję społeczną, o której dopiero co tu mówiłem, i przeciwstawiać się zmiowom producentów. Niedawno próbowano utworzyć w Anglii syndykat dla podniesienia ceny mąki, ale dzięki spółdzielniom, które nie tylko odmówiły należenia do tej zmowy, ale wzmogły do ostatecznych

granic produkcję własnych młynów, próba zawiodła. Wreszcie nawet w dziedzinie produkcji rolnej zaczynają angielskie spółdzielnie spożywców stawiać pierwsze, chociaż nieśmiałe, kroki; rozpoczęły już prowadzić na własny rachunek gospodarkę na kilku folwarkach, a nawet w koloniach<sup>1</sup>. Zamierzają one — taka była formalna uchwała jednego z ostatnich kongresów — zaangażować w tym kierunku liczne kapitały, jakimi dysponują. Nabycie ziemi jest trudniejsze w Anglii niż we Francji wskutek ustawodawstwa spadkowego w tym kraju. Innym krajom, przeciwnie, — zdaje się, że tak jest w Danii — będzie łatwiej rozpocząć produkcję rolną przed przystąpieniem do produkcji przemysłowej.

Wiem dobrze, że może się to wydawać szczególnie utopijnym, a nawet nieprzyzwoitym przypuszczać, że kilka spółdzielni może w ten sposób dokonać etap po etapie podboju wszystkich sił produkcyjnych danego kraju. Ale ten sceptycyzm jest po prostu wynikiem niedostatecznego zdawania sobie sprawy z potęgi, do jakiej mogą dojść zjednoczeni spożywcy; potęga ta jest nie do pokonania, zwłaszcza jeżeli przypuści się, jak to uczynić należy, że te stowarzyszenia spożywców rekrutują się nie tylko w klasach robotniczych, ale w całym narodzie, obejmując wobec tego klasy bogate. Przypuśćmy — jest to hipoteza, którą wysuwam tylko dla lepszego zilustrowania mojej myśli — że wszyscy mieszkańcy Francji wstępują pewnego dnia do spółdzielni spożywców i zaopatrują się tam we wszystko, co będzie niezbędne dla ich potrzeb. Jakie będą w tym wypadku

---

<sup>1</sup> Gospodarka rolna okazała się jednak najsłabszą częścią działalności spółdzielczości spożywców w Anglii. (*Przyp. tłumacza*)



obroty tych stowarzyszeń? Oczywiście równe sumie całkowitego spożycia Francji, a ta suma jest mniej więcej równa sumie całej produkcji. Otóż w dniu, w którym spółdzielnie będą w stanie zakupywać roczną produkcję Francji, oczywistym jest, że byłyby one absolutnym władcą nie tylko handlu, to się samo przez się rozumie, ale wszystkich przemysłów produkcyjnych i że miałyby do wyboru albo je wykupić, albo usunąć, a co najmniej opanować.

A jakie byłyby wyniki rewolucji gospodarczej? Byłyby tak znaczne — choćby nawet przypuścić, że dokona się ona częściowo — że nie rozumiem zgoła obojętności, może udawanej, z jaką ekonomiści i socjaliści mówią o stowarzyszeniach spółdzielczych jako o instytucjach, które w skutkach swych nie są powołane do przekroczenia dosyć ograniczonego koła. Ależ to jest zamykanie oczu na jedną z największych przemian gospodarczych naszych czasów!

Przez nią przede wszystkim obecna organizacja gospodarcza, zamiast być regulowana tak jak dziś pod kątem widzenia producenta i zysku indywidualnego, będzie prowadzona dla spożywcy i interesów społecznych. Piramida, postawiona dziś na wierzchołku, co daje równowagę niestałą, będzie odwrócona i ustawiona na swojej podstawie, co nada jej stałość. Produkcja zamiast być władczynią rynku stanie się znowu tym, czym nigdy nie powinna była przestawać być: służącą, pilnie wykonywującą rozkazy spożycia; można by powiedzieć językiem bardziej naukowym: stanie się znowu prostą funkcją, znajdującą odtąd swoją rację bytu i swój cel nie w sobie samej, ale w potrzebach, do których zaspokajania jest powołana.

W ten sposób produkując odtąd tylko na obstatunek, a dostarczając tylko, czego od niej zażądata, wytwarzać będzie ani za dużo ani za mało z wyjątkiem omyłek, właściwych wszystkim przewidywaniom ludzkim. W wyniku tego będzie się musiało dojść w całkowitym ustroju spółdzielczym do zapobieżenia wszelkim zatorom nadprodukcji, kryzysom, bezrobociu i tym gwałtownym przerwom pracy, które łamią ręce pracownikowi, przenosząc go kolejno z gorączkowego przepracowania do okresu demoralizującej beczynności.

Przez to cała ta niezliczona ilość pośredników oraz małych i dużych dostawców, ten legion pasożytów, zostaną usunięte, kółka zredukowane do minimum, a skuteczna wydajność podniesiona do maximum.

Przez to, dalej, ta straszliwa kwestia konkurencji międzynarodowej, która podsycą nienawiść między ludami, zostanie rozwiązana w sposób najbardziej prosty przez porozumienie pomiędzy stowarzyszeniami spółdzielczymi spożywców różnych krajów, traktującymi bezpośrednio pomiędzy sobą o wszelkie produkty, których potrzebują i które uważają za bardziej korzystne nabywać u obcych aniżeli produkować samemu. A dlaczegoż, jeżeli widzimy syndykaty producentów porozumiewające się z kraju do kraju i stające się międzynarodowymi dla podniesienia cen towarów, dlaczegoż by stowarzyszenia spożywców nie miały stać się międzynarodowymi również i nie porozumiały się między sobą dla obniżenia ich?

Przez to wreszcie — i to jest punkt kapitalny — urzeczywistni się wielki postęp moralny. Doprowadzając do zniknięcia antagonizmu pomiędzy producentem a spożywcą i konkurencji pomiędzy producentami,



zniosło by się tym samym wszystkie konsekwencje tych antagonizmów: fałszowanie towarów, kłamstwa handlowe, reklamy równie kosztowne jak dziwaczne, bezwstydną spekulację, wojnę na noże i owo „biada zwyciężonym“, które stało się dzisiaj jedynym prawem gospodarczym. Położy się siłą rzeczy kres temu wiekui stemu zatargowi pomiędzy sprzedającym a kupującym, właścicielem domu a lokatorem, wierzycielem a dłużnikiem w dniu, w którym w wyniku rozpowszechnionej spółdzielczości my, spożywcy, będziemy swoimi własnymi kupcami, własnymi bankierami, własnymi przedsiębiorcami. Spożywcy zgromadzeni w stowarzyszeniach nie mogą mieć interesów wrogich między sobą. Mają oni tylko jeden interes, wspólny dla wszystkich: dostarczyć sobie w możliwie największej obfitości wszelkich dóbr możliwie najniższym kosztem. I te interesy spożywców, zauważcie to sobie, zlewają się absolutnie z interesami powszechnymi, stałymi narodu wziętego w swojej całości, z interesami całej ludzkości. Przez to w sposób nieunikniony stanie się spółdzielczość szkołą pokoju, solidarności i harmonii, nie przez magię jakiejś głośno brzmiącej formuły, tylko przez ustalenie identyczności interesów prywatnych i interesu ogólnego.

Ale wynikiem największym i być może najbardziej nieprzewidzianym, wynikiem w każdym razie, który może najbardziej bezpośrednio zainteresować klasę robotniczą, jest to, że ideał, do którego spółdzielczość dąży, który formułuje we wszystkich manifestach swoich kongresów robotniczych i który szkoły socjalistyczne obiecują jej bez wielkiego, jak się zdaje, powodzenia od dawna — mówię o wzięciu we władanie wszystkich narzędzi produkcji — zrealizowany będzie po-

średnio. Istotnie, jeżeli przypuścimy, jak to czynię, że stowarzyszenia spółdzielcze rozszerzą się na cały kraj, produkując na własny rachunek wszystko, co spożywają, stając się nawet właścicielem całości czy większej części urządzeń handlowych, przemysłowych, rolniczych kraju — wtedy ktoś będzie prawdziwym właścicielem, jeżeli nie klasy robotnicze, stanowiące ogromną większość ludności całego kraju i będące już dziś faktycznie znaczną większością wśród członków stowarzyszeń spółdzielczych? Jakkolwiek nieprawdopodobne wydałyby się nam takie wyniki, nie powinny one nas dziwić; byłby to nieunikniony wynik tej przemiany społecznej, do której spółdzielczość powinna nas doprowadzić i której zadziwiające konsekwencje rozwijam, uprzedzając wypadki, przed waszymi oczami. Dopóki ustrój gospodarczy zorganizowany jest, jak dzisiaj, na korzyść produkcji, kapitał tworzy prawo, a robotnik jest i może być tylko instrumentem wartości koniecznych końców drugorzędnej; w dniu jednak, w którym zapanuje przypuszczalnie ustrój gospodarczy, zorganizowany pod kątem widzenia spożycia i dla spożywców, prawem będą potrzeby wszystkich. Dopóki robotnik może się zjawiać na rynku tylko jako najemnik oddający swoje ręce na licytację, jego wielka liczebność czyni go słabym, gdyż los jego zależy od uznania przedsiębiorcy; ale w dniu, w którym stanie on tam jako spożywca, liczebność będzie jego siłą i zapewni mu zwycięstwo.

Powiecie może, że w mojej hipotezie spółdzielni ogarniającej cały naród klasy bogate stałyby się w sposób nieunikniony częścią tych stowarzyszeń i że wtedy przy skompensowaniu ich małej liczebności przez wkład kapitału stałyby się one właścicielkami największej części urządzeń handlowych, przemysłowych i rol-



niczych, a w wyniku tego sytuacja obecna nie podlega-  
łaby żadnej zmianie. Podobnego zarzutu nie podniesie  
na pewno żaden z was, ujawniłby bowiem prostacką  
nieznajomość ustroju stowarzyszeń spółdzielczych. Re-  
gularną we wszystkich spółdzielniach spożywców jest, że  
niezależnie od ilości posiadanych przez członka udziałów  
ma on tylko jeden głos na zgromadzeniach i że w wy-  
niku tego żaden ze stowarzyszonych, nawet najbogatszy,  
nie może zagarnąć funduszu zakładowego. Nawet Rot-  
sztyld, gdyby kiedykolwiek stał się członkiem stowarzy-  
szenia spółdzielczego — kto wie, co może nastąpić —  
będzie mógł być właścicielem tylko w takim samym sto-  
sunku jak inni stowarzyszeni. To jest istotna różnica  
pomiędzy stowarzyszeniem spółdzielczym a stowarzy-  
szeniem kapitalistycznym: w tych ostatnich ponieważ  
nic nie ogranicza ilości akcji posiadanych przez jedną  
osobę, może bardzo łatwo zdarzyć się, że kilku bogatych  
kapitalistów nabędzie dla siebie samych część kapitału  
zakładowego, znacznie większą niż części tysięcy ak-  
sjonariuszy, którzy w ten sposób zostaną zredukowani  
do zera. Istotny charakter stowarzyszenia spółdzielcze-  
go, jego odrębna cecha, rewolucyjna cecha, jeśli chce-  
cie, jest to, że kapitał nie jest w nim zniesiony albo po-  
gardzony — spółdzielcy są ludźmi zbyt praktycznymi,  
żeby wyobrażać sobie, że można się obejść bez kapitału  
albo otrzymać go darmo — ale zredukowany do swojej  
istotnej roli, to jest narzędzia na usługach pracy, pła-  
conego jako narzędzie. Podczas gdy w obecnym porząd-  
ku rzeczy właścicielem jest kapitał, a praca najemnicą,  
w ustroju spółdzielczym przez obrócenie sytuacji pra-  
cownik i spożywca, będąc właścicielami, podnosić bę-  
dą zyski, *a kapitał będzie zredukowany do roli zwy-  
kłego najemnika*. Obawiam się, że obraz, który wam

tylko co naszkicowałem, nie przypadnie do gustu wszystkim. Powiedzą, że graniczy on z czymś w rodzaju komunizmu.

To pewna, że kooperatyzm, posunięty do swych granic ostatecznych, skończyłby na organizacji społecznej, mającej wielkie analogie z ideałem kolektywistycznym. Uznaję to i nawet uznaję, że jest on tak samo niekiedy niebezpieczny. Uspokaja mnie jedynie to, że nie oczekujemy realizacji naszego ustroju społecznego, który wam przed chwilą opisałem, ani od interwencji państwa, ani od jakiegokolwiek władzy przymusowej, tylko od swobodnej inicjatywy indywidualnej, działającej przez dobrowolne stowarzyszenia i występującej na rynku według zasad prawa powszechnego. Nasz system daje więc tę korzyść, niezerównaną w naszych oczach, że nie poświęca niczego z wolności jednostek ani praw legalnie nabytych. Jeżeli w tych warunkach zdarza się, że łączymy się w walce z socjalistami, nie należymy do tych, którzyby się tym przerażali. Socjaliści, nawet najbardziej rewolucyjni, nie będą nas przestraszali od chwili, kiedy przejdą przez szkołę spółdzielczości.

#### § 4. ROBOTNICZE STOWARZYSZENIA WYTWÓRCZE

Być może, niektórzy z was będą zdziwieni, że w tym programie spółdzielczym nie mówiłem jeszcze wcale o spółdzielczości wytwórców. Czyż spółdzielcze stowarzyszenie produkcji nie powinno być traktowane jako uwieńczenie gmachu spółdzielczego?

Rozróżniamy: celem ostatecznym spółdzielczych stowarzyszeń spożywców jest wprowadzić produkcja, ale nie za pośrednictwem spółdzielczych stowarzyszeń produkcji. Te dwa programy różnią się całkowicie.



Wiedziecie, że od dawna we Francji, zwłaszcza od przeszło 50 lat, miano nadzieję dojść do wyzwolenia klasy robotniczej i zniesienia najemnictwa przez spółdzielcze stowarzyszenia wytwórcze, to jest przez tworzenie grup robotniczych, jednoczących się dla obejścia się bez przedsiębiorcy, dla wspólnej fabrykacji i sprzedaży na własny rachunek produktów swojej pracy. Wydawało się to drogą najprostszą i najpewniejszą dla dojścia do celu. Niestety, doświadczenie Francji zarówno jak innych krajów nie usprawiedliwiło tych nadziei i wręcz przeciwnie, dowiodło, jak się zdaje, że stowarzyszenie wytwórcze, jako stowarzyszenie autonomiczne i działające własnymi środkami, pozostaje bezsilne, jeśli chodzi o wprowadzenie jakiegokolwiek godnej uwagi zmiany w obecnym stanie rzeczy. Większość tych stowarzyszeń pomimo bohaterskich wysiłków, które powinny były wystarczyć do dźwignięcia świata, upadły. Wiele z tych, którym się udało — jest to bardziej jeszcze ważne — musiały okupić swoje powodzenie ceną ponad wartość; mam na myśli, że wyzbyły się one mniej czy więcej zasady, która była duszą spółdzielczości wytwórczej i która natchnęła ich założycieli do czynu, mianowicie zasady stopniowego wyzwolenia klasy najemniczej. Widziano istotnie, jak przetwarzały się one w stowarzyszenia małych przedsiębiorców, zmuszających do pracy pod swymi rozkazami i na swój rachunek mniej czy bardziej znaczną liczbę najemnych robotników. Jedynym przeto wynikiem pracy tych spółdzielni było ułatwienie małej liczbie wybranych robotników podniesienia się do rangi przedsiębiorcy. Gdyby się bardziej mnożyły, można by się obawiać zubożenia klasy robotniczej, jak gdyby zebrania z niej śmietanki na korzyść klasy mieszczań-

skiej, wszystko bowiem, co klasa ta posiada najlepszego w postaci energicznych i silnych indywidualności, było by wypompowane od góry, pozostawiając w masie tylko elementy najmniej uzdolnione do rozwoju. Należało by sobie raczej życzyć przeciwnie, żeby elita ta pozostawała w masie, służąc jej za drożdże do wyrośnięcia całego ciasta. Nie, ten biedny ideał zbyt często wysuwany przez filantropów, dążący do wyciągnięcia z szeregów kilku robotników dla przekształcenia ich na drobnomieszczan, małych kapitalistów, małych rentierów, nie mógłby być ideałem spółdzielcy. Trzeba nabrać wyższego pojęcia o położeniu i godności ręcznej pracy: my chcemy wychować robotnika jako robotnika w ten sposób, aby czuł swój honor i był dostatecznie dumny ze swego położenia, nie szukając wyjścia z niego i nie zazdroszcząc nikomu.

To jest pierwszy szkopał stowarzyszenia wytwórczego, jako niezależnego zrzeszenia. Jest i drugi: każde stowarzyszenie producentów, a więc stowarzyszenie jednostek, wykonywujących ten sam zawód i mających wobec tego te same interesy zawodowe, czy się nazywa korporacją zawodową, izbą syndykalną, czy nawet spółdzielczym stowarzyszeniem wytwórców, dąży w sposób nieunikniony do stawiania swoich prywatnych interesów ponad interesem powszechnym. Egoizm korporacyjny, nie trzeba sobie robić złudzeń w tym względzie, jest jeszcze bardziej zaborczy i zacięty niż egoizm indywidualny i pozwólcie mi powiedzieć, że robotnicy pod tym względem nie są warci więcej od przedsiębiorców; wszyscyśmy ulepieni z tej samej gliny. Nie tylko te spółdzielcze stowarzyszenia wytwórców będą w stanie wojny przeciwko spożywcy, ale będą wojowały także pomiędzy sobą, jak to dziś robia



fabrykanci, i przez to utrzymaj się stan anarchii gospodarczej, który powinniśmy się starać właśnie usunąć. Gdyby więc miał nadejść dzień, w którym spółdzielcze stowarzyszenia wytwórców miałyby się rozwinąć i objąć całość albo znaczną część dziedziny produkcji, byłyby one powodem takiego samego niepokoju, jaki wyrażaliśmy z powodu stowarzyszeń kapitalistycznych; można by się obawiać, że te stowarzyszenia robotnicze, stawszy się panami rynku, starałyby się podnieść ceny i nabrałyby pomału manier monopolistycznych, wrogich wobec tego interesowi publicznemu.

Cóż zresztą zależy robotnikom ostatecznie na tym, czy zawojują przemysł jako producenci czy jako spożywczy? Drogi są różne, ale punkt dojścia jest ten sam. Po cóż upierać się przy pójściu drogą niebezpieczną, na której trudno się doliczyć wypadków rozbicia okrętu, kiedy otwiera się przed nimi droga bardziej bezpieczna? Dopóki w XV stuleciu żeglarze szukali tajemniczych krajów z kopalniami złota od strony wschodu słońca, rafy albo niezmierne odległości Oceanu Spokojnego przegradzały im drogę, ale pewnego dnia Krzysztof Kolumb powziął ideę szukania drogi na zachód i udawszy się w stronę przeciwległą niż jego poprzednicy, przybył przed nimi do brzegów Nowego Świata. Uczynmy jak on, przestawmy żagle, a skierowawszy okręt w przeciwległym kierunku, odkryjemy pewniej i szybciej naszą Amerykę.

#### § 5. RZECZPOSPOLITA SPÓŁDZIELCZA

Takim więc jest dla mnie i pewnej liczby przyjaciół spółdzielców, z których składa się nasza mała grupka Szkoły z Nîmes — takim jest prawdziwy cel spółdzielczości. Pozwólcie mi zreasumować go po raz

ostatni w następującym ujęciu: pokojowe ale radykalne przekształcenie obecnego ustroju gospodarczego przez przezwłaszczenie narzędzi produkcji, a razem z nimi zwierzchnictwa gospodarczego, z rąk producentów, którzy je dziś posiadają, do rąk spożywców. A jako środki praktyczne: organizacja wielkich związków-stowarzyszeń z nagromadzeniem możliwie wielkich funduszków rezerwowych i stworzeniem możliwie największych hurtowni.

Samo się przez się rozumie, że ci, którzy jak my, wyrobili sobie takie pojęcie o spółdzielczości, nie mogliby zgodzić się na odciągnięcie jej od tego celu dla rozpraszania sił w innych kierunkach, naprz. dla tworzenia kas emerytalnych albo ubezpieczeniowych, co prowadziłoby w wyniku do przekształcenia spółdzielni w instytucje przezorności.<sup>1</sup> Dobra to jest rzecz emerytura, ale każda rzecz musi przyjść w swoim czasie i dopiero po zorganizowaniu produkcji będzie mogła spółdzielczość odciągnąć z jej nadwyżek kwoty potrzebne dla zapewnienia emerytury zatrudnianym przez siebie robotnikom.

Ten cel nie mógłby być wskazany jako wspólny dla wszystkich spożywców, wzięwszy pod uwagę, że nie mógłby on zadowalać wielu spośród nich, bądź z pobudek osobistych, bądź dlatego, że przedsiębiorstwo, w którym są zatrudnieni, zapewnia im już emerytury, np. pracownikom kolejowym tak liczny w naszych stowarzyszeniach. W niektórych krajach nawet, jak w Niemczech, samo państwo zajęło się zapewnianiem emerytur pracownikom. Wreszcie, muszę jeszcze zaznaczyć, że troska o zapewnienie sobie chleba na stare

---

<sup>1</sup> Program taki miał w owej epoce gorących zwolenników, zwłaszcza ekonomistę Cheysson.



lata, bardzo niewątpliwie usprawiedliwiona, musi być jednak uważana za cel indywidualny, a nawet biorąc to słowo w sensie czysto etymologicznym i bez łączenia go z jakimkolwiek potępieniem — za cel egoistyczny. Emerytowany pracował wyłącznie dla siebie, nawet nie dla swoich dzieci, jeżeli chodzi o dożywocie. Otóż celem spółdzielczości jest niewątpliwie praca dla siebie, ale także i dla innych. Było by to poniżaniem roli spółdzielczości kazać jej służyć celom indywidualistycznym wtedy, gdy jej prawdziwa rola jest służyć celom zbiorowym. Spółdzielnia winna dążyć nie do osiągnięcia zadowolenia osobistego, ale dźwignięcia się społecznego.

Ostatecznie trzeba wiedzieć, czego się chce. Jeżeli się myśli, że obecny ustrój gospodarczy jest dobry albo co najmniej, uwzględniając naturę ludzką, możliwie dobry, i że nie ma nic innego do zrobienia, jak dostosować się do niego jak można najlepiej, kładąc jedynie trochę waty na miejsca chropawe dla tych, którzy czują, że ich kości są już nazbyt zbolałe — wtedy będzie się tylko szukało w spółdzielczości sposobu polepszenia bytu wydziedziczonych, wytapetowania im nieco ich skorupy. Jeżeli się sądzi przeciwnie, że obecny stan rzeczy nie jest dostatecznie zgodny ze sprawiedliwością ani nawet z rozumem, jeżeli nie rezygnuje się i nie przyjmuje go jako stanu ostatecznego — w tym wypadku szukać się będzie w spółdzielczości nowego sposobu organizacji społecznej, obejmującej wszystkie dziedziny życia gospodarczego — produkcję, wymianę, rozdział, spożycie — sposobu bardziej skutecznie umożliwiającego większej ilości ludzi wzięcie udziału w materialnych i moralnych dobrodziejstwach tej cywilizacji, której wystawa rozpościera takie cuda przed naszymi oczami.

Było by doprawdy przykro przypuszczać, że istoty rozumne, żyjące wspólnie, nie mogą rozstrzygnąć zagadnienia społecznego, polegającego na pogodzeniu sprawiedliwości z wolnością; niemożliwe zaś jest wyobrazić sobie, jakim innym sposobem mogłyby dojść do tego, jak nie przez wolne stowarzyszenia, organizujące się dla osiągnięcia tego celu, proklamujące i wprowadzające swoim wewnętrznym ustrojem nowe prawo społeczne oraz mnożące się przez zaraźliwy przykład. Otóż taki ustrój, jakiegokolwiek nadalibyśmy mu miano i formę, jest niczym innym niż ustrojem spółdzielczym.

Nie widzimy tego jasno. Znajdujemy się w ciemnym zaułku, na próżno szukamy wyjścia, dostrzegamy jednak drzwi z napisem „Spółdzielczość“, z poza których widzimy przesączający się promień światła i nadziei. Od dawna już pchamy te drzwi swymi ramionami i głową, otworzą się przecież kiedyś szeroko. Na próżno mistrze nauki klasycznej drwią z nas, mówiąc: „oni nie przejdą“! Przejdziemy; na pewno: przez jakież inne drzwi chcecie żebyśmy przeszli? Czy przez te, na których napisano: „Rewolucja“?

Mieliśmy już jedną rewolucję, tę, której setną rocznicę święcimy w tym roku. Będziemy się strzegli wypierania się jej i ogłaszania jej bankructwa, jak to stało się modne czynić dziś w niektórych szkołach, ale nie potrzebujemy jej rozpoczynać na nowo: wystarczy, żebyśmy ją prowadzili dalej. Zrealizowała ona demokrację w ustroju politycznym. Otóż spółdzielczość jest demokracją w ustroju gospodarczym, ponieważ jest ona zdobyciem gospodarki przez klasy ludowe. Pracując więc dzisiaj nad rozpowszechnieniem spółdzielczości, pozostajemy wierni tradycjom naszych ojców i czcimy ich pamięć w jedyny sposób godny ich i nas,



a więc przejmując się ich duchem i czyniąc dla naszych synów to, co oni dla nas czynili. I kiedy przyjdzie dwuchsetna rocznica 89-go roku, której nikt z nas nie ujrzy, ale którą nasze stowarzyszenia, podówczas żywe i niezliczone, czcić będą jak my dzisiaj czcimy — być może nasi wnukowie będą mogli zobaczyć uwieńczenie gmachu i uczcić nadejście tego, co nazwę, nie przywiązując do tej nazwy żadnego znaczenia politycznego i biorąc je jedynie w znaczeniu gospodarczym — Rzeczpospolitą Spółdzielczą. Szczęśliwi ci, którzy ją ujrzą, ale również szczęśliwi ci, którzy w nią uwierzą, nie widząc jej i którzy jako prawdziwi spółdzielcy będą mogli oddać sobie sprawiedliwość, iż przygotowali przyszłość i pracowali dla innych.

#### IV

### WROGOWIE SPÓŁDZIELCZOŚCI <sup>1</sup>

§ 1. *Kobiety.* — § 2. *Kupcy.* — § 3. *Socjaliści.* — § 4. *Wrogowie wewnętrzni.*

Pierwszą myślą, jaka mi dziś wieczór przysłała do głowy, była chęć powiedzenia wam o rozwoju spółdzielczości, o powodzeniu, osiągniętym przez niektóre stowarzyszenia spółdzielcze, ale zastanowiłem się, że mówi się zawsze o stowarzyszeniach spółdzielczych, które się udały, a nie mówi o tych, którym się nie powiodło. Dwadzieścia razy mój przyjaciel de Boyve i ja oraz inni, których tu widzę, chodziliśmy z miejsca na miejsce, opowiadając o zwycięstwach spółdzielczości we Francji i w świecie; tysiąc razy powtórzono w całym kraju bohaterską historię Tkaczy Roczdelskich, ale co do stowarzyszeń, które umarły przy urodzeniu albo po kilku latach ciężkiego życia, o tych nikt nigdy nie mówi. Jest to zwykła rzecz na tym świecie. Historia mówi tylko o zwycięzcach, a nigdy o zwyciężonych. A jednak

<sup>1</sup> Konferencja wygłoszona pod przewodnictwem p. Pawła Doumera, posła, podczas kongresu stowarzyszeń spółdzielczych, który się odbył w Grenoble d. 15 października 1893 r., ogłoszona w sprawozdaniu kongresu. Została ona uzupełniona wyjątkami z konferencji z 17 lutego 1900 r., która w poprzednich wydaniach figurowała pod nazwą „Wojna pomiędzy kupcami a spółdzielcami“.



jest ona bardzo interesująca i bardzo pouczająca, ta historia biednych stowarzyszeń, które walczyły, które padły i których imię nigdy nie będzie figurowało w rocznikach spółdzielczych albo figurować będzie z krzyżem, który oznacza śmierć.

Lista takich spółdzielni zmarłych byłaby długa, dłuższa nawet — nie trzeba mieć złudzeń — niż lista stowarzyszeń jeszcze żyjących. Wrogowie spółdzielczości robią sobie z tego nieraz argument przeciwko nam, mówią nam z litościwym uśmiechem: policzcie swoich zmarłych. Na to odpowiem, że w przedsiębiorstwach kapitalistycznych, czy to są spółki akcyjne czy przedsiębiorstwa indywidualne, niepowodzenia są również częste i moglibyśmy powiedzieć z kolei: przemysłowcy, kupcy, finansisi, zanim rzucicie na nas kamieniem, porachujcie swoje upadłości. Prawdą jest, że więcej przedsiębiorstw upada pod formą indywidualną albo akcyjną aniżeli pod firmą spółdzielczą, mniej się to jednak dostrzega: jeśli stowarzyszenie spółdzielcze wpada w trudności, dzwoni się jak na trwogę, jak przy pogrzebie pierwszej klasy, nie dla oddania mu czci i na znak żałoby, zapewniam was, ale tylko dlatego, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Nie ma się więc czego przerażać na widok ginących stowarzyszeń spółdzielczych, ale jest to jednak prawda, że ginie ich za dużo, a zwłaszcza niepokojące jest w nich to, co można by nazwać śmiertelnością dziecięcą.

Będę wam więc dziś mówił o stowarzyszeniach martwych. Rzadko się jednak zdarza, żeby stowarzyszenia spółdzielcze umierały, jak to się mówi, śmiercią naturalną: są one zwykle zamordowywane. Padają pod ciosami swoich nieprzyjaciół, bądź zewnętrznych, bądź częściej jeszcze wewnętrznych.

## § 1. K O B I E T Y

Jeżeli umieszczam je na początku listy, to nie tylko dlatego, że grzeczność nakazuje zaczynać od dam, ale także i dlatego, że taką niestety jest prawda. Kobiety są na ogół wrogie spółdzielczości, a jest to tym bardziej przykre, że ich wpływ mógłby decydować o losach spółdzielni, gdyż one to rządzą gospodarstwem i czynią zakupy. Ferdynand Lesseps powiedział kiedyś, że kanał Sueski zawdzięczał swe powodzenie kobietom, które nigdy nie straciły wiary w rozpoczęte dzieło. Niestety, nasze spółdzielnie nie miały szans kanału Sueskiego: nie zdobyły kobiet <sup>1</sup>. Nie lubią nas one, a przynajmniej nie lubią naszych sklepów. Przekładają zwykłe sklepy, bardziej eleganckie, w których sklepowi są bardziej uprzedzający, gdzie można sobie pogawędzić bez pośpiechu. We wszystkich czasach, poczynając od Ewy, lubiły kobiety uwodzicieli. Otóż kupiec jest wielkim uwodzicielem. Jest on nim przez piękne rzeczy, którymi błyska przed ich oczami, jest nim dla jednych przez solda, którego im daje na franku, przez sprzedaż na kredyt, nawet dla niektórych przez ofiarowany im kieliszek. Jest nim przede wszystkim przez komplementy, które im prawi. Oto jak wzorem węża wciąga je do zguby.

Spółdzielczość jest za surowa dla dam, a nawet nieprzyjemna. Poza tym razi je „książeczka“. To wpisywanie każdego wydanego solda do książeczki, którą

---

<sup>1</sup> Ich uczucia zmieniły się cokolwiek od tej pory, jednak nawet dziś dalecy jesteśmy od tego, żeby kobiety obdarzały ruch spółdzielczy takim entuzjazmem jak inne sprawy. (Przed wszystkim zmieniły się od czasu powstania w różnych krajach lig kooperatystek. *Tłum.*)



muszą przynieść i odnieść do domu, wydaje im się zamachem na ich godność i podejrzywaniem ich uczciwości. Ileż spółdzielni zabiły one w kołysce, po prostu odmawiając czynienia w nich zakupów. Jest bardzo trudne dla męża, choćby to był najbardziej przekonany spółdzielca, wziąć koszyk do ręki i wyjść po zakupy. Pozostaje mu w tym wypadku tylko jeden sposób: spróbować przekonać swoją żonę, ale będzie to doskonałe ćwiczenie wychowawcze dla niego samego: stanie się nauczycielem spółdzielczości, co będzie czystym zyskiem dla powodzenia spółdzielni i dla pokoju domowego.

Dużo gorzej jest ze spółdzielniami mieszczańskimi, gdyż wówczas kobietą, która chodzi po zakupy, jest kucharka. Przede wszystkim jako damy biorą one udział w tej ogólnej niechęci płci pięknej do spółdzielczości, o której mówiłem przed chwilą, prócz tego zaś mają swoje pretensje osobiste. Nie tylko irytują się na książeczkę, która wydaje im się wynaleziona jedynie w celu przeszkadzania im w „koszykowym“, ale także skarżą się, że spółdzielnie nie dają im „solda od franka“, do którego kupcy przyzwyczaili je, będąc pewni, że odbiją go sobie z lichwą na rachunku burżuja. Na próżno mówimy im, że nie chcemy ich kupować właśnie dlatego, że je szanujemy. Wszystkie te panie z fartuszkami zaprzysięgły nam dożgonną nienawiść. Za dawnych już czasów, kiedy założyłem spółdzielnię, złożoną przeważnie z mieszczan w Montpellier, kobiety te oświadczyły, że otrułyby mnie; takiej groźby w ustach kucharki nie można lekceważyć. Udało mi się jednak ocaleć, ale spółdzielnia, którą prędko zabiła, nie ocalała.

## § 2. K U P C Y

A teraz druga kategoria wrogów, zajadłych i niezdolnych nigdy do nawrócenia. Znacie ich dobrze — to kupcy. Kupcy wszędzie toczą z nami wojnę. W ostatnich czasach natężenie walki wzrosło w dwójnasób, chociażby wskutek postępów spółdzielczości. Długo już lata walczą o narzucenie spółdzielniom patentu handlowego, jakkolwiek bezpodstawnie, gdyż nie wykonują one działań handlowych. Ale mniejsza z tym. Uważam zresztą za pewne, że w tym swoim ślepych gniewie kupcy staną się ofiarami walki, gdyż w dniu, w którym stowarzyszenia spółdzielcze zostaną zmuszone zgodnie z życzeniem kupców do wykupienia patentów, nie zarobią oni na tym nic zgoła. Stracą nawet, gdyż stowarzyszenia nasze korzystałyby z uprawnień, jakie nadaje patent, i sprzedawałyby publiczności.<sup>1</sup>

Czyż nie mieli oni tupetu nie tylko wymagać, żeby stowarzyszenia spółdzielcze były zobowiązane do wykupywania patentu, ale także, żeby prawo zakazało wszystkim funkcjonariuszom, wojskowym i urzędnikom państwowym albo municypalnym zaopatrywania się w stowarzyszeniach spółdzielczych? To dobry żart; i z jakiej to racji, proszę was. Racja jest doskonała. Otóż dlatego, że funkcjonariusze są płatni z pieniędzy państwa lub miasta, a pieniądze te wychodzą pod formą podatków z kieszeni kupców, sprawiedliwym przeto jest, żeby one do nich wróciły przez zobowiązanie funkcjonariuszów do wydawania swoich pensji u kup-

---

<sup>1</sup> Tak też stało się w rzeczywistości: od czasu, kiedy stowarzyszenia spółdzielcze zostały zmuszone do wykupywania patentu handlowego jak kupcy (w 1905 r.), prawie wszystkie zaczęły uprawiać system sprzedawania publiczności.



ców i do oddawania w ten sposób pod formą zakupów pieniędzy tym, od których je otrzymali. Mają je zwrócić podatnikowi, mówicie? Ależ to my, spożywcy, reprezentujemy podatnika daleko bardziej niż kupcy, ponieważ pieniądze, które służą do opłacania funkcjonariuszy, płacimy my. Wszystkie podatki spadają koniec końców na spożywcę, nawet te, których płaceniem chwala się kupcy. Za pierwszym razem, kiedy podatek od cukru albo od nafty zostanie podwyższony o jednego solda, kupiec natychmiast wystawi wam do rachunku po dwa soldy więcej za kilo., mówiąc wam przyjacielisko: „Bardzo mi przykro, ale ta nadwyżka idzie dla rządu“. Spróbujcie mu wtedy odpowiedzieć: „po cóż więc mówił nam pan, że to pan musi płacić ten podatek“, a zobaczycie, że uzna on ten żart za niewczesny.

Kupcy zgłosili poza tym pretensję jeszcze bardziej nieprzyzwoitą. Nietylko urzędników i funkcjonariuszy chcieliby wykluczyć z naszych stowarzyszeń, ale również ludzi bogatych i nawet zamożnych tylko. Śmieli nawet wymagać, żeby stowarzyszenia spółdzielcze dopuszczalne były tylko między robotnikami, żyjącymi ze skromnej płacy, np. takich, którzy nie podlegają podatkom od walorów.

Jednym słowem chcieliby oni zrobić ze stowarzyszeń spółdzielczych stowarzyszenia biednych, zakłady filantropijne, filie biur dobroczynności. „Nie chcemy odbierać ich biednym ludziom, jeżeli przypuszczacie, że mogą one dla nich być pożyteczne“ — mówią wspańiałomyślnie. Wierzę wam, dobre dusze, chcielibyście pozostawić sobie jako klientów wszystkich, którzy mają dobrze wypchane kieszenie, a nam miłośniernie zostawić tych wszystkich, którzy nie mają nic do wydania: dla

kupców gruba zwierzyna i ochrona polowania, dla nas drobiazg.

Czyż chciano by powrócić do średniowiecza, kiedy wszyscy poddani we wsi zobowiązani byli mleć swoje zboże, piec swój chleb, tłoczyć swoje winogrona we młynie, piecu i prasach właściciela, a nawet prowadzić krowę do jego byka, oczywiście za zapłatą. I nawet w ciągu czterdziestu dni po zebraniu winogron tylko pan miał prawo sprzedawać swoje wino; nazywało się to prawo *banvin*. Dzisiaj młynarz albo kupiec korzenny z rogu ulicy byłby władcą, dla niego wskrzeszono by prawo *banvin*, a my, spożywcy, bylibyśmy poddanymi. Warto było robić rok 89-y!

Chciejcie zauważyć, nie mam przesądów w sprawie kupców. Oświadczam nawet, że w historii cywilizacji grali oni wielką pierwszą rolę. W czasach, w których nikt poza pisarzami nie umiał pisać, oni umieli czytać i pisać we wszystkich językach cudzoziemskich dla potrzeb swojej korespondencji i dla sprzedawania swoich weksli. Sprowadzali nie tylko produkty wszystkich krajów, ale także idee kosmoplityzmu, tolerancji, postępu. Byli pierwszymi międzynarodowcami, a także pierwszymi liberałami, biorąc to słowo w dzisiejszym znaczeniu. Musieli toczyć walkę przeciwko wojskowym, a więc szlachcie, która ich okradała, i przeciwko duchowieństwu, czyli kościołowi, który potępiał pożyczki na procent i zbytek. Wielu wśród nich było Żydów, a kiedy przyszła reformacja, wielu stało się protestantami i—rzecz godna uwagi, że właśnie w krajach kupieckich — Holandii, Anglii, Niemczech — reformacja zatriumfowała. Pomiędzy hugonotami, których odwołanie Edyktu Nantejskiego wyгнаło z Francji, kupcy byli



tak liczni, że siła handlowa naszego kraju poniosła od tej pory niepowracalne straty.

I nawet—jakkolwiek już w czasach starożytnych kupcy nie zawsze byli bardzo skrupulatni i chociaż bóg o uskrzydłonych sandałach, którego Grecy uważali za boga kupców, Merkury, był równocześnie bogiem złodziei — stworzyli oni nową formę honoru, odrębną od honoru wojskowego — honor mieszczański, jeśli chcecie; jego pojawienie się zaznaczyło nową erę w historii moralności: uszanowanie danego słowa i punktualność w wypełnianiu zobowiązań. W rzeczywistości w czasach, w których nie było ani notariusza, ani sądów właściwych, ani prawa handlowego i międzynarodowego, mógł handel polegać tylko na dobrej wierze.

Na ogół usługi, jakie niegdyś ludziom oddali, były wielkie: byli jednym z najdawniejszych i najpotężniejszych czynników tego, co nazywamy cywilizacją. Ale dzisiaj tak już nie jest. Wskutek rozwoju komunikacji i korespondencji kupiec, przynajmniej kupiec detaliczny, służy już tylko do załatwiania zleceń i oszczędza nam trochę fatygi. A do tego celu są oni zbyt liczni. Jest ich dziesięciu tam, gdzie wystarczyłby jeden, i służą tylko do tamowania ruchu. To jest tak jak w koloniach, gdzie najskromniejszy kolonista ma dziesięciu służących, którzy nic nie robią, a których trzeba opłacać. Anglik John Watts powiedział: „dziwną to jest rzeczą, że biedni mają daleko więcej służby niż bogaci“. Tak, jest to bezsensowny zbytek. Chąc z tym skończyć, trzeba rozpocząć od zwolnienia ich.

Istotnie, sztuka stusoldowa, wydana przez ciebie, publiczności, na zakup jakiegoś artykułu spożywczego, musi przejść przez tyle rąk (detalisty, hurtownika, półhurtownika, komisjonera i agenta), że w dniu, w któ-

rym dochodzi do biednego producenta, który wyprodukował zboże, wino, mięso czy jarzyny, dostaje on tylko kilka soldów, cała reszta została zjedzona po drodze. To jest marnotrawstwo, za które płaci publiczność i które nie powinno być tolerowane. Oto dlaczego miałem prawo powiedzieć, że tak samo, jak transport na wozach został zastąpiony we wszystkich miejscowościach cywilizowanych przez trakcję parową, dzisiejsza organizacja handlowa powinna ustąpić miejsca wyższej formie, bardziej oszczędnej i bardziej szybkiej. Oznaki takiego przekształcenia są już zresztą widzialne dla wszystkich oczów. Wielkie magazyny tak samo jak syndykaty rolnicze są wyrazem tej gwałtownej potrzeby zatkania w bezpośrednim stosunku wytwórców i spożywców, przechodząc ponad głowę pośredników. Gdybyśmy nawet nie byli powołani do zastąpienia drobnego handlu, uczyniłyby to wielkie magazyny. Cóż spożywcza wygrałaby na tej zmianie?

To właśnie mówiłem kupcom z Montpellier: w każdym razie jesteście przeznaczeni do zjedzenia, chodzi tylko o to, przez kogo będziecie zjedzeni. Otóż powinno wam być przyjemniej być zjedzonymi przez nas, ponieważ reprezentujemy interesy spożywców, publiczności, wszystkich, demokracji, aniżeli przez wielkie magazyny, które reprezentują tylko feudalizm handlowy.

Nie zaprzeczam, że wielkie magazyny dały spożywcóm różne korzyści, jak łatwość czynienia zakupów i nawet niższe ceny, ale popełniają one wielką niewłaściwość, popychając do wydatku, do niepotrzebnych zakupów; na to właśnie liczą specjalnie. Wszystkie ich wystawy, likwidacje, ułatwienia zwrotu towaru mają



na celu podniecić w kliencie, powiedzmy w klientce, żądzę kupna, często podniecać ją w niej do tego stopnia, że staje się to czymś w rodzaju prawdziwego szaleństwa, dobrze znanego lekarzom psychiatrom i trybunałom pod nazwą *kleptomanii*, manii kradzieży. Tą drogą codziennie piękne damy, często bogate i bardzo łatwo mogące płacić, przychwytywane są na wynoszeniu pod swoim płaszczem odcinków materiałów albo koronek. Każdy z tych wielkich magazynów musi utrzymywać cały oddział inspektorów jedynie dla polowania na takie klientki. Trzeba przyznać, że system handlowy, którego rezultatem jest nie tylko popychanie spożywcy do zakupów, ale popychanie go do kradzieży, może być traktowany tylko jako zło społeczne.

Wreszcie, jeżeli mali kupcy nie mieliby być zjedzeni przez kogo innego, nieuchronnie zjadaliby się między sobą. Konkurencja rozwinęła się do tego stopnia, że uproszczony ten zawód stał się łatwiej dostępnym dla wszystkich. Dawniej nie każdy mógł być, nie powiem już jakimś Marco Polo, Fuggerem, Jacques Coeur, ale po prostu kupcem, sukiennikiem czy czapnikiem, gdyż po pierwsze sprzeciwiał się temu regulamin cechowy, a poza tym potrzebne były pewne rękojmie. Dziś każdy może być kupcem korzennym z rogu ulicy, pod jednym warunkiem, żeby ten róg nie był już zajęty; co prawda zawsze jest on zajęty.

Nie myślcie jednak, że w miarę jak profesja stawiała się, jak to tylko co wykazałem, bardziej niepotrzebna i pasożytnicza, stała się przez to mniej poszukiwana. Porzućcie tę opinię zbyt pochlebną dla natury ludzkiej. Ze wszystkich zawodów najbardziej pożądanym i o który największe toczą się walki, jest zawód pasożyta. Nie miejcie obawy, że po wsiach tłoczą się kandydaci na

robotników ziemnych albo nawet kandydaci na lekarzy. W miastach o żadne zajęcie nie toczy się większa walka niż o zajęcie portiera: na stanowisko portiera ratusza paryskiego zgłosiło się 5.000 kandydatów. A pomiędzy wszystkimi stanowiskami portierów najbardziej jest poszukiwane stanowisko portiera na cmentarzu, prawdopodobnie dlatego, że lokatorzy nie proszą nigdy o otwarcie bramy. Otóż stanowisko kramarza jest jeszcze bardziej poszukiwane niż portiera. Dla iluż robotników miejskich a nawet wiejskich ambicją jest otwarcie małego sklepu, jako uwieńczenie życia? Co prawda nie można zaprzeczyć, że zawód ten dostarcza pewnych przyjemności. Nie zależy się od nikogo, nie ma się pryncypała ani majstra, wstaje się, kiedy chce. Praca nie jest uciążliwa, trzeba tylko czekać na klienta; gawędzi się z nim, zawiera się znajomości, nabywa się pewnego wpływu w dzielnicy, pan poseł kłania się bardzo nisko, zwłaszcza kiedy jest kandydatem — na szczęście jest nim co cztery lata. A potem, jeśli nawet nie zarabia się dużo, ma się przynajmniej szansę zrobić majątek, szansę, która nie istnieje dla chłopca albo najemnika. Jest to, co prawda, słaba szansa, niewątpliwie mały bilet na wielkiej loterii, ale nadzieja warta jest dla ludzi niemal tyle, co rzeczywistość. Iluż ludzi żyje i umiera szczęśliwych, ponieważ mają w swojej szufladzie jakiś bilet loteryjny, ciągle odnawiany, ale nigdy nie wygrywający. Zawód kupca to jest bilet na loterię. Cóż dziwnego, że tylu ludzi pociąga.

Pomyślcie tylko, że we Francji jest 100.000 kupców korzennych, 53,000 piekarzy, tyluż rzeźników, 400.000 właścicieli kawiarni ze sprzedażą alkoholu, 150.000 agentów od ubezpieczeń... ogółem 1.500.000 płacących świadectwa handlowe, co razem z ich rodzinami repre-



zentuje 4 do 5 milionów osób, które żyją z naszych zakupów. Nie żyją suto, to prawda, bo jest ich za dużo; ale nawet jeżeli każdy zarabia trochę, całość jest wielka — z tej samej racji: bo jest ich dużo. Mówią nam: „trzeba przecież, żebyśmy żyli“. Pan deTalleyrand odpowiedział na to kiedyś: „Nie widzę konieczności“. Nie będziemy tak twardzi, ale my także chcemy żyć, my spożywcy, a jeżeli każdy z nas musi przejść przez życie, niosąc na plecach sklepikarza, piekarza, rzeźnika i kupca winnego, liche będzie to życie.

Gdyby ta degeneracja funkcji kupca miała przykre skutki tylko dla nich, moglibyśmy się ograniczyć do tego, żeby pozwolić im działać. Ale ma ona także skutki najbardziej opłakane dla publiczności, zarówno jako przyczyna fałszowania artykułów żywnościowych jak i w postaci zwyczajów cen. Kupcy każą nam za wszystko płacić zbyt drogo; absurdem jest, że piekarz zarabia na każdym sprzedanym chlebie znacznie więcej niż rolnik, który produkuje zboże; że na każdym odcinku materiału kupiec zarabia więcej aniżeli robotnik, który go tkął. Gdyby można obliczyć to, co płacimy kupcom, pośrednikom za ich małe usługi, polegające na przeprowadzeniu towaru z rąk Piotra do rąk Pawła, byłibyśmy tym przerażeni. Obliczmy tylko chleb. W wielkich miastach sprzedawany jest po 35 centymów za kilo. Otóż zboże sprzedaje się obecnie po 20 franków za kwintal. Z drugiej strony znany jest fakt, że kilo zboża daje mniej więcej kilo chleba, ponieważ waga utracona przy mieleniu w postaci plew i odpadków skompensowana jest przez wagę wody i soli dodanych do ciasta. Dowiedzione jest również, że koszty przeróbki zboża na chleb nie przekraczają 5 centymów na kilo: jeżeli operuje się wielkimi masami, mogą być zredukowane

prawie do zera, wartości bowiem plew i odpadków wystarczają do ich pokrycia. Chleb mógłby więc być dostarczany po 25 centymów<sup>1</sup> i jeszcze dawać zysk. Rzeczywiście jest to cena, po której jest on sprzedawany przez wszystkie wielkie piekarnie spółdzielcze. Każdy Francuz płaci więc o dwa soldy za dużo na kilogramie nabywanego chleba.

Otóż każdy Francuz spożywa przeciętnie (mężczyzna, kobieta lub dziecko) przeszło pół kilo chleba dziennie (550 gramów). Wynosi to więc jednego solda dziennie, przeszło 18 franków rocznie, a dla całej ludności francuskiej przeszło 700 milionów franków rocznie nadpłaconych piekarzom; suma ta odpowiada wysokości budżetu wojskowego. A to tylko za chleb. Otóż nadpłata jest rzadko kiedy mniejsza, a często znacznie większa przy mięsie, winie, maśle, mleku, jarzynach, rybach, korzeniach, konfekcji, tak, że nie waham się określić na 4 do 5 miliardów wysokości daniny płaconej pośrednikom pod tysiącnymi formami. To znaczy, że płacimy kupcom ogółem kontrybucję cięższą niż to, co płacimy państwu.

Dochodzimy więc do wniosku, który jest tylko stwierdzeniem faktu: handel, przynajmniej handel detaliczny,

---

<sup>1</sup> Liczby te należało by dziś zmienić naturalnie, a przykład chleba nie jest już teraz dobrze wybrany, ponieważ od czasu wojny cena chleba jest surowo nadzorowana przez administrację. Ale w innych dziedzinach handlu — mięsem, rybami, jarzynami — można by przytoczyć skandaliczne podnoszenie cen. Dowodem tego jest nadwartość funduszy handlowych. Rzeźnik w krótkim czasie robi majątek i może się wycofać, sprzedając swój zakład po cenie znacznie wyższej aniżeli ta, którą za niego zapłacił.

Administracja usiłowała ustanowić granice cen w rzeźnictwie, ażeby ceny mięsa w detalu były w jakimś związku z cenami żywca, ale jest to prawie niemożliwe z powodu różnic gatunków zwierząt i trudności skontrolowania wartości sprzedawanych kałków.



nie oddaje już żadnych usług, nie jest on już „ekonomiczny“ we właściwym tego słowa znaczeniu; w konsekwencji będzie wcześniej czy później wyeliminowany. Niezależnie od tego, czy przyszłość ma być zarezerwowana dla kapitalizmu, kolektywizmu czy kooperatyizmu, w każdym wypadku los kupca jest przesądzony. *De profundis*.

Mogę im co prawda powiedzieć, że jeszcze na nich nie przyszedł czas. Prawdopodobnie będą mogli jeszcze podtrzymać walkę, zapożyczając nasze metody, mianowicie zrzeszając się dla hurtowych zakupów i dopuszczając swoich klientów do zysków. Wielu z nich przeszło już na tę drogę. Inni znów wstąpili po prostu jako pracownicy do naszych sklepów spółdzielczych i czują się tam bardzo dobrze.

Nie szydźmy — przyznaję, że jest ciężko czuć się wyeliminowanym nawet w interesie społecznym, widzieć się wywłaszczonym nawet w imię użyteczności publicznej, zwłaszcza, jeżeli to wywłaszczenie ma się dokonać bez odszkodowania. Ale cóż, takie jest prawo dla wszystkich. Prawo ewolucji i postępu uderza nie tylko w kupców: uderzyło w przedsiębiorców przewozowych od dnia, w którym wynaleziono koleje żelazne, tkaczy ręcznych od chwili wynalezienia mechanicznych warsztatów, rolników, którzy hodowali marzannę, od dnia, w którym zaczęto wyciągać z węgla kamiennego czerwoną anilinę. Nie ma kategorii społecznej bardziej pod tym względem często dotykanej niż robotnicy. Odczuli oni w formie bezrobocia i nędzy skutki wszystkich wynalazków mechanicznych i wszystkich kryzysów gospodarczych. Robotnicy drukarze są zagrożeni w tej chwili przez wynalazek maszyny do składania, cudownego instrumentu, podobnego do maszyny do pisania

albo pianina, na której jeden robotnik, przebijając palcami po klawiaturze, składa sam jeden wszystko potrzebne do drukowania książki lub pisma. Przed dwudziestu już laty mówiono o tym wynalazku, który jednak nie mógł być zrealizowany. A wiecie, co powiedziała wówczas w obliczu tak groźnej perspektywy izba zawodowa robotników drukarskich Paryża? „Jeżeli podobny wynalazek ma się zrealizować, nie będziemy czuli nienawiści dla ręki, która nas zrujnuje, i pijąc tę gorzką czaszę, potrafimy wznieść ją na cześć postępu“.

I my również, jakakolwiek byłaby nasza funkcja, musimy oczekiwać — powiem, nie tylko z rezygnacją ale z radością — dnia, w którym na skutek dokonanego postępu staniemy się niepotrzebni: żołnierze w dniu, w którym nareszcie przez powolny postęp pokoju i rozumu wojna zostanie zniesiona; adwokaci, w dniu, w którym przez postęp ducha zgody nie będzie już więcej procesów; lekarze w dniu, w którym przez postęp higieny i wstrzemięźliwości usługi ich staną się bezcelowe; profesorzy w dniu, w którym światło prawdy błyszczące jak słońce dla wszystkich zmusi nas do zgaszenia naszych biednych latarni dymiących.

Nie mruczcie więc, panowie kupcy, znajdujecie się w dobrym towarzystwie, pogódźcie się z tym, że będziecie znosili powszechne prawo ewolucji i że zostaniecie zastąpieni przez mechanizm bardziej udoskonalony. Mam nadzieję, że i wy także, jak robotnicy, pijąc tę gorzką czarę, będziecie umieli wznieść ją na cześć postępu, a nawet wypić ją za nasze — spółdzielców — zdrowie.

Ale i wy, przyjaciele spółdzielcy, pamiętajcie, że będziecie wybrańcami ewolucji społecznej tylko wtedy,



kiedy okażecie się godni tej wyższej formy, jaką reprezentujecie. Prorocy Izraela w swoich wizjach przyszłego grodu, mając wstręt do nieczystych kupców Tyru i Sydonu, wołali: „Nie będzie już kupców w domu Wiekuistego“. Chcieli przez to powiedzieć, że w królestwie sprawiedliwości, które wywoływali, w nowej Jerozolimie nie tylko nie będzie już miejsca dla zawodu kupca, ale duch handlowy, duch zysku będzie wygnany. Można co prawda powiedzieć o tych żydowskich prorokach, że nie byli prorokami we własnym kraju. Wszystko jedno, przyswojmy sobie ich proroctwo i starajmy się zrealizować je w naszej Rzeczypospolitej Spółdzielczej lepiej niż naród żydowski. Bo gdybyście mieli tylko szukać dywidendy, nie warto było by doprawdy rujnować w tym celu tylu niewinnych kupców. Jednym słowem, jeżeli chcecie zastąpić kupców, wiedźcie, że uda wam się to tylko pod tym warunkiem, że nie staniecie się sami kupcami.

### § 3. S O C J A L I Ś C I

Czy nie jest to niesprawiedliwe zaliczać socjalistów do wrogów spółdzielczości wtedy, gdy znaczna liczba spółdzielców, i to najlepszych, jest socjalistami? A jednak jest to aż nadto prawdą, że duża ilość spółdzielni umarła albo nie mogła się narodzić wskutek uczuć niedowierzania, jakie socjaliści, zwłaszcza hołdujący doktrynie Marksa, zaszczepili w stosunku do nich w klasie robotniczej; to samo stosuje się do syndykalistów.

Ostatniego roku, żeby zacytować tylko ten jeden wypadek, Okręgowy Kongres Środka oświadczył, że „spółdzielczość winna być zwalczana przez Giełdy Pracy“. Oczywiście jest, że wobec tak wrogiego na-

stawiania związków robotniczych i przywódców socjalistycznych wielu robotników zaniechało wstąpienia do spółdzielni i że odtąd ruch spółdzielczy zamyka się przeważnie w klasach mieszczańskich: funkcjonariuszy, urzędników, i nie może osiągnąć wielkiego rozwoju, do jakiego mógłby rościć pretensje.<sup>1</sup>

Skądże ta antypatia? Można ją zrozumieć ze strony kupców, gdzie jest walką interesów. Ale ze strony socjalistów nic jej nie tłumaczy. Są to, mówią oni, stowarzyszenia burżujskie. Oczywiście, i będzie to trwało tak długo, dopóki masa robotnicza będzie się dobrowolnie trzymała na uboczu; niech wejdą i od nich tylko zależeć będzie przekształcić je na stowarzyszenia robotnicze.

Kiedy dyskutowano tę sprawę w grupie robotników paryskich, jeden z nich odezwał się pogardliwie, właśnie z okazji naszego Kongresu lyońskiego z 1885: „spółdzielców owładnęła idea własności indywidualnej; nie mają oni najbardziej elementarnych poglądów socjalistycznych“<sup>1</sup>.

Przepraszam, my także moglibyśmy powiedzieć, że jesteśmy socjalistami, ale tylu ludzi przyznaje się dziś do socjalizmu, że uważamy za bezcelowe reklamować

---

<sup>1</sup> Patrz w tej sprawie rozdział „Przyszłość spółdzielczości § 3 Przeszkody“.

Dziś socjaliści pogodzili się na ogół ze spółdzielniami i nie zamierzają już ich więcej ekskomunikować ani włączać do partii. Przyznają ruchowi spółdzielczemu tę samą autonomię, co ruchowi syndykalistycznemu. Jednak socjaliści krańcowi, których nazywa się dziś komunistami, pozostają usposobieni wrogo, jeżeli nie w stosunku do spółdzielni, to co najmniej do programu spółdzielczego t. zw. roczdelskiego. Na Narodowym Kongresie Spółdzielni Spożywców w Lyonie (maj 1921) jeden z reprezentantów tego odłamu socjalizmu, Henriet, mówił: „Reprezentujecie małowieszczańską umysłowość. W rzeczywistości jesteście tylko organizacją obronną klasy średniej“.



ten tytuł. Zadowalamy się więc robieniem z naszej strony tego, co oni czynią ze swojej. Jak oni chcemy realizować organizację społeczną, o wiele wyższą od tej, jaką widzimy; jak oni protestujemy przeciwko niesprawiedliwościom ustroju społecznego, przeciwko instytucjom, które pozwalają próżniakom dla zadowolenia swoich zachcianek niszczyć owoce pracy; jak oni jesteśmy przekonani, że można lepiej zużytkować ukryte skarby drżące w masie i oczekujące swojego dnia; jak oni oczekujemy nowej ziemi, gdzie nie tylko zapewniony będzie dostatek życia wszystkim, ale gdzie każdy będzie brał udział w radościach cywilizacji. A zbliżają nas do socjalistów nie tylko nieokreślone uczucia sprawiedliwości i solidarności, ale także ich praktyczne i bezpośrednie realizacje.

Czyż nie jest prawdziwym socjalizmem dążenie do zapewnienia robotnikom zdrowego i bardziej obfitego pożywienia? tworzenie dla nich punktów gromadzenia się i propagandy, niszczenie pasożytniczych pośredników, a zwłaszcza usuwanie ze statutu naszych małych republik spółdzielczych praw kapitału do kierownictwa i zysku?

Co do argumentu, że chcemy utrzymać własność indywidualną, jest to prawda, ale to nic nie oznacza, ponieważ w tym punkcie socjaliści nie wiedzą zgola jak się mają. Przecież od czasu ostatnich wyborów hasłem socjalizmu jest, że wszyscy będą posiadaczami. Rozumiem dobrze, że nie będzie to dokładnie biorąc własność indywidualna, tylko kolektywna,<sup>1</sup>

„Chcemy, powiedziane jest we wszystkich mani-

---

<sup>1</sup> A dziś socjalizm dopuszcza nawet własność indywidualną, hyle by tylko była ona oparta na indywidualnej pracy.

festach partyjnych, żeby wszystkie narzędzia produkcji: ziemia, kopalnie, kapitały stały się własnością pracowników wyzwolonych i zorganizowanych“. Dobrze, ale to jest mniej więcej to, czego i my chcemy. My chcemy w rzeczywistości przez stowarzyszenia spółdzielcze spożywców, produkcji, kredytu, budowlane doprowadzić pomału do przejścia handlu, przemysłu, banków, kapitalistów, fabryk i budowli z rąk tych, którzy się nimi posługują, do rąk spożywców, publiczności, wszystkich. Tylko my nie wierzymy, że konieczne jest w tym celu znieść istniejącą własność; będziemy w stanie dojść do stworzenia tylu nowych bogactw, że nie będzie potrzeby wrywać z rąk burżujów jak łup wojenny bogactw, które już nabyli. Niech je zatrzymają, my zrobimy inne. Będzie to jednak wywłaszczenie, jeśli kto chce, bo cóż mogliby uczynić kapitaliści ze swoimi fabrykami w dniu, w którym klasa robotnicza produkowałaby w swoich spółdzielniach wszystko, czego potrzebuje? Będzie to jednak wywłaszczenie dokonane zwykłymi środkami konkurencji, tak zalecanej przez ekonomistów, która działa codziennie przed naszymi oczyma.

Nie różnimy się zatem co do celu, różnimy się co do środków. Walka klas, rewolucja, konfiskaty — oto środki socjalizmu rewolucyjnego. Zaiste nie są to nasze środki. Socjaliści stosują w reformach społecznych metody dawnej chirurgii, polegające na obcinaniu rąk i nóg, na ciągłym obcinaniu, albo tych dentystów, którzy wrywają zęby, jak tylko zaczną boleć. My jesteśmy za nowymi metodami chirurgicznymi: pozostawiać członki, o ile to jest tylko możliwe, tak samo członki ciała społecznego.



Usiłujemy wprowadzać pomału we wszystkich dziedzinach, w handlu, w przemyśle, nowe formy i nowego ducha, zamieniając stopniowo przez sam fakt swojej wyższości dawne formy i dawnego ducha.

Znacie to co się nazywa drożdżami albo fermentem: są to istoty organiczne, nieskończenie małe, które umieszczone w pewnych warunkach środowiska, rozmnażając się szybko, tworzą prawdziwe zrzeszenia, kolonie, i ostatecznie ogarniają cały płyn, całą kadź wina na przykład, do której zostały wrzucone. Są takie, które czynią wino kwaśnym, inne czynią je gorzkim, jedne dają w wyniku ocet, a inne zgniliznę; ale jeżeli odpowiednie fermenty rozpoczynają swoje działania, usuwają wszystkie szkodliwe i w ten sposób dzięki tym małym fermentom, dobrze wybranym i stosownie wprowadzonym do masy udaje się naszym winiarzom otrzymywać zamiast wina skwaśniałego lub spleśniałego, albo po prostu ordynarnego i mdłego, wina z „bukietem“, ten „esprit“, który błyszczy w kieliszku starego burgunda albo iskrzy się w pianie szampana.

My, spółdzielcy, pretendujemy również do ulepszenia środowiska społecznego, wprowadzając do niego dobrze wybrane drożdże. Są one bardzo skromne i prawie niedostrzegalne te nasze stowarzyszenia spółdzielcze, reprezentują jednak formę wyższej organizacji: wyższej pod względem gospodarczym, wyższej pod względem moralnym. Każde z nich tworzy małą republikę, mały świat, mikrokosmos, jak mówią, w którym znajdują się wprowadzone już praktycznie w życie zasady sprawiedliwości i braterstwa, cnót społecznych, które chcielibyśmy widzieć zrealizowane na świecie, na szerokim świecie. Spodziewamy się, że rozwijając się, mnożąc się, rozszerzając od sąsiada do są-

siada wolną pracą zarażania i fermentacji swoje kolonie, ogarną w końcu całą masę, wyeliminują samą obecnością swoich wrogów, złe fermenty, które zatrują dziś całe środowisko, w jakim żyjemy, fermenty zgnilizny społecznej, i dadzą nam także tego nowego ducha życzliwości w stosunku do ludzi, ducha solidarności, ducha radości, który błyszczeć będzie w oczach naszych dzieci, jeżeli my jesteśmy już zbyt starzy, aby się zmienić.

#### § 4. WROGOWIE WEWNĘTRZNI

Trzeba też przekształcić środowisko, bo mamy do zwalczenia nie tylko wrogów zewnętrznych, są również wrogowie wewnętrzni i ci są najgroźniejsi. Znajdujemy się tu w Grenobli, w mieście obwarowanym, a każdy wie dobrze, że dopóki nieprzyjaciół jest poza bramami, można się bronić, ale kiedy wedrze się do wewnątrz, porażka jest pewna. Otóż większość martwych spółdzielni upadła przez dyskusję, jakie w ich łonie wszczynali ci spośród członków, którzy są zażakowani duchem *merkantylnizmu* albo duchem *indywidualistycznym*, jaki można by streścić w jednym słowie: duch burżuazyjny.

Nie należy mieszać ze sobą indywidualizmu z duchem indywidualistycznym; pierwszy jest siłą i oznaką krzepkiej osobowości, drugi jest formą egoizmu.

Powiedziałem przed chwilą, że spółdzielnie zwyciężają kupców tylko pod warunkiem, że nie staną się same handlarskie.

Nazywam duchem handlarskim skłonność dopatrywania się w spółdzielczości tylko zagadnienia sklepu, grubych groszy do zaoszczędzenia albo zarobienia. Nie trzeba na pewno lekceważyć tych stron spółdzielczości:



odróżniają je one korzystnie od wszystkich utopii socjalistycznych. Ale nie trzeba też zapominać, że spółdzielczość ma właśnie na celu zmniejszenie do minimalnej granicy w naszej organizacji gospodarczej wyłącznego zajęcia się zyskiem. Kiedy więc widzicie tego ducha spekulacji i tę chciwość zysku, które stowarzyszenia spółdzielcze mają właśnie za zadanie wytepić, wyrastające jak złe trawy w łonie tych stowarzyszeń, możecie powiedzieć, że spółdzielczość chybiła tu celu. Kiedy widzicie członków stowarzyszenia spółdzielczego, mierzących swą gorliwość wyłącznie miarą otrzymywanych dywidend, pełnych zapału, kiedy zwroty dochodzą do 10<sup>0</sup>%, ale szydzących i obracających się plecami do spółdzielni, żeby iść na róg i zaaprowidować się u sklepikarza, kiedy zwroty spadają do 2% albo, co gorsza, kiedy ich wcale nie ma, możecie powiedzieć, że to są spółdzielcy tylko z imienia. Widzieliśmy to w spółdzielni w Montpellier, o której wam już wspominałem; co prawda była to spółdzielnia mieszczańska. Widzieliśmy tam wielu naszych członków kolekcjonujących cenniki wszystkich sklepów spożywczych w mieście. Tak poinformowani przychodzili do nas kupować wyłącznie artykuły sprzedawane poniżej ceny dnia albo, co lepsza, jeżeli sprzedawane były ze stratą; ale wszystkie artykuły, które znajdowali gdzie indziej tańsze bodajby o jednego solda (często dlatego, że gatunek był niższy albo waga fałszywa), chodzili kupować do kupców.

Robili i gorzej. Pewnego razu chcieliśmy, aby nasi członkowie skorzystali z doskonałej okazji, jaką mieliśmy, nabywając jakieś mydło czy świece, co pozwalało nam sprzedawać tanio ten artykuł. Musieliśmy tego zaniechać, gdyż nasi członkowie przycho-

dzili nam zabierać towar nie tylko koszykami, ale wózkami, oczywiście dla odprzedaży.

A od dnia, w którym zwroty obniżyły się, widzieliśmy, że liczba kupujących u nas zmniejsza się w tym samym stosunku, i kiedy przyszły złe dni i puszczono w kurs pogłoskę o likwidacji, zobaczyliśmy w naszym biurze znaczną liczbę stowarzyszonych. Nie byli to nędzarze ale panowie w tużurkach, ci co przybiegali, po co? Ofiarować nam do dyspozycji fundusze—myślicie bez wątpienia. Niestety, bynajmniej — przybywali żądać w sposób stanowczy zwrotu swych udziałów. Nie mogłem się powstrzymać od poniżającego przypomnienia sobie, jak się to odbywało w innych krajach, i przyszła mi na myśl wzruszająca anegdota z historii stowarzyszenia Pionierów Roczdelskich. Było to w krytycznym momencie bytu tego słynnego stowarzyszenia; mówiono nawet o likwidacji i o ruinie. Ktoś mówi do biednej kobiety, która złożyła tam wszystkie swoje oszczędności: pośpieszcie się zabrać je. — „Dlaczego, odpowiada, wszystko, co mam, mam dzięki stowarzyszeniu, może mi je ono odebrać“.

Kiedy stowarzyszenie spółdzielcze ma kilku takich członków, może wyjść zwycięsko z każdego kryzysu. Ale jeżeli jego członkowie interesują się tylko zwrotami, upadnie wcześniej czy później. Zapamiętajcie sobie dobrze tę maksymę: zawsze kiedy spółdzielczość jest tylko interesem, jest ona złym interesem. Bo na tym terenie stowarzyszenia robotnicze będą bite zawsze przez przedsiębiorstwa kapitalistyczne: mogą je zwyciężyć tylko wtedy, kiedy ujawniają mniej zainteresowania dywidendami, kiedy mają więcej poczucia jakiejś sprawy, której trzeba bronić, kiedy wnoszą większy kapitał poświęcenia i wiary, które warte są więcej, jeśli chodzi



o spółdzielczość, niż kapitał pieniężny. Dlatego spółdzielnia ma większe powodzenie w środowisku robotniczym i socjalistycznym niż w środowiskach mieszczańskich, pomimo że warunki gospodarcze są tam bardziej sprzyjające.

Ale umysłowość indywidualistyczna ujawnia się nie tylko przez umiłowanie zwrotów. Jest ona jak diabeł zręczna w maskowaniu się i często dokonywa spustoszeń w spółdzielniach pod formą „miłości własnej“. I trzeba przyznać, że pod tą formą jest ona bardzo znana we Francji.

Każdy chce się „odróżnić“ od podobnych sobie, bodajby orderem, który jest pewnym sposobem powiedzenia za pomocą małej wstążeczki różowej czy różnobarwnej, którą się nosi na klapie ubrania: chciej pan nie mieszać mnie z innymi. W mowie, wypowiedzianej w Stowarzyszeniu Dziennikarzy w Londynie, znakomity powieściopisarz Zola wyjaśnił przewagę uczucia indywidualistycznego we Francji przez fakt, że u nas większość artykułów w dziennikach jest podpisana, podczas gdy w Anglii są one anonimowe i dziennikarz ukrywa się za pismem. Spostrzeżenie jest słuszne. U nas nie jest się skłonny do wyrzekania się dla jakichkolwiek powodów swojej małej osoby, do poświęcenia bodajby trochę czasu, energii, dobrej woli na korzyść jakiejkolwiek zbiorowości. I główną przeszkodą do łączenia się małych stowarzyszeń albo nawet do ich przystępowania do związków zakupów — jest to, że kierownicy nie chcą abdykować.

Duch indywidualistyczny jest przyczyną również akcji rozpraszającej, całkiem zgubnej. Czy chodziło o stowarzyszenia spożywców, czy związki robotnicze, czy nawet o stowarzyszenia zakładane dla działalności filantropij-

nej albo naukowej, zawsze widziałem, że każdy ciągnie w swą stronę, każdy podejrzewa swoich kolegów i gotów jest ich ekskomunikować. Mówi się o tym, że jest masonem, o tamtym, że chodzi do spowiedzi, o innym, że jest burżujem, jeszcze o innym, że jest kawalarzem, o ostatnim, że nic nie robi, nawet ambarasu — i w ten sposób, gdy siła odpychająca zastąpi siłę przyciągającą, wszystko rozsypuje się w proch. W stowarzyszeniu zostaje zaledwie jeden lub dwóch wiernych, którzy się nim zajmują, potem nikogo już nie ma, stowarzyszenie pozostawione jest wyłącznie swoim kierownikom płatnym i pewnego dnia widzi się, jak to było w Montpellier, że kierownik zabiera kasę... i równocześnie kasjerkę. Co za niespodziewana forma kooperacji. Nie chcę kończyć słowami zniechęcenia. Moglibyście mi powiedzieć, jak ten ktoś z komedii: „ciągle tu chodzi tylko o moją śmierć“. Jeżeli stowarzyszenia spożywców, którym się nie udało, są liczne, jest też dużo takich, którym się świetnie udało. Gdyby takich było tylko jedno na dziesięć, jedno na sto — a jest ich nieskończenie więcej — było by to dosyć, żeby nam zostawić nadzieję.

Niech więc przeciwnicy spółdzielczości przestaną nam wypominać upadki stowarzyszeń spożywczych albo produkcji jako dowód, że nasze marzenia są nieosiągalne. Tysiąc upadków nie dowiodłby, że spółdzielczość jest niemożliwością. Jedna jedyna, której się uda, dowodzi, że jest ona możliwa. Dlaczegoż by wszyscy ludzie nie zaczęli pewnego dnia robić tego, co udało się zrobić małej ich liczbie?

Pomiędzy nasionami, które natura rozsiewa po ziemi z okrutną rozrzutnością, zaledwie jedno na tysiąc, niekiedy jedno na miliard może wzejść; inne giną. Cóż



więc z tego? To jedno żdźbło nasienia, które wschodzi, wystarcza dla zachowania gatunku i jako dowód, że ziarno zawiera w sobie siłę życiową.

A wreszcie w dziedzinie moralnej nie ma zgoła nasion, któreby ginęły. Nawet stowarzyszenia spółdzielcze, które zginęły, nie umarły na próżno. Usłużyły one skutecznie sprawie spółdzielczej przez przestrogi, jakie nam pozostawiły, przez rafa, jakie nam pokazały, przez dobrą wolę, której były świadectwem. Nic z tego nie jest bezpożyteczne w dziele, które rodzaj ludzki wykonywa ciągle. Wierzę w to, że każde dobre dzieło, nawet nieudane, wcześniej czy później odradza się; myślę, że istnieje dla nich drugie życie, że te nawet, które wydają nam się martwe i pochowane na zawsze, wypuszczą gdzieś i kiedyś kielki dla niebiańskiego żniwa.

Za chwilę więc, kiedy będziemy z radością pili zdrowie triumfujących spółdzielni, proszę was nie zapomnieć oddać cześć martwym spółdzielniom: mają one prawo do naszej wdzięczności i nawet do naszych hołdów. *Gloria victis*. Chwała zwyciężonym.

V  
DWANAŚCIE  
ZALET SPÓŁDZIELCZOŚCI<sup>1</sup>

§ 1. *Lepsze życie.* — § 2. *Płacenie gotówką.* — § 3. *Oszczędzanie bez trudu.* — § 4. *Zniesienie pasożytów.* — § 5. *Zwalczanie sprzedaży napojów wysokowych.* — § 6. *Zdobycie kobiety dla spraw społecznych.* — § 7. *Kształcenie gospodarcze ludu.* — § 8. *Ułatwienie wszystkim nabywania własności.* — § 9. *Przywrócenie własności kolektywnej.* — § 10. *Ustalanie słusznej ceny.* — § 11. *Usunięcie zysku.* — § 12. *Zniesienie konfliktów.*

Pewnego dnia jakiś Anglik zrobił zakład, że będzie stał na Pont - Neuf w Paryżu, od ósmej rano do południa, proponując przechodniom wymianę złotego ludwika (20 fr.) na solda i że nikt się na to nie zgodzi. Rzeczywiście, każdy przechodzień, któremu ofiarował swoje złote sztuki za solda, wzruszał ramionami, mówiąc: „Trzeba mnie uważać za durnia, żeby myśleć, że dam się złapać na taki kawał“. Niektórzy grozili, że każą go aresztować jako oszusta. I Anglik byłby doprawdy wygrał swój zakład, bo południe było już bliskie, gdy na nieszczęście dla niego zbliżyła się jakaś niańka z dzieckiem, które na widok pięknych złotych sztuk zaczęło krzyczeć, żeby mu je dać. Na próżno niań-

---

<sup>1</sup> Ogłoszony w *Almanach de la Coopération Française* z roku 1894.



ka usiłowała je uciszyć — dzieciak krzyczał tak mocno, że w końcu dla świętego spokoju pocieszyła się, że koniec końcem chodzi tu tylko o stratę jednego solda.

Czytelnicy, oto historia spółdzielczości. Zamienić nędzę obecnej organizacji społecznej na organizację spółdzielczą, to wymienić solda na sztukę złota. Publiczność, spożywczy mają tu wszystko do wygrania, a co można by stracić? Nic, absolutnie nic, gdyż nawet przypuszczając, że spółdzielczość nie uczyni wam dobrze, pewne jest, że nie uczyni wam źle. Nie wszyscy fabrykaci systemów mogliby to powiedzieć o sobie. Ale powiedzcie to przechodniom. Śmieją się wam w nos i pytają, czy bierzecie ich za głupców, niektórzy nawet uważają was za nabieraczy.

Czytelnicy tego kalendarzyka, nie róbcie tak jak przechodnie z Pont - Neuf, którzy stracili dobrą okazję, uważając się za bardzo chytrych. Bądźcie raczej jak to małe dziecko, które samo jedno miało więcej dowcipu i wiary niż wszyscy razem: wierzyło w to, co mu mówiono. Krzyczało, dopóki nie dostało pieniędzy. Krzyczcie także, dopóki nie będziecie mieli spółdzielczości.

Wyliczymy wam jej zalety; liczymy ich dwanaście, bo tyle jest miesięcy w roku, ale gdyby ich było 13, bądźcie pewni, że nie trudno było by nam znaleźć trzy-nastą zaletę.

## § 1. LEPSZE ŻYCIE

Kładę tę korzyść na pierwszym miejscu, bo przede wszystkim trzeba zacząć od tego, że się żyje i jeśli można, dobrze się żyje. Zwłaszcza robotnik, który ma do wykonania ciężkie zadania fizyczne, potrzebuje podtrzymywać swe siły przez dobre odżywianie się, bar-

dziej niż rentier a nawet inteligent. Otóż właśnie on, który jest zmuszony kupować u małych kupców sprzedających mu na kredyt, musi wskutek tego spożywać wszystkie produkty zepsute, produkty, które by nawet trudno nazwać, a które są chwałą i zyskiem współczesnego handlu. Wina fabrykowane, kawa z nędznego grochu, masło z margaryny, cukier z sacharyny, pieprz ze śmieci, trująca wódka, wszystko to idzie do wielkiej gęby ludu ze szkodą dla jego żołądka i jego zdolności do pracy.

Spółdzielnia spożywców zapewnia mu produkty doskonałego gatunku z najlepszych źródeł. Czy dlatego, że jest bardziej uczciwa? Niewątpliwie, ale zwłaszcza dlatego, że nie ma interesu w oszukiwaniu, ponieważ sprzedaje samej sobie. Nie mówiąc już nawet o spółdzielniach angielskich, które za pośrednictwem swojej hurtowni wysyłają szukać bezpośrednio i na własnych okrętach — masła w Normandii a herbaty w Chinach, — moglibyśmy zacytować liczne spółdzielnie paryskie, które zamiast rozwadnianego albo alkoholizowanego wina, jakie sprzedają po szynkach, dają swoim członkom doskonałe wino, nabyte bezpośrednio po 30.000 hektolitrów od razu u właścicieli w Languedoc'u. Nawet jeżeli spółdzielnie nie są dość bogate, ażeby kupować bezpośrednio w miejscach produkcji, mogą co najmniej kupować hurtowo i polecając w razie potrzeby robić analizę, dać członkom pewność, której nie mogliby zdobyć innym sposobem.

Będą mogły nawet dostarczyć im komfortowych domów, co jest jednym z najistotniejszych warunków dobrobytu, komfortu materialnego i zadowolenia moralnego. Domów? Tak jest. Już teraz wiele angielskich stowarzyszeń spółdzielczych ma w swoich ma-



gazynach oddział budowlany, tak jak mają oddziały kapeluszy albo obuwia.

## § 2. PŁACENIE GOTÓWKĄ

Co za korzyść pan w tym widzi—spytacie, być może. Płacić gotówką jest często bardzo nieprzyjemne, a niekiedy nawet niemożliwe. To jest dobre dla bogacza, który potrzebuje tylko włożyć rękę do kieszeni, żeby dostać stamtąd pieniędzy, ale żądać od robotnika, żeby płacił gotówką, to zamykać przed nim drzwi sklepu.

Błąd, fatalny błąd. To bogaty, wręcz przeciwnie, może sobie pozwolić bez wielkiego niebezpieczeństwa na zakup na kredyt; biedny musi od niego uciekać jak od ognia. Zakup na kredyt dla niego to niewola w stosunku do kupca, który go trzyma, nie wypuści go więcej i korzysta z tego, żeby mu zbywać zepsute towary. To życie zatrute przez perspektywę rachunku, „który idzie” jak mówią — ach, jakże on idzie istotnie, tak szybko, że już nigdy nie można go złapać. To pokusa niepotrzebnych wydatków, na które się sobie pozwala, kiedy kupiec nie żąda gotówki i ogranicza się do dopisania jednego czy dwóch wierszy do rachunku. To konieczność przyjmowania z ręki kupca wszystkich odpadków z jego sklepu, gdy człowiek nie śmie ani skarżyć się, ani iść gdzie indziej. Człowiek zadłużony należy do swoich wierzycieli. Człowiek jedzący pożyczony mu chleb i wkładający na siebie niezapłacone ubranie, podobny jest człowiekowi żyjącemu z miłosierdzia: nosi łańcuch na szyi. A kiedy wkrótce kupiec się gniewa, zaczyna się życie pełne wstydu, skręcanie na ulicy ukradkiem, żeby nie przejść koło sklepu. I w dniu, w którym dług staje się zbyt natrętny, to przeprowadzka pokryjomu: dłużnik opuszcza dzielnicę

albo miasto. Ucieka bez ostrzeżenia jak złodziej i jest nim w rzeczywistości. Oto człowiek moralnie zdegradowany, człowiek, który tonie.

To jest nagle niebezpieczeństwo, gdyż wielka liczba kupców wyzyskuje dziś robotnika przez sprzedaż na kredyt, zwłaszcza kobiety wiejskie. Ukrywają oni olbrzymie podnoszenie cen przez małe raty wpłacane przez wiele lat. Nazywa się to „sprzedażą w abonamencie”. Nadchodzi moment, w którym robotnik nie może zapłacić nadchodzącej raty. Zajmują mu rzeczy, a wszystkie wpłacone już raty idą na marne.

Przeciwnie, płacić gotówką, to niezależność i wolność: oto pański towar, oto pańskie pieniądze. Z ręki do ręki. Żadnych długów, bo dług jest jedną z form niewoli.

Mówią nam, że robotnik nie może płacić gotówką, bo sam jest płacony w końcu dwutygodniówki. Dobrze, przypuśćmy, że mu się pomoże, dając mu zaliczkę dwutygodniową.<sup>1</sup> Ale jest to właśnie jeden z doskonałych skutków stowarzyszeń spółdzielczych — przez tę presję moralną, którą wywierają na swoich członków i przez przykład współtowarzyszonych nauczyć ich tego zbawiennego i męskiego zwyczaju nie kupowania czegośkolwiek, jeśli się nie ma w kieszeni pieniędzy.

### § 3. OSZCZĘDZANIE BEZ TRUDU

Kto mówi „oszczędzanie”, mówi „wyrzekanie się czegoś”, nie prawdaż? Czyż te dwa słowa nie są synonima-

<sup>1</sup> Sprzedaż na kredyt powinna być, naszym zdaniem, dopuszczona także w tych wypadkach, kiedy chodzi o kupno nowych mebli, niezbędnych dla zagospodarowania się nowożeńców. Najlepszym jednak w tych dwóch wyjątkowych wypadkach jest utworzenie obok spółdzielni stowarzyszenia pomocniczego pożyczkowego, które by pożyczalo członkowi sumę, niezbędną do zapłacenia gotówką w spółdzielni.



mi, a te dwie idee nie są nierozłączne? Czy może ktoś coś zaoszczędzić, nie wyrzekając się czegoś? Nie! nawet bogaty nie może tego uczynić, mniej nawet niż biedny. I to jeszcze, dla bogatego oszczędność jest wyrzeczeniem się nadmiaru, ale dla biednego czyż nie jest ona obciążeniem jakiejś koniecznej potrzeby, prawdziwą i bolesną amputacją?

A jednak stowarzyszenie spółdzielcze rozwiązało to zagadnienie nie do rozwiązania. Znalazło sposób stworzenia oszczędności bez wyrzekania się czegokolwiek, bez bólu, bez trudu, bez tego nawet, żeby korzystający z tej oszczędności spostrzegł się, że oszczędza.

Oto w jaki sposób. Za każdym razem, kiedy stowarzyszony dokonywa zakupu, zysk, który zwykły kupiec osiągnąłby na nim, przypuścmy 10%, zapisany jest na jego nazwisko i do jego książeczki, a w końcu roku czy kwartału, kiedy się reguluje rachunki, stowarzyszenie mówi mu: „Kupił pan za 700 franków towarów w naszym sklepie. Zyskałem na tym 70 franków, które pan nadpłacił: jest to pańska własność, zwracam ją panu, proszę mi wybaczyć.“ I oto nasz stowarzyszony staje się w końcu roku małym kapitalistą, a po 30 latach może być, jeżeli będzie zbierał swoje oszczędności na książeczkę — grubym kapitalistą. Czy zmniejszył przez to swoje spożycie? Bynajmniej. Im więcej wydawał, tym więcej — rzecz cudowna — zaoszczędzał, tak że można było powiedzieć w sposób dość dziwny, którego nie trzeba jednak brać całkiem dosłownie, że spółdzielczość realizuje oszczędności za pomocą wydatków.

I nawet w kilku krajach, w Anglii albo w Stanach Zjednoczonych, jednym z najbardziej ulubionych celów, na które obraca się zwroty od zakupów, jest budowa

domu albo nabycie go małymi ratami. W miastach angielskich jest dziesiątki tysięcy domów, które zbudowano w ten sposób. Tak po upływie 10 albo 15 lat spożywca znajduje się w posiadaniu domu zbudowanego... z czego? Ze swych oszczędności? Nie, z wyniku swych wydatków. Zbudował dom, jedząc.

#### § 4. ZNIESIENIE PASOŻYTÓW

Nasza organizacja społeczna jest nadzwyczajnie skomplikowaną maszyną. Bez wątpienia wolno ją podziwiać, jak się podziwia te zegary, które pokazują nie tylko dzień i godzinę, ale miesiące, kwadry księżyca, dni świąteczne i lata przestępne. Ale te zegary kosztują bardzo drogo i psują się łatwo, to też na potrzeby codzienne każdy woli zwykły zegarek. Dokładnie tak samo jest z naszym mechanizmem społecznym: kosztuje drogo i stale się psuje. Wobec tego było by bardzo pożyteczne uprościć go.

Chciecie dowodu? Patrzcie na przykład, przez ile rąk przechodzi butelka zwyczajnego wina, zanim dostanie się do piwnicy spożywcy. Właściciel winnicy z Południa sprzedaje je przy pomocy pośrednika kupcowi win w Nîmes, Beziers albo Montpellier, który je odprzedaje przy pomocy innego pośrednika hurtownikowi win burgundzkich albo Bercy, który odprzedaje je półhurtownikowi, który sprzedaje je szynkarzowi, który sprzedaje je spożywcy. Spożywca zapłacił za nie 60, 70 albo 80 centymów za litr, a jego pieniądze odbywają tę samą drogę z powrotem, wracając od szynkarza do trzeciego kupca, później do drugiego, później do pierwszego, żeby dojść nareszcie do rąk właściciela winnicy. Ale ten dostaje już tylko 16 centymów; reszta pozostała po drodze.



Czy widzieliście pożar w miasteczku, w którym nie ma pompy, i jak go się gasi? Robi się łańcuch; wiadro przechodzi z ręki do ręki i przy każdej ręce, przez którą przechodzi, traci trochę wody. Kiedy dochodzi nareszcie do rąk ostatniego, który powinien wylać wodę na ogień, wiadro jest już puste. Mechanizm handlowy jest równie zacofany jak system łańcucha przy pożarze: marnotrawi trzy czwarte wartości rzeczy i rujnuje równocześnie spożywcę, każąc mu kupować zbyt drogo, i producenta, zmuszając go do sprzedawania zbyt tanio — nie mówiąc już o pośrednikach, którzy często są skazani na upadłość właśnie dlatego, że jest ich zbyt wielu.

Stowarzyszenie spółdzielcze usuwa wszystkie te zbyteczne kółka; pozwala ono dojść najbardziej prostymi drogami towarom z rąk producenta do rąk spożywcy, a pieniądзом odwrotnie—z rąk spożywcy do rąk producenta — albo pod formą stowarzyszeń spółdzielczych, w których spożywcy kupują bezpośrednio swoje wina u właściciela winnic, albo pod formą spółdzielni rolniczych, w których właściciele sprzedają swoje wino bezpośrednio publiczności. I tak samo co się tyczy wszystkich innych produktów.

Organy przeprowadzające powinny być zredukowane do minimum, gdyż przez tarcie pochłaniają one niepotrzebnie żywą siłę. Jest to zasada mechaniki, jest to również zasada ekonomii politycznej.

#### § 5. ZWALCZANIE SPRZEDAŻY NAPOJÓW WYSOKOWYCH

Wszędzie, gdzie w naszych miastach buduje się nową dzielnicę, można być pewnym, że zanim jeszcze domy będą skończone, zobaczymy urządzające się na najbar-

dziej widocznym rogu, pod najpiękniejszą fasadą, na miejscu honorowym jeden, dwa, trzy wyszynki alkoholu, tyle, ile ich się tam może pomieścić. Zobaczymy tam wypisane błyszczącymi złotymi literami *Bar pod Ojczyzną* albo *Bar pod Republiką*, z dodaniem barw narodowych. Mer Bordeaux, p. Baysse, zakazał handlarzom win używać jako szyldu barw Francji; źle na tym wyszedł, bo nie został ponownie wybrany. To są prawdziwe potęgi te szynki; nie tylko sprzedaje się tam niebezpieczne trunki, które niezadługo dadzą nam generacje epileptyków i idiotów — gromadzi się tam także lud, otrzymując rozkazyienne w dniach strajku i bezrobocia; tam to na cynku, w wyziewach absyntu i oparach alkoholu wybiera się reprezentantów ludu, formuje się i obala rządy. Jest takich szynków we Francji około 400.000; w niektórych miastach Północy i Normandii liczą jeden szynk na 10 dorosłych mieszkańców.

Istnieją dziś nawet bary z automatami, takimi jak te, które na dworcach kolejowych wydają tabliczki czekolady: wsuwacie dwusoldową monetę w szparę i podsuwacie swój kieliszek: kran otwiera się i kieliszek napełnia się absyntem; można to powtarzać bez końca. Jest to alkoholizm zmechanizowany. Oszczędza on wam nawet wstydu czerwienienia się przed kelnerem.

Niestety, nie widzi się w naszych miastach tylu szynków stowarzyszeń spółdzielczych; nie ma ich 400.000, jest ich zaledwie tysiąc. Nie zajmują one miejsc honorowych, nie błyszczą złotymi literami, ale ukrywają się pokorne i biedne po skromnych ulicach; a jednak najlepszą odtrutką przeciwko mnożeniu się szynków było by rozmnażanie spółdzielni spożywców. To zabije tamto, jeśli będziemy mocno chcieli. Robotnik będący



członkiem spółdzielni spożywców przestanie być klientem handlarzy win — najlepszym tego dowodem jest, że ci kupcy nas tak nie cierpią. Spółdzielca nabywa swój litr wina, cydru czy piwa w sklepie i przynosi go do domu, żeby go wypić z rodziną. Stowarzyszenie spółdzielcze otwiera mu także niekiedy swoją salę zebrań, swój gabinet, swój ogródek, gdzie może spożywać ze swoją rodziną albo ze swymi przyjaciółmi. Tam wie, że nie naraża się na otrucie, wie też, że nie będą go namawiać do wydatku i że zaoszczędzi co najmniej solda na każdej filiżance kawy, którą wypije.

W Szwecji i Norwegii sprzedają napojów alkoholowych zajmują się jedyne stowarzyszenia filantropijne, a urządzają się one w ten sposób, żeby zniechęcić klientów jak najwięcej do picia. Jakże pięknym byłby dzień, w którym stowarzyszenia spółdzielcze zaczęłyby odgrywać tę samo rolę we Francji. W Belgii stowarzyszenia spółdzielcze, prawie wszystkie socjalistyczne, przyjęły za regułę nie sprzedawać alkoholu.

#### § 6. ZDOBYCIE KOBIET DLA SPRAW SPOŁECZNYCH

Kobiety z wyjątkiem niektórych spraw głośnych nie interesują się dużo sprawami społecznymi. Socjalizm, komunizm, międzynarodowość, a nawet prawo do pracy, solidaryzm, emancypacja kobiety, wszystkie te abstrakcje nie mówią im nic jasnego, nic dobrego. Kobieta kocha swoje dzieci, swego męża, lubi swoje gospodarstwo, swoje meble i szuka szczęścia — znajduje je niekiedy — wewnątrz tego widnokregu, który dotyka ręką.

Stowarzyszenie spółdzielcze nie jest jednak abstrakcją: powinniśmy, zdawało by się, interesować kobietę więcej niż mężczyznę, gdyż jest ona z nim w bardziej ścisłym związku. Przy tym podziale funkcji, jaki wy-

twarza różnica płci, dziedziną mężczyzny jest wytwórczość, kobiety — spożycie, gdyż ona to czyni zakupy. Właściwością jednego jest narzędzie, drugiego — koszyk. Spółdzielczość jest związana z biegiem spraw w gospodarstwie. A jednak kobiety okazują się, w początkach przynajmniej, na ogół wrogami sklepów spółdzielczych.<sup>1</sup>

Zakłady te, mając na ogół skromne wystawy, zobowiązujące je często iść dość daleko od domu i w których trzeba jeszcze czekać w kolejce, zanim się będzie załatwioną, gdzie nie można targować się i doznawać słodkiej iluzji, że się kupca „nabrało“, gdzie nie ma się czasu pogawędzić ani pozwolić na prawienie sobie duserów — wszystko to mocno im się nie podoba. Wiele stowarzyszeń spółdzielczych upadło z winy kobiet. A przecież to od nich w znacznej mierze zależy rozwój lub niepowodzenie spółdzielczości. Od ich dobrej woli i od ich stałości w posługiwaniu się sklepem spółdzielczym zależy wyłącznie jego powodzenie.

Ale cierpliwości. W dniu, w którym one zrozumieją, że ten sklep jest odmienny od innych przez to, że zyski zamiast należeć do kupca, należą do kupującego, będą już nawrócone. A jeżeli sklep potrafi się przekształcić, jak to widzieliśmy w Marsylii albo gdzie indziej, w salę zabaw, zgromadzeń, tańców lub koncertów, w której kobieta może przepędzić wieczór ze swoim mężem i córkami, zrozumie ona bardzo dobrze, że jest to ognisko, które nie gasząc ogniska rodzinnego może je uzupełniać. A gdyby stowarzyszenie miało dobry pomysł — muszę powiedzieć, iż obawiam się, że żadne z nich jeszcze go nie miało — wybierać ko-

---

<sup>1</sup> Patrz w tej sprawie *Wrogowie spółdzielczości*.



biety do swojego zarządu i powierzać im część prowadzenia przedsiębiorstwa i nadzór sklepu, zaczęłyby się one tam czuć doskonale i „prawa kobiet“ mogłyby być wykonywane w najbardziej pożyteczny sposób — póki to nie nastąpi w radzie miejskiej albo Izbie Deputowanych.

Ostatecznie nie trzeba zapominać, że pierwsze zrzeszenie spółdzielcze, jakie istniało na świecie, było to „gospodarstwo domowe“ i że pomimo kilku niepowodzeń kobietom wiodło się w nim niezgorzej. Umiały zdobyć tam faktycznie, jeżeli nie prawnie, znaczny wpływ, niekiedy przeważający. Może właśnie dlatego, że im się tam tak udało, nie chciały z niego wyjść. Ale ich działanie powinno teraz promieniować na zewnątrz tego małego zrzeszenia we dwoje, ażeby z równym powodzeniem dokonywać się w spółdzielni, gdyż jest ona tylko powiększonym gospodarstwem domowym.<sup>1</sup>

## § 7. KSZTAŁCENIE GOSPODARCZE LUDU

Jeżeli lud chce dojść do roli, do której dąży, a więc do zastąpienia klas kierujących, pierwszym warunkiem do spełnienia jest zdobycie wiadomości niezbędnych do wzięcia w ręce zarządu gospodarką. Dobrze to jest mówić, że właściciel, kapitalista i przedsiębiorca są tylko pasożytami; nie przeszkadza to, że w dniu, w którym by oni nagle zniknęli, maszyna gospodarcza podległaby szczególnemu zepsuciu. Kiedy się powtarza, że

---

<sup>1</sup> W Anglii w 1884 założono Ligę Kobiet dla propagandy i kształcenia spółdzielczego, która dziś liczy 80.000 członkiń i która zajęła wybitne miejsce w angielskim ruchu spółdzielczym. Podobna Liga założona została we Francji w 1903, ale nie utrzymała się przy życiu. (*Przyp. aut.*). Dziś Ligi Kooperatystek istnieją już wszędzie, u nas od 1935 roku. (*Przyp. tłum.*).

tak samo jak mieszczaństwo zrobiło swoją rewolucję w 1789, lud musi zrobić swoją pod koniec tego stulecia, zapomina się, że mieszczaństwo było w 1789 dojrzałe od dawna do zastąpienia szlachty — zużyło na swoją edukację od epoki gmin pięć stuleci — podczas gdy dziś lud nie jest gotowy do zastąpienia mieszczaństwa.

Jest to rozumiane tak dobrze, że we wszystkich programach rewolucyjnych umieszcza się całkowite wykształcenie ludu. To całkowite wykształcenie to żart: nikt go nie posiada i nigdy nie będzie posiadał. Nie jest potrzebna do wykonywania przez lud zarządu gospodarczego znajomość rachunku całkowitego ani paleografii, ale niezbędne jest, żeby lud znał obchodzenie się z kapitałem, rolę pieniędzy, moc i niebezpieczeństwa kredytu; niezbędne jest, żeby nabył praktyki w prowadzeniu interesów i znajomości ludzi. Gdzie może nauczyć się tego lepiej, niż w zrzeszeniach spółdzielczych?

Przed wszystkim, edukacja *gospodarcza* ściśle wzięta: zakładać przedsiębiorstwa, prowadzić je, szukać zbytu, znajdować zdolnych ludzi, a znalazłszy ich być im posłusznym, cenić wartość zdobytego bogactwa, nauczyć się porządku i oszczędności, sporządzać budżet. Potem edukacja *moralna*, która istnieje również w spółdzielniach: przyjmować bez szemrania złe wypadki, ścisnąć szeregi w chwilach niepomyślnych, wierzyć w swoją sprawę, przeciwdziałać wysuszającemu nas indywidualizmowi, nauczyć się zajmować nie tylko swoimi interesami ale i cudzymi, wygnać kłamstwo w postaci reklamy i oszustwo w postaci fałszowania produktów, złą wagę, kości dorzucanych nadmiernie do mięsa pod nazwą „dokładki“, brudnej wody, nasy-



cającej źle wypieczony chleb; nabyć poczucie honoru handlowego, który jest niczym innym niż dokładnością w wypełnianiu swoich obietnic, a na naszych kongresach międzynarodowych nauczyć się uważać za braci nawet delegatów krajów uważanych za dziedzicznych wrogów — oto minimum tego, czego mogą nauczyć się członkowie każdego zrzeszenia spółdzielczego, któremu się powiodło, a powiedzie mu się wtedy, kiedy członkowie zdobędą te wiadomości.

Spółdzielczość jest również potężnie kształcącą i umoralniającą przez wysiłek, jakiego od nas wymaga. Jest ona realizacją powiedzenia, które twierdzi: „Nigdy nie jest się lepiej obsłużonym niż przez siebie samego“. Trzeba przecież przyznać, że podział pracy — taki jak go stosujemy w społeczeństwach współczesnych — jest trochę szkołą lenistwa. Tak, zapewne, przyjemnie jest co rano, wyskakując z łóżka, znaleźć położoną na stole naszą ciepłą bułeczkę, a otwierając swój dziennik — gotową opinię bez potrzeby niepokojenia się tymi, którzy upiekli bułkę, ani tymi, którzy zajmują się kuchnią polityczną. Zapewne, wygodnie jest mieć ludzi, którzy za nas rządzą, ludzi, którzy się za nas biją, ludzi, którzy za nas myślą, którzy modlą się do Boga albo pokutują za nas — tak samo jak bardzo wygodnie jest mieć liczną służbę. Ale słusznym obrotem rzeczy ziemskich nasza służba staje się naszym panem: krawcy narzucają nam swoje mody, piekarze oszukują nas na wadze chleba, restauratorzy nabawiają nas chorób żołądka, dziennikarze zatruwają nas również fałszywymi wiadomościami. Wszyscy materialni i niematerialni producenci wyzyskują spożywcę, który przez długoletni zwyczaj podziału pracy odzwyczaja się pomału od używania swoich organów i staje

się niezdolnym do pełnienia swej prawdziwej funkcji, określonej przecież przez powiedzenie tak pełne wyrazu, choć dziś wydaje nam się ono śmieszne: „dawać zlecenia“. Do tej wysokiej funkcji powróci on tylko pod warunkiem zajęcia się swoimi potrzebami i środkami do ich zaspokojenia i do zorganizowania się w tym celu. Przez to właśnie spółdzielczość jest istotnie aktem wyzwolenia, najlepszym bowiem sposobem nauczania się rządzenia sobą samym jest rozpoczęcie od obsłużenia siebie samego.

Zasadą wszystkich stowarzyszeń utworzonych na wzór Rochdale'u jest zatrzymywanie ze swoich zysków jakiegoś procentu (Pionierzy określili go na  $2\frac{1}{2}\%$  od nadwyżki) na utworzenie funduszu na kształcenie. Fundusz ten służy do organizowania konferencji, prawdziwych kursów, niekiedy z egzaminami, w każdym razie sal na czytanie, rysowanie, muzykę, gimnastykę, wszystko, czym ludzie mogą się zajmować. A do czegoż może służyć wszelka reforma społeczna, jeżeli nie służy przede wszystkim do kształcenia ludzi?

#### § 8. UŁATWIANIE WSZYSTKIM ZDOBYCIA WŁASNOŚCI

Wielką jest to dla człowieka radością móc powiedzieć: moja ziemia, mój dom, mój ogród, moje papiery procentowe — radość, która nie jest proporcjonalna, jak się to sądzi, do wielkości domu, ogrodu albo ilości papierów procentowych; radość zresztą najzupełniej uprawniona, jeśli chodzi o dobra zdobyte pracą, radość, która niewątpliwie odpowiada najgłębszym instynktom naszej natury, czego dowodem są wysiłki, czynione przez ludzi przez wszystkie czasy dla jej zdobycia.



Tymczasem kolektywiści chcą, jeżeli nie znieść, to przynajmniej obciąć ten element szczęścia, który zajmuje tak wiele miejsca w egzystencji człowieka. W ustroju, którego sobie życzą, nie będzie już własności z wyjątkiem spożycia, ale bez wyjątków dla ziemi lub domu: żadnych kapitalistów, ani małych ani wielkich. A dlaczegoż to? Własność indywidualna jest, mówią nam, formą monopolu, środkiem do wyzyskiwania innych. Być może, ale czyż nie można znieść nadużycia, nie znosząc samej rzeczy? Czyż celem reform społecznych nie powinno być raczej zwiększenie niż zmniejszenie sumy szczęścia, jakie można obecnie osiągnąć na tym świecie? Nie ma go tak wiele.

To jest właśnie wyższością spółdzielczości. Jej celem jest nie zniesienie własności indywidualnej, ale udostępnienie jej dla wszystkich. Przez spółdzielnię twórców dąży ona do uczynienia robotników współwłaścicielami warsztatów, maszyn i narzędzi produkcji. Przez spółdzielnię budowlaną dąży do uczynienia robotników właścicielami domów. Ale przez spółdzielnię spożywców nie tylko czyni robotników współwłaścicielami ich udziałów i oszczędności, ich sklepów, ale ewentualnie współwłaścicielami fabryk założonych przez te sklepy i folwarków nabytych dla nich na ich potrzeby.

Wtedy, jak zapowiada Fourier, ludzie będą mówili: nasza ziemia, nasz dom, nasz sklep, nasza fabryka i jeżeli wypowiadając ten piękny zaimek dzierżawczy zbiorowy, *My*, którego używają wszystkie majestaty, mogą odczuwać tę samą radość, jaką dawniej odczuwali używając osobistego zaimka dzierżawczego: *moja* ziemia, *mój* dom, to jedno słowo stwierdzi, że dokonał się wielki postęp moralny.

Co więcej, rozpowszechniając w ten sposób własność, spółdzielczość ma nadzieję, że zatrzymując jej dobrodziejstwa, osłabi jej szkodliwe skutki. W dniu, w którym Republika Spółdzielcza, o której się marzy, byłaby całkowicie zrealizowana, zobaczono by wielkie towarzystwa kopalń albo ubezpieczeń, wielkie banki, wielkie sklepy, wielkie fabryki, być może nawet pewnego dnia wielkie gospodarstwa rolne, jednym słowem wszystko, co w obecnym ustroju dąży do nabycia formy spółki akcyjnej. Nie przeszkadzało by to wielkiej produkcji, ale zamiast pozostawać w rękach wielkich przedsiębiorców, wielkich kapitalistów, znalazłaby się ona w rękach małych właścicieli i zrzeszonych małych kapitalistów.

A wynikało by z tego, że własność w społeczeństwie, w którym spółdzielczość byłaby jedyną formą gospodarczą, nie mogłaby reprezentować tak nadzwyczajnych nierówności, jak to ma miejsce dzisiaj. Dlaczego? Gdyż dzisiaj, kiedy każde nowe bogactwo dołączane jest jako dywidenda do poprzednio istniejącego, staje się ono obrastającą kulą śniegu. A w stowarzyszeniach spółdzielczych — czy są to stowarzyszenia produkcji, spożywców czy kredytu — zyski nigdy nie są dzielone w stosunku do kapitału—akcji, ale w stosunku do pracy albo spożycia, a podzielone zwroty nie będą mogły wytworzyć pomiędzy jednym stowarzyszonym a drugim tak ogromnych nierówności. Innymi słowy, w ustroju powszechnej spółdzielczości wyschnie źródło wielkich fortun.

#### § 9. ODBUDOWANIE WŁASNOŚCI ZBIOROWEJ

A jeżeli spółdzielczość pomnaża własność indywidualną, tworzy ona również własność zbiorową. Te dwa



cele wydają się sprzeczne. Bynajmniej: w spółdzielniach, które są naprawdę spółdzielniami, istnieje zawsze nieosobowy fundusz, tworzony stopniowo przez potrącenia ze zwrotów. I trzeba, żeby to dziedzictwo zbiorowe rosło razem z rosnącą spółdzielnią.

Dawniej, w pierwotnych cywilizacjach, było znaczne bogactwo zbiorowe, bardzo cenne dla biednych, którego wielu ekonomistów żałuje dziś jeszcze, którego ślady pozostają po naszych wsiach pod nazwą własności gminnej i które w niektórych kantonach szwajcarskich zachowało jeszcze znaczne rozmiary. W średniowieczu korporacje robotnicze, a zwłaszcza kongregacje religijne tworzyły zbiorową własność, która była piętnowana jako dobra „martwej ręki“, i którą pomału odciągano od jej właściwych celów, aż puszczona została w obrót przez rewolucję. Czy trzeba się z tego cieszyć? Być może, ale tylko dlatego, że trwały one bezpłodne albo używane były w sposób szalony.

Trzeba je jednak przywrócić. Wszystkie zakłady tak zwane użyteczności publicznej, tak mnożące się codziennie, dobroczynne fundacje, towarzystwa naukowe, biblioteki, uniwersytety itd. dążą do odbudowania wspólnych własności. W ten to sposób Buchez, założyciel pierwszej spółdzielni wytwórczej, i Raiffeisen, założyciel pierwszego stowarzyszenia kredytu rolnego, chcieli poświęcać całość zysków stworzeniu niepodzielnego i wieczystego funduszu. Nie udało im się to. Ale spółdzielnie spóżywców będą mogły stać się narzędziem tego powrotu do dawnego stanu, gdyż same jedne ze wszystkich wyżej wymienionych stowarzyszeń osiągają zyski i mogą do nieskończoności powiększać swoje fundusze rezerwowe: fundusze oświatowe, fundusze pomocy, fundusze wytwórczości. W ten sposób członkowie

tych stowarzyszeń mogą oszczędzać nie tylko dla siebie, ale i dla wszystkich, również i dla przyszłych pokoleń. Oszczędzanie osobiste jest dobre, ale oszczędzanie zbiorowe jest lepsze.

Tak zobaczymy odradzającą się w dwudziestym stuleciu nową formę dóbr martwej ręki: martwa ręka cywilna. Wiem dobrze, że to słowo jest odrażające: częściowo wskutek wspomnień historycznych, które wywołuje i które wydają się przestarzałe, częściowo wskutek samej nazwy która przestrasza, gdyż zdaje się wywoływać upiory i sadzać zmarłych na bankiecie żyjących. Ale tu chodzi po prostu nie o przedłużanie praw zmarłych, tylko wręcz przeciwnie, o utworzenie własności *nieśmiertelnej*, znajdującej się ponad naszymi efemerycznymi egzystencjami i przeznaczonej do służenia interesowi powszechnemu i stałemu.

#### § 10. USTANAWIANIE SŁUSZNEJ CENY

Ekonomiści mówią nam, że nie ma co mówić o cenie słusznej albo niesłusznej: cena przedmiotu jest określona przez prawo popytu i podaży i wysoka czy niska jest tym, czym być powinna: każdy przedmiot wart jest tyle, ile go płacą. Ale sumienie twierdzi, że istnieje słuszna cena rzeczy: ta, która jest wytarczająca dla przyzwoitego wynagrodzenia wszelkiej pracy, wykonanej dla wyprodukowania ich, licząc w tym oczywiście pracę zarządu i wszystkich przygotowawczych prac umysłowych, wchodzących w koszty ogólne produkcji narodowej — ale nie więcej. Wszystko, co nam liczą ponad to, jest zwyżką bez przyczyn gospodarczych i bez usprawiedliwienia.

Otóż obecna organizacja gospodarcza nie zapewnia nam bynajmniej tej słusznej ceny. Z jednej strony wi-



dzimy mnóstwo rzeczy, sprzedawanych po cenach skandalicznie wyższych od ich realnej wartości, gdyż zysk zebrany przez pośrednika jest często pięć lub sześć razy wyższy niż wartość roboty producenta. Na odwrót, widzimy wiele artykułów sprzedawanych po cenach tak tanich, że dla pracownika, który je wykonał, nie pozostaje nic dla utrzymania się przy życiu. Widziałem w okresie pierwszych komunii, jak sprzedawano w sklepach paryskich kompletny kostium w cenie 10 franków—spódniczkę, kaftanik, pasek, welon, rękawiczki, buciki; i dużo artykułów bieliźnianych sprzedawane jest po cenach podobnych. Kupująca je klientka zaciera sobie ręce, mówiąc: zrobiłam dobry interes. Ale nieszczęsna pracownica, która pracując 14 albo 15 godzin dziennie dla sporządzenia ich po tej śmiesznej cenie, straciła przy tym oczy i płuca, nie zrobiła dobrego interesu. Jasne jest, że gdyby klienci mieli świadomość swoich obowiązków społecznych, gdyby posiadali wiadomości potrzebne do ocenienia słusznej wartości rzeczy, powinni by odmówić nabywania artykułów reprezentujących ciało i krew istot ludzkich. Wielu spożywców, nie tylko z klasy mieszczańskiej, ale i z klasy robotniczej, staje się w ten sposób moralnie odpowiedzialnymi za wyzyskiwanie swych braci i siostr.

Otóż, spółdzielcze stowarzyszenia spożywców uczynią to, czego dzisiejsi spożywcy nie mogą czy nie chcą uczynić. Będą przyjmowały i sprzedawały tylko artykuły, których wartość wystarczy do zapłacenia sporządzającego je robotnika. Będzie to dla nich dużo łatwiejsze w dniu, w którym rozwiną się dostatecznie, aby móc produkować same, we własnych warsztatach i własnymi środkami, większość artykułów, które puszczają w obieg. Nie mogłyby się wówczas tłumaczyć, że nie

znają ilości pracy potrzebnej do wyprodukowania tych artykułów i słusznej ceny, po której trzeba je sprzedawać.

Nie będą korzystały też z potrzeb, które cisną spóżywcę, żeby domagać się od niego „pieniędzy albo życia“ (ekonomiści nazywają to prawem popytu i podaży), ani przeciwnie, nie będą korzystały z takiej dobrej okazji, która by mogła napęłnić jego kieszeń tak, że nie wie, co robić z pieniędzmi.

#### § 11. USUNIĘCIE ZYSKU

Zysk w naszej organizacji gospodarczej jest jedyną sprężyną produkcji. Jeżeli chodzi o jakiegokolwiek przedsięwzięcie: karczowanie nieużytków, organizowanie nowych gałęzi przemysłu, budowanie domów, kopanie kanału albo przeprowadzanie drogi żelaznej — jedyną kwestią, jaką się stawia, nie jest zapytanie, czy te przedsięwzięcia zaspokajają lub nie potrzebę publiczną, tylko czy przyniosą dochód. Niewątpliwie ekonomiści mówią, iż sam fakt, że przedsiębiorstwo przynosi dochód, dowodzi niewątpliwie, że zaspokaja ono potrzebę publiczną i odwrotnie; ale to nie zawsze jest prawdą. Zbudowanie wielkich kanałów irygacyjnych, związanych z Rodanem byłoby bardzo pożyteczne dla produkcji rolniczej wszystkich departamentów południowego wschodu Francji, ale ponieważ nie jest pewne, czy przedsiębiorstwo przyniesie dochód, nie przystępuje się do jego wykonania<sup>1</sup>. Było by bardzo pożytecznym budować w miastach mieszkania dla robotników, ale ponieważ domy mieszczańskie dają pewniejszy i łatwiejszy do osiągnięcia dochód, nie buduje się mieszkań robotni-

---

<sup>1</sup> Do dziś dnia nie przystąpiono do tych prac.



czych. Tak samo z wieloma innymi przedsiębiorstwami, które społecznie byłyby bardzo pożyteczne, ale do których nie przystępuje się, gdyż nie dałyby dostatecznego dochodu przedsiębiorcom albo akcjonariuszom.

Wskutek tego zysk, zamiast działać jak sprężyna i podnieść produkcji, działa często wręcz przeciwnie, jako hamulec, który ją wstrzymuje, przeszkadzając w funkcjonowaniu poniżej pewnej granicy.

Otóż istotą zrzeszenia spółdzielczego w odróżnieniu spółki kapitalistycznej jest *zajmowanie się zaspokajaniem potrzeb, a nie zyskami, jakie można osiągnąć*. W tej prostej zmianie pojęć mieści się ni mniej ni więcej tylko rewolucja.

Bez wątpienia w rzeczywistości zainteresowanie się zyskiem żyje dalej i wyraża się w niecierpliwym oczekiwaniu zwrotów od zakupów, rozdzielanych co kwartał. Nie jest więc ono z korzeniem wyrwane z serca spółdzielców, jest w nich nawet przez niektóre stowarzyszenia kultywowane. Ale rozdział tych zwrotów jest jednak całkiem odmienną ze swej natury operacją niż podział dywidendy, ponieważ zwraca on tylko kupującym część tego, co nadpłacili. Nie jest on bynajmniej celem stowarzyszenia, ale środkiem (którego wartość moralna może być co prawda dyskutowana) do przyciągnięcia i zatrzymania zwolenników, których edukacji spółdzielczej trzeba dopiero dokonać.

Powiedzą mi bez wątpienia: ależ w dniu, w którym nie będą już mieli widoków na zyski, pocóż by pracowali? — Będą pracowali dla zaspokojenia swoich potrzeb. Czyż to nie jest motyw wystarczający? <sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Więcej szczegółów w tej sprawie w konferencji *Zniesienie zysku*.

## § 12. ZNIESIENIE KONFLIKTÓW

Świat, na którym żyjemy, jest widownią nieustających zatargów, wynikających nie tylko z wrodzonych naturze ludzkiej instynktów, ale także i z organizacji gospodarczej. Organizacja ta rzuca przeciwko sobie jako antagonistów przedsiębiorcę i robotnika, wierzyciela i dłużnika, właściciela domu i lokatora, kupca i klienta. Wiąże ich ze sobą parami, ale w sposób tak okrutny, że tracą swój czas na rozszarpywanie się, a jednak nie mogą się rozłączyć.

Spółdzielczość dopiero zajmuje się każdą z tych par, przekształca pojedynek na małżeństwo.

Przez stowarzyszenie wytwórcze robotnik staje się swoim własnym przedsiębiorcą: nie może nienawidzić siebie samego ani samemu sobie robić strajku. Przez stowarzyszenie kredytowe pożyczający staje się swoim własnym wierzycielem: ponieważ stowarzyszeni pożyczają sami sobie, nie ma obawy, żeby, jak Żyd Szajlok, zażądali tytułem zastawu kawałka własnego mięsa. Przez stowarzyszenie budowlane lokator staje się swoim własnym gospodarzem; jako członek stowarzyszenia płaci sobie samemu komorne, nie wyrzuci więc siebie za drzwi. Przez stowarzyszenie spożywcze spożywca staje się własnym dostawcą, sprzedaje sobie samemu; cena jest zbyt wysoka? — jęczy może jako nabywca, ale zaciera sobie ręce jako kupiec; cena jest zbyt niska? — żałuje, że nie będzie miał zysków jako sprzedawca, ale pociesza się, robiąc oszczędności jako nabywca. Tak znika przez spółdzielczość wszelki konflikt interesów, wszelka dysputa z tej dobrej racji, że nie można się z samym sobą kłócić. To więcej niż związek między nieprzyjaciółmi, to ich zlanie się.



„I walka ustała dla braku walczących“, jak mówi Corneille, z tą godną uwagi różnicą, że jeśli nie ma walczących, to nie dlatego, że wszyscy są zabici, tylko że pogodzili się.

Uspokajająca działalność spółdzielczości rozpościera się daleko poza krąg, w którym działa. Jak oliwa, której wystarczy wylać kilka kropel na burzliwe morze, żeby zobaczyć powiększające się koło spokoju i opadające fale — tak samo spółdzielczość, rozpowszechniona w kraju na wszystkie przedsiębiorstwa produkcji, zniosłaby zajądlą konkurencję, z jaką walczą pomiędzy sobą i jaka je pożera; a rozszerzając się dalej jeszcze, w kole międzynarodowym, zniosłaby wojny celne, gdyż wszystkie stowarzyszenia spółdzielcze hołdują wolnej wymianie.

Spółdzielczość sprowadzi nie tylko zniesienie konfliktów gospodarczych i handlowych, ale, być może, także politycznych i wojennych. Było to ambicją ekonomistów ze szkoły liberalnej, ze szkoły manchesterskiej. Przepowiadali panowanie wolnej wymiany, a co za tym idzie, panowanie pokoju. Ale jesteśmy równie dalecy od jednego jak od drugiego i gdyby Cobden, John Bright powrócili na świat, byłiby w rozpacz, widząc granice wszystkich krajów najeżone barierami celnymi i armatami, morza pokryte pancernikami i nawet Anglię wydającą na wojsko i flotę cztery razy więcej niż wydawała za ich czasów <sup>1</sup>. I ci heroldzi pokoju społecznego i pokoju między narodami, widząc swoje marzenia dwukrotnie zawiedzione, wróciliby pod ziemię.

Ale oto inna szkoła, nie wielkich kupców, ale biednych robotników, zrodzona w małej mieścinie nieopodal Manchesteru, wróciła do tych samych marzeń o zje-

---

<sup>1</sup> O ileż więcej dzisiaj!

dnoczeniu wszystkich ludzi dobrej woli na świecie i tam, gdzie nie udało się wielkim kupcom manchester-skim, udało się skromnym robotnikom roczdelskim. *Międzynarodowy Związek Spółdzielczy*, ich dziecko dopiero co urodzone, będzie miało swój sztandar, którego barwami będzie siedem barw tęczy<sup>1</sup> jak barwy falansterczyków — różność w jedności. A zamiast orłów, lwów, leopardów i całej tej menażerii dzikich bestii, które służą za godła państwom zwanym „cywilizowanymi“ zatknie tam swój herb, którym są dwie ręce w uścisku.

*Post-scriptum* (1928) Czasopismo *Le Coopérateur Français* dokonało niedawno zabawnego doświadczenia, zarządzając plebiscyt pomiędzy swoimi czytelnikami co do porządku, w jakim umieściliby powyższe 12 zalet. Porządek ustalony przez większość nie zgadza się z przyjętym przeze mnie. To daje się łatwo wytłumaczyć. Głosujący uważali za swój obowiązek uszeregować te zalety według ich szlachetności, podczas gdy ja wymieniałem je według ich stopnia użyteczności: najprzód zalety odczuwane bezpośrednio: lepsze życie, mniejsze wydatki i t. d., później te, które się wnoszą ponad interesy prywatne i objawiają się tylko wtajemniczonym.

---

<sup>1</sup> Sztandar o siedmiu barwach przyjęty został istotnie przez Międzynarodowy Związek Spółdzielczy w lutym 1923 r. (p. dalej konferencję o *Międzynarodowym Związku Spółdzielczym*) i wydawany jest dzisiaj w milionach egzemplarzy na wszystkich kongresach i manifestacjach spółdzielczych.



## VI

### PANOWANIE SPOŻYWCY <sup>1</sup>

§ 1. *Funkcja spożywcy.* — § 2. *Głupota spożywcy.* — § 3. *Prawa spożywcy.* — § 4. *Obowiązki spożywcy.* — § 5. *Panowanie spożywcy.*

Panowie. Kto odgrywa rolę gospodarczą i społeczną bardziej ważną: producent czy konsument? Odpowiedziano już, i to wiele razy, że kwestia jest jałowa, ponieważ producent i konsument to tylko dwa oblicza tego samego osobnika, każdego z nas.

Oczywiście, trudno by wyobrazić sobie niespożywającego wytwórcę, a jeżeli łatwiej jest wyobrazić sobie spożywcę, który niczego nie wytwarza, to jednak nawet rentier, jeżeli nie wytwarza niczego pracą osobistą, mniema co najmniej, że wytwarza swoimi kapitałami albo swoją ziemią, a jest to zawód nie zawsze tak łatwy, jak go sobie ludzie wyobrażają. Co do kobiety, nawet

---

<sup>1</sup> Wykład na Uniwersytecie w Lozannie na kursie o spółdzielczości, który się odbył w styczniu 1898 r. Streszczenie ukazało się w *Bulletin de l'Union Coopérative* w Paryżu i w *Bulletin de la Société Vaudoise d'utilité publique* w marcu w tym samym roku.

Niedawno (1928) wybitny publicysta, p. de Pierrefeu, odkrył na nowo zapomnianego spożywcę — i stworzył wielką Ligę dla obrony jego praw. Ale już w 1910 r. Liga Spożywców była utworzona przez Armand'a Fénétriera, a potem wiele innych; patrz str.

jeżeli nie jest robotnicą a prowadzi tylko swoje gospodarstwo, było by bardzo niesprawiedliwym wierzyć, że ona tylko spożywa: kierować gospodarstwem i wychowywać dzieci jest aktem produkcji i to pierwszorzędnej. Tylko dzieci i inwalidzi są jedynie spożywcami, ale i ci zależą od jakiegoś producenta.

To jasne, ale też ja nie powiedziałem: dwie osoby, powiedziałem — dwie role albo, jeżeli wolicie — dwie funkcje. Otóż te dwie role, chociaż każdy z nas powołany jest do odgrywania ich po kolei albo razem, różnią się bardziej między sobą niż mistrz Jakób, który zmieniał kaftan zależnie od tego, czy jego pan zwracał się do niego jako do woźnicy czy jako do kucharza. Wkładamy w każdą z tych ról pewne interesy, pewne zapamiętania, pewne zasady moralności, bardzo odmienne od siebie, na ogół nawet przeciwstawne. Postawione więc na początku zagadnienie ma swoją rację bytu, tylko co do odpowiedzi poglądy są bardzo sprzeczne ze sobą.

## § 1. FUNKCJA SPOŻYWCY

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że funkcja producenta jest bardziej interesująca, bardziej pożyteczna niż spożywcy. Cóż spożywca czyni użytecznego społecznie? Nic: spożywa, pożera, pochłania; jest to bez wątpienia konieczne, ale ta konieczność jest raczej przykra. Mędrzec Konfucjusz powiedział, iż aby społeczeństwo było w stanie pomyślne, trzeba, żeby „producenti byli liczni, a spożywcy rzadcy“. Rzeczywiście, coż to jest spożywca? Żołądek, brzuch i nic więcej, podczas gdy producent jest to ręka, która działa, jest to pożyteczny wysiłek. Spożywca to szerszeń, wytwórca to pszczoła. Spożywca nie poddaje się żadnemu prawu



moralnemu, tylko swojemu instynktowi, albo swojej zmysłowości. Działa na swój rachunek, bo jakże przypuścić, że spożywa dla kogo innego? Spożywanie z konieczności jest aktem egoistycznym. Przeciwnie, wytwórca poddaje się wielkim prawom moralnym: prawu pracy i prawu solidarności. Chce czy nie chce, jest altruistą, pracuje bowiem dla kogoś innego. W powszechnym ustroju podziału pracy raz na sto razy zdarza się, że pracuje dla siebie samego. Jeżeli człowiek jest wyższy od zwierzęcia, mówiąc językiem ekonomicznym, czyż nie jest tak dlatego, że zwierzę spożywa, ale nie produkuje, żyje z tego, co znajduje? Zwierzę jest tylko spożywcą, jedynie człowiek jest wytwórcą.

Sprawa wydaje się więc załatwiona. Producent jest to ten, którego trzeba kochać i podtrzymywać; spożywcę trzeba tylko znosić i nadzorować. Tak właśnie wyraził się, będzie już temu przeszło 30 lat, w Towarzystwie Ekonomistów w Paryżu (listopad 1867) Duval, protestując przeciwko uroszczeniom spółdzielni spożywców i upominając się o wyższość stowarzyszeń wytwórczych: „Tak samo jak człowiek produkujący wydaje nam się w dużo lepszym świetle niż człowiek, który spożywa, tak i grupy całe: osiągają one więcej honorów i korzyści z dobrej produkcji niż z dobrego spożycia”.

Tak oto mówią nam, ale nie wiercie temu wcale. Spożycie nie jest aktem niższego porządku; jest to akt najwyższy, bez którego wszystko inne jest niczym. To jest życie i rozwijać potęgę spożycia znaczy tyle, co rozwijać w tym samym stosunku potęgę życia. Nie jest prawdą, że spożycie musi być koniecznie egoistyczne; jest ono takie u żarłoka albo birbanta, ale równie dobrze może być altruistyczne: spożywać to nie tylko jeść

dobry obiad — chociaż i w tym wypadku rzadko kto lubi ucztować sam — spożywać to zaprosić swoich przyjaciół, to ofiarowywać kwiaty albo cukierki na Nowy Rok, to pozwolić korzystać innym zarówno jak sobie samemu z przyjemności dobrego towarzystwa, to, lepiej jeszcze, słuchać koncertów, czytać książki, podziwiać obrazy. Ubieranie się jest również aktem spożycia. A czy myślicie, że kobieta, kiedy upiększa się, nie myśli o innych? Byłaby bardzo zmartwiona, gdyby sama tylko mogła korzystać ze swej toalety. Jest ona więc także altruistą — tak samo jak producent, bardziej szczodra nawet, bo patrzenie nic nie kosztuje.

Dowodem, że spożycie ma charakter bardziej towarzyski niż produkcja, jest to, że po wsze czasy ludzie nie znajdowali lepszego sposobu do zapominania swoich klótni niż siadanie do wspólnego stołu i wzajemne picie za swoje zdrowie. Dłaczegóż na Wschodzie gość jest osobą świętą nawet dla wroga? Gdyż spożywał z nim chleb i sól. I chociaż przysłowie, co prawda mało prawowierne, mówi „modli się, kto pracuje“, „*qui laborat orat*“, kościół nie znalazł jednak bardziej dostojnego symbolu religii niż akt spożycia, stół z chlebem i winem, Wieczernię Pańską.

Taki jest zresztą wniosek większości ekonomistów: wielbili oni spożycie, zwłaszcza Bastiat. Nauczyliśmy się od nich:

1) że spożycie jest celem, a produkcja tylko środkiem; że człowiek nie spożywa dla produkowania, ale produkuje dla spożywania; że wskutek tego w organizacji gospodarczej wszystko powinno być podporządkowane spożyciu tak samo jak w sztuce teatralnej wszystkie sceny i cała intryga powinny być pomyślane pod kątem widzenia rozwiązania. I że wszystkie kwestie



ekonomiczne, np. kwestia maszyn albo wolnej wymiany, powinny być traktowane i rozstrzygane pod tym kątem widzenia;

2) że zresztą interes spożywcy zlewa się całkowicie z interesem publicznym i że tylko ta kategoria społeczna posiada ten charakter, gdy przeciwnie—interesy zawodowe, korporacyjne, klasowe są często w niezgodzie z interesami narodu. Interesem kupców jest sprzedawać drogo, rolników, żeby nie było za dużo zboża, lekarzy, żeby było dużo chorych, robotników nawet, żeby nie było za dużo rąk do pracy, a związki zawodowe swoimi strajkami trapią często publiczność. Tylko interesem spożywcy jest, żeby wszystkie produkty były możliwie tanie, w wielkiej obfitości i dobrym gatunku, a to jest właśnie interesem społeczeństwa. W odróżnieniu od producentów, którzy jęczą zawsze z powodu jakiegoś nowego wynalazku, nowej maszyny, nowego współzawodnictwa zagranicy, tylko spożywca okłaskuje wszelki postęp, gdyż wie, że on pierwszy będzie z niego korzystał — i w tym interes jego zlewa się z interesem społecznym, z interesem wszystkich.

To są nasze zasady i wskutek tego jesteśmy ortodoksyjni razem z Bastiatem i jego szkołą. Jest jednak zasadnicza różnica między ekonomistami a nami, spółdzielcami: — oni uczą, że *laisser-faire*, wolna gra konkurencji wystarcza do zagwarantowania interesów spożywców, podczas gdy my oświadczamy, że jeżeli spółdzielcy nie zorganizują się i nie zbuntują, staną się ofiarą.

## § 2. GŁUPOTA SPOŻYWCY

Jakże rola spożywcy jest głupia i poddająca się zdzierstwu dzisiaj w jej obecnym wykonaniu, jakże

mogłaby stać się skuteczną i dobroczynną dla świata, gdyby ją chciał zrozumieć. Od niego zależałoby, gdyby umiał ocenić dobre wino Francji, zachować dla winnic wzgórza, które dawniej były odpowiednim terenem — Bachus lubi pagórki, mawiali starożytni — a które dziś nie mogą wytrzymać konkurencji, jaką im czynią pod względem cen wina wyszłe z błotnistych równin. Od niego zależałoby, gdyby spożywał nieco mniej pism jako swoją codzienną strawę intelektualną, nie przerabiać lasów na masę papierową i zachować razem z nimi schronisko dla ptaków, chleb dla drwali, rezerwuar wód deszczowych, tamę przeciwko powodziom. Do niego należało by przez samo tylko rozpowszechnienie zwyczaju podawania daktyli jako deseru, otworzyć Saharę dla kultury i kolonizacji, pozwolić wytrysnąć tam studniom żywej wody i przekształcić ją na ogród palmowy. Nie czyni nic z tego <sup>1</sup>. Dlaczego?

Po dziś dzień barani ród spożywców znał te tylko potrzeby, które producenci mu zaszczepili. Nie zaprzeczamy, że w wielu wypadkach to tworzenie nowych potrzeb było postępem, za który trzeba dziękować producentom. Nie zaprzeczamy, że spożywca zakrzepł w rutynie i że trzeba ją złamać.

Mówimy tylko, że producent nie chce nigdy wiedzieć, czy dane przedsiębiorstwo odpowiada potrzebie społecznej (choć nie zaniedbuje mówić tego w swoich reklamach), a tylko, czy pozwoli mu ono zarobić. Nie mówcie: „To wychodzi na jedno, bo gdyby przedsiębior-

---

<sup>1</sup> Widzieliśmy, jak ta skłonność spożywcy robienia akurat tego, czego nie powinien robić, pustoszyła rynki w czasie kryzysu cen. Kiedy była zwyżka cen, rzucał się do zakupów, przerywał je, kiedy zaczynała się zniżka.



stwo nie odpowiadało żadnej potrzebie, nie dawałoby zysku“. Dajcież pokój, cała sztuka przemysłu polega przeciwnie na budzeniu potrzeb. Czyż myślicie, że wymyślono i cudownie rozpowszechniono absynt, przedobiednią szklaneczkę alkoholu dlatego, że spożywca ich potrzebuje? Nie, spożywa on je dlatego, że fabrykanci i kupcy pokryli mury nalepianymi jeden na drugi afiszami, powtarzającymi tysiące razy: *Byrrh! Byrrh! Byrrh!* albo *Kina! Kina! Kina*, dopóki spożywca nie został zahipnotyzowany. Dlatego, że przemysłowcy, widząc w tym źródło zysku, starannie podlewali i pielęgnowali tę zabójczą potrzebę. W tej chwili modą jest u dam ze świata czy półświata paryskiego nosić zamiast spinaczek żywe żółwie, inkrustowane kamieniami; czy myślicie, że jubilerzy, którzy puścili w świat tę okrutną modę, uczynili to dla zaspokojenia potrzeby? Jakże by to było możliwe, kiedy potrzeba nie istniała?

Stworzyć nową potrzebę nazywa się stworzeniem mody albo „nowości“, jak to całkiem jasno mówią nazwy tych magazynów. W przeszłości nasi dziadkowie i babki nosili prawie całe swoje życie to samo ubranie i niekiedy przekazywali je swoim dzieciom. Te ubrania były drogie, ale ze względu na swą trwałość nie były dobrym interesem dla kupców. Dzisiaj komitet krawców, wybrany przez *Stowarzyszenie filantropijne* (nie dla klientów) *mistrzów krawieckich Paryża*, każe rysować w końcu każdego sezonu ryciny, które narzucają nową modę. Nikt nie chce być krnąbrnym: każdy porzuca swój żakiet albo palto z poprzedniego roku ze strachu, żeby się nie wyróżniać: wczoraj palta noszono długie, dzisiaj się nosi krótkie; wczoraj się je zapinało pod brodą, a dzisiaj się zapina na pępku. A jeżeli przypadkiem jakiś klient upiera się i nie chce rzucić swojego

starego ubrania, krawiec urządza się tak, żeby ubranie porzuciło klienta: stara się dostarczyć materiałów, które zamiast trwać przez pokolenia, jak to było za naszych dziadów, trwają jeden sezon.

W Montpellier próbowaliśmy kilka lat temu założyć rzeźnię spółdzielczą. Myśleliśmy, że nam się to uda, gdyż publiczność skarżyła się, że dostaje tylko krowy i owce afrykańskie, podczas gdy my ofiarowaliśmy jej tłustą wołowinę i barany francuskie. Nie zgadniecie, co zrobiła publiczność. Najprzód oświadczyła, że nie chce płacić za to mięso drożej niż za inne, a poza tym, że trzeba odejmować tłuszcz, którego nie należy zaliczać do wagi<sup>1</sup>. Chciejcie zauważyć, że bez szemrania przyjmowano kości, które rzeźnicy kładli na wagę pod zabawną nazwą „dokładki“.

A najzabawniejsze jest to, że kiedy przypadkiem spożywca zaczyna czemuś nie dowierzać, to właśnie wtedy się myli. Jest to bardzo dobrze znanym faktem, że ludność robotnicza Paryża, przyzwyczajona do wina

---

<sup>1</sup> Ten rys obyczajowy, wydający się nieprawdopodobnym, zdarzył się jednak i znalazł potwierdzenie w ciekawym raporcie ze stycznia 1900 r., jaki inspektor nadzoru rzeźni złożył merowi Montpellier:

„Próbowaliśmy wprowadzić do odżywiania się miasta większą ilość wołów. Żeby pozwolić publiczności łatwiej odróżniać wołu od krowy, pokrywała służba inspekcyjna powierzchnię ciał wołów jakimiś 150 napisami, zrobionymi czerwonym atramentem: *woły francuskie*. Krowy miały około 20 napisów sporządzonych niebieskim atramentem. Było więc bardzo łatwo odróżnić krowę od wołu... Otóż publiczność masowo odmawiała wołowiny, a to dlatego, że te zwierzęta są tłuste, nie nadmiernie tłuste ale należyte podkarmione.

Po wszystkich usiłowaniach, jakie uczyniliśmy w Montpellier, zmuszeni jesteśmy z ubolewaniem oświadczyć tu, że brak nam ciągle udziału publiczności i że ona to jest winna licznych niepowodzeń, z jakimi usiłowania nasze spotykały się po dziś dzień.

Podp. Pourquier, Inspektor-szef żywnościowy.



z Bercy, grymasi, kiedy dają jej wino naturalne i śmiało oświadcza, że jest to wino sfałszowane. Na zachodzie Francji ludność przyzwyczajona była spożywać sól, która z powodu wilgoci była zawsze szara. Kiedy Towarzystwo Salin Południa, które dzięki słońcu może produkować sól oślepiającej białości, chciało ją sprzedawać na Zachodzie, spożywcy powiedzieli, iż ponieważ jest tak biała, jest na pewno sfałszowana. Wobec tego Towarzystwo odpowiedziało: O to nie chodzi i polewa sól wodą błotnistą, po czym wszyscy znajdują ją wyśmienitą.

Nie tylko w spożyciu materialnym, ale także intelektualnym i moralnym czyni ta deprawacja spożywcy przez sprzedawcę największe zło: pornograficzne dodatki tygodników ilustrowanych, plugawe albo bzdurnie sentymentalne piosenki kawiarniane, rozbieranie się na scenie, przy czym przedsiębiorcy mówią zawsze: to publiczność tego chce. Nie zaprzeczam, że smakuje w tym, ale też nauczono ją w tym smakować.

Producenci wmówili w spożywcę, że jego rolą jest utrzymywać ich przy życiu i że jego jedyną racją bytu jest kupować ich produkty, zapewniać im zyski, jednym słowem, że jedyną jego funkcją jest służyć im za rynek zbytu, tak jak te butelki, których funkcją jest przyjmować wlewane w nie wino. Spożywca nigdy nie protestuje. W naszej organizacji gospodarczej wydaje on się bez mała ucieleśnieniem tego miłosierdzia, które św. Paweł przedstawia nam w tak wspaniałym obrazie: miłosierdzie jest cierpliwe, pełne dobroci; nie szuka ono swojej korzyści, nie gniewa się wcale, nie podejrzewa nawet zła... wszystko wybacza, wierzy we wszystko, zawsze żywi nadzieję, wszystko znosi. Trzeba by podziwiać, gdyby ta dobroduszość była świadoma i in-

teligentna. Niestety, nie jest ona ani jednym ani drugim: składa się z ignorancji i bezwładu.

W istocie rzeczy nie jest prawdą to, co mówią ekonomiści, że spożywca w obecnych warunkach jest najlepszym sędzią swych interesów. Jakże by je miał poznać? Przez instynkt. Nikt nie wierzy już w nieomylność instynktu u zwierząt: dowodem jest, że trują się jak najlepiej w świecie, nawet lisy, wszystkimi truciznami, jakie im podkładają—od strychniny do arszeniku. Fourier miał manię — a nie była ona z najmniej szczęśliwych — że trzeba uczyć dzieci oceniać dobre rzeczy i w tym celu rozwijać w nich z miłością, metodycznie i subtelnie łakomstwo; powiedzmy dziś—higieniczne odżywianie się. Będzie to sprawa wychowania spółdzielczego.

### § 3. PRAWA SPOŻYWCY

Tak więc jeżeli spożywca jest królem w ustroju gospodarczym, trzeba przyznać, że jest to król nierób. Nie odpowiada on nawet definicji króla konstytucyjnego, który „panuje ale nie rządzi“, ponieważ ani rządzi ani panuje. Otóż chcemy dać temu królowi bez korony zrozumienie jego praw i świadomość jego obowiązków wraz ze środkami do korzystania z jednych i wypełniania drugich. Chcemy tego nie tyle w jego interesie, ile w interesie narodu; interesy te zresztą zlewają się ze sobą. Czyż nie mamy prawa myśleć, że pierwszym warunkiem wszelkiej reformy społecznej, może nawet warunkiem, który zwalnia od wszystkich innych, było by nauczyć spożywcę, jakie są jego prawa i jak ich używać, jakie są jego obowiązki i jak je wypełniać.

Ten pogląd ujawnił się, ale tylko w sposób teoretyczny, na wzruszających stronach Carlyle'a i Ruskina,



naprz. w tych słowach paradoksalnych: „Bogactwo narodu wyraża się w tym, co spożywa a nie w tym, co produkuje“. Ale jakże zrealizować w praktyce tę orientację?

Pierwszym, przygotowawczym środkiem jest tworzenie „lig spożywców“, mających właśnie w programie ujawnianie tych nadużyć i kładzenie im kresu przez zrzeszanie się tych, którzy biorą na serio swoje role spożywców.

Nie brak ich. Można przytoczyć ligi dla ochrony przed fałszowaniem artykułów spożywczych (*Liga Czystych Produktów*), przeciwko zdzierstwom właścicieli domów (*Liga Lokatorów*), dla ułatwienia podróży (*Klub Turystyczny*) i powszechną *Ligę Spożywców*, przeznaczoną jako organ centralny do powiązania innych. Co prawda ich działalność jest bardzo słaba a życie nie trwałe.

Ale jest i coś lepszego. Są to spółdzielcze stowarzyszenia spożywców zorganizowane, zrzeszone, które się już stały potęgą, które będą mogły przeprowadzić prawdziwą rewolucję gospodarczą, stawiając spożywcę na przynależnym miejscu, jakie wyznaczają mu nauka i zdrowy rozsądek, to jest na miejscu pierwszym, i przekazując w jego ręce zarząd gospodarczy.

Gdyż prawdziwą rolą spółdzielczych stowarzyszeń spożywców jest nie tylko tworzenie narzędzia oszczędzania albo udoskonalonego środka wymiany, albo centrum wykształcenia gospodarczego, albo ogniska solidarności, albo urzędu regulującego ceny — są one tym wszystkim, ale i czymś więcej jeszcze: jest to nowy organ, który zjawia się w świecie społecznym i który po raz pierwszy da głos, wolę i świadomość tej masie bezkształtnej i biernej, temu stadu baranów,

które nie umieją nawet beczyc i które nazywają się spożywcami.

Teraz będą już oni mieli sposób wyrażania swoich żądań i regulowania produkcji pod kątem widzenia swoich potrzeb, które zlewają się z potrzebami wielkiego społeczeństwa, publiczności. Przez to przestaną być *klientami*, czyli sługami kupców, i będą mogli naprawdę dawać *zlecenia* — swoje zlecenia. Jakaż wiele mówiąca energia w tym słowie i jak ono dobrze wyraża prawdziwą rolę spożywcy, to jest dawanie rozkazów przemysłowi, mówienie mu: zrób to czy tamto, jak to robią naprz. sklepy *Bon Marché* i *Louvre*, obstawiając u fabrykantów jedwabiu w Lyonie jakąś nowalijkę na sezon.

Mówi się powszechnie w traktatach ekonomii politycznej, że przedsiębiorcy są „komendantami” przemysłu. Istotnie tak jest, a jednak jasne jest, że we właściwym tego słowa znaczeniu komendantem powinien być spożywca, ponieważ to on wydaje komendę. Komenderuje on trzema sługami, nazywającymi się: praca, ziemia i kapitał, którzy w dobrze zdyscyplinowanej organizacji powinni czynić tylko to, co on im poleca, słuchać po prostu żądania.

Jak ewangeliczny setnik, który dla określenia swej funkcji mówił do Chrystusa: „Panie, mówię temu: idź, i on idzie, tamtemu: przyjdź tu, i on przychodzi”, — rolą spożywcy jest kazać kapitałowi i pracy iść i przychodzić tu czy tam: do Nicei, ażeby róże zakwitły, do Nowej Ziemi dla połowu stokfisz, na wybrzeża Konga dla przywiezienia stamtąd kości słoniowej, w głąb morza dla zbierania tam koralu i pereł.

I pomimo wszystko, cośmy mówili o głupocie, a przynajmniej braku doświadczenia spożywcy, to komende-



rowanie dokonywa się już w pewnej mierze. Zacytowałem tego wiele przykładów w znaczeniu ujemnym i marnotrawnym, oto jeszcze jeden w sensie dodatnim. W 1867 r., gdy piękne jedwabie lyońskie przestały być modne i przemysł tamtejszy zaczął cierpieć wskutek tego, cesarzowa pośpieszyła przywrócić na dworze tuileryjskim modę wzorzystych sukien jedwabnych i kryzys był zażegnany przynajmniej na pewien czas. Ten sam fakt powtarzał się niejednokrotnie z różnymi wariantami — np. w Anglii w 1880 r.: fabrykanci wełny posłali delegację do księżny Walii z prośbą, aby nosiła tylko wełny angielskie zamiast materiałów francuskich i prośba ta została wysłuchana. Wiadomo, że Ruskiniści spodziewali się znieść przemysł mechaniczny, nosząc tylko materie robione ręcznie, czytając tylko książki drukowane na ręcznych prasach, wyrzekając się podróżowania drogą żelazną — i uważa się, że udało im się oczywiście nie znieść jakąkolwiek linię kolejową, ale wskrzesić kilka artystycznych rzemiosł ręcznych w niektórych okręgach angielskich.

Gdy spożywcy, nawet w stanie anarchii, w jakiej się dziś znajduje spożycie, mają już tę władzę, jakaż by była ich potęga, gdyby byli zgrupowani w zrzeszeniach i związkach, z hurtowniami centralizującymi ich zakupy i organizującymi produkcję, bądź to własnymi środkami, bądź przez zrzeszenia wytwórcze, których byliby komandytowymi członkami, zrzeszenia, dbające o ich potrzeby.

#### § 4. OBOWIĄZKI SPOŻYWCY

Jeżeli spożywcy nie znają swoich praw, można powiedzieć, że jeszcze mniej znają swoje obowiązki. A jednak obowiązki ich są na wysokości praw, jakich

udziela im ich najwyższa funkcja gospodarcza, i zapoznawanie swojej odpowiedzialności jest nie mniej zgubne dla społeczeństwa niż abdykacja ze zwierchnictwa.

Ruskin, który według Carlyle'a najlepiej czuł i wyświecił tę odpowiedzialność społeczną, stawia cztery warunki, które można by nazwać czterema artykułami katechizmu spożywcy:

1. po pierwsze, dowiadywać się przy każdym zakupie, w jakich warunkach dany przedmiot został wyprodukowany;

2. zapewnić się, czy sprzedawany jest przez kupca i zapłacony przez niego jako nabywcę po słusznej cenie;

3. zapytać się, jaki użytek chcemy z niego zrobić;

4. zbadać, czy użytek, jaki spożywca z niego zrobi dla siebie, będzie korzystny dla wspólnoty.

Otóż można uważać za pewne, że dzisiejszy spożywca nie stawia sobie żadnego z tych czterech zapytań. Jego jedynym zainteresowaniem jest cena: kupić jak najtaniej. Jest w Anglii słynna żalosna pieśń „o koszuli“ (*Song of the shirt*), która jest skargą biednej robotnicy, szyjącej dzień i noc, która siedząc nad swoją bielizną „szyje swój całun“ — ale czy myślicie, że to tylko bogate damy są winne tej zabójczej roboty? Winni są wszyscy spożywcy, a szczególnie należący do klas biednych, gdyż one to właśnie potrzebują najwięcej taniej bielizny.

W obecnej organizacji spożywca nie może się zajmować robotnikiem, nie ma z nim nic do czynienia; zna on tylko pośredniczącego kupca albo przedsiębiorcę. Że robotnik jest ofiarą najbardziej obrzydliwego wyzysku, że sprzedawane towary są produktem *Sweating system* (system polegający na wyciskaniu potu



z robotnika jak z cytryny, z której wyciąga się sok, cisnąc ją), spożywca nie dba o to; co prawda jego wymówką, jeżeli nic nie robi, jest to, że nic nie wie, że nic nie może.

A nie myślcie, że tylko w stosunku do swoich towarzyszy robotników mają spożywcy obowiązki do wypełniania, mają je oni także w stosunku do tych wszystkich, których św. Franciszek z Assyżu nazywa „swoimi niższymi braćmi“, w stosunku do zwierząt domowych, które pracują dla zaspokojenia naszych potrzeb i są tak często maltretowane, a nawet w stosunku do dzikich zwierząt, które są masakrowane bez cienia pożytku, od słonia afrykańskiego, którego zabija się co roku dziesiątki tysięcy, żeby z jego kości wyrabiać bile bilardowe albo nożyki do rozcinania papieru, aż do rajskich ptaków albo naszych przyjaciół jaskółek, które zabija się także dziesiątkami tysięcy dla upiększania damskich kapeluszy ich ślicznymi małymi trupkami.. Istnieją nawet obowiązki w stosunku do natury martwej: lasów, pól, bogactw naturalnych, które współczesny przemysł rabuje.

I tu pod tym nowym kątem widzenia potrzebna jest organizacja. Trzeba zakładać ligi, już nie te, które by pozwoliły spożywcom lepiej bronić swych praw, lecz takie, które by pozwoliły lepiej wypełniać swe obowiązki.

Najpoważniejsze z nich znajdują się w Stanach Zjednoczonych: ich specjalnym celem jest hamowanie wyzysku robotnika i w tym celu zrzeszeni członkowie zobowiązują się nie nabywać żadnego artykułu w sklepie bez zebrania wiadomości, w jakich warunkach został on wyprodukowany — gdzie? jak? za jaką płacę? — i wymagać w pewnym stopniu od kupca gwa-

rancji moralnej, że niska cena jego towarów — jeśli naprawdę jest niska — nie została otrzymana kosztem sił, zdrowia i życia pracowników. Członkowie tej Ligi w swojej szlachetnej kampanii mogą zresztą informować się i znajdować skuteczną pomoc u związków zawodowych, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdyż związki amerykańskie używają etykietek różnych kolorów (*labels*), które naklejane na produktach wychodzących z rąk członków związków, zawiadamiają publiczność, że produkty te wykonane zostały w warunkach lojalnych i mogą być nabywane bez skrupułu.

Rozumie się samo przez się, że Liga Spożywców nie jest zasadniczo przeciwna taniości: chce ona tylko znieść klęskową taniość, która wynika z wycisku robotnika, a nie taniość, która polega na lepszym zużyciu sił produkcyjnych i która jest charakterystyczną formą postępu gospodarczego; uznaje ona „oszczędność wysiłku“, jak mówi Yves Gilbert, a nie oszczędność płacy.

Z inicjatywy Stowarzyszenia Kobiet robotnic powstała pierwsza Liga w New-Yorku w 1889 r.<sup>1</sup> Ligi

---

<sup>1</sup> Podobna Liga założona została w Paryżu 27 grudnia 1902 roku pod nazwą *Liga Społeczna Nabywców* z inicjatywy p. Janiny Brunhes.

Zarysowała się ona w sposób następujący w swoim pierwszym Biuletynie: „Liga Społeczna Nabywców jest stowarzyszeniem osób, które zważywszy odpowiedzialność, jaką ponoszą w stosunku do świata pracy jako nabywcy, starają się przez swoje świadome i zorganizowane zakupy codzienne o stopniowe ulepszenie warunków pracy“.

*Co powinien czynić członek Ligi Społecznej Nabywców?*

1) nie dawać żadnego obstalunku, nie dowiedziawszy się, czy nie pociągnie to przypadkiem za sobą pracy nocnej albo pracy w niedzielę.

2) Unikać zawsze dawania zamówień w ostatniej chwili, a zwłaszcza w okresach natłoku.

3) Odmawiać wszelkich dostaw po godzinie 7-ej wieczorem albo w niedzielę, ażeby nie brać na siebie pośredniej odpowie-



te publikują „białe listy“, na których figurują sklepy, nie podejrzewane o wyzyskiwanie swoich robotników albo urzędników — a pragnienie figurowania na tych listach może na pewno oddziaływać jako potężny bodziec na dyrektorów sklepów z nowościami. Równocześnie ligi te rozwijają u bogatych dam z towarzystwa poczucie odpowiedzialności i solidarności w stosunku do ich siostr. Zażądały one dla nich pół dnia urlopu na tydzień latem. Na wzór tej Ligi powstało wiele innych w wielkich miastach amerykańskich. Profesor na uniwersytecie w Harward, p. Graham Brooks, był inicjatorem tej kampanii.

Było by bez pożytku nalegać na znaczenie i postęp moralny, ujawniany przez podobną instytucję. A oto inna, mniej ważna, ale również interesująca. W wielu kantonach szwajcarskich (inicjatywa wyszła od kan-

---

działności za przedłużanie godzin pracy urzędnikom lub urzędnikom, praktykantom i praktykantkom.

4) Płacić rachunki regularnie i bez opóźnienia.

*Jakie są sposoby działania Ligi w stosunku do dostawców?*

Dostawcy rekomendowani przez Ligę wpisani są na listę, rozsyłaną wszystkim członkom; w przeciwieństwie do *czarnej listy* (listy złych płatników, którą słusznie sporządzają dostawcy) lista dostawców i producentów popieranych przez Ligę nazywa się listą *białą*.

*Pod jakimi warunkami Liga zapisuje krawcowe na białą listę?*

Krawcowe zaangażowane przez Ligę muszą się zobowiązać:

1) Do nie zmuszania do pracy normalnie ponad 7-ą wieczorem a nigdy po 9-ej, nawet w okresach największych zamówień.

2. Do niewydawania robotnikom roboty do wykończania do domu (druga zmiana).

3. Do niezmuszania do pracy w niedzielę.

Pod tymi warunkami są one zapisane na *białą listę*.

Zacytujmy jeszcze taki wniosek:

„Nabywcy! Jesteśmy ostatecznie podstawą i celem wszelkich faktów ekonomicznych pracy. Naszą ambicją jest przekształcić funkcję czysto gospodarczą na funkcję społeczną...”

Niestety, jakkolwiek biała lista została ustalona, obojętność dam z „dobrego towarzystwa“ nie pozwoliła na wielki rozwój tej Ligi.

tonu Argowii) jedna się członkinie do Ligi Dam, które zobowiązują się nie kupować nigdy kapelusza przybranego ptakami albo piórami ptasimi, ażeby położyć kres temu dzikiemu tępieniu ptactwa, o którym przed chwilą mówiłem. Inne ligi według tego wzoru ukonstytuowały się w Austrii i Stanach Zjednoczonych.

Ligi antyalkoholiczne albo przeciwko używaniu opium, lub nadużywaniu tytoniu, albo stowarzyszenia wegetariańskie mogą być także uważane za wychowawczynie spożywcę.

Są to godne podziwu inicjatywy, ale o ileż bardziej skuteczne było by dla położenia kresu zarazem wyzskowi człowieka i rabowaniu natury przez spożywcę — zrzeszenie się wszystkich spożywców pod formą stowarzyszeń spółdzielczych.

Daleko lepiej niżby to potrafili uczynić spożywcy, nawet zrzeszenia w lidze, stowarzyszeniu spożywców może sięgnąć prosto do źródeł, w których nabywa swoje produkty. Mogłoby ono dokonać ankiety co do tych źródeł, mogłoby dać pierwszeństwo artykułom wyrabianym przez robotników związkowych albo przez zrzeszenia wytwórcze albo przez ich własnych robotników. W dniu, w którym wszystkie sprzedaże byłyby dokonywane przez nie, od nich tylko zależało by, żeby nie było rynków zbytu dla towarów nieprodukowanych według zasad sprawiedliwości. Mogłyby się absolutnie rzec sprzedaży w swoich sklepach takich czy innych artykułów, uważanych za niebezpieczne, jak napoje alkoholowe, tak jak robią to już belgijskie socjalistyczne stowarzyszenia spółdzielcze, albo za niemoralne, jak pisma pornograficzne, albo głupie, jak pióra ptasie.



Ponieważ robotnicy pracowaliby bezpośrednio dla niego — spożywcy, a nie dla pośredników, nie mógłby już wysuwać jako argumentu swojej ignorancji ani swojej bezsily. Nie mógłby więcej znieść, żeby pracowano za głodowe płace albo w szkodliwych dla zdrowia warsztatach, albo ilość godzin zbyt przedłużoną... Czy te przewidywania są zbyt optymistyczne? Być może, można by nam przytoczyć stowarzyszenia spożywców, traktujące twardo swych pracowników albo wymagające od nich więcej pracy niż zwykły przedsiębiorca; zdarzają się nawet strajki w stowarzyszeniach spożywców. Niestety, jest to prawda, ale czegoż to dowodzi? Tego tylko po prostu, że trzeba jeszcze przeprowadzić gruntową edukację gospodarczą i moralną spożywcy i że terminowanie dla nauczania się władzy nie może trwać jeden dzień.

#### § 5. PANOWANIE SPOŻYWCY

Stowarzyszenia spółdzielcze są odpowiednikiem w ustroju gospodarczym głosowania powszechnego w ustroju politycznym, ponieważ wszyscy są spożywcami tak samo jak każdy jest obywatelem. Ale tak samo jak nie wystarcza nadać ludowi prawa głosowania powszechnego, aby go przekształcić z dnia na dzień z niewolnika na suwerena, tak też nie wystarczy zrzeszyć spożywców w spółdzielniach, ażeby w nich wpoić nowe uczucia.

Po przeszło stu latach doświadczenia objęcie przez demokrację rządu politycznego sprawia nam jeszcze nieustające i okrutne zmartwienia. Jakże mogło by być inaczej z wejściem demokracji do ustroju gospodarczego. Zapewne lud nie był mniej nieświadomy swoich praw i obowiązków politycznych, aniżeli spożywcy swoich praw i obowiązków gospodarczych. Jest

on i dziś nieświadomy, ale jeżeli dobrym sposobem nauczania się pływania jest rzucić się do wody, dobrym też sposobem przeprowadzenia edukacji gospodarczej, politycznej albo moralnej ludu, klasy, jakiejkolwiek kategorii społecznej jest dać im sposobność wykonywania istotnej władzy — i to właśnie czyni spółdzielcze stowarzyszenie spożywców.

Może się wydawać sprzecznością domagać się królestwa dla spożywcy wtedy, kiedy dopiero co ubolewaliśmy nad jego głupotą. Ale jeżeli jest on ignorantem, to dlatego, że obecna organizacja gospodarcza stworzona została w całości przez producenta i dla producenta. Niech przejdzie w ręce spożywcy, a ten, jak tyłu innych książąt następców, nauczy się panować panując.

Ekonomiści ze szkoły liberalnej stawiają zarzut, że ta forma kolektywizmu spółdzielczego zniszczy wszelką inicjatywę indywidualną, wszelką wynalazczość, wszelki postęp. Jest to twierdzenie bardzo pesymistyczne, zwłaszcza w ustach ekonomistów, którzy za każdym razem, kiedy państwo robi minę, iż zamierza interweniować w obronie spożywcy, choć by chodziło naprz. o fałszowanie artykułów spożywczych albo nadużywanie alkoholu, protestują przeciwko tej opiece i oświadczają, że „spożywca jest najlepszym sędzią swych interesów“. A więc, skoro jest najlepszym sędzią swych interesów, dlaczego nie oddać ich kierownictwa w jego ręce?

Argumenty, którymi się dowodzi wrodzonej i nieuleczalnej głupoty spożywcy, nie są bardzo decydujące.

Słyszałem, nawet w tym uniwersytecie, mojego uczonego kolegę, p. V. Pareto, który cytował następujący, bardzo uderzający przykład. Przemysł młynarski do-



szedł do takiego stopnia doskonałości, że nie tylko jego maszyny oddzielają plewę od ziarna, ale że, zdaje się, posiadają szczotki do zmiatania kurzu, mieszczącego się w środkowej szczelinie. Czy przypuszcza kto, mówił on, że spożywcy zadaliby sobie tyle trudu dla sporządzenia białego chleba? Jedliby dotychczas jeszcze czarny chleb swoich ojców i znajdowaliby, że jest doskonały. Jeśli jadamy biały chleb, winni to jesteśmy konkurencji pomiędzy producentami.

Niech i tak będzie, ale ten przykład można łatwo odwrócić na korzyść naszej tezy. Czy piekąc biały chleb, piekarze starali się oddać usługę spożywcom? Bynajmniej, chcieli ją oddać samym sobie. Wiedzą oni, że biały chleb jest dobry tylko wtedy, kiedy jest świeży; kiedy szczerstwieje, dobry jest tylko do wyrzucenia, podczas kiedy chleb sporządzony z mąki mniej pyłowanej, chleb „wiejski“ przez długie dni trzyma się doskonale. W ten więc sposób piekarz jest pewien, że spożywcą odwiedzi go co rano. To jest korzystne dla niego, ale chleb jest marnotrawiony, czwarta część ziarna zmarnowana jest przy pyłowaniu, najbardziej pożywna część zboża wyrzucana jest dla prosiąt w postaci plew i wszystko to jest jednym z najlepszych przykładów narzucania spożywcy przez producenta we własnym jego interesie gustu kosztownego i szkodliwego. Otóż mam nadzieję, że spółdzielcze stowarzyszenia spożywców przeprowadzą wykształcenie swoich członków, tj. przywrócą im gust do chleba smacznego, pożywnego, ekonomicznego i że równocześnie nauczą ich, że chleb sporządzony w mechanicznej dzieży jest równie dobry jak chleb rozczyniany obrzydliwą i ciężką pracą piekarczyka i polewany jego potem. Chleb spółdzielczy będzie mniej biały, ale będzie czystszy.

Nie chcę zresztą przeczyć, że panowanie spożywców, następujące po panowaniu przedsiębiorcy, może mieć jako możliwy, a nawet prawdopodobny wynik pewne zwolnienie tego, co nazywamy postępem. Mniej wynalazków, mniej „nowości“, ale także mniej spekulacji, mniej potrącania się, mniej pogoni za zyskiem. Byłaby to nowa ekonomia o kroku powolnym ale niepowstrzymanym.

Początkiem ekonomii politycznej były studia nad fenomenami i prawa produkcji: ekonomiści poświęcają się temu po dziś dzień prawie wyłącznie. Ale dzisiaj zgadzają się już oni prawie wszyscy, że szli błędną drogą i że kluczem nauki są fenomeny i prawa spożycia. Powiedziano nawet, że nauka o spożyciu czeka na swego Adama Smitha. Tej zmianie koncepcji i orientacji nauki ekonomicznej powinna odpowiadać takąż zmiana koncepcji i orientacji praktyki gospodarczej, a sygnałem tej zmiany jest pojawienie się stowarzyszenia spożywców. Wiek dziewiętnasty był wiekiem producentów; miejmy nadzieję, że dwudziesty wiek będzie wiekiem spożywców.

Producenci są wojowniczy, a ich panowanie było okresem współzawodnictwa i walki o życie. Spożywców są nastrojeni pokojowo i ich panowanie będzie zrzeszeniem się dla życia. Zaiste, gdyby to panowanie miało nam przynieść w dziedzinie gospodarczej trochę tego wielkiego pokoju, *pax romana*, które państwo rzymskie przyniosło światu w porządku politycznym, sądzę, że nie moglibyśmy życzyć niczego lepszego ludziom, którzy w tym wieku przyjsć mają. Być może, że to dla spożywców było przeznaczone to słowo Ewangelii: „Szczęśliwi ubodzy duchem, gdyż oni posiadają ziemię“.

Niechże przyjdzie ich panowanie!



*Post-scriptum* (1928) Tego roku nareszcie zaprojektowano utworzenie *Szkoły spożywców* czy *Szkoły nabywców*, chociaż projekt ten nie został zrealizowany. Szkoła ta miała być odpowiedzią na stworzenie *Szkoły sprzedawców*, która została otwarta i istnieje od roku w Grenoble, z programem bardzo kompletnym psychologii reklamy tj. wiedzy o metodach, których należy używać dla odgadnięcia potrzeb i gustów publiczności, o tym, co należy uczynić dla wywołania ich tam, gdzie jeszcze nie istnieją, o środkach pobudzania ciekawości publiczności, o zatrzymaniu jej uwagi i o nie dopuszczeniu do wyjścia ze sklepu z zakupem niekoniecznie tego, co zamierzała sobie kupić, ale tego, co kupiec postanowił sobie jej sprzedać.

Jest to więc zorganizowane polowanie na klienta, na które wydaje się bez wahania miliony i miliardy w postaci kosztów ogłoszeń i reklamy. Tu jest miejsce przejąć się starym przysłowiem, znanym studentom prawa rzymskiego: *Caveat emptor*, które tłumacząc popularnie: „Baczność, nabywcy!” W tym celu trzeba, żeby dowiedzieli się, jaka jest taktyka sprzedawcy i jak należy się od niej bronić, podczas gdy dziś, przez ignorancję czy przez próżność, spożywca nie broni się, ale się poddaje. Dlatego to niezbędna jest szkoła spożywców. Sztuce sprzedawcy, która polega na wmaławianiu zbytecznych potrzeb, odpowie ona, ucząc „racjonalizacji” zakupów, że użyję tu modnego słowa, to znaczy nie według środków, jakie nabywca posiada na zakup, ale według jego prawdziwych potrzeb.

Powie ktoś może, jak i my powiedzieliśmy na tej konferencji, że prawdziwymi szkołami spożywców powinny być ich spółdzielcze stowarzyszenia. To było by słuszne, gdyby spółdzielnie spożywców miały jasną świadomość swoich funkcji. Ale one nie wiedzą nawet dobrze, jakkolwiek paradoksalne mogło by się to wydawać, czy są stowarzyszeniami „sprzedających” czy „kupujących”; na ogół uważają, że odgrywają tę pierwszą rolę. Dlatego to w swoich statystykach i sprawozdaniach używają zawsze słowa „sprzedaż”, chociaż słowo to powinno być wygnane i zastąpione przez słowo „rozdział”. Uważają oni za swój obowiązek wypożyczając od kupców wszystkie ich zwyczaje: premie, filie, reklamę, gdy powinnyby stać na stanowisku wręcz odwrotnym. Co do reklamy np., jeżeli spółdzielnie sądzą, iż muszą jej używać, niechże ona nie będzie haczykiem do łowienia przechodzących nabywców, ale jak by łaską niewidomego, która prowadzi spożywcę i oszczędza mu upadku do rowu oraz ostrzega przed wszystkimi nastawionymi na niego pułapkami.

## VII

### WSPÓŁZAWODNICTWO CZY WSPÓŁDZIAŁANIE<sup>1</sup>

§ 1. *Współzawodnictwo w postaci wolności pracy.* — § 2. *Współzawodnictwo w postaci walki o byt.* — § 3. *Współzawodnictwo samo siebie niszczące.* — § 4. *Czy współzawodnictwo jest niezbędne do postępu gospodarczego i moralnego.*

Tytuł konferencji dzisiejszego wieczoru powinien być zaopatrzony w znak zapytania: Współzawodnictwo czy współdziałanie? Rozumiecie na pewno dobrze, że tymi dwoma słowami chciałem scharakteryzować, użyć ich jako symbolów dwóch różnych od siebie szkół: — jednej, do której należy większość ekonomistów, przynajmniej we Francji, między nimi wszyscy należący do Instytutu albo Towarzystwa Ekonomii Politycznej w Paryżu; — drugiej, do której zalicza się tylko niewielu ekonomistów, przeważnie zaś socjologowie, filozofowie, politycy, kilku chrześcijan, nawet kilku anarchistów, wszystkiego po trochu. Pozwoliło to

---

<sup>1</sup> Konferencja wygłoszona w *Muzeum Społecznym* d. 24 stycznia 1899 r. pod przewodnictwem p. Rajmunda Poincarre'go deputowanego. Ogłoszona w *Bulletin du Musée Social* z marca 1899 r.



jednemu z moich znakomitych kolegów nadać tym dwóm szkołom następującą definicję: pierwsza składa się z tych wszystkich, którzy znają ekonomię polityczną, a druga z tych, którzy jej nie znają.

Przyszedłem tu dziś wieczorem, aby przemówić do was skromnie w imieniu tej drugiej.

Ponieważ mam zaszczyt być także zawodowym ekonomistą, a nawet członkiem Towarzystwa Ekonomii Politycznej, możecie sobie wyobrazić, że nie będę tu okazywał złego smaku mówiąc źle o moich kolegach; chcę nawet wyraźnie zaznaczyć, że uważam wszystkich wojujących członków liberalnej szkoły ekonomistów—nie tylko zmarłych, ale i żyjących—za dzielnych ludzi, którzy walczyli bardzo odważnie w przeszłości i walczą dzisiaj o wiele szlachetnych spraw, o pokój społeczny i międzynarodowy, a także o sprawiedliwość<sup>1</sup> i że na każdym innym terenie aniżeli ten, który dziś wieczór będzie przedmiotem naszego małego sporu, jestem z nimi całym sercem.

Nie myślę jednak, żebym mówił o nich źle, jeżeli stwierdzę, że bardzo często mówią oni źle o nas. We wszystkich książkach i artykułach, które ukazały się ostatnimi czasy, podpisane przez głównych szefów liberalnej szkoły ekonomistów, można znaleźć dużo cierpkiej krytyki albo co najmniej małe szpilki przeciwko nowej szkole, o której będę mówił pod nazwą szkoły solidarystycznej. Solidaryzm, kooperatyzm to jedno i to samo.

Zresztą to nie tylko szkoła kooperatystyczna, to i wy także, Muzeum Społeczne, gdzie mam zaszczyt przemawiać dzisiejszego wieczoru, wzięte jest na cel. Bardzo

---

<sup>1</sup> Uczyniłem wówczas aluzję do bitwy z powodu sprawy Dreyfusa, która przechodziła właśnie swój najgorszy paroksyzm.

niedawno na posiedzeniu małej siostry wielkiego Towarzystwa Ekonomii Politycznej, w Towarzystwie Ekonomii Przemysłowej, powiedział p. Iwon Guyot, że to, co wy tutaj robicie, jest „socjalizmem ojcowskim“, a drugi członek, nie mniej autorytatywny, jest bowiem sekretarzem Towarzystwa Ekonomii Politycznej, zamknął i zreasumował całą dyskusję formułą o lapidarnej zwięzłości: „Muzeum Społeczne jest złem społecznym“.

Cóż nam zarzucają? Że nie wierzymy, iż współzawodnictwo jest zawsze wystarczające, że zapewnia ono wolność, taniość, postęp moralny i gospodarczy, jak nas tego uczyli ekonomiści. A jednak jestem przekonany, że ludzie rozumni, uczeni jak ekonomiści ze szkoły liberalnej, o której wam mówię, nie wierzą także we wszechmoc i nieomylność współzawodnictwa podniesionego do dogmatu. Czyżby między dwiema szkołami było jakieś nieporozumienie?

Przedewszystkiem trzeba by wiedzieć, co to jest współzawodnictwo. Nie było by to tak łatwo, jak by się здаwało, dać jego dokładną definicję. Ale mnie przynajmniej wydaje się jasne, że współzawodnictwo zjawia się pod dwiema postaciami: jedna wolności pracy, druga walki o byt. Otóż pierwszą przyjmujemy, drugą odrzucamy. I to jest cały temat naszej dzisiejszej rozmowy.

#### § 1. WSPÓŁZAWODNICTWO W POSTACI WOLNOŚCI PRACY

Mówię od razu, że co się tyczy wolności pracy, jesteśmy wszyscy skłonni w szkole kooperatystycznej uznać współzawodnictwo. Jest to pierwszy kształt, w którym ujawniła się ona ekonomistom, występując w promieniącej aureoli pod koniec ostatniego stulecia, przyjęta z tym większym uznaniem, że przychodziła nie po



prawdziwym ustroju korporacyjnym, jaki wyłoniwszy się ze średniowiecznych organizacji braterskich dał klasie robotniczej kilka wieków dobrobytu, którego już później nie odnalazła, ale po ustroju korporacyjnym zużytym i doszłym już do rodzaju starczego skostnienia.

A jednak, nawet jeśli chodzi o ten pierwszy kształt, o wolność pracy, nie urzeczywistniło, być może, współzawodnictwo wszystkich pokładanych w nim nadziei. Nie dało nam taniości, jaką obiecywało, czego dowodem jest naprz., że cena chleba nie podległa obniżce od 50 lat, a przecież Bóg świadkiem, że nie brakowało tu współzawodnictwa, gdyż liczba piekarzy w samym tylko Paryżu potroili się w ciągu pół wieku.

Nie można też powiedzieć, żeby zrealizowało ten „porządek naturalny“, o którym marzyli fizjokraci. Marnotrawstwo bogactw i pracy jest okropne. Roi się od zawodów pasożytniczych, i te, które byłyby najpożyteczniejsze, cierpią na tym. Mógłbym dać tego tysiąc przykładów; żeby zacytować tylko jeden, pomyślcie o lekarzach, którzy są tak rzadcy po wsiach i miasteczkach, że chorzy nie mogą ich odnaleźć, podczas gdy w Paryżu przeciwnie, są tak liczni, że nie mogą znaleźć dostatecznej ilości chorych.

Nie można też powiedzieć, że działało zgodnie z nadziejami Bastiata jako siła niwelująca, równająca, demokratyczna; wręcz przeciwnie, ponieważ widzimy tworzącą się za naszych dni kategorię społeczną, dawniej nieznaną, kategorię miliarderów i jak mówią Amerykanie, królów nafty, bawełny i tylu innych towarów.

Ekonomiści szkoły liberalnej nie zaprzeczają wprowadzie, że zostali zawiedzeni, ale sądzą, że zawód ten

zniknie w dniu, w którym wolne współzawodnictwo będzie wprowadzone w całości i jak lanca Achillesa (jest to uświęcony frazes) uleczy siebie samo ze wszelkiego zła, jakiego było przyczyną. W ten sposób znajdują oni jedną rację więcej na wzmocnienie swoich przekonań.

Co do nas, nie dzielimy bynajmniej tych przewidywań optymistycznych: nie wierzymy, że współzawodnictwo nie zrealizowało pokładanych w nim nadziei tylko dlatego, że nie było go dość dużo. Pozwolę sobie mniemać, że ekonomiści powinni, wręcz przeciwnie, zawierzyć spółdzielczości, jeżeli chodzi o zrealizowanie ich ideału, o zapewnienie dobrodziejstw, których oczekiwali od ustroju wolnego współzawodnictwa, a których nie osiągną nigdy przez sam rozwój wypadków.

Bo czegoż oni oczekują od wolnego współzawodnictwa? Powiedzieliśmy to dopiero co: taniości, zniesienia wszelkich nieusprawiedliwionych nadwyżek cen, zniesienia wszelkich monopolów faktycznych czy prawnych, zbieżności cen własnych i cen sprzedażnych, dostosowania produkcji do konsumpcji, podaży do popytu.

Otóż we wszystkich tych sprawach stowarzyszenia spółdzielcze mogą być wielką pomocą. Mają one właśnie na celu — do którego istotnie dochodzą — zbliżać do siebie ceny sprzedaży i ceny kosztu własnego oraz znieść wszelki wyzysk spożywcy; starają się one usuwać pośredników, pasożytów, wszelkie tarcia, które hamują mechanizm gospodarczy i przeszkadzają mu w jego swobodnym biegu. Stawiają one sobie właśnie za cel zapewnienie w miarę możliwości regulowania interesów przez wolne umowy i przeszkodzenie Brennosom rzucania swoich mieczów na jedną z szal wagi. I wreszcie, zapewniając spożywcom wielki wpływ w za-



rzędzie gospodarczym, dążą spółdzielnie spożywców do zrealizowania ideału Bastiata, który wychwalał spożywcę jako prawdziwego reprezentanta interesu publicznego.

Co do interwencji ustawodawczych przeciwko wolności handlu i pracy, które tak rozdrażniały wątrobę ekonomistom, mianowicie co do systemu protekcjonistycznego, urzędowych cen dla piekarzy i rzeźników, a nawet ustawodawstwa robotniczego, powinni by oni pomyśleć, że w dniu, w którym spółdzielczość zostanie zrealizowana, większość tych zarządzeń upadnie jako nie mających racji bytu. Jeżeli wszyscy spożywcy będą zorganizowani, potrafią oni bronić się sami. Gdyby wszyscy obywatele francuscy należeli do spółdzielczych stowarzyszeń spożywców, system protekcjonistyczny nie trwałby długo. Tak, gdyby wszędzie były piekarnie spółdzielcze, taksy miejskie na chleb i mięso byłyby niepotrzebne, gdyż piekarnie i jatki spółdzielcze sprzedawałyby chleb i mięso po cenach własnego kosztu. Wszystkie prawa zmuszające do zakładania kas chorych, emerytalnych albo ubezpieczeniowych, ustalające wysokość płac, cała ta ciężka zbroja ustawowa, która ma jedyną rację bytu w ochronie słabego przeciwko mocnemu i w przeszkodzeniu, aby robotnik nie był wydany jako łup osobisty kapitalście, stałyby się niepotrzebne w dniu, w którym robotnicy sami regulowaliby wszystko, co dotyczy ich kas, ich płac i ich własnego bezpieczeństwa, w dniu, w którym, że powtórzę słowa, które wypowiedział p. Paweł Deschanel na bankiecie zrzeszeń spółdzielczych — „praca byłaby posłuszna tylko regułom, jakie by sobie sama nadała“.

Oto dlaczego miałem prawo powiedzieć, że jeżeli

kiedy wolne współzawodnictwo będzie zrealizowane całkowicie na ziemi, ekonomiści szkoły liberalnej będą to bardzo prawdopodobnie zawdzięczali zrzeszeniom spółdzielczym i będą musieli nam za to dziękować. Uczynią to jak prorok Balaam, który był posłany dla wyklęcia Izraela i który ostatecznie był zmuszony błogosławić go i to jeszcze trzykrotnie. To będzie naszą jedyną zemstą, ale ta zemsta będzie dość wyrafinowana.

To doprowadzi mnie do przyjrzenia się drugiemu kształtowi współzawodnictwa; po stronie orła strona reszki. O, ten nie jest tak dawny jak pierwszy, pochodzi on z czasów względnie niedawnych. Idea współzawodnictwa jako przejawu walki o byt, jako narzędzia doboru naturalnego, jako kierownika ewolucji, jak wiecie, pochodzi z połowy XIX stulecia, od czasu, kiedy Herbert Spencer i Darwin rzucili ją w świat, i wiecie, jaką drogę przeszła ona od tej pory. Nie jest moim tutaj zadaniem dyskutowanie nad darwinizmem z punktu widzenia biologicznego; ograniczę się po prostu do powiedzenia, że socjologowie zaczynają nie do wierzać wszystkim tym pożyczkom, czerpanym od świata zwierzęcego dla wzbogacenia wiedzy społecznej. Ekonomiści za to od pierwszej chwili zostali zdobyci. Powiedzieli sobie: oto czego nam potrzeba. Do czasu tego odkrycia współzawodnictwo były to po prostu niskie ceny, wolność, sprawiedliwość, a teraz dopiero stało się ono również postępem, ponieważ jest ono eliminowaniem niezdolnych, pozostawianiem przy życiu bardziej uzdolnionych, doborem najlepszych, a to właśnie jest postępem.

Tak, trzeba się tylko porozumieć. Kto to są ci najlepsi? Dopóki jesteśmy w dziedzinie współzawodnic-



stwa zwierzęcego, rozumiem dobrze, kto jest najlepszym: jeżeli chodzi o lwy, najlepszymi będą na pewno te, które mają najmocniejsze kły, najostrzejsze pazury, mięśnie najpotężniejsze dla chwytania swojego łupu, a jeżeli chodzi o lisy, najlepszymi będą te, które mają najchybsze łapy i najostrzejsze powonienie. Ale jeżeli chodzi o ludzi, czy tacy mają być najlepszymi? Oczywiście nie. Nawet ekonomiści ze szkoły liberalnej nie uważają za „najlepszych“ najbardziej obrotnych ani najbardziej szczerwanych; z pewnością tak jak i my uważają oni za najlepszych nie tych, którzy są podobni do lwów lub do lisów, ale ludzi dobrych, ludzi uspołecznionych, ludzi, którzy będą skłonni poświęcić w potrzebie swój interes osobisty interesowi społecznemu.

## § 2. WSPÓŁZAWODNICTWO W POSTACI WALKI O BYT

A więc, jeżeli tak jest, czy można twierdzić bez narażenia się na śmieszność, że współzawodnictwo o byt pomiędzy ludźmi — w handlu albo w przemyśle, albo w zawodach wolnych, albo w jakiegokolwiek dziedzinie — będzie miało jako skutek zapewnienie zwycięstwa bardziej skrupulatnym, bardziej sumiennym, bardziej skromnym, tym, którzy będą posiadali te dyskretne cnoty, będące moralnością życia społecznego i odróżniające „dobre towarzystwo“ od złego. Nikt nie ryzykowałby publicznie takiego twierdzenia.

A jednak znaleźli się ekonomiści, którzy obstają przy swoim, że to właśnie najmoralniejszym współzawodnictwo zapewnia zwycięstwo.

W małej książeczce, napisanej z zadziwiającym ogniem i obdarzonej jasnym tytułem *Moralność współzawodnictwa* stara się p. Iwon Guyot dowieść, że

współzawodnictwo jest właśnie motorem nie tylko postępu gospodarczego ale i moralnego. W rzeczywistości jakaż jest rola producenta albo kupca w naszej organizacji gospodarczej? Czy nie zajmowanie się gustami i interesami klienta? Czy nie staranie się, aby go dobrze obsłużyć? Czy myśli on kiedy, co byłoby jego własnym gustem? Mój Boże! nie—żyje on tylko stałym kłopotem przewidywania, jakie są gusty jego klientów, żeby im dostarczyć w sposób najbardziej oszczędny produktów najlepszej wartości. I nie filantropia, ale współzawodnictwo zmusza go do zajmowania się interesami publiczności, narzucając mu ten obowiązek pod karą ruiny. Dlatego to, ciągnie dalej p. Iwon Guyot, trzeba przyznać, że działa ono jako wielka sprężyna moralna, produkuje „altruizm zawodowy“. Oto więc nowa moralność; będzie ona mogła zastąpić moralność z katechizmu, nieco już zdyskredytowaną, i nawet z korzyścią imperatyw kategoryczny Kanta, mało znany w świecie interesów.

Oto dowodzenie. Sprowadza się ono do tego, że każdy akt handlowy jest „oddaną usługą“. To samo mówił Molière przez usta p. Jourdain, mieszczanina szlachcica, którego pytają, co robił jego ojciec, na co odpowiada: „Złe języki przypuszczają, że był kupcem sukiennym, ale to nie prawda: był to człowiek, który będąc z natury swej niesłychanie uprzejmym, miał sztuki materiału u siebie i oddawał usługi swoim przyjaciółom, dostarczając je im na możliwie najdogodniejszych warunkach.“

Było to już teżą Bastiata. To wyrażenie: „oddana usługa“ jest fundamentem wszystkich jego „harmonii“. Jest to jednak tylko gra słów, która polega na dosłownym wzięciu formuły znajdującej się na wszystkich



cyrkularzach kupców, którzy piszą do swoich klientów: „Przyjdźcie do nas, a będziecie dobrze *obsłużeni*“ a zwłaszcza „będziecie lepiej *obsłużeni* niż u sąsiada“. A ponieważ moralność na tym świecie polega istotnie na oddawaniu usług innym, rozumiecie od razu, w jaki sposób wymiana i podział pracy nasuwają myśl i wywołują altruizm zawodowy. Tego właśnie trzeba było dowieść.

Pismo *Le Correspondant* zamieściło zabawną historię o konkurencji, jaka miała miejsce między dwoma najgrubszymi miliardarami amerykańskimi: Vanderbiltem i Gouldem. Bili się na linie kolejowe, których każdy z nich posiada pewną ilość. Dla chwycenia w swoje ręce całego transportu bydła do New-Yorku każdy z nich obniżał cenę przewozu tak, że w końcu spadła ona ze 125 dolarów za wagon do jednego dolara. Ostatnie słowo miał Gould, który na swojej linii wprowadził tę fenomenalną taryfę jednego dolara. Śmiał się właśnie z zadowoleniem, myśląc o swoim zwycięstwie, kiedy dowiedział się ze zdumieniem, że Vanderbilt zakupił wszystką bydło z Dalekiego Zachodu, że zamierza wysłać je w drogę po niesłychanej taryfie, jaką on sam, Gould, wymyślił i że w ten sposób osiągnie olbrzymie zyski na tym transporcie. Gould przestał się śmiać. Cieszyła się tylko publiczność, dla której oni rywalizowali istotnie z altruizmu.

Innym razem dwa towarzystwa kolejowe doszły przez konkurencję do tego, że nie tylko przewoziły pasażerów gratis, ale ofiarowywały im na stacjach napoje chłodzące. I tu także usługa oddana publiczności była bezsporna.

Myślę, że widzicie, na czym polega sofizmat: motorem wszelkiej działalności handlowej i przemysłowej

nie jest bynajmniej chęć oddania usługi innym, ale po prostu chęć zgarnięcia zysku. Zysk! oto przyczyna i cel, alfa i omega wszelkiego ruchu gospodarczego w naszej obecnej organizacji. A ponieważ współzawodnictwo nie umiałoby rozwinąć innych wartości niż te, które są najlepiej dostosowane do specjalnego celu, jaki trzeba osiągnąć, współzawodnictwo gospodarcze w celu zysku umiałoby rozwinąć tylko wartości najbardziej odpowiednie do zarobienia pieniędzy. Mówią, że konkurencja jest duszą handlu; nie jest to piękna dusza.

Zauważcie, iż nie jestem tak dalece mizantropem, żeby przypuszczać, że kupiec wielki czy mały nie może być człowiekiem całkiem honorowym, sumiennym i robiącym wszelkie wysiłki dla dobrego obsłużenia swych klientów. Przypuszczam tylko, że robi to, ponieważ sądzi, że ostatecznie uczciwość jest najlepszą drogą do powodzenia w interesach i na szczęście jest to prawdą... czasami. Może się zdarzyć — tak bywa z elitą — że sumienie i honor zawodowy są dla nich wiążące. Nikt nie wątpi, że istnieją kupcy, których słowo warte jest złota i którzy czynią zaszczyt swojemu zawodowi i swojemu krajowi, ale zdarza się tak bynajmniej nie dla tego, żeby współzawodnictwo ich do tego zmuszało. Wręcz przeciwnie: ono bardzo często właśnie zmusza ich do działania wbrew sumieniu.

Nie sięga on na pewno czasów wolnej konkurencji, ten napis, który Ruskin, jak mówi, widział wyryty w jednym z kościołów weneckich: „W owych czasach wagi kupców były dokładne, miary sprawiedliwe, umowy wiernie dotrzymywane“.

Dziś, kiedy jesteśmy daleko od tych czasów szanownych, jeżeli chcecie dokonać przeciwnej próby, za-



pytajcie tylko pierwszego lepszego kupca, sklepikarza z rogu ulicy, dlaczego sprzedaje fałszywe produkty? dlaczego nie zamyka swojego sklepu w niedzielę, ażeby zwolnić swoich pracowników? Odpowie wam: „Panie, bardzo chciałbym to zrobić, ale nie mogę, jestem zmuszony robić jak inni; trzeba krakać jak wrony.“ Zapytajcie tego młynarza z Normandii, który pociągnięty był do odpowiedzialności za to, że sprowadzał całymi wagonami gips, żeby go wmieszać do swojej mąki i wyrabiać z niej chleb, co realizowało dosłownie cud, jaki Szatan proponował Chrystusowi: „powiedz tym kamieniom, aby stały się chlebem.“ Spytajcie wszystkie laboratoria miejskie, dlaczego fałszowanie produktów stało się dzisiaj sztuką, która dokonywa prawdziwych cudów jak ten, o którym wam dopiero co opowiedziałem. Wszędzie odpowiedzą wam: „gdyż wymaga tego współzawodnictwo, gdyż jeżeli trzeba obniżyć ceny, nie obniżając zysku, nie ma innego sposobu jak obniżyć wartość.“

Spytajcie jeszcze tego przedsiębiorcę, tego krawca, właściciela sklepu z gotowymi ubraniami w wielkich miastach, w Londynie, nawet w Paryżu, dlaczego stosuje on do swoich robotników system, słynny już w ekonomii politycznej pod nazwą *sweating system*, nazwany tak, ponieważ polega na doprowadzania człowieka do pocenia się tak, jakby wyciskało się wodę z gąbki; — zapytajcie w wielkich magazynach, dlaczego płacą robotnicy za fason koszuli albo innej sztuki bielizny sumę tak śmieszną, że zaledwie wystarcza jej na życie i to za cenę zwierzęcej pracy, wykonywanej dniem i nocą, tak że obserwator bardzo dobrze udokumentowany p. Karol Benoist w swojej książce „o pracownicy igły“ mógł zacytować wypadek robotnicy,

która pracowała dwa dni z rzędu po dwadzieścia godzin każdego dnia dla zrobienia fasonu nie wiem już jakiego artykułu toalety, którą piękna dama zabrała w kartonie obwiązany różową wstążeczką, mówiąc sobie z radością: „będę piękną za tanie pieniądze“. Zapytajcie się autora słynnej „pieśni o koszuli“, Tommasza Hood'a, jaki to powszedni dramat wyrwał mu ten krzyk cierpienia:

O moja igło, pracujmy!  
Szyjesz wszak mój całun!  
Równocześnie z tą koszulą!

I wszyscy wam odpowiedzą, odpowiedzieli już to razy: „To współzawodnictwo! Chcielibyśmy przecież bardzo płacić dobrze naszym robotnikom zamiast ich wyzyskiwać, ale jesteśmy do tego zmuszeni przez konieczności walki o byt.“

To wystarczy chyba, nieprawdaż, żeby dowieść, że współzawodnictwo pod formą walki o byt działa na ogół nie w kierunku postępującym, ale w kierunku cofającym się, że zamiast doboru dobrych przy usuwaniu złych zmusza ono, przeciwnie, dobrych do dostosowywania swojego kroku i swojego działania do kroku i działania złych.

### § 3. WSPÓŁZAWODNICTWO SAMO SIEBIE NISZCZY

Cóż więc robić, powiecie. Trzeba przecież, skoro przyjęliśmy współzawodnictwo w postaci wolności pracy, przyjąć je również w postaci walki o byt; to orzeł i reszka medalu, nie można ich rozdzielić.

Wcale nie. Nie przyjmuję tego rozumowania. Wolność pracy nie wydaje mi się nieodzownie związana z walką o byt i nawet sądzę, że jest wiele wypadków, w których wręcz przeciwnie, *walka o byt w wyniku*



*swoim niszczy wolność pracy i wolne współzawodnictwo.*

Patrzcie na szczury, tak, na tuzin szczurów, i ażeby współzawodnictwo lepiej działało, zamknijcie je w klatce i dawajcie im żywność, wystarczającą dla jednego. Później odwiedzajcie je co dzień: z dnia na dzień, a zobaczycie, że liczba ich zmniejsza się tak, że na końcu zostanie tylko jeden. To jest wybrany, to jest wynik selekcji. Jakiż on jest piękny i tłusty! Ja myślę, zjadł przecież wszystkie inne. Ale oto współzawodnictwo zniesione, ponieważ ze wszystkich konkurentów zostaje tylko jeden. To nawet stąd pochodzi słowo monopol: *monos* — sam.

Chcę wierzyć, że we współzawodnictwie między ludźmi odbyłoby się to nieco odmiennie — choć tak właśnie twierdzą ekonomiści jak p. Molinari, a nawet p. Zola w swojej powieści *Szczęścia dam*, mianowicie, że wielkie magazyny pożrą małe. Nie jest to zupełnie dokładne: w rzeczywistości zostaje ich jeszcze dużo, tych małych sklepów, zostaje ich nawet zbyt wiele. Tym nie mniej nie dałoby się zaprzeczyć, że biorąc rzecz logicznie, walka o byt — jest to przecież bitwa, są zwycięscy i zwyciężeni i zwyciężeni ostatecznie znikają — musi mieć za skutek zmniejszenie liczby walczących dopóki nie zostanie jeden, jak w bajce z przed chwili, a co najwyżej mała liczba ludzi, którzy widząc z ubolewaniem, iż są równych sił i nie może im się udać pożreć przeciwnika, porozumiewają się i stowarzyszają między sobą, właśnie dla zniesienia konkurencji.

To, co tu mówię, nie są to twierdzenia *a priori*. Wicie przecież, że nasza bajka symbolizuje tylko jeden z fenomenów ekonomicznych, najbardziej aktu-

alnych, ten, który zajmuje dziś najbardziej ekonomistów, t. j. znowy wielkich producentów, nazywające się skromnie we Francji *ententes*, w Stanach Zjednoczonych, *trusts*, w Niemczech *Kartelle*, w Anglii *combines*.

Nie byłem w Stanach Zjednoczonych, ale byłem przed paroma miesiącami na południu Francji i oto co tam widziałem. Winiarze, jak wiecie, używają do swoich winnic wielkich ilości siarki, są to nawet najwięksi spożywcy tego produktu. Oto spotkała ich bardzo przykra niespodzianka. Dowiedzieli się mianowicie, że wszyscy fabrykanci siarki rafinowanej zrzeszyli się i porozumieli się także z producentami siarki w Sycylii, jedynym kraju, gdzie dzisiaj znajduje się siarkę. Zawiadomiono winiarzy cyrkularzem, że ceny zostały podwyższone o 2 do 3 franków i ten sam cyrkularz cynicznie dodawał, że dobrze uczynią, śpiesząc się z zamówieniami wobec tego, że istnieje zamiar podnoszenia cen o 50 centymów na 100 kilogramach co miesiąc. I cóż uczynili winiarze, przynajmniej ci, którzy mieli pieniądze: pośpieszyli się dać swoje zamówienia w obawie, że może być gorzej.

Czy nie mieliśmy racji powiedzieć, że współzawodnictwo, o ile ono działa jako walka o byt, zabija w wyniku konkurencję jako wolność pracy. Zawarta w nim zła zasada zabija dobrą zasadę.

Cóż możemy uczynić w tym wypadku?

Otóż spółdzielczość może uratować to, co jest dobrego we współzawodnictwie i usunąć to, co jest w nim złego. Powróćmy do przykładu, który zacytowałem: jakąż to jest siła, do której odwołali się spożywcy siarki, broniąc się przed monopolem? — Spółdzielczość. W jakiz to sposób? Winiarze Francji utworzyli wielkie syndykaty rolne, które były w rzeczywistości spół-



dzielczymi stowarzyszeniami spożywców, mocno zdecydowani na opór i na doprowadzenie do upadku zmów wielkich fabrykantów. I jeżeli im się uda, jak mam nadzieję, trzeba będzie przyznać, że do stworzenia monopolu doprowadziła konkurencja sprzedawców, a przywróciła wolne współzawodnictwo spółdzielczość.

A banki ludowe i wiejskie kasy, cóż one czynią, dostarczając kapitałów małym właścicielom ziemskim i rzemieślnikom? — przeszkadzają im być zjedzonymi przez wielkich i w konsekwencji utrzymują wolność pracy i rzeczywiste wolne współzawodnictwo nie tylko jako czczą deklarację zasady.

To też liczymy na spółdzielczość w postaci stowarzyszeń spożywców do walki z tą cofającą nas wstecz selekcją i z tymi nadużyciami współzawodnictwa, o których wspominałem przed chwilą — kłamliwymi reklamami, fałszowaniem produktów, fałszywą wagą, wyzyskiem pod wszelkimi postaciami spożywcy, które są gorzkimi owocami pogoni za zyskiem. Stowarzyszenia te są to, jak wiecie, spożywcy, którzy się zrzeszają dla zadośćuczynienia swoim potrzebom, t. j. sprzedając samym sobie. Otóż cóż za interes mogliby oni mieć, sprzedając sobie towary na fałszywych wagach albo wyzyskując siebie w jakikolwiek sposób? A kiedy w jednym mieście i w jednym okręgu znajduje się kilka stowarzyszeń spożywców, czy myślicie, że będą między sobą konkurowały? Czy myślicie, że starają się one wzajemnie usunąć albo zjeść? Niekiedy tak, niestety, tam gdzie nie potrafiły się one jeszcze oderwać od środowiska i przyzwyczajzeń handlowych. Ale tam, gdzie są prawdziwymi spółdzielniami, łączą się ze sobą albo co najmniej wiążą w związek. Jest to dla nich łatwe, bo nie ma między nimi żadnego motywu

nieprzyjaźni; to, co tworzy ze współzawodnictwa truczynę i degeneruje je w walkę o byt, to łakome poszukiwanie zysku, podczas gdy stowarzyszenia spółdzielcze zajmują się jedynie zaspokajaniem potrzeb swoich członków, dostarczając im towary najlepszego gatunku po możliwie najniższej cenie. Zajmują się „oddawaniem usług“ w prawdziwym tego słowa znaczeniu tym razem, a nie w sensie nieco karykaturalnym, w jakim p. Iwon Guyot brał to słowo.

Rachujemy też na spółdzielczość, że doprowadzi do zniszczenia tego strasznego sposobu walki o byt, o którym mówiłem przed chwilą, *sweating system*, tego wyzysku robotników przez handlarzy albo przedsiębiorców. W dniu, w którym robotnicy będą całkowicie lub częściowo swoimi własnymi przedsiębiorcami, nikt nie mógłby wyobrazić sobie, że w tych warunkach starać się będą wyzyskiwać wzajemnie. Wtedy zobaczymy ucieleśniony ideał, którego apostołem stał się p. Karol Robert, siedzący u mojego boku — mówię o pracy wynagradzanej przez sprawiedliwość, a nie przez fatalizm popytu i podaży.

#### § 4. CZY WSPÓŁZAWODNICTWO JEST NIEZBĘDNE DO POSTĘPU GOSPODARCZEGO I MORALNEGO

Pozostaje mi już tylko rozproszyć jedną obawę. Czy nie można obawiać się — i ekonomiści nie wahali się odpowiadać na to twierdząco — że to zaprzątnięcie uwagi z łagodzeniem współzawodnictwa i walki da w wyniku osłabienie inicjatywy osobistej, zrodzi sentymentalizm bez nerwów i bez mocy, filantropizm trochę płaski, marzący dla ewolucji społecznej o tym samym rozwiązaniu, jakie widzieliśmy w słynnym wowedilu Labiche'a — ogólne uściski. Dla utrzymania



w napięciu sprężyn działalności ludzkiej trzeba walki, współzawodnictwa, konfliktu rywalizujących ze sobą interesów, podczas gdy spółdzielczość, wzajemna pomoc, solidarność, wszystko to rozwinie tylko bezwład, bierność, instynkt i tak już zbyt silny nie pomagania samemu sobie, ale oczekiwania, aby ktoś inny nam pomógł. W swojej książce o Anglosasach napisał nawet p. Demolins to nadzwyczajne zdanie: „solidaryzm to tylko jedna z form egoizmu, egoizmu wstydliwego“. A gdzie indziej napisał, że ten ustrój solidarności miałby za jedyny rezultat poniżenie zdolnych, przez co nie powiodłoby mu się jeszcze podnieść niezdolnych.

Zapewne, jesteście w zgodzie co do tego, że najistotniejsze jest formowanie ludzi, i gdyby mi dowiedziano, że współzawodnictwu udaje się to lepiej niż współdziałaniu, pochyliłbym głowę.

Ale tak samo jak przed chwilą mówiłem, że liczę na spółdzielczość, iż zrealizuje ona lepiej niż współzawodnictwo wolność pracy, tak też powiem teraz, że liczę na spółdzielczość, iż zrealizuje lepiej niż to czyni współzawodnictwo maximum energii i całkowity rozwój osobowości ludzkiej.

Jeden z faktów pomiędzy wieloma innymi, który mnie czyni sceptycznym co do skuteczności współzawodnictwa i walki o byt, jeżeli chodzi o energię, o samopomoc, to właśnie przykład Francji.

Słyszymy ciągle wyrażany żal, że indywidualizm, samopomoc nie rozwinęły się we Francji i szuka się środka zaradzenia temu. Czyżby nam brakowało podniety współzawodnictwa i walki o byt? Niestety, zapytuję, w którym to kraju możnaby ich znaleźć więcej? Zauważcie tylko na każdej ulicy liczbę kupców,

sprzedających te same artykuły, wyrywających sobie tych samych klientów. Nie ma żadnego przedsięwzięcia, które by natychmiast po założeniu nie spowodowało powstania jakiegoś konkurencyjnego przedsięwzięcia.

Walka o byt? Ale mały Francuz, zanim nawet dostanie spodnie, uczy się już tej walki o byt. Oddają go zaraz do kolegium: co tydzień każą mu pisać ćwiczenia, żeby je ocenić, a w końcu roku podwójne albo potrójne ćwiczenia dla uzyskania nagród; i tak idzie z roku na rok, ciągle pisząc ćwiczenia, ciągle walcząc albo przynajmniej będąc podniecanym do walki przez swoich rodziców i nauczycieli, ażeby starał się posunąć o jeden numer w górę na liście ocen. Później konkurs do wysokich szkół. Bardzo one zaprzatają głowy Francuzom te konkursy. Można by powiedzieć bez przesady, że znaczna część wysiłków intelektualnych Francji, zabiegów rodzin, tkliwości matek skierowane są do tego jedyne go celu: ukształtować tego wybrańca, który nosi miano Nr 1. Szkoły Politechnicznej. A to jeszcze nie koniec: kiedy się opuszcza szkoły, walka o byt trwa dalej, jeżeli nie pod postacią egzaminów i konkursów, to co najmniej pod postacią zabiegów i intryg, żeby „dojść”. Kiedy Francuz jest urzędnikiem, zabiega o każdy stopień, który trzeba wejść wyżej w hierarchii, dopóki nie zostanie odesłany na emeryturę; wtedy umiera z żalu. Jeżeli jest rolnikiem? zabiega o nagrodę honorową na konkursie rolniczym co pięć lat. Jest przemysłowcem? zabiega o medal na wystawie powszechnej, jakie się odbywają we wszystkich krajach. Jest artystą? zabiega w Salonie, żeby zostać „hort concours”. Jest prowincjałem? zabiega, żeby przenieść się do Paryża. Jest inteligen-



tem? zabiega, żeby wejść do Instytutu. Jest niczym? zabiega, żeby otrzymać order. A cóż by to było, gdybym zaczął mówić o walce o byt na terenie politycznym. Ale nie mówmy o tym.

Ograniczymy się do powiedzenia, że zapewne rywalizacji i walki nie brak u nas i gdyby walka o byt miała zrodzić *self-help*, inicjatywę indywidualną, Francja powinna by być płonącym ogniskiem energii moralnej. Można by w niej znaleźć tylko ludzi wybranych, nawet nadludzi, jak tych, których obiecuje nam Nietzsche. Otóż, jak wiecie, nie spotyka się tu dużo nadludzi — co jest zresztą bardzo szczęśliwe — a nawet nie spotyka się tu łatwo „ludzi“, to jest po prostu charakterów.

I dlaczegóż tyle walk daje tak nikłe wyniki? Czy nie dlatego przypadkiem, że wszystkie te wysiłki mają za motor tylko żądę zysku albo zadowolenie próżności? albo może nawet lenistwa, gdyż na ogół dużo ludzi czyni te wszystkie wysiłki tylko dlatego, żeby uzyskać dobre miejsce, na którym będą zwolnieni od czynienia nadal innych wysiłków. Jest to coś w rodzaju kapitalizacji wysiłków, prawdziwa lokata rentiera: tamci oszczędzają i ciężko się trują, aby mogli później wydawać i używać, a ci zadają sobie trud celem późniejszego wypoczywania.

Trzeba zresztą przyznać, że chociaż nie jest to heroizm, ten rodzaj wysiłku odpowiada naczelnej zasadzie klasycznej ekonomii politycznej, zasadzie znanej w słownictwie naukowym pod nazwą „zasady hedonistycznej“, która polega na zapewnieniu sobie maksimum zadowolenia kosztem najmniejszego wysiłku. Ta oszczędność wysiłku jest jakby syntezą całej ekonomii politycznej.

Ale wysiłek moralny nie dąży do oszczędzania, o, nie! W tej dziedzinie nie minimum, ale maksimum wysiłków jest celem. Co za błąd powtarzać ciągle, że *self-help*, wysiłek dla siebie samego, jest najwyższym stopniem wysiłku indywidualnego. Ależ, proszę was, czyż by fakt pomagania innym nie stanowił wysiłku również i to więcej intensywnego niż wysiłek dla siebie i nie był bardziej jeszcze obfitym źródłem energii? Żeby podać rękę podobnemu do siebie, trzeba przede wszystkim nie być mańkutem, a uścisk dłoni może zawierać w sobie tyleż energii, co uderzenie pięścią. Rzucacie kogoś do wody, żeby się nauczył pływać — to jest *self-help*, to bardzo dobrze. Ale kiedy zaczyna tonąć, rzućcie innego osobnika do wody, polecając mu ratować pierwszego; — możliwe jest co prawda, że utoną obydwaj, jest to ryzyko, ale pewne jest, że ten, który będzie chciał ocalić drugiego, będzie musiał również uczynić wysiłek, nie tylko podwójny, ale więcej niż podwójny.

Otóż to jest spółdzielczość: spółdzielczość to pomaganie innym, pomagając samemu sobie. Nie mówię pomaganie innym bez pomagania samemu sobie, to byłoby za dużo, nawet Ewangelia nie wymaga tego. Nie mówi ona: kochaj twego bliźniego więcej niż siebie samego, mówi ona i mówimy za nią: kochaj twego bliźniego jak siebie samego. I jak powiedział w godnej podziwu formule profesor lozański, ewangelik Vinet: „żeby móc oddać się, trzeba przede wszystkim należeć do siebie“.

Tu możemy mówić, opierając się na doświadczeniu. Ci wszyscy, którzy mają doświadczenie życia spółdzielczego, wiedzą, że te zrzeszenia dostarczały przez wszystkie czasy i dostarczają dziś jeszcze indywidual-



ności równie mocnych, równie energicznych, równie dobrze zahartowanych, jak ci, których kiedykolwiek dostarczyły wolne współzawodnictwo i walka o byt. Są tu niewątpliwie na sali spółdzielcy; bez wątpienia byli oni jak ja świadkami wysiłków, jakie czynią niektórzy ludzie w stowarzyszeniach spółdzielczych — robotnicy, ludzie z ludu — dla poruszenia masy, dla podniesienia swoich towarzyszy na wyższy poziom. I nie tylko robotnicy, ale i mieszczanie, którzy przybyli, przynosząc również skarby oddania się sprawie, administratorzy, którzy mogliby w pierwszym lepszym domu handlowym otrzymać poważne pensje a tutaj za darmo albo za skromnym wynagrodzeniem oddają swój czas stowarzyszeniu; młodzi ludzie, którzy zużywali na założenie ich tyleż siły, co inni na wejście do Szkoły Politechnicznej. Cytowałem już gdzie indziej przyład kilku studentów, którym leżało na sercu założenie piekarni spółdzielczej w Montpellier: czy wiecie, co robili? Zrobili to, co dla Francuza wymaga największej odwagi: wyzwali opinię, chodzili po dwóch jak apostołowie i obeszlili w ten sposób wszystkie kawiarnie w Montpellier — jest ich tam dużo — chodzili o godzinie absyntu, o „zielonej godzinie“, pomiędzy szóstą a siódmą wieczorem, siadali przy stoliku i kiedy widzieli, że wszystkie stoły są już zajęte, jeden z nich wstawał i mówił: „chcemy wam coś oświadczyć“. Pośród powszechnego zdziwienia, przy którym ustawiał brząk kieliszków na stołach, ten, który się podniósł, wygłaszał odczyt o piekarni spółdzielczej, wyjaśniał jej cel, zachwalał dobre skutki i kiedy już ta krótka mówka była skończona, prosił o przystępowanie do spółdzielni i o podpisy. Nie było ani jednej kawiarni, w której nie znaleźliby trzech albo czterech przystę-

pujących; w jednej tylko znaleźli sprzeciw ze strony jakiegoś piekarza z miasta, tam zebrali 14 zgłoszeń.

I to nie tylko przywódcy, założyciele, którzy muszą składać dowody energii, ale trzeba także, żeby każdy ze stowarzyszonych uczynił jakiś mały wysiłek altruistyczny, chociażby przez złożenie składki albo branie udziału w posiedzeniach walnych zgromadzeń i zarządów, co nie jest już tak bardzo dla nas burżujów przyjemne, a jeszcze mniej jest przyjemne dla robotnika, który odpracował swoją dniówkę. A jeżeli stowarzyszony jest niezdolny do tego małego wysiłku, jeżeli jest zdecydowanie zbyt indywidualistą, zbyt egoistą, ha, w takim razie usuwa go się ze stowarzyszenia albo on sam się z niego usuwa i w ten sposób selekcja dokonywa się przez system spółdzielczy równie dobrze jak przez system współzawodnictwa. Tak, my mamy również swoich wybrańców, z tą tylko różnicą, że wybrańcy spółdzielczości są najbardziej zdolni *służyć drugiemu*, podczas gdy wybrańcy współzawodnictwa są najbardziej zdolni *posługiwać się drugimi*. Jest w tym pewien odcień.

Są więc na świecie cenne rezerwy energii, które nie są winne współzawodnictwu, a wszystko pomocy wzajemnej. I w ten sposób odpowiedzieliśmy na pierwsze z twierdzeń p. Demolins, mówiące, że praktyka solidarności może tylko obniżyć uzdolnienia. Jakie uzdolnienia? Tych, którzy pozwalają sobie pomagać — być może, ale nie tych, którzy sami umieją pomagać.

Pozostaje drugie twierdzenie, że spółdzielczości nie uda się podnieść niezdolnych. Na pewno nie niszczy ich ona. Wiem dobrze, niestety, że w naszych stowarzyszeniach spółdzielczych mamy również niezdolnych, maruderów, zgryźliwców, których jedyną rolą, choć co



prawda również pożyteczną, jest krytykowanie tych wszystkich, którzy robią cośkolwiek dobrego. Ale pytam się was, czy walka o byt nie ma także swoich strat? Któryż to ustrój dał ich nam więcej niż ten? bądź to przez nadmiar pośredników, bądź przez liczbę kandydatów do wszystkich funkcji, a zwłaszcza do funkcji zbytecznych, bądź przez tworzenie tego, co nazywamy proletariatem intelegenckim, bądź wreszcie przez tworzenie proletariatu przemysłowego przez bezrobocia, które wyrzucają robotników na bruk i przekształcają ich na ludzi bez wartości albo pupilów do broczyńności. Na jednego człowieka, którego współzawodnictwo podniosło na tarczy, jako grubego przemysłowca albo grubego kupca, iluż osobników zmiażdżyło ono w trybach swoich machin?

I czyż nie widzicie, że całe to najemnictwo (to najemnictwo, które spółdzielczość stawia sobie za cel jeżeli nie znieść, to przynajmniej przekształcić, podczas gdy szermierze współzawodnictwa wskazują nam na nie jako na ostateczny rezultat) to najemnictwo, wraz z ludźmi, którzy odgrywają rolę urzędników, robotników, narzędzi, *hands* jak mówią Anglicy — rąk nie ludzi — tworzy niesłychany ubytek sił żywych i indywidualności. Ci ludzie, ci przynajmniej, którzy nie znaleźli w związkach zawodowych sposobu częściowego przynajmniej wydobycia się z pod działań współzawodnictwa, są tylko szczątkami z rozbitego okrętu, które każda przechodząca fala, każde wahanie podaży i popytu na zmianę podnosi i zniża, szczątkami tak niezdolnymi do oddziaływania na swój własny los jak te, które widzimy w portach podnoszące się i spadające z przypływem i odpływem bezwładne i nazywane w sposób pełen wyrazu ciałami martwymi.

Co do niezdolnych będą oni mieli w ustroju spółdzielczym więcej szans wydzwignięcia się niż w ustroju wolnego współzawodnictwa. Nie będą oni pozostawieni sobie, będzie się usiłowało pomóc im i pozwolić im podnieść się do poziomu silnych. Pewien przemysłowiec z Manchesteru, którego pytano, co robił z niezdolnymi i zbyt starymi robotnikami, których nie mógł zatrudniać w swojej fabryce, odpowiedział: powierzam ich działaniom praw naturalnych. Otóż my wiemy, co to są prawa naturalne: to tak jak w Wielkiej Armii w Rosji<sup>1</sup>: maruderzy byli pozostawiani działaniu sił naturalnych, którymi były mróz, głód, śnieg, wilki, kozacy, lody Berezyny, — podczas gdy wręcz przeciwnie, w armii spółdzielczej na maruderów czeka się. Jest to nieprzyjemne czekać na nich, wiem o tym. To Cezar, zdaje mi się, skarżył się, że zmuszony jest dostosowywać swój krok do kroku osła niosącego jego bagaże. I to jeszcze: osioł niośł jego bagaże, ale w tym wypadku on nic nie niesie, ten niezdolny, i trzeba nawet nieść jego worek w dodatku. To nic, czeka się na niego tym nie mniej; jeżeli się kładzie i opóźnia przy ogniu, podnosi go się; jeżeli zasypia na śniegu, potrząsa go się, trze, ciągnie, podnosi, popycha i oto jeszcze jeden uratowany. Jeszcze jeden, który wróci do ojczyzny.

Skończyłem. Nie chcemy w szkole spółdzielczej znosić współzawodnictwa ani interesu osobistego, z którego ono wynika, nie mamy tej śmiesznej pretenji; chcielibyśmy tylko oczyścić współzawodnictwo ze wszystkiego, co w nim jest niepotrzebnego, lichego, z jego skóry węzowej, żeby zachować to, co w nim jest wzmacniające jako emulacja dla tworzenia dobra. Nie

---

<sup>1</sup> W armii Napoleona w 1812 r. (*Przyp. tłum.*).



wierzemy, żeby nacisk współzawodnictwa był niezbędny, jak nam to mówią dla utrzymania w napięciu sprężyn działania ludzkiego. Wierzemy — i to wraz z jednym z mistrzów szkoły indywidualistycznej i wynalazcą przed Darwinem jeszcze *struggle for life* (walki o byt), z Herbertem Spencerem, że obecny ustrój gospodarczy jest tylko „ustrojem przejściowym“, fazą „wojowniczego industrializmu“ i żezejdzie on kiedyś z pola. Nie obawiamy się, gdyby kiedykolwiek żąda zysku, którą już Stuart Mill nazywał polowaniem na dolary, zmniejszyła się, odrętwienia z tak małego powodu działalności gospodarczej i zamrożenia powszechnego. Tak samo nie obawiamy się widoku gospodarki ludzkiej, która by zagasila swoje piece, dlatego że ostatni kawałek węgla został już skonsumowany. Nie, w dziedzinie materialnej a także i w dziedzinie moralnej jest dużo innych sił motorycznych, widocznych czy ukrytych, które będziemy mogli obudzić i które wystarczają dla uspokojenia rodzaju ludzkiego co do jego losów.

A potem, gdybyśmy przypuścili najgorsze, gdyby nawet zostało dowiedzione, że uciszenie współzawodnictwa pod postacią walki o byt, że zniesienie namiętnej żądzy zysku pociągnie za sobą nie wyschnięcie, ale lekkie zmniejszenie źródła bogactw, które płyną dziś wielkimi falami, nie widziałbym w tym, dobrze rzecz rozważywszy, poważnej podstawy do niepokoju. Stuart Mill przewidywał tę ewentualność przyszłego stanu, w którym „rzeka przemysłu ludzkiego rozplynęłaby się ostatecznie w stojącym morzu“.

Ale dlaczego „stojącym“? Po co to słowo, które podsuwa posępne myśli? Czyż nie mamy innego wyboru jak tylko pomiędzy potokiem a bagnem? Co prawda,

możemy zmusić do pracy tylko wodę bieżącą, ale woda drzemiąca ma inne uroki. Czyż nie jest wiadome, że nie w wodach potoków ani rzek gwałtownie płynących, zawsze mętnych i błotnistych, lecz tylko w spokojnej wodzie jezior odbija się światło nieba i radość brzegów i że w niej tylko możemy oglądać nasz obraz? Tak samo, być może, pewnego dnia zwolnienie działalności gospodarczej, pozostawiając ludziom więcej czasu, da im możliwość żyć, interesować się czymś innym niż pieniędzmi, poznawać samych siebie, nachylać się nad swoją duszą, żeby się w niej przejrzeć, da im odpoczynek refleksji i pozwoli naszemu przyszłemu społeczeństwu gospodarczemu odbijać w swoim uciszonym biegu trochę radości, trochę światła z nieba i ze spraw z wysoka.



## VIII

### PIONIEROM ROCZDELSKIM<sup>1</sup>

Pionierzy, jeżeli zabieram głos w imieniu delegacji zagranicznych, to nie tylko, żeby wam podziękować za waszą serdeczną gościnność, ale żeby wyrazić wam uczucia, jakimi napawa serce każdego spółdzielcy sławne imię Pionierów Roczdejskich.

Przypominam sobie, że przed 25 laty miałem jedną z moich pierwszych konferencji publicznych i wybrałem za temat Historię Pionierów Roczdejskich. Ileż razy odtąd ja sam i wszyscy, którzy są tu obecni czy dalecy, powtarzaliśmy tę historię. Nie ma może żadnej innej historii oprócz Ewangelii, która byłaby powtarzana częściej we wszystkich językach ludzkich niż ta historia Sprawiedliwych Pionierów, których nazwę nosicie. To też nie bez głębokiego wzruszenia przeczytaliśmy, kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, nazwę, która była nam tak znana i droga: Rochdale.

To, czego nigdy nie zmęczymy się podziwiać w Pionierach Roczdejskich, to nie to, że byli zwiastunami — inni byli nimi jeszcze wcześniej — tylko ten zdumiewający zmysł praktyczny, z jakim tych 28 tkaczy fla-

---

<sup>1</sup> Przemówienie, wygłoszone w samym Rochdale z okazji Międzynarodowego Kongresu Spółdzielczego, który się odbył w Manchester w lipcu 1902 r.

nelowych potrafiło zredagować za jednym zamachem statut, który miał stać się prawie ostateczną kartą konstytucyjną każdego stowarzyszenia spółdzielczego spóżywców.

Zapewne, liczne są i różnorodne — pod względem języka, temperamentów, ideałów społecznych — ludy, które po nich weszły do ruchu spółdzielczego. Każdy usiłował wnieść do niego swój własny geniusz, a jednak doświadczenie dowiodło, że jakimkolwiek byłby kraj, w którym chciano stworzyć stowarzyszenie spółdzielcze — czy były to Indie, czy Kalifornia — najlepszym jeszcze było odtworzyć dokładnie i po prostu wzór roczdelski, wobec czego widzi się dzisiaj spółdzielców wszystkich krajów, którzy po próbach dokonywanych na własną rękę powrócili tu ostatecznie usiąść u stóp Pionierów Roczdejskich jak uczniowie u stóp mistrza.

Są stowarzyszenia spóżywców, które szukają tylko taniości i sprzedają po cenach własnego kosztu. Są one w błędzie. Niech się przypatrzą Pionierom Roczdejskim. Uczyli ich oni, że trzeba sprzedawać po cenach detalicznych i osiągnąć zwroty, aby stowarzyszenie rozrastało się i stawało się lawiną.

Są inne, które chcąc lepiej przyciągać robotników, sprzedają na kredyt. Mylą się. Niech spojrzą na Rochdale. Tamci wnieśli już do swoich prawideł sprzedaż za gotówkę jako jedyny środek wyzwolenia robotnika od poddaństwa kredytowego i jako pierwsze z wyzwoleń do dokonania.

Są jeszcze inne — liczne zwłaszcza w Anglii — które w spółdzielczości widzą tylko spożycie i zapominają o produkcji. Niech patrzą na Rochdale, Rochdale z pierwszych dni. Pionierzy nie zapomnieli, że spół-



dzielczość powstała zarówno dla wytwórcy jak dla spożywczy, i nie rozdzielali ich w tym wspólnym państwie, które budowali.

Są takie, zwłaszcza we Francji, które nie zajmują się zupełnie kształceniem swoich członków. Niech patrzają na Pionierów Roczdelskich. Ci wpisali do artykułów swojej konstytucji potrącanie  $2\frac{1}{2}\%$  od zwrotów dla kształcenia siebie i swoich towarzyszy. Uczynili to instynktownie i uczą was, że jest to jedyny środek dla niedopuszczenia spółdzielczości do zwyrodnienia w „interes“.

W ten sposób program sporządzony przez Pionierów pozostaje ciągle czymś możliwie najlepszym; nie tylko nie prześcignęliśmy go, ale nie udało nam się nawet urzeczywistnić go całego, gdyż każdy z jego artykułów wymaga pracy całego pokolenia. Rzecz ciekawa. Wszędzie indziej, we wszystkich ruchach społecznych, politycznych, naukowych, wynalazcy są szybko prześcigani przez bieg idei, których są pierwszymi twórcami. Pozostawiamy ich coraz bardziej z tyłu na drodze, po której idziemy, i niezadługo pozostają z nich tylko wspomnienia. Ale z Pionierami Roczdelskimi jest inaczej: jakkolwiek zmarli przeszło przed pół wiekiem, oni to idą jeszcze ciągle przed nami.

W czasach, w których żyli pionierzy, nie brakowało wybitnych ekonomistów i socjalistów. Był John Stuart Mill, Bastiat, Proudhon. Nie zwrócili oni żadnej uwagi na wypadek, który się przygotowywał przy uliczce Ropuszej, nie podejrzewali jego konsekwencji. Byliby bardzo zdziwieni, gdyby im powiedziano, że pewnego dnia — kiedy ich systemy społeczne nie będą już miały wyznawców, a ich książki nie będą już wcale

czytane — Pionierzy Roczdelscy liczyć będą miliony wyznawców.

Pionierzy! składam wam podziękowanie — nie tylko dlatego, żeście nam dali organizację, która tym milionom ludzi dostarczyła komfortu albo ulepszyła warunki ich bytu i która nawet, jak powiedział jeden z ekonomistów, była jednym jedynym udanym doświadczeniem XIX stulecia — ale zwłaszcza dlatego, żeście nam dali zadziwiającą lekcję skromności, pokazując, że cała nasza wiedza, cała wiedza uczonych albo pisarzy, wszystko to, co ujęte jest w formuły w książkach i w ustawach, wszystko, w imię czego uczymy ludzi albo nimi rządzymy, nie warte jest pod względem przenikliwości i siły popędowej działania kilku skromnych robotników, którzy tylko żyli, mozolili się, cierpieli, nie otrzymywawszy innej nauki oprócz tej, jaką może dać ręczna praca, troska o chleb powszedni i niezłomna wiara w nadejście Sprawiedliwości.



## IX

### ZNIESIENIE ZYSKU<sup>1</sup>

§ 1. Skąd bierze się zysk. — § 2. Dlaczego zysk musi zniknąć.  
§ 3. Przypuszczalne skutki zniesienia zysku.

Gdyby was zapytano, jaki jest sposób zrobienia majątku, jaki zawód trzeba wybrać — odpowiedzielibyście: przede wszystkim nie trzeba być profesorem, wojskowym, sędzią, urzędnikiem. Nie trzeba zostawać politykiem, przynajmniej jeżeli ma się zamiar pozostać uczciwym, ani artystą z wyjątkiem wyjątkowych talentów, a i to jeszcze na ogół robią oni karierę późno, po śmierci.<sup>2</sup> Nie trzeba, to się samo przez się rozumie, iść na robotnika. Więc co? *Trzeba się zająć interesami*, to jest wejść do przemysłu albo do handlu. To jest z rzadkimi wyjątkami jedyna droga, na której człowiek może zostać milionerem, nawet jeżeli jest średnich zdolności, a może zostać miliarderem, jeżeli obdarzony jest tym, co się właśnie nazywa „głową do interesów“.

---

<sup>1</sup> Konferencja wygłoszona na Kongresie *Protestanckiego Stowarzyszenia dla badania spraw społecznych* w Roubaix 23 października 1902 r. Opublikowane w sprawozdaniu Kongresu.

<sup>2</sup> Dzisiaj trzeba by w tej regule dopuścić trzy wyjątki: aktor kinowy, tenor, bokser.

Zobaczmy teraz, jak należy rozumieć to wyrażenie „robić interesy“. Jest ono dość nieokreślone. Rozumie się przez nie, że chodzi o handel, ale juryści mają formułę daleko bardziej ścisłą: aktem handlowym dla nich jest operacja, polegająca na kupnie dla odprzedaży. Odprzedaże się zawsze drożej aniżeli się kupuje — przynajmniej stara się, żeby tak było — a różnica stanowi korzyść czyli zysk. Praktykowana na małej ilości przedmiotów, jak czynią to mali odprzedawcy, operacja ta rzadko prowadzi do bogactwa, nawet gdyby różnica między ceną zakupu a ceną sprzedaży była znaczna. Ale jeżeli jest powtórzona na tysiącach i milionach artykułów, to choćby różnica między ceną kupna i odprzedaży stała się nieskończenie mała, suma korzyści może się tym nie mniej stać ogromna. To postępowanie tak proste — w teorii, w praktyce jest trudniejsze — było znane ludziom wszystkich czasów. W ten sposób powstawały zawsze fortuny kupców, tych wielkich kupców, którzy w historii cywilizacji odgrywali zawsze pierwszorzędną rolę.

Ale dzisiaj potęgę kupca zaczyna trochę zaćmiewać potęga fabrykanta. Te trusty, o których tyle słyszycie, nie są ściśle biorąc spółkami kupców, jak nim była np. Liga Hanzeatycka, ale zrzeszeniami fabrykantów. Fabrykowanie więc to także sposób robienia interesów i robienia majątku. Bez wątpienia — i nie różni on się zasadniczo od poprzedniego. To prawda, że na pierwszy rzut oka fabrykant nie robi tak jak kupiec, to jest, nie kupuje, ażeby odprzedać, ale przyglądając się baczniej widzimy, że właśnie robi on to samo. Nabywa surowce, węgiel, maszyny, a zwłaszcza to, co nazywamy robocizną, miesza to i rozrabia, poczem



odprzedaje produkt i zyskiem jego jest różnica pomiędzy ceną, po której sprzedaje, a ceną, którą zapłacił za wszystkie te ingrediencje potrzebne w jego kuchni. Jediną różnicą z kupcem jest to, że ten nie zajmuje się na ogół operacjami przekształcania towaru, ale sprzedaje go takim, jakim otrzymuje. Ale to jest tylko różnica stopnia. Są kupcy, którzy jednak podają swoje towary pewnym przekształceniom, nawet w sposób uczciwy. Zobaczcie małego kupca korzennego, stojącego przed drzwiami, zajętego paleniem kawy i obracaniem ręczki swojej małej palarni. A piekarz? I na odwrót, są fabrykanci czy przynajmniej nazywający się fabrykantami, którzy nie podają żadnemu przekształceniu sprzedawanych przez siebie towarów. Ci, których w Lyonie niesłusznie nazywają „fabrykantami materiałów jedwabnych“, otrzymują jedwab tkany przez robotnika na swoim warsztacie, całkiem gotowy, pocięty na kawałki, w formie już ostatecznej; nie różnią się oni niczym od kupców. A tym samym ich zysk nie różni się także niczym. Składa on się z nadwyżki ceny sprzedażnej nad ceną zakupu robocizny, ponieważ ostatecznie wszystkie koszty produkcji są tylko niczym więcej niż sumą zakupu albo wynajmu pracy i kapitału i nawet cena surowca i narzędzi wchodzi w to oczywiście.

Ten to mechanizm zysku dostrzegł bardzo dobrze Karol Marx. Mnie ujawniony on został daleko prościej już przed wielu laty przez pewnego fabrykanta wielkich kuf z Beaucaire. Przysłał on robotników do pracy u mnie. Zapytałem tych robotników, ile zarabiają? Odpowiedzieli mi: 4 franki. Kiedy kilka miesięcy później bednarz przysłał mi swą fakturę, zobaczyłem, że wstawił do niej tyle a tyle dni roboczych po 5 fran-

ków. Zwróciłem mu uwagę — bardzo naiwnie jak na profesora ekonomii politycznej, którym już byłem podówczas — że płacił swoim robotnikom tylko po 4 franki. Na to on mi odpowiedział: „Zapewne, Panie, ale czyż warto było by trudu być przedsiębiorcą, gdybym liczył moim klientom za pracę robotników tyle, ile ona mnie kosztuje“. Otwarły mi się oczy. Byłem mu bardzo wdzięczny za tę nieco cierpką odpowiedź. Przyznałem, że może on istotnie zarabiać na życie tylko wtedy, gdy będzie odprzedawał pracę swych robotników po 5 franków, płacąc za nią po 4 franki.

Rozumiemy teraz, dlaczego rola fabrykanta jest bardziej okazała niż kupca i dlaczego jego moc może się stać niemal nieograniczoną. Dlatego, że mnoży ją się przez liczbę zatrudnionych robotników. Mój bednarz, który zarabiał jednego franka na każdym dniu pracy swojego robotnika, miał ich małą liczbę, tak że zysk, chociaż znaczny (20%), nie prowadził go do bogactwa, ale gdyby mógł zatrudnić 100, 1.000, 10.000 robotników, to nawet zarabiając znacznie mniej niż franka od robotnika na dzień, mógłby się stać miliarderem. Są fabryki i zakłady, które zatrudniają, jak Krupp w Essen, do 50.000 robotników. A zresztą są przedsiębiorcy, jak organizatorzy trustów, którzy, nie zatrudniając bezpośrednio żadnego robotnika i mając, być może, w swoim biurze tylko kilku sekretarzy i telefon, wykonywują kontrolę nad setkami tysięcy pracowników.

Kapitalista, jak p. Pierpont Morgan, słynny organizator trustu stali i trustu oceanicznego, nie licząc wielu innych, zajmuje się zakupywaniem i odprzedawaniem pracy może 2 do 300.000 robotników, rozrzuconych



w tysiącach miejsc, na drogach żelaznych, w kopalniach i na 300 parowcach, które krążą po Oceanie.

Otóż więc definicja zysku: jest to *nadwyżka ceny sprzedaży nad ceną zakupu* albo sumy sprzedaży nad własnym kosztem, co wychodzi na to samo.

#### § 1. SKĄD SIĘ BIERZE ZYSK

Ale sama ta nadwyżka, skąd ona się bierze? Jakimże to tajemniczym sposobem kupiec albo fabrykant może kazać płacić sobie za jakąś rzecz drożej aniżeli ona go kosztowała? Innymi słowy, jaka jest przyczyna zysku?

Jest to jedno z najtrudniejszych zagadnień ekonomii politycznej.

Pierwszym wyjaśnieniem, które co prawda dał autor dramatyczny, a nie ekonomista, jest to, że przedsiębiorca jest jedynym twórcą produktu, gdyż on jest tym, który myślał, chciał i działał, że wskutek tego cała wartość produktu powinna należeć do niego i że część, której on się zrzeka na rzecz robotników, jest rodzajem jałmużny. Płaca byłaby tylko, jak mówi p. de Curel w sztuce teatralnej p. t. *Bankiet lwa*, która narobiła dużo hałasu, „lwią resztką“, resztką zdobyczy, którą lew, najedzony już, pozostawia szakalom. I muszą one uważać się jeszcze za szczęśliwe, gdyż bez śmiałego myśliciwa nie miałyby co jeść. W ten sposób wielki przedsiębiorca daje lekcję strajkującym na scenie.

A oto inne wyjaśnienie zysku, wręcz odwrotne. Zajmuje ono cały tom, jeden z najśłynniejszych w XIX, zawsze cytowany, rzadko czytany, bardziej jeszcze rzadko rozumiany — *Kapitał* Karola Marxa, służący za podstawę całego systemu kolektywistycznego. Według Marxa całą swą wartość produkt zawdzięcza jedynie pracy. Ale wartość tę, stworzoną przez pracę, przed-

siębiorca strzeże się zwrócić całkowicie robotnikowi; część jej zachowuje dla siebie, to jest jego zysk. Zysk pochodziłby z *pracy niezapłaconej* i w konsekwencji jest on odbierany robotnikowi, najemnikowi. Wysockość zysku więc zmienia się obowiązkowo odwrotnie proporcjonalnie do pracy<sup>1</sup>.

Nie możemy dyskutować tu o wartości tej teorii w ciągu zwykłej konferencji. Powiedzmy tylko, że wydaje się nam ona nie mniej tendencyjną niż poprzednia, jakkolwiek w odwrotnym kierunku. Nie wierzymy, żeby wartość produktu zależna była wyłącznie od pracy robotnika, nie wierzymy też w zasadę ogólną, że wartość nie ma innej podstawy niż praca.

W doktrynie spółdzielczej, którą wam wykładam, przypuszczamy, że przedsiębiorca zakupił pracę według jej istotnej wartości (z dość częstymi wyjątkami, przyznaję), ale że odprzedając ją, podnosi cenę. Zyskiem nie jest to, czego *nie dopłacił* robotnikowi, ale raczej to, co kazał nadpłacić spożywczy.

Wynika stąd ta konsekwencja, że na wypadek przypuszczalnego zniesienia zysku skorzystałby z tego daleko więcej spożywca niż robotnik.

Oto w czym różnią się kooperatyści od kolektywistów. A to dlatego, że spożywca wydaje nam się być więcej jeszcze niż najemnik ofiarą organizacji gospo-

---

<sup>1</sup> Jakże to przedsiębiorca bierze się do takiego wyzucia pracownika z jego własności? Dokonywa on tego siłą czy chytrością? Nie, argumentacja Marxa wznosi się ponad banalne insynuowanie kradzieży, dokonanej przez przedsiębiorcę na robotniku. Przedsiębiorca opłaca robotnika *tylko, ile on jest wart*; nieszczęściem tylko dla robotnika okazuje się, że wartość pracy ręcznej jest zawsze niższa od wartości wyprodukowanej przez robotnika — a to przez grę praw ekonomicznych, których tu nie możemy wyjaśniać.



darczej i wyzwolenie społeczne powinno się rozpocząć od niego.

Trzeba jednak dodać, że znaczna większość spożywców są to właśnie robotnicy najemni i że haracz ściągany ze spożywcy może być ściągany od niego tylko z płacy za jego pracę, wobec czego te dwa wyjaśnienia nie są tak rozbieżne w rzeczywistości, jak by się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Tym nie mniej teoretycznie są one przeciwstawne i pożytecznie jest rozróżniać je.

Przejdźmy do wyjaśnienia, jakie dają ekonomiści. Zajmuje ono środek pomiędzy dwoma poprzednimi wyjaśnieniami. Zgadza się oni, że wartość produktu jest częściowo wynikiem pracy robotnika, ale mówią, że również część jest wynikiem pracy przedsiębiorcy, niezależnie od tego, czy jest on fabrykantem czy zwykłym kupcem. Ta właśnie część składa się na zysk.

Mój bednarz, że powrócę jeszcze do przykładu, który przytaczałem, mógłby mi odpowiedzieć: bez wątpienia zapłacił mi pan jedną czwartą powyższej pracy moich robotników, ale to dlatego, że do pracy tych robotników i ja dodałem dodatkową pracę. Być może dostarczyłem im ich narzędzi, poniosłem, być może, koszty ich praktyki; w każdym razie odnalazłem ich i utrzymywałem, żeby ich mieć pod ręką i wysłać ich do pana w dniu, w którym by ich pan potrzebował. Dałem im zaliczkę ich płacy za pracę wykonaną u pana, gdyż wypłacam im co 8 albo 15 dni, podczas gdy rachunek mój przesłałem panu po 6 miesiącach. Wszystkiego tego nie robi się darmo i nie jest to zapłacone zbyt drogo przez nadwyżkę, jaką doliczyłem do ceny.

I było by to bardzo dobrze powiedziane. Jest rzeczą niewątpliwą, że za każdym razem, kiedy przedsiębior-

ca dał swoją pracę osobistą, choćby to była tylko praca kierownicza, która nie jest rzeczą najmniejszą, ma on za to prawo do wynagrodzenia. Znieść mu je było by nie tylko niesprawiedliwością ale niemożliwością. Jest on dyrektorem orkiestry i chociaż nie gra na żadnym instrumencie, nie można się tym nie mniej obejść bez niego i w konsekwencji trzeba mu za to zapłacić.

Ale w tym wyjaśnieniu pomieszane są dwie odrębne role: rola przedsiębiorcy i rola kierownika. Bez wątpienia zdarza się często w rzeczywistości, że przedsiębiorca jest równocześnie kierownikiem zakładu, ale w teorii te dwie czynności muszą być starannie rozdzielone i tak bywa często w rzeczywistości. *Manager*, jak mówią Amerykanie, nie jest przedsiębiorcą. I w konsekwencji płaca, czyli słuszne wynagrodzenie, które powinno być przyznane kierownikowi - *managerowi*, nie jest zyskiem, a dowodem tego jest, że to wynagrodzenie zapisuje się zawsze na koszty produkcji.

Czymże bowiem jest koszt produkcji? Powiedzieliśmy to już. Jest to koszt surowca, robocizny (to jest pracy nad przekształceniem tej materii), jest to procent, amortyzacja i ubezpieczenie zaangażowanego kapitału, a także wynagrodzenie pracy kierowniczej. Dowodem tego jest, że we wszystkich spółkach, nie tylko spółdzielczych, ale i akcyjnych, towarzystwach dróg żelaznych, kopalniach i t. d. wszystkie płace czy pensje, wypłacane administratorom, inżynierom i dyrektorom — włączając w to naturalnie pensję naczelnego dyrektora wielkich spółek — figurują w kosztach produkcji albo w kosztach ogólnych, co wychodzi na jedno, dokładnie tak samo jak płace mechaników lub robotników. I nie ustala się podziału dywidendy, to jest zysków, dopóki nie zaliczy się wszelkiego wynagrodze-



nia za pracę. W truście stalowym dyrektor - *manager*, p. Schwab, otrzymuje 800.000 dolarów jako pensję, ale i tam także jest to zwykła płaca, figurująca w kosztach ogólnych trustu.

Nawet w przedsiębiorstwach indywidualnych zdarza się często, że przedsiębiorca w swoich księgach rachunkowych zapisuje na swoje dobro pewną sumę, reprezentującą wynagrodzenie za jego pracę, to jest równowartość tego, co wypaciłby kierownikowi, któryby go zastąpił. Wpisuje to do kosztów produkcji, a za zysk ściśle wzięty uważa to, co zarabia *więcej* ponad pensję za swoją pracę.

Nawet praca wynalazcza, na której próbowano niekiedy oprzeć zysk, nie utożsamia się z nim bynajmniej. Wchodzi ona również do kosztów produkcji; dowodem tego jest to, że przedsiębiorca kupuje patent wynalazcy albo opłaca rok pracy inżynierów, chemików i rysowników, zobowiązanych dokonywać tych wynalazków.

Wszystko to ujawnia się w sposób najbardziej widoczny w tym, co nazywa się dywidendą. Dywidenda jest jedną z form zysku: jest to zysk w stanie chemicznie czystym. Jest to zysk, który występuje w przedsiębiorstwach, zakładanych pod formą towarzystw akcyjnych. Otóż niech nam pokażą rodzaj pracy, który byłby wynagradzany dywidendą... chyba że będzie to praca polegająca na odcinaniu nożyczkami kuponów.

Zysk nie może więc być mieszany z wynagrodzeniem za jakąkolwiek pracę: zarządu, wynalazku, kontroli ani żadną inną, gdyż, powtarzam raz jeszcze, każdy rodzaj pracy musi być włączony do kosztów produkcji, podczas gdy zysk jest, jak wynika z samego określenia,

tym, co jest ponad kosztami produkcji, co jest nadwyżką.

Szukajmy więc innego wyjaśnienia: oto czwarte. Przedsiębiorca dostarcza nie tylko pracy zarządzania, na ogół daje on całość albo część kapitału przedsiębiorstwa. Otóż czysty zysk byłby *wynagrodzeniem za ten kapitał*.

Ale gdyby tak było, zysk zlewałby się z oprocentowaniem kapitału, które jak wiadomo, jest jego wynagrodzeniem. Czyż można w to wierzyć? Przecież każdy, kto się zajmuje interesami, i nawet taki, co się nimi nie zajmuje, wie, że zysk nie jest tym samym, co oprocentowanie. Dowód jest taki sam, jakiśmy dali przed chwilą: procent, czyli cena wypożyczenia kapitału (gdyż tym jest on właśnie) bywa zawsze zapisywany do kosztów produkcji, zupełnie tak samo jak czynsz od nieruchomości: czy lokal jest zajęty przez właściciela domu czy przez kogoś innego na podstawie kontraktu najmu, wlicza się jednakowo komorne od kosztów ogólnych. I tak samo również zapisuje się tam oprocentowanie kapitału, niezależnie od tego, czy jest to kapitał pożyczony, czy należy do właściciela. Przemysłowiec albo kupiec, którzy wyciągnęliby ze swego przedsiębiorstwa tylko oprocentowanie swojego kapitału, nie sądziliby na pewno, że osiągnęli zysk. Powiedzieliby sobie słusznie, że było by daleko lepiej umieścić swój kapitał w rencie państwowej albo w obligacjach kolejowych, albo w jakikolwiek inny sposób i żyć jak rentierzy. Za zysk będą oni uważali tylko to, co wyciągną ponad oprocentowanie. Jeżeli otrzymana czysta nadwyżka wynosi 8% od ich kapitałów, a normalna stopa procentowa wynosi 5%, ocenią oni swój zysk na 3%, bo 8—5 równa się 3.



Żeby wzmocnić nieco to wyjaśnienie, ekonomiści dodają niekiedy, że zysk jest *wynagrodzeniem za ryzyko*. Musimy powtórzyć tutaj to, co mówiliśmy w odpowiedzi na poprzednie wyjaśnienia. Wynagrodzenie za ryzyko i przewidywanie go nazywamy *ubezpieczeniem*. Otóż do oczów skacze, że premia asekuracyjna nie jest częścią zysku, ale częścią kosztów produkcji. Jest oczywiste, że przedsiębiorca, który wyciągnąłby ze swojego przemysłu tylko sumę, potrzebną do zapłacenia asekuracji przeciw ryzyku, nie uważałby, iż osiągnął jakikolwiek zysk. I miałby zupełną rację.

A więc, jeżeli zysk ściśle brany nie jest ani zapłatą za pracę, ani oprocentowaniem kapitału, ani premią asekuracyjną, czymże więc jest? Oto najnowsze wyjaśnienie: zysk jest wynikiem monopolu, albo — jeżeli to słowo was drażni, uprzywilejowanej sytuacji, szczęśliwego trafu, który pozwala przedsiębiorcy sprzedać swe produkty powyżej ceny kosztu własnego i zarobić różnicę. Podzielać całkowicie to zdanie.

Uważajcie jednak, że słowo „monopol“ nie powinno budzić w waszym umyśle niczego podobnego do przywileju udzielonego przez prawo na mniej czy bardziej długi okres czasu, jak np. monopol dróg żelaznych albo monopol wekslarzy. Monopol, tworzący zysk przemysłowca albo kupca, nie jest udzielony przez prawo, tylko przez faktyczną sytuację: przez fakt posiadania pewnego nazwiska, jakiejś znanej od dawna marki, fakt znajdowania się obok kopalni, z której można otrzymywać tani węgiel, u stóp alpejskiego wodospadu, który pozwala zużytkować biały węgiel, albo po prostu fakt, że się jest tym, który się znajduje na rogu ulicy, a nie jego sąsiadem. Jest tysiąc okoliczności, które mogą stworzyć monopol. Monopol nie jest majesta-

tem zamkniętym w swoim pałacu. Jest on wszędzie. Nie ma prawie nikogo, ktoby nie mógł być wyposażony w danym miejscu i w danej chwili wielkim czy małym monopolem. Chłopak, który idzie krzycząc *Le Matin* albo *Le Soir*, korzysta z monopolu dopóki jest sam na ulicy, monopolu, który trwa tak długo dopóki jakiś konkurent nie zacznie mu deptać po piętach. I kiedy go widzicie biegnącego tak szybko, to właśnie dlatego, że usiłuje on zostać nieco dłużej w posiadaniu swojego krótkiego monopolu.

Otóż mała czy wielka, zawsze to jest ta sama rzecz i ten tylko osiąga zysk, kto umie biec najszybciej, żeby zdobyć to dobre miejsce, które da mu przez mniej czy bardziej długi czas położenie monopolisty.

Monopol wynika często po prostu z faktu, że było się pierwszym, który pomyślał o jakiejś rzeczy. Mieć dobry pomysł i mieć go przed innymi, to wszystko w interesach. Eksploatacja tego pomysłu stanowi monopol. Nie jest to wcale konieczne, aby to był pomysł genialny. Wręcz przeciwnie, takie pomysły nie przynoszą zwykle niczego. Trzeba, żeby to był dobry malutki pomysł praktyczny, który zmusi każdego do powiedzenia: masz tobie, nie wiem, dlaczego o tym nie pomyślałem — naprz. system zamykania butelek z piwem sprężyną z drutu, agrałka, która przyniosła, jak mówią, miliony swemu wynalazcy, chociaż nie był to wynalazek, tylko pomysł odnaleziony w wykopaliskach Pompei, sznurrowadło do butów wynalezione przez Harry'ego Kennedy, mniejsze jeszcze rzeczy: łyżwa na kółkach, mały balonik dla dzieci, wydęty gazem, spadochron papierowy, który go poprzedził, nie mówiąc już o przedobiedniej szklaneczce wina. Jaką fortunę zyskałby wynalazca ilustrowanej pocztówki, gdyby mógł być wziąć pa-



tent, a przecież to rzecz całkiem inna niż stal Bessemerowska albo Marconiego telegraf bez drutu.

Oto dlaczego za każdym razem, kiedy dla jakiegokolwiek przyczyny jakiś przedsiębiorca, producent znajduje się w posiadaniu monopolu, znajduje się przez to samo w możliwości osiągnąć zysk, gdyż charakterystyką monopolu (i nawet jego definicją ekonomiczną) jest właśnie to, że pozwala on komuś, kto z niego korzysta, *sprzedawać po cenach wyższych od kosztów produkcji*<sup>1</sup>.

Widzicie, że ceny sprzedażne ciągle się podnoszą i spadają powyżej i poniżej poziomu ustalonego przez koszt produkcji. Jeżeli podnoszą się powyżej, otrzymuje się zysk pozytywny; jeżeli spadają poniżej, otrzymuje się zysk negatywny, który mógłby być wyrażony przez znak *mniej* (—), jakiego się w algebrze używa dla oznaczenia ilości negatywnych poniżej zera.

To też rzadko się zdarza, żeby monopol i zysk z niego płynący trwały długo; często nawet nie równa się to długości życia ludzkiego pomimo wysiłków posiadaczy monopolu dla zachowania go, pomimo krzyków pod adresem publiczności, iż jest to jedyna firma! prawdziwa, dobra! — Maria Józef Farina dla wody kolońskiej — i zalecenia, aby dobrze sprawdzono czy pieczętka firmy znajduje się na buteleczce. Słyszysz się czasem: ta firma miała powodzenie, ale go już nie ma. Trzeba to rozumieć, że przyczyny, które się składały na powstanie jej monopolu, już nie istnieją.

---

<sup>1</sup> Można to zresztą osiągnąć dwoma różnymi sposobami: albo dlatego, że monopolista znajduje się w sytuacji, która mu pozwala sprzedawać po cenach wyższych niż jego konkurenci, albo dlatego, że jego sytuacja pozwala mu na zmniejszenie kosztów produkcji więcej niż to mogą uczynić jego konkurenci. Druga hipoteza jest oczywiście pomyślniejsza dla spożywców.

Ze światem interesów jest dokładnie to samo, co z powierzchnią morza: bez przerwy wznosi się ona i opada pod wpływem wiatrów i przyborów. Kiedy morze jest wzburzone, fale podnoszą się wielkie jak góry i opadają w przepaście. Kiedy powraca cisza, powierzchnia wygładza się do poziomu oznaczonego przez inżynierów i geografów znakiem zera, ale nigdy nie utożsamia się dokładnie z poziomem teoretycznym. Toż samo w świecie interesów: są okresy kryzysów, w których wieje duch przedsiębiorczości i wszystkie wiatry spekulacji, jakimi są przekraczające miarę zwyżki i zniżki, wielkie zyski i wielkie straty, przy których zręczni robią majątki, a nieostrożni je tracą. Później, kiedy burza już przejdzie, kołysanie się opada: ceny mają tendencję do powrotu do równowagi, do swojego środka ciężkości, do poziomu kosztu produkcji, z którymi zresztą nigdy nie utożsamia się dokładnie.

Zysk jest przeto tylko przechodzącą ale ciągle odnawiającą się falą. Czy nie jest to dziwnym pomysłem, że te zyski i te fortuny, które stoją tak wysoko w opinii świata i zaprzatają tak bardzo ludzi, a które są niemal jedynym fenomenem ekonomicznym bijącym w oczy, że wszystko to jest niczym więcej niż przechodzącą falą, uwieńczoną pianą i pod którą rozwija się nieruchome życie gospodarcze? Ale cóż, z morza niezmierzonego, a również i z jego pełnych życia głębin czyż widzimy coś więcej niż spienione fale?

## § 2. DLACZEGO ZYSK MUSI ZNIKNĄĆ

Żądza zysku jest dziś głównym motorem nie tylko w naszej działalności gospodarczej, ale także w naszej działalności społecznej; wobec tego wolno wierzyć, że



zniesienie takiego motoru zmieniłoby całkowicie warunki naszego życia i nawet charakter naszej cywilizacji.

Ale cóż to za chimeryczna hipoteza — powie ktoś — to zniesienie żądzy zysku w przyszłości? Czyż by ludzie mieli się stać świętymi?

Bynajmniej, ale nie można zaprzeczyć, że gdyby możliwość osiągnięcia zysku zniknęła, żądza gromadzenia go zniknęłaby razem ze swoim obiektem.

Otóż zniesienie zysku jako odrębnej kategorii ekonomicznej wchodzi w zakres przewidywań nie tylko socjalistów i kooperatystów, ale nawet klasycznych ekonomistów, a więc mniej więcej w zakres przewidywań wszystkich szkół; można nawet powiedzieć, że jest to jedyny punkt, na którym wszystkie one znajdują się w zgodzie. Jakkolwiek paradoksalnym wydawałoby się to twierdzenie, łatwo jest dowieść go.

A więc przede wszystkim szkoła liberalna: wierzy ona w nieskończony rozwój współzawodnictwa aż do dnia, w którym zostanie ono całkowicie zrealizowane. W tym dniu, mówią ekonomiści liberałowie, np. p. de Molinari, wszystkie wady, jakie mu się przypisuje, a które nie są związane z nim, lecz przeciwnie, z niedoskonałościami i brakami jego funkcjonowania, znikną przez wolne współzawodnictwo.

Nie wierzymy w to wcale, ale przyjmując, że przyjdzie dzień, w którym współzawodnictwo będzie działało całkiem swobodnie, cóż wówczas stało by się? Zniknąłby zysk.

Gdyż skutkiem współzawodnictwa jest właśnie sprowadzenie cen wszystkich rzeczy do poziomu kosztów produkcji, a przez to do zniknięcia tej marży, tej nadwyżki, którą określamy jako zysk. Jest to truizm ekono-

mii politycznej<sup>1</sup> i zresztą jest to fakt dobrze znany wszystkim przemysłowcom i kupcom. „W tym interesie nie ma nic do zarobienia, konkurencja jest tu zbyt silna“ — oto frazes, który ciągle się słyszy.

Istnieje zresztą prawo, znane wszystkim ekonomistom i wykładane przez wszystkich, równie dobrze przez Karola Marxa jak przez Pawła Leroy-Beaulieu; nazywa się ono „prawem zmniejszania się wysokości zysku“ i ujawnia się według nich we wszystkich krajach. Otóż jakkolwiek matematyka uczy nas, że progresja może się nieskończenie zbliżać do zera, nie utożsamiając się z nim nigdy, jeżeli takie zjawisko jest realne, daje nam to szczególne potwierdzenie naszej tezy.

A teraz przejdźmy do szkoły spółdzielczej.

Czymże jest spółdzielcze stowarzyszenie spożywców? Są to spożywcy, którzy zmęczeni płaceniem zbyt wysokich cen za chleb, wino, kawę, za wszystko, a więc tworzeniem zysku piekarzom, kupcom korzennym i t. d., porozumiewają się co do nabywania towarów po cenach kosztu i zniesienia w ten sposób zysku, a co najmniej do wkładania go do swojej kieszeni, co wychodzi na jedno. Przedmioty te są na ogół sprzedawane przez ich sklepy po takich samych cenach jak u kupców, ale nadwyżka tej ceny sprzedażnej ponad cenę kosztu, zamiast być pobierana przez kupca, pobierana jest przez stowarzyszenia i oddawana przez nie pod nazwą „zwrotów“ członkom. W ten sposób *zysk zwrócony jest nabywcy, od którego był pobrany*. Natura i pochodzenie zysku występują tu bardzo jasno.

<sup>1</sup> Szkoła ekonomiczna, mianowicie p. Walras, oświadcza kategorycznie, że *normalna wysokość zysku jest zero*, a mówiąc „normalna“, rozumie przez to ustrój całkowitego wolnego współzawodnictwa.



W miarę jak stowarzyszenie spożywców rozwija się, nie ogranicza się ono do nabywania hurtowo towarów, ale fabrykuje samo wszystko, co mu jest potrzebne, aby otrzymywać to po cenach kosztu; inaczej mówiąc, usuwający zysk kupca, usuwa zysk fabrykanta. Spożywczy stają się własnymi kupcami i własnymi fabrykantami, ażeby nie zbogacać więcej ani jednych ani drugich.

Tak że najlepszym określeniem, jakie można dać spółdzielczości spożywców, jak zresztą wszystkim innym formom spółdzielczości (wytwórczej, kredytowej, budowlanej, nie mogę tu wypowiedzieć zresztą, jak one wszystkie są w tym podobne do siebie) — to zdefiniować ją następująco: stowarzyszenie, które dąży do zniesienia zysku. A cóż przyznaje ono kapitałowi? Po prostu to, co kapitalista przyznaje dziś pracownikowi, mianowicie *prawo do życia*, co obejmuje amortyzację i oprocentowanie, czyli wszystko, co jest niezbędne i potrzebne, aby pozwolić kapitałowi utrzymać się przy życiu i rozmnażać. Taki był zresztą najistotniejszy artykuł programu Owena, człowieka słusznie uważanego za ojca spółdzielczości.

To też nie ma się prawa mówić, że zniesienie zysku jest niemożliwością, podczas gdy nam wydaje się ono przeciwnie niezbędnym *zakończeniem dwóch ustrojów ekonomicznych, które pod wszelkimi innymi względami są antytezą wzajemną: ustroju całkowitego współzawodnictwa i ustroju całkowitej kooperacji*. Ciekawą i doprawdy wymowną zbieżnością jest widok tych dwóch dróg ewolucji społecznej, które wydają się tak różne od siebie, jak prowadzą one społeczeństwa ludzkie — na którąkolwiek z nich los by je wepchnął — dokładnie do tego samego punktu. Jakąkolwiek byłaby przyszłość, los zysku jest przesądzony. Żegnaj zysku!

Czuję to zresztą dobrze, pomimo wszystko, co powiedziałem przed chwilą, że takie twierdzenie — mianowicie, że zyski spadłyby do zera równie dobrze w ustroju całkowitej kooperacji jak doskonałego współzawodnictwa — wydaje się niepokojącym.

Przede wszystkim zdziwi ono i zgorszy przemysłowców. Powiedzą oni: to jest nonsensowne, niemożliwe i niesprawiedliwe. Gdyby nie było zysku, nie było by przedsiębiorstw, bo nikt nie zakłada przedsiębiorstwa, w którym nie ma nic do zarobienia. Było by zresztą całkowicie niesprawiedliwe, żeby przedsiębiorcy ci pracowali za darmo.

Ale ci, w których umyśle powstaje taki zarzut, zapominają o tym, cośmy powiedzieli wyżej, mianowicie, że wynagrodzenie za pracę i za dostarczone przez przedsiębiorcę kapitały mieści się już w kosztach produkcji i że wobec tego usunięcie zysku, gdyby stało się faktem, nic by w tym wypadku nie zmieniło. Rzeczywiście, jeżeli przedsiębiorca zachowuje: 1) sprawiedliwe wynagrodzenie za swoją pracę kierowniczą; 2) oprocentowanie i amortyzację swoich kapitałów — jakim prawem wymagałby oprócz tego dodatkowego wynagrodzenia pod nazwą zysku? Na jakiej podstawie oparłby to żądanie? A gdyby nowy ustrój gospodarczy, czy to całkowicie wolnego współzawodnictwa, czy to ustrój spółdzielczy odebrał mu to dodatkowe wynagrodzenie, jakim prawem skarżyłby się na to? Utraci co prawda korzyść, jaką ciągnie ze swego monopolu, ale pozostanie mu pociecha, że będzie mógł żyć jak wszyscy inni, t. j. żyć jedynie z dochodu ze swej pracy i ze swych kapitałów.

Czyż nie ma spółek przemysłowych, nie mówiąc już o spółdzielniach, które istnieją bez rozdzielania dywi-



dend, a mogą nawet trwać nieskończenie? Otóż spółka która żyje i produkuje bez rozdzielania dywidend, jest dokładnie tym samym przedsiębiorstwem, które żyje i produkuje nie osiągając zysków.

A straty, powiedzą mi ludzie interesów, czy liczy je pan za nic? Nie zapominam o nich, mówiłem już o tym z racji ubezpieczenia, ale odpowiadam: 1) że ubezpieczenie przeciwko stratom objęte jest także kosztami produkcji, jeżeli rachunkowość jest dobrze prowadzona; 2) że zresztą w przypuszczalnym ustroju całkowitej równowagi straty nie istniałyby: zniknęłyby one w tym samym czasie i z tych samych powodów co zysk, tak jak na płynnej powierzchni absolutnie poziomej, której istnienie przypuszczaliśmy dopiero co, doły znikają razem z falami.

### § 3. PRZYPUSZCZALNE SKUTKI ZNIESIENIA ZYSKU

Którykolwiek z dwóch ustrojów gotuje nam przyszłość, jasne jest, że zniesienie wszelkiego zysku miałooby za wynik wyschnięcie źródeł wszystkich fortun — a także co prawda zniesienie głównych przyczyn ruiny gospodarczej.

Jeżeli przypuścimy ustrój wolnego współzawodnictwa absolutnego, w którym żaden monopol czy to faktyczny czy to prawny nie mógłby się wyłonić ani na chwilę, w którym każdy mógłby próbować każdego przedsiębiorstwa z równymi szansami powodzenia, w którym osoby i kapitały mogłyby zmieniać miejsca z taką samą łatwością i szybkością jak woda w połączonych zbiornikach, wtedy wszędzie cena sprzedaży utożsamiałaby się z ceną produkcji, a zysk byłby równy zeru: było by to to samo, powtarzamy, jak gdybyśmy przypuścili absolutny spokój na morzu, którego wszystkie wahania zatrzymałyby się, a powierzchnia

stałaby się absolutnie pozioma jak woda jeziora bez zmarszczki.

Ale oto zjawia się zagadnienie: z dniem, w którym z życia gospodarczego zniknie szansa zrobienia majątku, z dniem, w którym ludzie nie będą już trzymani w napięciu przez nadzieję zrobienia majątku albo strach utracenia go, czy nie powstanie obawa, że działalność ich stanie się ociężała i że świat gospodarczy, sprowadzony do poziomu horyzontalnego i nudnego, któryśmy przed chwilą przewidywali, przestanie być pociągający dla umysłów awanturniczych? A przecież to śmiali lubią nastawiać swój żagiel pod wiatr i czuć, jak ich rzucają przyływ i odpływ. „Jest w sprawach ludzkich — mówi Szekspir — przyływ i odpływ, w których trafiwszy na wznoszącą się falę, dochodzi się do fortuny“. Kiedy zniknie ten przyływ i odpływ, co ludzie uczynią? Czy nie zatrzymają się beczynni jak żaby siedzące nad brzegiem kałuży?

Te perspektywy są istotnie niepokojące. Nasuwały się one już umysłowi wielkiego ekonomisty, Johna Stuarda Milla. I on zapowiadał już przeszło przed pół wiekiem, opierając się na prawie stopniowego zmniejszania się wysokości zysku, że może nadejść dzień, w którym wskutek tego zwolnienia tempa „rzeka przemysłu ludzkiego rozleje się ostatecznie w morze stojące.“ I nazywał ten przyszły ustrój znamienną nazwą „bezruchu“. Tym nie mniej zgadzał się na niego z góry z rezygnacją, jeżeli nie z entuzjazmem, zauważając, że po-goń za zyskiem nie jest jedynym celem działania ludzkiego i że przynajmniej nie będzie się widziało w tym ustroju, tak jak dziś w Stanach Zjednoczonych „całej jednej płci zajętej polowaniem na dolary, a drugiej zajętej wychowywaniem tych łowców dolarowych“.



Dotychczas, co prawda, zysk był jedyną sprężyną każdej działalności gospodarczej. I to trwa nie od wczoraj już. *Salve lucro*, chwała zyskowi, mówi dewiza, jaką znaleziono wypisaną na mozaice u progu jednego z domów w Pompei, wiadomo bowiem, że Rzymianie byli łapczywi na zysk. Weźcie jakiegokolwiek bądź przedsiębiorstwo: założone ono zostało i funkcjonuje doprawdy jedynie w celach zysku. Fabryka, ferma, kopalnia, droga żelazna pracują jedynie w tym celu. Dla zysku to człowiek zasiewa i uprawia pola, wykonywa żniwa i winobranie, rozgrzewa i kuje żelazo, kraje bruzdami morza. Więc cóż, czy nie można by wyobrazić sobie ustroju gospodarczego, w którym człowiek produkowałby nie dla celów zysku, ale po prostu dla zaspokojenia potrzeb? w którym wszystko byłoby robione pod kątem widzenia potrzeb, a nie pod kątem widzenia sprzedaży? Gdyby tylko potrzeby kierowały przedsiębiorstwami, czyż nie widziano by znikających wszystkich tych fałszywych manewrów, które można wyjaśnić jedynie zapoznaniem prawdziwych potrzeb, a nawet poświęceniem ich próżnej żądzy zysku, jak naprz. fałszowanie produktów, nadprodukcja, a zwłaszcza fakt, że ci, których potrzeby są najpilniejsze, są obsłużeni ostatni.

Bo przecież cały przemysł ludzki od tego rozpoczął; oczywiste jest, że człowiek rozpoczął produkować dla swojego spożycia — siał, obrabiał pola i zbierał tylko dla zaspokojenia swojego głodu. Idea pracy dla sprzedania jej produktu i otrzymania więcej pieniędzy niż się wydawało, jest ideą, która przyszła późno i która może bardzo dobrze zniknąć tak jak przyszła. Przyszłość jeszcze raz wróciłaby do przeszłości.

Taki ustrój nie jest bynajmniej utopijny, ponieważ

jest już realizowany, chociaż na małą skalę, w naszych kooperatywach. Jest to fakt kapitalny, że w Anglii istnieje setka fabryk, należących do stowarzyszeń spółdzielczych, które produkują chleb, obuwie, konfitury, ubrania nie w celach zysku, ale jedynie dla spożywców, którzy ich potrzebują, i po cenach kosztu. I nie zdaje się bynajmniej, żeby ich produkcja była niższa ilościowo, a zwłaszcza jakościowo niż produkcja przedsiębiorstw, mających zysk na celu. Emulacja, związanie się z całością ruchu, wystawy publiczne, duma z wyprzedzania swego czasu wystarczająco zastępują im podniecie zysku.

Jeżeli więc zniesienie zysku ma dać w wyniku zwolnienie albo nawet wyschnięcie źródeł fortuny, nie trzeba stąd wyciągać wniosku, że dałoby ono również w wyniku skurczenie produkcji, powstrzymanie pracy, zahamowanie postępu gospodarczego i chęci lepszego jutra. Myślę, że mamy prawo i nawet obowiązek patrzeć w tę przyszłość okiem bardziej pogodnym niż Stuart Mill.

Ten ustrój gospodarczy, który Stuart Mill nazywa stanem bezruchu, wolę nazwać stanem równowagi (bo stanie w miejscu wydaje się być równym rutynie i niemocy). W stanie równowagi za wszystko będzie się płaciło tyle, ile wynosił koszt wytworzenia, ani mniej, ani więcej, wszystko będzie się wymieniało według równej ilości pracy, żadna korzyść ani zysk nie będzie ściągana z kogo innego, zarówno z najemnika jak ze spożywcy. Będzie to równowaga moralna również, gdyż nie będzie w niej dusz oszalałych wskutek ciągłych zmian fortuny i ruiny.

A będzie to stan bardzo odpowiedni do rozwoju energii intelektualnej, estetycznej, politycznej i mo-



ralnej. Na te to nowe drogi wyleje się nadmiar działalności, która dzisiaj rzuca się w pogoń za zyskiem.

Człowiek nie może równocześnie oddawać się wszystkiemu z jednakową żarliwością. Trzeba wybierać. Życzymy mu więc, żeby zapalał się do celów bardziej szlachetnych niż pieniądz. Ostatecznie widzieliśmy to w przeszłości: piękność fizyczna i wieniec igrzysk olimpijskich u Greków, honor i szlachetność krwi u średniowiecznych rycerzy były dobrami wyższymi, jedynie wartymi trudu życia i śmierci. Miejmy nadzieję, że będą w przyszłości dobra, które ludzie kłaść będą ponad wszystko i które będą czymś innym niż zysk, dobra, których pożądanie nie będzie budziło drapieżnych instynktów i do których dążenie nie pociągnie za sobą okrutnych walk. I że nie będziemy wtedy widzieli gniewnej gromady tych,

Którzy idą wychudli przez drogi  
Z nienawiścią i zemstą w dłoniach  
I myślą, i myślą  
O drodze, która się przedłuża,  
O dniach przeszłych i straconych  
Na zbogacanie nieznanych<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Hennebicq — *Poèmes d'hier et d'aujourd'hui*.

## X

### PASOŻYTNICTWO SPOŁECZNE<sup>1</sup>

§ 1. *Pasożytnictwo w naturze i w historii.* — § 2 *Pasożytnictwo w porządku gospodarczym.* — § 3. *Sposoby walki z pasożytnictwem.* — § 4. *Czy należy się obawiać, że solidaryzm tworzy nowe pasożytnictwo.*

Można by powiedzieć, że celem spółdzielczości jest usuwanie pasożytów, z tym zastrzeżeniem, że trzeba przede wszystkim dobrze określić, czym jest pasożytnictwo. Otóż nie jest to tak proste, jak by się zdawało, gdyż kiedy się już jasno zrozumie, czym ono jest, zrozumie się również, że nie ma zgoła nadziei widzieć je kiedykolwiek całkowicie usunięte.

#### § 1. PASOŻYTNICTWO W NATURZE I W HISTORII

Jest pasożytem ten, kto żyje cudzym kosztem. Ale jest dużo sposobów życia na cudzy koszt i należy je rozróżniać. W świecie zwierzęcym i roślinnym widzimy trzy kategorie pasożytów.

1) Pasożyt drapieżny, który żywi się substancją swojej ofiary i w ten sposób powoduje najczęściej

---

<sup>1</sup> Odczyt wygłoszony po raz pierwszy w *Société d'Economie Populaire* w Nîmes w 1893 r., a potem w wielu uniwersytetach ludowych.



jej śmierć — takimi są nieliczne bakcyle, które toczą płuca i inne organy, kiedy te nie są w stanie się bronić, filoksera, która zżarła wszystkie winnice francuskie albo mniej czy bardziej legendarny wampir, który ssie krew swoich ofiar po uprzednim uśpieniu ich wachlarzem swoich skrzydeł.

2) Bliskimi krewniakami takich pasożytów, pojawiającymi się całymi legionami, są obrzydliwe, ale na ogół nieszkodliwe pasożyty, które oznaczamy zbiorową nazwą robactwa i od których wymieniania szczegółowymi nazwami zwolnijcie mnie. I te także żyją jak poprzednie z substancji swojej ofiary, ale nie przyczyniają jej wielkiego zła, gdyż nie chcą jej śmierci. Bynajmniej, ponieważ wręcz przeciwnie—żyją one z niej i są bardzo markotne, kiedy ofiary zabraknie i wskutek tego muszą zmieniać siedzibę. Pomiedzy pasożytem a jego ofiarą tworzy się pewien rodzaj stałego stowarzyszenia, utworzonego przez wiele niedyskrecji z jednej strony a wiele rezygnacji z drugiej, ale które jakoś trwa, tak że ofiara przyzwyczaja się łatwo do pasożyta, zbyt łatwo nawet. Pies drapie się z wściekłością, kiedy go męczą pchły, ale kiedy go się od nich uwolni gruntownym myciem, nie zdaje się stąd odczuwać żywego zadowolenia — i z innymi niż z psami dzieje się to samo.

3) Jeszcze bardziej nieszkodliwe są pasożyty, które przyrodnicy nazywają „współbiednikami“, a które zadowolają się odpadkami żywności innych pasożytów; sadowiają się w tym celu w pierwszych łóżach, t. j. w pysku i przewodzie pokarmowym, i przywłaszczają sobie skromną część wszystkiego, co przechodzi koło nich i jest dla nich osiągalne. Można by zaliczyć do tej samej kategorii pasożyty „leniwe“, które pozwa-

lają się nosić, jak naprz. wśród zwierząt mała rybka, która przyczepia się do brzucha rekina i daje się przez niego przenosić przez morza; albo w świecie roślinnym liczne tak zwane rośliny pnące, które drzewo, jakiego się czepiają, traktują jako podpórkę, żeby iść szukać w górze tak pożądaných przez nie światła i słońca.

Te różne formy pasożytów nie są nieznane i w rodzaju ludzkim. To nie tylko w bajce można upodobnić handlarza w *sweating system* do wampira albo typ karierowicza do rośliny pnącej. W Genewie oznaczają właśnie nazwą „grimpon“<sup>1</sup> tego kto stara się wkłęcić do wyższego towarzystwa. Można by znaleźć analogie bardziej poważne w pasożytnictwie.

Słowo „pasożyt“<sup>2</sup> w swojej etymologii greckiej (*parasitos*) oznacza dokładnie „współbiedak“ albo — jak dziś mówimy bardziej popularnie — pieczęniarz. Pierwszymi pasożytami byli ludzie obsługujący bóstwa i żyjący z resztek mięs składanych jako ofiary. I było to zaszczytnym mianem być pasożytem Jupitera albo Apollina. Przez to między pasożytnictwem a kapłaństwem ujawnia się pewna wspólność pochodzenia. Później zjawiała się ta odmiana pasożytów, którą nazywamy klientami patrycjuszów Rzymu lub Grecji, żywiącymi się u ich stołu i płacącymi za to pochlebstwami albo wstydliwymi usługami, lub też klientami średniowiecznych wielmożów. Hrabia Warwick gościł, jak mówią, w swoich zamkach 30.000 wasali i służących.

Dzisiaj to pasożytnictwo domowe niknie już. Nie ma już wcale ludzi, którzyby żyli utrzymując się z za-

<sup>1</sup> *Grimper* — *piąć się* (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> Po francusku *parasite* (przyp. tłum.).



siadania przy prywatnych stołach, co raz liczniejsi są za to ci, którzy żyją ze stołu publicznego i którzy koszty swojego jedzenia i picia znajdują w 4 miliardach<sup>1</sup> budżetu na ten cel przeznaczonych. To nie są okruchy. To są budżetojady, gatunek żarłoczny i mnożny, chociaż w największej części maltuzjanie. We Francji było ich jakieś trzydzieści lat temu około 600.000, dziś jest ich przeszło milion, jakkolwiek ludność Francji prawie się nie zwiększyła. Jeżeli by ta stopa progresji miała trwać nadal, nie trzeba by długo czekać na to, żeby wszyscy Francuzi weszli do budżetu. Samo się przez się rozumie, że nie wszyscy są pasożytami, ale jest ich dużo w tej liczbie. Znałem bibliotekarza pewnej instytucji publicznej, który nigdy nie chodził do swojej biblioteki, nawet wtedy, kiedy trzeba było podjąć pensję: noszono mu ją do domu. Odkryto niedawno, że przy każdym ministerstwie jest pięciu lub sześciu lekarzy do niesienia pomocy w razie potrzeby, którzy na szczęście nigdy nie byli tam wzywani: jeden z nich był specjalistą akuszerem. I chociaż co roku parlament obiecuje sobie, iż oczyści budżet z tych liszek, nic się nigdy nie czyni, przeciwnie: każdy deputowany domaga się tylu miejsc do obsadzenia, ilu posiada wyborców.

Te pasożyty są tym bardziej niebezpieczne, że działają na odległość, nie stykając się bezpośrednio z ofiarą, którą jest podatnik. Są go za pośrednictwem urzędu podatkowego tak, że ofiara nie jest w stanie bronić się, a co do pasożyta pozory są zachowane: wcześniej czy później otrzyma order za usługi oddane państwu. Dobierają się oni do budżetu nie tylko pod formą pensji, ale raczej wszelkimi innymi sposobami,

---

<sup>1</sup> Dziś o wiele więcej.

jak darmowy przejazd koleją, łoża w teatrze itp. I nie ma pałacu albo zakładu, należących do państwa, w których, kiedy się postanowi ich szukać, nie znalazło by się gromady ludzi zapchanych aż pod poddasza, o które walczą ze szczurami.

Ale oto jesteśmy przy najbardziej interesującej formie pasożytnictwa, która naszkicowana tylko u zwierząt, rozkwita zwłaszcza w rodzaju ludzkim: forma ta polega na życiu z *produktu cudzej pracy*. Porozumiejmy się: każdy z nas żyje zawsze z produktu pracy innego człowieka i w obecnym ustroju podziału pracy żaden z nas nie mógłby żyć inaczej. Ale jeżeli w obecnym stanie rzeczy każdy z nas żyje z produktu pracy kogo innego, każdy z nas również dostarcza wzajemian produktów własnej pracy albo swoje usługi. Pasożytnictwo, o którym mówimy, polega na tym, że żyje się z pracy kogo innego, nie dając w zamian nic, a to jest formą łupiestwa.

Ta forma nie jest nieznana zwierzętom, ale nie jest wśród nich zbyt częsta jednakże. Szerszeń, który grabi pszczołom miód — dokładnie tak samo jak robi to człowiek — kukulka, która podrzuca swoje jajka do gniazd innych ptaków, pozostawiając im troskę o wyżywienie swojego potomstwa, albo kania z wielkich jezior Ameryki Północnej, która wyrывa z dzioba ptaków rybołówów rybę, jaką z trudem złowiły, oto są przykłady zwykle przytaczane. Ale prawdę powiedziawszy są to raczej wypadki łupiestwa, kradzieży — powiedzmy nawet, z włamaniem — aniżeli pasożytnictwo. Prawdziwy pasożyt nie ucieka się do gwałtu; nie jest to rabuś, apasz, włamywacz. Na ogół nawet twierdzi on, iż oddaje usługi temu, którego wyzyskuje, i pasożytnictwo przywdziewa wówczas z hipokryzją



maskę wymiany mniej czy bardziej kulawej. Tak właśnie zachowuje się człowiek w stosunku do zwierząt: krowie zabiera jej mleko, owcy jej wełnę, ale twierdzi, że daje im więcej aniżeli zabiera, i to prawda, że daje im pokarm i schronienie, a nawet co się tyczy pszczoły, o której dopiero co mówiliśmy, daje jej ul. Ale to pasożytnictwo półwzajemne jest trochę zbyt skomplikowane, żeby mogło być w praktyce stosowane przez zwierzęta. Może by jednak można zacytować tego małego ptaszka, który przywiązuje się wiernie do nosorożca, siada na jego rogu, żywi się ziemnymi robakami, wydobytych jego ryjem, ale ostrzega go krzykiem, kiedy zbliża się jakiś nieprzyjaciel, zastępując w ten sposób jego zły wzrok; albo także pewne owady, które żyją w mrowiskach we współżyciu z mrówkami i oddają bez wątpienia ich mieszkańcom jakieś usługi, których nie znamy. Pijawka nawet oddaje usługi pacjentowi pod warunkiem nie nadużywania tych usług.

Wśród ludzi za to pasożytów jest legion. Przede wszystkim wszyscy zawodowi żebracy, katarzyniarze, wróżbici, bywalcy wyścigów, wszyscy ci, którzy żyją z prostytuowania innych i dla których nie ma przyzwoitego imienia na oznaczenie ich, a także i ci, którzy żyją z eksploatacji cudzych cnót lub przywar, dobroczynności lub naiwności, religii lub próżności. Zauważcie, że wszyscy oni mają wyżej opisany charakter: twierdzą, iż oddają tym, których oszukują, pewne usługi... Ale nie żebrak, powiecie mi. Owszem, żebrak także, ponieważ mówi: Bóg wam to odda. Dzisiaj, kiedy stał się już świeckim, zadowala się powołaniem się na rzekomą umowę społeczną solidarności, która go czyni naszym wierzyicielem.

Ale to są wszystko małe pasożyty, dość nieszkodliwe indywidualnie, które tylko przez swoją liczbę stają się niebezpieczeństwem społecznym, kiedy roją się jak robactwo, o którym mówiliśmy przed chwilą. Ale we wszystkich społeczeństwach ludzkich są inne pasożyty dużo większego rodzaju i tutaj dochodzimy do samego sedna naszego tematu; ale i tu strzeżmy się jednak rozdawać to obelżywe miano ze zbytnią szczodrością.

## § 2. PASOŻYTNICTWO W USTROJU GOSPODARCZYM

O ile wierzyć socjalistom, wszyscy kapitaliści, wszyscy miejscy czy wiejscy właściciele nieruchomości, wszyscy przedsiębiorcy, wszyscy rentierzy powinni być wpisani do rubryki pasożytów, ponieważ wszyscy żyją z produktu pracy robotnika, niczego nie dając mu w zamian, jak dawniej panowie żyli z pracy swoich niewolników — tak że tylko robotnik nie byłby w społeczeństwie pasożytem. To się posuwa trochę zbyt daleko, bo jeśli się pomyśli, jak liczni są dzisiaj ci właściciele, akcjonariusze, przedsiębiorcy, rentierzy, z trudem się zrozumie, w jaki sposób klasa robotnicza mogłaby sama jedna wystarczyć do utrzymania i utuczenia tylu milionów pijawek. Nie pozostałoby jej już chyba ani jednej kropli krwi w żyłach.

Prawdę powiedziawszy, to ekonomiści przyczynili się najwięcej do utrwalenia — zupełnie nieświadomie — tej idei swoją teorią wartości, według której wszelka wartość byłaby wynikiem pracy, teorią sformułowaną przez Ricardo, przyjętą przez wszystkich prawie jego następców, którą potem nie zaniedbał zawładnąć Karol Marx, widząc, jaką mógł z niej korzyść wyciągnąć. Zmaterializował on ją i sprecyzował, mówiąc,



że wszelka wartość jest tylko pewną ilością godzin pracy, skryształizowanych w produkcie. Jeżeli to jest prawda, wygląda na to, że rzeczywiście całą sumę wartości, t. j. wszystkich bogactw, bo w naszym stanie społeczeństwa te dwa pojęcia się zlewają, zawdzięczamy wyłącznie klasie robotniczej; w takim razie nie można inaczej wytłumaczyć istnienia tych wszystkich, którzy te bogactwa posiadają, nie wyprodukowawszy ich swoją pracą, niż tym, że żyją z produktu pracy robotnika; są to więc szerszenie ula, prawdziwe pasożyty. I w obronie ich ekonomiści byli zmuszeni albo przypisywać im specjalną zaletę, która jakkolwiek czysto negatywna, byłaby twórczynią bogactwa, mianowicie oszczędność, abstynencję, albo przedstawić ich jako pracowników specjalnej natury: kierowników, kontrolerów, wynalazców. Ale to były słabe argumenty w obronie klas kierowniczych przeciwko zarzutom pasożytnictwa, zwłaszcza, że jak powiedzieliśmy, pasożytnictwo jest niewspółmierne z kilkoma małymi usługami, oddanymi przez pasożyta.

Dziś jednak ta teoria wartości jest już na ogół porzucona: nie uczy się już więcej, że wartość zawdzięcza się pracy. Zapewne, bogactwo jako materia, forma, użyteczność, jest produktem pracy — a zwłaszcza idei więcej jeszcze niż pracy ręcznej — ale wartość nie jest produktem. Zawdzięcza się ją nie pracy, ale zapotrzebowaniu, nie producentowi, ale spóżywcy. Zjawia się ona natychmiast, kiedy ten promień świetlny, jakim jest pożądanie, wyłania przedmiot z ciemności, i niknie natychmiast, kiedy pożądanie to gaśnie i przenosi się, żeby zaświecić gdzie indziej, pozostawiając przedmiot pogrążony znów w ciemności nocy. Baryłka wina, która w złym okresie leży

w piwnicy bez wartości, kosztowała nie mniej pracy i potu hodowcę niż w latach pomyślnych, ale to jej nie pomaga. Baryłka musi czekać cierpliwie aż zapotrzebowanie wsłizgnie się jak promień słońca przez okienko piwnicy.

Kiedy więc chemia ekonomiczna nie może odkryć w wartości rzeczy niczego, co by było zawdzięczone pracy, jakże pracownik może nazwać się ograbionym dlatego, że nie pobiera całej wartości swej pracy? Rozumowanie to nie trzyma się na nogach: nie ma żadnego związku między założeniami a wnioskami.

Czy należy to rozumieć w ten sposób, że ci właściciele, przedsiębiorcy, rentierzy są już przez to obmyci z wszelkiego podejrzenia o pasożytnictwo? Bynajmniej, tylko sprawa będzie się odgrywała na innym terenie: nie na terenie gospodarczym, ale na terenie prawnym; nie chodzi tu już o teorię wartości, będzie tu decydowała zasada sprawiedliwości. Czy jest sprawiedliwe, aby nadwartość, która wynika z popytu wszystkich, a więc w konsekwencji jest zjawiskiem społecznym, była przywłaszczona sobie w znacznej części przez wymienione przez nas kategorie społeczne? Czy pasożytnictwo z ich strony nie polega na gromadzeniu dla siebie idących w górę soków, z których powinni wszyscy korzystać?

Odpowiedź w tej sprawie jest bardzo skomplikowana i z trudem zmieściłaby się w granicach tej konferencji. Naszym zdaniem zresztą nie można tu wcale odpowiedzieć ogólną formułą, oświadczając, że ta klasa jest pasożytnicza, a ta inna nią nie jest; to kwestia okoliczności, jak się mówi w trybunale. W danej klasie, nawet najbardziej pasożytniczej ze swej natury, klasie próżniaków „żyjących szlachetnie“, jak mówił



Saint-Simon, mogą się znaleźć, znajdują się na pewno ludzie, którzy oddali swoim współobywatelom więcej usług, aniżeli od nich otrzymali w postaci rent. I odwrotnie, w klasie będącej najbardziej poza zarzutem pasożytnictwa, pomiędzy pracownikami ręcznymi, nie ma żadnej wątpliwości, iż znajdują się pasożyty, to jest ludzie, którzy wzamian za otrzymaną płacę nie tylko nie dostarczyli żadnej równowartości, ale jeszcze zniszczyli pewną ilość bogactw przez swój sabotaż.

Jedynym pewnym kamieniem probierczym do sprawdzenia, czy ktoś jest pasożytem czy nim nie jest, to stwierdzenie, czy *można się obejść bez niego*: jeżeli tak jest, to jest on pasożytem, jeżeli nie — nie.

Jeżeli zastosujemy ten sprawdzian do najbardziej atakowanej kategorii społecznej, do przedsiębiorcy, próba wypadnie dla niego raczej przychylnie. Oto naprz. dowód, że z trudem tylko można się obejść bez niego: jest nim mała ilość stowarzyszeń robotniczych wytwórczych, którym udało się przetrwać do dziś dnia. Jak wiecie, celem tych stowarzyszeń jest właśnie usunięcie przedsiębiorcy.

Powiem nawet, że funkcja przedsiębiorcy staje się mniej pasożytnicza w miarę jak przez postęp syndykalizmu jest ona coraz bardziej zmuszona do walki i musi ją prowadzić na dwa fronty od razu: przeciwko robotnikom i przeciwko państwu — strajki i podżegacze z jednej strony, prawodawstwo robotnicze i inspektorzy z drugiej. Nie należy spać, prowadząc łódź pomiędzy wszystkimi tymi rafami. Jest to zawód, który wcale nie jest odpowiedni dla mamin-synka; to już coraz bardziej rzadcy są ci, którzy jak niegdyś mogą prowadzić dzieło ojca, pozostawiając pracę jakiemuś zarządzającemu jak na folwarku; wo-

lą oni tchórzliwie zlikwidować przedsiębiorstwo i żyć ze swojej renty. W ten sposób dokonuje się selekcja w świecie przedsiębiorców, która właśnie usuwa pasożytów, żeby ich zastąpić przez typy bojowe.

Bardziej trudno oczywiście jest usprawiedliwić rolę kapitalisty biernego, rentiera, posiadacza obligacji czy nawet akcji przedsiębiorstwa, śpiącego stowarzyszonego (*sleeping partner* jak mówią Anglicy). Jest to pewne, że po usunięciu go przedsiębiorstwo nie będzie szło gorzej a nawet nie odczuje tego, chyba tylko przez zwolnienie swoich dywidend i procentów, które pozostaną do dyspozycji. W każdym razie trzeba zauważyć, że jeżeli przedsiębiorstwo nie potrzebuje ich już więcej po wyciągnięciu z nich wszystkiego, co było dlań pożyteczne, będzie ich może potrzebowało później, w dniu, w którym będzie chciało powiększyć swój kapitał. A w każdym razie wszystkie inne przedsiębiorstwa, które powstaną w przyszłości, będą ich potrzebowały, wobec czego nie chodzi o to, czy jakieś przedsiębiorstwo, którego kapitał jest już wpłacony, potrzebuje swoich akcjonariuszów — oczywiście nie, kiedy już raz dostało pieniądze, nie potrzebuje ono wcale wierzyciela — tylko o to, czy produkcja krajowa potrzebuje ludzi, którzy gromadzą kapitały w celu pożyczania ich nowym przedsiębiorstwom. Otóż co do mnie, wydaje mi się nie mniej pożyteczne, żeby kraj miał producentów kapitałów, niż żeby posiadał producentów domów mieszkalnych, i jest to jedną z sił Francji, że posiada ich dużo <sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Było by bardziej trudne bronić od zarzutu pasożytnictwa wszystkich członków rad nadzorczych, bo znaczna ich ilość nie wnosi nawet pieniędzy, a tylko mniej czy bardziej dekoracyjne nazwisko, a zabierają dużą część dywidendy, stając się w ten sposób pasożytami akcjonariuszy.



Jeżeli przejdziemy do posiadaczy rentierów, tych, którzy żyją z opłat dzierżawnych, *fruges consumere nati*, czyli urodzeni w jedynym celu spożywania płodów ziemi, trudniej jest odnaleźć ich pożytek społeczny. To też znaczna liczba ekonomistów, jakkolwiek bynajmniej nie socjaliści, wyrzekli się tego i „oskarżając o winę“, jak się mówi w procedurze angielskiej, ograniczyli się do obrony faktycznej sytuacji, zaznaczając niepożyteczność albo niewczesność wywłaszczania ich. Pewne jest, że lordowie angielscy żyją z dzierżawienia swoich dóbr, w których wielu z nich nie stanęło nigdy nogą, a książęta mieszkający w Londynie żyją z komornego, jakie pobierają w swoich domach, których nie fatygowali się nawet budować, gdyż musieli się tym zająć dzierżawcy terenów z obowiązkiem zwrotu domów po expiracji kontraktu. Wszyscy ci ludzie zatem zajmują się swoimi fermerami albo swoimi lokatorami raz jeden tylko co 99 lat przy odnowieniu kontraktu i to w jedynym celu podwyższenia dziesięciokrotnie ceny dzierżawnej; nie mogą oni nawet powoływać się na swoją albo przodków swoich pracę oszczędzania, jak to czyni kapitalista rentier, ponieważ ziemia nie jest rezultatem oszczędzania. Co do tych, powiadam, nie widzimy doprawdy, jak można by ich obmyć z oskarżenia o pasożytnictwo. W kampanii wyborczej, rozpoczętej niedawno między Izłą Lordów a Izłą Gmin, rozdawano kartę pocztową, przedstawiającą ośmiornicę o ośmiu mackach, z których każda zaciska się na jednej z dzielnic Londynu z napisem *Octopium landlordicus*.

Można by co prawda powołać się dla niektórych z nich przynajmniej na usługi, oddane w służbie politycznej, mianowicie w polityce zagranicznej Anglii,

wymienić pewną ilość wybitnych mężów stanu, jakich ta klasa dostarczyła, wskazać, że byli oni bardzo ważnymi czynnikami życia przemysłowego i handlowego Anglii, i zapytać, czy Imperium Brytyjskie byłoby tym, czym jest, bez Izby Lordów. Oni to obalili Napoleona, niekiedy też mogą się oni powołać na tytuły historyczne, na pewne szanowne tradycje.

Wszystko to być może, ale cóż to ma za znaczenie. Być bardzo może, że jakaś instytucja albo jakaś funkcja była pożyteczna przez długi czas a przestaje nią być pewnego dnia, ażeby stać się pasożytem. Być może, że funkcja „strażnika pięciu portów“ miała niegdyś swoją rację bytu w Anglii: dziś jest ona tylko tłustą synekurą. Szlachta nie była pasożytem, kiedy jej zadaniem była obrona kraju, nie byli pasożytami mnisi, kiedy obsługiwali niemal wyłącznie dwa ministerstwa: oświaty i opieki społecznej. Nie sądzimy jednak, żeby usługi minione — ani nawet obecne, jeśli wynikają tylko z polityki — choćby były najbardziej świetne, stanowiły wystarczający tytuł do ściągania daniny od swoich współobywateli. Można być wielkim człowiekiem w płaszczyźnie politycznej albo nawet intelektualnej i być mimo to pasożytem w ustroju gospodarczym.

Jest inna jeszcze kategoria społeczna uważana często za pasożyta: są to ci wszyscy, których nazywamy ogólnym mianem *pośredników*, to jest ci wszyscy, którzy nie będąc bezpośrednio producentami, mają za zadanie doprowadzać do zetknięcia producentów ze spożywcami, albo mówiąc ogólniej, wszystkich tych, dla których bezpośredni kontakt jest niemożliwy lub trudny i między którymi tworzą oni łańcuch o licznych ogniwach. Czyż nie można by znieść dużej ilo-



ści tych ogniw, jeżeli nie wszystkie, z wielką korzyścią dla tych, którzy znajdują się na dwóch końcach? z korzyścią producentów, którzy mogliby sprzedawać drożej, i spożywców, którzy mogliby kupować taniej. Na pewno można by, a dowodem tego jest rozwój we wszystkich krajach stowarzyszeń spółdzielczych spożywców. Jeżeli rzeczywiście, jak mówiliśmy przed chwilą, względne niepowodzenie spółdzielni wytwórczych dostarcza argumentu na rzecz użyteczności społecznej przedsiębiorców, odwrotnie, bezużyteczności i szkodliwości kupców detalicznych i kramarzy, którzy starają się rozmnażać z płodnością właściwą gatunkom pasożytniczym, dowodzi wspaniałą i powszechną rozwój stowarzyszeń, których zadaniem jest usunięcie ich, czyniąc ze spożywców ich własnych dostawców.

Rozwój stowarzyszeń spożywców nie jest wreszcie jedynym przejawem tendencji do usunięcia pośredników. Trzeba było by przytoczyć również skuteczne wysiłki fabrykantów zetknięcia się bezpośrednio z publicznością przez reklamę <sup>1</sup>.

Było by jednak niesprawiedliwe uogólnianie nadmierne i uważanie każdego pośrednika za pasożyta. Po między tylu odmianami, jakie zawiera ten rodzaj, istnieją szkodliwe, są jednak także takie, bez których nie można by się obejść, przynajmniej na razie. To tłumaczy, dlaczego ich liczba się nie zmniejsza, bo gdy pewne kategorie są usuwane jako pasożyty, inne w większej jeszcze liczbie rodzą się tu i ówdzie.

### § 3. SPOSOBY WALKI Z PASOŻYTNICTWEM

A teraz, co można uczynić, żeby znieść pasożytnictwo? Oczywiście nie będzie to łatwe. Kiedy chodzi

<sup>1</sup> Dziś należało by przytoczyć istniejące w tym samym celu *jarmarki próbek*, które naprzód Lipsk, a potem Lyon uczyniły sławnymi.

o fakt tak powszechny, że grasuje ono nie tylko w gatunkach zwierzęcych, ale także w królestwie roślin, i tak dawny, że pojawienie się pasożytnictwa wydaje się sięgać początków życia na naszej planecie, nie można liczyć na rozprawy parlamentarne ani nawet na jakąś instytucję solidarności, żeby go znieść. Tym nie mniej jedno spostrzeżenie powinno nam dodać odwagi: pasożytnictwo, jak się zdaje, w rodzaju ludzkim nie podlega prawom biologicznym, lecz wręcz przeciwnie, wydaje się być w niezgodzie z nimi; jest to stan nienormalny, sprzeczny z naturą. Rzeczywiście, u zwierząt i roślin pasożyt jest zawsze gatunku odmiennego niż jego ofiara. Przysłowie mówi, że wilki nie pożerają się wzajemnie, ale one również nie pasożytują na sobie.

Pod tym więc względem można powiedzieć, że człowiek jest moralnie niższy od zwierząt. Nie jest więc nierozsądkiem żywić nadzieję, że można go będzie podnieść co najmniej do ich poziomu. Ale co należy w tym celu czynić?

Optymiści mówią nam, że pasożytnictwo wyeliminuje się samo przez degenerację pasożytów i jako dowód opowiadają nam historię o pewnych skorupiakach, które, umieszczając się jako pasożyty na ciele jakiejś ryby albo jakiegokolwiek mieszkańca mórz, tracą pomału wszystkie swoje członki, nie tylko organy służące do zmiany miejsca i oczy, których więcej nie potrzebują, ale po dłuższym czasie nawet żołądek, zachowując jedynie dla żywienia się coś w rodzaju korzeni i żyjąc życiem roślinnym. Albo kanianka, pasożyt roślinny dobrze znany rolnikom, który nie ma ani liści, ani kwiatów, ani owoców, ani korzeni i jest tylko zwykłą łodygą z narządem do ssania. Tak,



mówią nam, stanie się ze wszystkimi pasożytami ludzkimi: koniec ich będzie równie żałosny.

Nie oddawajcie się tym złudzeniom. Przede wszystkim nawet u pasożytów zwierzęcych taki rzekomy upadek nie przeszkadza bynajmniej całemu temu plemieniu żyć, rozkwitać i mnożyć się — bo zapomina się, że pomiędzy zachowanymi organami znajdują się zawsze organy rozrodcze. Co więcej, wystarczy otworzyć oczy, żeby zobaczyć, że w pasożytnictwie ludzkim zamiera i wyradza się bynajmniej nie pasożyt tylko jego ofiara. Ona to, zepchnięta pomалу do nędzy, najprzód nędzy ekonomicznej, potem fizjologicznej, wyzuta z niezbędnego pożywienia, potem oddana bakcyłom gruźlicy i piekielnemu zastępowi ich pobratymców, wędnie i zamiera, podczas gdy pasożyt, wręcz przeciwnie, tłusty i świeży od soków, które pompuje, rozkwita i wzmacnia swe członki sportami, podróżami i wilegiaturami, uprawia również swój umysł czytaniem, uczęszczaniem do teatrów, do muzeów i dobrych towarzystw, zajmuje się polityką albo literaturą i w ten sposób żyje życiem nie zmniejszonym, ale wzmocnionym. Nie oczekujcie więc końca pasożytnictwa od pewnego rodzaju samobójstwa pasożyta: trzeba szukać innego rozwiązania.

A więc cóż należy czynić? Trzeba dokonać przekształcenia moralnego zarówno pasożyta jak jego ofiary, trzeba przeprowadzić ich wykształcenie. Baczność jednak na jedno niebezpieczeństwo: kiedy będziemy namawiali pasożyta i jego ofiarę do rozstania się ze sobą, uważajmy, żebyśmy nie wpadli w inną ostateczność, to jest, żebyśmy ich zbyt nie uniezależniali od siebie, bo wtedy skończylibyśmy po prostu na indywidualizmie. I jakkolwiek ten ustrój jest wyż-

szy od pasożytnictwa, nie uważalibyśmy za wielki postęp przestać widzieć ludzi, jak żyją z *innych*, na to, żeby zobaczyć, że żyją *bez innych* i każdy dla siebie. Nie, to, czego trzeba ich nauczyć, to żyć jeden dla drugiego. Jeżeli czego trzeba, to związać łańcuch po zerwaniu go tak, żeby z niego zrobić złoty łańcuch. Jeżeli pasożytnictwo jest złem, współzależność jednostek jest dobrem. I pierwsze może prowadzić do drugiego. Trzeba skorzystać z tego załączka stowarzyszenia, które charakteryzuje już, jak powiedzieliśmy, pasożytnictwo, i doprowadzić go do rodzenia owoców dla przekształcenia tego niedoskonałego i niemal jednostronnego stowarzyszenia na stowarzyszenie oparte na wzajemności, jakim jest wymiana równowartościowych usług, może nawet zmienić je w stowarzyszenie oparte na solidaryzmie, które jest pomocą daną słabemu przez mocnego.

Dla przeprowadzenia takiej metamorfozy trzeba wlać w stary świat ducha nowego.

Można by przypuszczać, że z dwóch części, pasożyta i jego ofiary, daleko trudniej będzie nawrócić pierwszą, gdyż ona to ciągnie wszystkie korzyści z sytuacji. A jednak, być może, postęp zaznacza się u pasożyta daleko wyraźniej niż u jego ofiary. Pasożytnictwo zostało zrodzone przez naturalne lenistwo, obawę wysiłku, instynktowną nie tylko u człowieka, ale i u zwierzęcia. Obyczaje zaś i przesady nie zaniedbały, jak zawsze, pokryć tę lichotę pięknymi pozorami. Nauczono człowieka rasy aryjskiej, ucznia Arystotelesa, że człowiek wolnego stanu może żyć tylko dzięki pracy niewolników. Ludzi średniowiecznych nauczono definicji Machiavela: „Nazywa się szlachcicem tego, kto żyje, nic nie robiąc, z płodów swoich dóbr“ (prze-



praszam, powiedzcie: z pracy tych, którzy uprawiają ich ziemię), a nawet za naszych dni przyjęte jest we Włoszech, że *signori* nie powinni pracować, tak samo jak u Annamitów długie zawinięte paznokcie są oznaką szlachectwa, ponieważ pokazują, że nigdy nie pracowano tymi dziesięcioma palcami.

Otóż dzisiaj historia zachwiała nieco te przesady, wykazując, że w hierarchii zwierzęcej pasożyty są bardzo odległe od udawania „szlachciców“ i że należą raczej do kategorii noszącej miano „brudnych bydłaków“. Dzisiaj nastąpił już oczywisty postęp w stosunku do przeszłości: nikt nie szczyi się już teraz swoim próżniactwem. A ci, którzy żyją w tym stanie, usiłują ukryć to przed sobą przez pozory działania. Chce się przynajmniej wyglądać na takiego, który coś robi, i ludzie szczycą się nie życiem próżniaczym, ale, jak mówi prezydent Roosevelt, „życiem intensywnym“, które stało się modą.<sup>1</sup> Nawet matki, poszukujące mężów dla swoich córek, szukają zięcia, „który by coś robił“; samo bogactwo albo szlachectwo, chyba, że są bardzo wysokie, nie wystarczają im już. Oh, bez wątpienia nie są one jeszcze bardzo wymagające co do pracy, której oczekują od swoich przyszłych zięciów: niech będzie podprefektem, podsędkiem albo sekretarzem ambasady, wystarcza im to w zupełności. Tym niemniej ten nowy pogląd jest oznaką istotnej zmiany pojęć.

Ale trzeba działać też od strony ofiary pasożyta: przede wszystkim trzeba dać jej poczucie własnej godności, trzeba ją nauczyć energicznie otrząsać się z pasożytów. Do polowania na pasożyty nie potrzeba

---

<sup>1</sup> Niekiedy także hasłem, którym np. u skautów jest słowo „służyć“, nie tylko „służyć komuś“, ale służyć swym bliźnim.

robić rewolucji, wystarczą środki przeciwko owadom albo szczotka. Będzie to tylko kwestia higieny społecznej. A zwłaszcza, ponieważ pasożytnictwo przybiera prawie zawsze pozory oddawanych usług, ponieważ często reprezentuje ono przeżytek jakichś istotnie oddanych w przeszłości usług, trzeba nauczyć ofiarę oddawania sobie samej tych usług, załatwiania samej swych interesów: jeżeli jej się uda, hipokryzja pasożyta będzie przez to samo dowiedziona. Nie chodzi tu dokładnie o „pomaganie sobie samemu“, o *self-help*, co jest często tylko pełną pychy odmianą hasła „każdy dla siebie“, chodzi tu o wzajemną pomoc, *mutual help*. Otóż fakt zgrupowania się dla oddawania sobie usług, których się dotąd wymagało od kogo innego, jest właśnie tym, co tworzy *stowarzyszenie spółdzielcze*.

Co do kupców czy innych pośredników, którzy według uświęconej formuły „ofiarują swe usługi“, ale których usługi wydają się być bardzo wątpliwe — niech spożywczy powiedzą: będziemy się zaopatrywali sami. I oto spółdzielnia spożywców jest założona. Wiemy jak cudownie udało się tym wszystkim, którzy włożyli w nią trochę wytrwałości.

Jeżeli *chodzi* o tego straszliwego pasożyta, o tę pijawkę, która ssie krew całych pokoleń pod pozorem dostarczania im zaliczek, niezbędnych do zasiania i obrobienia ich pól, o lichwiarza, żeby go nazwać właściwą nazwą, który przez tyle wieków budzi echo cierpienia — oto chłopci, którzy porozumiewają się ze sobą dla dostarczenia sobie niezbędnych kapitałów, albo czerpiąc je ze swoich zbiorowych oszczędności, albo dając jako rękojmię solidarność swych rąk połączonych — i mamy spółdzielcze stowarzyszenie kredytu



albo wiejską kasę. Od stepów Rosji do gór Kabylii przyniosły one wyzwolenie milionom ludzi wszystkich krajów i ras, którzy bez nich byłiby od dawna wyłączeni ze swoich ziem.

W stosunku do przedsiębiorców, uważanych przez swoich robotników również za pasożytów, spółdzielcze robotnicze stowarzyszenie wytwórcze wykaże prawdziwość lub błąd tego zarzutu. Istotnie, niekiedy dowiodło ono, że można się obejść bez przedsiębiorcy, ale częściej, trzeba przyznać, dowiodło przez swój upadek, że usunięcie przedsiębiorcy było niemożliwe, a przynajmniej przedwczesne. Ale tam, gdzie robotnicze stowarzyszenie produkcji nie miało siły usunąć przedsiębiorcy, niekiedy udawało się to lepiej stowarzyszeniu spożywców. W Anglii stowarzyszenia spożywców potrafiły już za pośrednictwem swoich hurtowni stworzyć liczne i wielkie fabryki i usunęły już więcej przedsiębiorców, aniżeli to mogły uczynić spółdzielcze stowarzyszenia produkcji. I to jest jasne, jeżeli się wierzy, jak my w to wierzymy, że fabrykant i kupiec są znacznie częściej pasożytami spożywcy aniżeli najemnika. Możliwe jest oczywiście, że są pasożytami ich obydwóch razem, gdyż zysk można otrzymać równie dobrze przez niżkę płacy najemnej jak przez zwyżkę ceny; tym niemniej sądzymy, że częściej otrzymywany on jest przez drugi z tych sposobów niż przez pierwszy.

Nie przypuszczamy jednak, żeby stowarzyszeniu spółdzielczemu udało się doprowadzić do zniknięcia wszystkich form pasożytnictwa. W stosunku do dwóch mianowicie, które zaznaczyliśmy jako najbardziej charakterystyczne — właścicieli gruntów żyjących z dzierżawienia ich i pożeraczy budżetów — wydają

się nam one bezsilne. Co do pierwszych nie widzimy innego lekarstwa jak interwencja ustawodawcy, która może być wykonana całą gamą środków, od reformy praw spadkowych *albo podatku od renty gruntowej aż do wywłaszczenia*. A co do drugiego widzimy tylko reformę obyczajów politycznych. Ale, być może, upowszechnienie i praktyka ustroju spółdzielczego, który jest ostatecznie formą decentralizacji, pomógłby tej reformie politycznej.

#### § 4. CZY NALEŻY SIĘ OBAWIAĆ, ŻE SOLIDARYZM TWORZY NOWE PASOŻYTNICTWO

Nie tylko ustrój spółdzielczy nie jest wystarczający do usunięcia wszystkich form pasożytnictwa, ale może się nawet zdarzyć, że zrodzi on jakieś nowe formy, tak dalece jest ono naturalne u człowieka. Widziano już, niestety, jak zjawiało się ono pod odrażającą formą łapówek, administratorów bogacących się przez nieuczciwe zamówienia, które nazywają, oni także, wynagrodzeniem za oddane usługi. Zresztą, nie idąc nawet tak daleko, można powiedzieć, że ci wszyscy, którzy w stowarzyszeniu spółdzielczym korzystają leniwie z korzyści, jakie ono daje, i z wysiłków swoich poprzedników, nie wnosząc niczego od siebie, zachowują się jak pasożyty.<sup>1</sup> Trzeba by, być może, stosować jeszcze więcej środków zapobiegawczych w ustroju spółdzielczym albo komunistycznym niż w ustroju obecnym, gdyż wszystko tam odbywać się będzie przez komitety: otóż komitety są to gniazda pasożytów, tak jak fotele są nimi dla mikrobów.<sup>2</sup>

<sup>1</sup> Patrz poprzednią konferencję o *Współzawodnictwie i współdziałaniu*.

<sup>2</sup> Obecnie w Rosji, w komunistycznym ustroju sowietów na pewno nie brakuje pasożytów. Roi się od nich, jakkolwiek nie są to te same, co za panowania carów.



Nie tylko zresztą w stowarzyszeniu spółdzielczym powróci usadowić się pasożytnictwo, które, jak się zdało, usunięto już: powróci ono we wszystkich instytucjach nazywanych solidarystycznymi, nie tylko w tych, które oparte są na dobrej woli, ale jeszcze bardziej w innych, narzuconych przez prawo. W towarzystwach wzajemnej pomocy zawsze ci sami chorują i kają się leczyć kosztem innych. W kasach ubezpieczeń przeciwko bezrobociu zawsze ci sami nie pracują i żądają zasiłków. W kasach emerytalnych często ludzie bardzo zdrowi zajmują miejsce inwalidów.

A jeszcze gorzej jest, kiedy państwo zajmuje się ubezpieczaniem, bo nie ma tu wzajemnej kontroli ubezpieczonych dla wytykania pasożytnictwa. I kiedy ten system jest uzupełniony przez inny, przez podatek postępowy, który wydatki solidarności społecznej zwała wyłącznie na plecy grubych podatników, wtedy ryzykuje się istotnie dojść do pasożytnictwa społecznego podobnego stanowi z czasów dawnego ustroju, tylko odwróconego, bo dawne pasożyty zmieniły rolę i stały się dzisiejszymi pasożytami.

Oto są stwierdzenia dosyć zniechęcające. Czyżbyśmy byli skazani na pracę dla pasożytów wtedy, gdy sądzimy, że je zwalczamy? Tak nam mówią ekonomiści szkoły indywidualistycznej: szydzą z nas i przepowiadają, że jeżeli nam się uda, rozmnożymy pasożytyzm gorszy niż kiedykolwiek świat go widział. Więc cóż należało by robić ich zdaniem? Trzeba się starać zastrzymać się na systemie wymiany; jest to jedyny system, w którym nikt nie jest wyzyskany, ponieważ przez samą definicję wymienia się równe wartości. Ale jeżeli życzymy sobie podnieść się ponad ten system umowny, jeżeli pod pretekstem przywrócenia sprawie..

dliwości daje się rzekomemu wydziedziczonemu więcej niż on sam dał, wtedy przywraca się pasożytnictwo, gdyż solidaryzm jest tylko odwróconym pasożytnictwem i podobieństwo ich do siebie jest równie wierne jak przedmiotu i jego odbicia w lustrze. Jeżeli narzucicie jakiemukolwiek człowiekowi, powiedzmy A, obowiązek moralny czy prawny utrzymywania innego człowieka B, nieodzowną tego konsekwencją jest to, że B żyje kosztem A i zostaje przez to jego pasożytem.

Ta krytyka zawiera na pewno część prawdy, co dobrowolnie przyznajmy, ale jest w tym też trochę sofizmu.

Przedewszystkim nie umielibyśmy przyznać, że system wymienny daje najlepszą rękojmię przeciwko pasożytnictwu, gdyż właśnie w tym systemie pasożytnictwo urodziło się i rozmnaża.

Doświadczenie nauczyło nas, że właśnie w tym ustroju, a więc przez sprzedawanie, pożyczanie, dzierżawienie i wynajmowanie mieszkań utrwaliły się najgorsze sposoby wyzysku — nie mówiąc już o umowie Ezawa z Jakubem — wyzysk lichwiarzy, który kościół nazywa dziś jeszcze *usura vorax*, potem wyzysk farmera, których w niektórych krajach, zwłaszcza w Irlandii, musiał doprowadzić do interwencji ustawodawcy, wreszcie ohydny *sweating system*, który do niej doprowadzi jutro.

Z drugiej strony nowe pasożytnictwo, którym nam grożą, reprezentowałoby bądź co bądź pewien postęp w stosunku do dawnego, przynajmniej pod względem moralnym, gdyż byłoby to pasożytnictwo uprawiane przez małych na silnych, na tęgich (*big* jak mówią Amerykanie), podczas gdy dawny pasożytyzm uprawiany był na małych przez wielkich, na biednych przez bo-



gaty. I trzeba wierzyć, że te jutrzejsze ofiary pasożytów mogłyby łatwiej niż dawniej znaleźć środki obrony. Lew pożerany przez komary, cierpi, ale nie umiera.

Co większa, mamy prawo mieć nadzieję, a fakty to potwierdzają, że rozwój ustroju spółdzielczego albo solidarystycznego pójdzie w parze z ewolucją moralną wskutek której silny pomaga słabemu bynajmniej nie przez przymus, ale dobrowolnie i z przywiązania, albo nawet przez interes lepiej zrozumiany, jeśli kto woli. Nie będzie się wtedy uważał za ofiarę pasożyta, ale za związanego i uczczonego przez służbę społeczną.

Sofizmatem naszych krytyków jest stawianie zasady, że *żyć dla kogoś* albo *żyć z kogoś* są to formuły równoznaczne. W obu wypadkach jedna strona daje wszystko i nie otrzymuje niczego, druga zaś bierze wszystko, niczego nie dając. Ale trzeba by przynajmniej dodać, że z tych dwóch formuł jedna jest pozytywna, druga negatywna, gdyż pierwsza mieści w sobie miłość, a druga jej przeciwstawienie. Pomiędzy tymi dwoma rodzajami stosunków społecznych, które polegają: jeden na biernym znoszeniu wyzysku, którego nie można uniknąć, drugi na dobrowolnym oddaniu się, jest przecież pewna różnica.

Przyjrzyjcie się małemu dziecku na łonie swojej matki. Przez długie miesiące było ono pasożytem matki w znaczeniu fizjologicznym i najbardziej dokładnym, nie bez cierpień i niebezpieczeństw dla niej, a teraz jest nim w dalszym ciągu, ponieważ ssie jej mleko; słyszałem pewną matkę mówiącą: „ssie ze mnie życie“. A jednak słowo pasożyt napełnia nas tu zgrozą — dlaczego? Ponieważ ta mała istotka jest przedmiotem miłości i ponieważ, nie mogąc dać wielkich rzeczy w zamian tego, co otrzymuje, daje przynajmniej swój

uśmiech. A kiedy chrześcijanin mówi, że żyje osobą Chrystusa, nie w sensie symbolicznym, ale przez realną obecność Chrystusa w hostii: „weźcie i spożywajcie, oto jest moje ciało, oto jest moja krew“, związek, który łączy tutaj wiernego z jego Bogiem, jest związkiem miłości, albo, żeby użyć wyrazu, który go oznacza — aktem „komunii“. Otóż tam, gdzie jest wspólność, nie może być mowy nigdy o pasożytnictwie. Te dwa akty mają podobny wygląd, a jednak są tak odległe od siebie jak niebo i piekło.

Stosunki współzależności pomiędzy żyjącymi istotami mogą być przedstawione przez stopnie symbolicznej drabiny, na której czytamy, zaczynając od dołu: — *łupiestwo*: to jest wilk, który pożera jagnię, to jest człowiek, który zjada swego bliźniego, a przynajmniej okrada go; — *pasożytnictwo* jak okazaliśmy wam, to istota, która żyje z innej istoty, ale interesuje się swą ofiarą, bo żyje z niej; — *system wymienny* to wymiana równych usług, mierzonych przez umowy: to uczciwy kupiec, sprzedający po słusznych cenach; — *solidaryzm* to pomoc wzajemna ale nie koniecznie równa, żądająca przeto od każdego tylko tego, co on dać może, a od silniejszego, żeby pomagał słabszemu: to spółdzielca, związkowiec, zwolennik wzajemnej pomocy; — *poświęcenie* to człowiek, który oddaje się, nie oczekując w zamian niczego, innym ludziom, biednym, chorym, ojczyźnie, ludzkości, sprawiedliwości, nauce, prawdzie, jak to czynili nie tylko sławni męczennicy, Sokrates, Leonidas, Joanna d'Arc, Chrystus, ale tylu innych pokornych we wszystkich zawodach, lekarze, żołnierze, marynarze, maszyniści, przewodnicy podróży i każdy dobry pasterz, który oddaje życie za swoje owieczki.



Co za podniesienie się od punktu wyjścia aż do szczytu. I nawet ofiara pasożyta podnosi się także równocześnie, ponieważ przechodzi z rzędu wyzyskiwanych do rzędu tych, którzy są wspomagani, ponieważ zamiast być poświęcanym jest tym, dla którego się poświęcają i w ten sposób dochodząc do końca znajdujemy położenie tych dwóch stron odwrócone<sup>1</sup>.

Taka jest ewolucja, którą kooperatyzm i solidaryzm starają się zrealizować w porządku gospodarczym, przepajając go ideałem moralnym.

Czy ta ewolucja będzie realizowana w praktyce? Przyszłość nam na to odpowie. Ośmielam się jednak twierdzić, że dziś już, porównyując położenie spółki akcyjnej, której klienci i robotnicy są wyzyskiwani przez akcjonariuszy, a akcjonariusze często na rzecz administratorów, z położeniem stowarzyszenia spółdzielczego, nawet takiego, w którym duch solidaryzmu jest jeszcze bardzo słaby, nawet takiego, którego źle jeszcze oczyściło się z naleciałości kapitalistycznych — nie można będzie zaprzeczyć istnieniu wielkiego postępu, jaki został zrealizowany, podniesienia się jednostki o jeden szczebel, nawet o wiele szczebli na symbolicznej drabinie, która jak drabina Jakuba podnosi się z ziemi do nieba.

---

<sup>1</sup> Ta ewolucja stałaby się jaśniejsza na wykresie, jaki dałem w poprzednim wydaniu tej książki, albo po prostu w tabeli jak poniższa, która zestawia w dwóch równoległych kolumnach stopnie podnoszenia się moralnego gospodarczo związanej pary w miarę jak podnosi się ona od łupiestwa do poświęcenia, przechodząc przez pomoc wzajemną.

|                     |                         |
|---------------------|-------------------------|
| Zbawca              | Zbawiony                |
| Dający pewność      | Otrzymujący pewność     |
| Ten, który wymienia | Ten, którego wymieniają |
| Pasożyt             | Ofiara pasożyta         |
| Łupieżca            | Ten, którego obdzierają |

## XI

### MIĘDZYNARODOWY ZWIĄZEK SPÓŁDZIELCZY<sup>1</sup>

§ 1. *Okres mieszczański.* — § 2. *Okres socjalistyczny.* — § 3. *Okres autonomiczny.* — § 4. *Międzynarodowy Związek podczas wojny i po wojnie.*

Obawiam się, że wielu słuchaczy dozna pewnego rozczarowania, ponieważ tytuł tego odczytu pozwala im oczekiwać, być może, przedmiotu bardziej sensacyjnego aniżeli to, co będę wam mógł powiedzieć.

Rzeczywiście, to słowo „międzynarodowy“ budzi echa rewolucyjne jak słynny śpiew, który nosi tę nazwę, i wydaje się, że historia Międzynarodowego Związku, choćby on był nawet spółdzielczym, musi być pełna wrażeń. Myśli się o czerwonej Międzynarodówce, która założona przed 50 laty przez Karola Marxa, narobiła tyle strachu ówczesnym rządóm; albo o żół-

---

<sup>1</sup> Odczyt, wygłoszony w *Hôtel des Sociétés Savantes* 31 stycznia 1919 r. dla Szkoły Spółdzielczej pod patronatem Ogólnokrajowej Federacji Spółdzielczych Stowarzyszeń Spożywców.

W chwili, w której odczyt ten był wygłaszany, Międzynarodowy Związek Spółdzielczy miał jedynie za zadanie ustalić stosunki moralne między organizacjami spółdzielczymi różnych krajów. Później jednak usiłował on wejść na drogę realizacji praktycznych, tworząc Międzynarodową Hurtownię i nawet załóżek Międzynarodowego Banku Spółdzielczego.



tej, grupującej finansistów, albo czarnej — księżej. Ale Międzynarodowy Związek Spółdzielczy nie jest czerwony, ani żółty, ani czarny. Z początku był dość bezbarwnie szary, później zabarwił się nieco na różowo, nawet na czerwono, ażeby skończyć na promieniących barwach tęczy. Poza tym historia jego obejmuje dzieje tych wszystkich szanownych osób, których zasługa polega właśnie na tym, że nie mają wcale historii.

Nie ja wybrałem ten temat; został mi on narzucony przez organizatorów dzisiejszej konferencji. Przyjąłem go przez zmysł dyscypliny i w wyniku tego jestem zobowiązany opowiedzieć wam tę historię, jak się ona odbyła. Przyjmijcie ją jako osobiste wspomnienia świadka pierwszych dni organizacji.

Rozdzielę tę historię na trzy części:

pierwszą, która jest okresem mieszczańskim,

drugą, która jest okresem socjalistycznym,

trzecią, która jest albo będzie prawdziwym okresem międzynarodowym.

#### § 1. OKRES MIESZCZAŃSKI

Nazwałem pierwszy okres mieszczańskim, ponieważ istotnie założycielami Międzynarodowego Związku Spółdzielczego byli mieszcianie. To mój wyborny i stary przyjaciel, p. de Boyve wysunął po raz pierwszy pomysł utworzenia spółdzielczego związku międzynarodowego na kongresie angielskich stowarzyszeń spółdzielczych w Plymouth, w 1886 r. Za towarzyszy miał tam przy sobie innych mieszczań, nawet grubych burżujów: we Francji Karola Roberta, apostoła udziału w zyskach; w Anglii Vansittarta Neale'a, jednego z ostatnich z heroicznego ruchu 1848 r. w Anglii, głoś-

nego pod nazwą „chrześcijańskiego socjalizmu“, i Greeninga, weterana liberalizmu gospodarczego, który walczył z wszelkim wtrącaniem się polityki albo socjalizmu do ruchu spółdzielczego.

Nie trzeba jednak przypuszczać, sądząc z wielu założycieli, że sam Związek jest stary. Nie. Ci szanowni ludzie, o których dopiero co mówiłem, doczekali się tego dziecka bardzo późno, a Związek jest stosunkowo młody. Data 1886, którą przed chwilą zacytowałem, jest datą poczęcia tylko, jeśli tak mogę powiedzieć. Później nastąpiła ciąża trwająca dziewięć lat, wobec czego dopiero 1895 r. możemy uznać za datę wejścia jego w świat pod formą samodzielnego zrzeszenia na Kongresie Londyńskim tego roku.

Mieszcząnskim był nie tylko przez swoich chrześniwych ojców, był nim także przez swój program, który początkowo był czymś zgoła innym aniżeli to, co przyzwyczailiśmy się uważać za Międzynarodowy Związek Spółdzielczy. Zresztą nie nosił on nawet tego miana, tylko tytuł bardziej skromny i bardziej dokładny: „Przyjaciele spółdzielczości wytwórców.“

Ludzie, o których wspomniałem, nie mieli istotnie zamiaru tworzenia przez stowarzyszenia spółdzielcze spożywców tego, co nazwałem później Rzeczpospolitą Spółdzielczą, t. j. znieść zysk i zaprowadzić nowy porządek gospodarczy. Nie. Chcieli oni po prostu pogodzenia kapitału i pracy, pokoju społecznego i nie widzieli lepszego źródła do zrealizowania tego niż udział w zyskach; to też wpisali ten cel na czoło swojego programu. Nie mieli specjalnie na oku spółdzielczych stowarzyszeń spożywców, ale wszystkie formy spółdzielczości, mianowicie spółdzielczość wytwórczą, która była im sympatyczniejsza od innych, ponieważ



pozwała robotnikom przekształcić się na własnych przedsiębiorców. Byli również usposobieni sympatycznie do stowarzyszeń kredytowych, ponieważ pozwalają one drobnym rzemieślnikom i posiadaczom pozostać niezależnymi i nie spadać do poziomu najemnictwa. Sympatyzowali nawet z instytucjami patronackimi, chociaż nie miały one w sobie nic spółdzielczego, chyba tylko dopuszczenie swoich robotników do udziału w zyskach.

Oto są więc rysy charakterystyczne Związku Spółdzielczego, jeżeli mogę mu nadać nazwę, której jeszcze podówczas nie nosił. Było to zrzeszenie, prześlągnięte duchem liberalnym i szlachetnym, ale raczej wrogie socjalizmowi. Tak np. na kongresie z 1896 r. jeden z wybitnych podówczas członków Związku, doktor Elias z Holandii, powiedział: „Spółdzielnie są przyjaciółkami pokoju i ładu i nie ma lepszego szanca przeciwko nadużyciom partii rewolucyjnej niż spółdzielczość.“

Być może, było to z jego strony złudzenie. Istnieje dużo idei rewolucyjnych, zrodzonych przez mieszczań, chociaż nie zawsze mieli oni świadomość tego ojcostwa co prawda i niekiedy nawet wypierali się go. Taki był też los i tej idei.

Ten program wydaje wam się zapewne dzisiaj nie tylko mieszczański, ale nieco przestarzały, nie do użycia. Na pewno widzimy dzisiaj w spółdzielczości coś innego niż po prostu program pogodzenia kapitału z pracą; widzimy w niej wyzwolenie pracy z ucisku kapitału. Pomimo tej zmiany programu jednak nie trzeba zachowywać się zbyt pogardliwie w stosunku do myśli kierowniczej z pierwszego okresu Związku. Ostatecznie dobrze to jest powiedzieć, że stowarzysze-

nie robotników i przedsiębiorców jest tylko nędznym reformizmem, tym nie mniej dopóki nie znajdzie się sposobu zastąpienia ustroju kapitalistycznego czymś innym (a nie odbędzie się to jutro), trzeba znaleźć sposób współżycia kapitału i pracy. Wreszcie ten udział w zyskach, który był tak zdyskredytowany przed wojną i wydawał się całkowicie już zarzuconym, wraca do życia wobec konieczności chwili: jest na nowo dyskutowany w książkach, w pismach i nawet ogłoszony jest urzędowo publiczności w formie ustawy, której p. senator Chéron jest wnioskodawcą, ustawy z 1919 r., noszącej nazwę „spółki z udziałem w zyskach robotników“. To jest ten sam stary udział w zyskach, ale odmłodzony przez to, że robotnik zamiast podnosić swoją część zysku po prostu według wolnego uznania przedsiębiorcy jak coś w rodzaju gratyfikacji, będzie ją mógł otrzymywać odtąd jako akcjonariusz w postaci dywidendy. Pomimo tej zmiany prawnej właśnie ten udział w zyskach zjawia się ponownie w momencie krytycznym, w którym, żeby odbudować ruiny Francji i wszystkich krajów wojujących, widzimy konieczność porozumienia między kapitałem a pracą.

W programie mojego przyjaciela de Boyve znajdowała się zresztą nie tylko idea udziału w zyskach, było tam też kilka innych wybornych idei. Przede wszystkim chęć spożytkowania związku dla pogodzenia narodów — więc już antycypacja Ligi Narodów. A był także punkt, który na razie przeszedł zupełnie niezauważony: dążenie do uczynienia ze Związku Spółdzielczego wyższej rady porozumienia i arbitrażu dla powstrzymania lub zapobieżenia strajkom. Nie jest to pomysł bez wartości, w tym rozumieniu, że jeżeli szukać będziemy, toby mógł spełnić tę tak trudną funk-



cję rozjemcy w zatargach między przedsiębiorcami a robotnikami, pomiędzy kapitałem a pracą, kogóż można znaleźć bardziej wskazanego przez swoje położenie i przez swoją bezstronność niż wielką organizację spóżywców? Przecież to na spóżywcę spadają ostatecznie w odbiciu skutki wszystkich strajków i na ogół na jego to koszt dokonywują się transakcje pomiędzy przedsiębiorcą i robotnikiem.

Nie powiem już więcej nic o tym pierwszym okresie i przechodzę do drugiego.

## § 2. OKRES SOCJALISTYCZNY

W jaki sposób Związek stał się socjalistycznym? Powiedziałem wam, że w początkach nie było między jego członkami ani jednego socjalisty. „Przyjaciele Spółdzielczości“ (przypominam, że taki był tytuł pierwotny), dobierali się między sobą przez kooptację, tak jak to czynią akademie i instytuty: członkowie już funkcjonujący wybierają innych członków. Rekrutowano w ten sposób osobistości, które się najbardziej interesowały ruchem spółdzielczym — inteligentów, mieszczan, nawet przemysłowców; nie wymagano od nich, żeby praktykowali. Gdyby nawet widziano figurujące w Radzie Związku Spółdzielczego w tym okresie nazwiska takie, jak te, które dostrzegłem wypisane wielkimi literami na murach jadłodajni spółdzielczej w Boulogne jako godne figurowania pomiędzy wielkimi spółdzielcami: Lemartine, Victor Hugo, Alfred de Vigny, pani Curie... nie zdziwiono by się zupełnie.

Jednym słowem była to Akademia Spółdzielcza.

Ale oto jak rozpoczął się drugi okres. Po śmierci pierwszego sekretarza, Vansittarta Neale'a, w 1896 r. wybrano na jego miejsce p. Henry'ego Wolffa.

P. Wolff był człowiekiem, który miał wielkie zalety jako sekretarz międzynarodowego zrzeszenia. Przede wszystkim był on poliglotą, co daje wielką przewagę w tej mieszaninie języków, w tej wieży Babel, jaką jest każdy kongres międzynarodowy. Poza tym znajdował się on w położeniu majątkowym, które ułatwiało mu podróżowanie po wszystkich krajach Europy i poza nią oraz pozwalało mu, jak sam mówił, stać się komiwojażerem stowarzyszeń spółdzielczych. Zbierał on we wszystkich krajach wszelkie stowarzyszenia, jakie mógł znaleźć: spółdzielnie spożywców, spółdzielnie kredytowe, spółdzielnie budowlane, jakkolwiek była ich barwa, burżuazyjna czy socjalistyczna: bądź co bądź każda nowa spółdzielnia powiększała ilość ogólną. Do Francji przybył w momencie, kiedy nasz Ogólnokrajowy Związek Francuski z ulicy Christine rozłamał się na dwoje wskutek schizmy: socjaliści oddzielili się od nas i zaczęli zakładać Bursę Socjalistyczną. Wolff nie był z tego niezadowolony, bo w miejsce jednego członka schizma dawała mu dwóch. Poszedł zobaczyć się z członkami Bursy Socjalistycznej i zapisał ich do Związku. W ten to sposób socjaliści weszli do Związku Spółdzielczego. Przybyli też z Belgii, z Niemiec, ze wszystkich krajów. I kiedy Wolff zebrał już całą swoją wiązanekę, pomiędzy blawatkami znalazło się dużo czerwonych maków. Wynikły stąd wielkie zmiany w organizacji Związku.

Po pierwsze dawny system, o którym mówiłem przed chwilą, system małych grup przyjacielskich, rekrutujących się przez kooptację, załamuje się bezwzględnie: stało się niemożliwe utrzymać ten charakter akademicki Związku przy stowarzyszeniach o znacznej liczbie członków. Znalazły się tam wielkie



stowarzyszenia, które znosiły z niecierpliwością rządy kilku mieszczan albo inteligentów, jakiegokolwiek mogłyby być usługi, które mogliby oni oddać spółdzielczości swoim piórem lub słowem. Nie chciały one już arystokratów, jak mówili rewolucyjni sankiuloci, i domagały się bardziej demokratycznego sposobu wyborów; nie można było im go odmówić.

Ale z dniem, w którym członkowie Centralnego Komitetu Związku zamiast być wyznaczeni z racji swoich zasług albo swojej reputacji, stali się reprezentantami, wybieranymi przez stowarzyszenie spółdzielcze, z dniem, w którym wprowadzono system przedstawicielstwa na podstawie czegoś w rodzaju głosowania powszechnego, Związek zmienił charakter. Przede wszystkim spółdzielnie spożywców, będąc najliczniejsze, załwładnęły, żeby tak powiedzieć, całym Związkiem i odepchnęły na dalszy plan inne formy spółdzielczości: spółdzielnie wytwórcze, stowarzyszenia kredytowe, spółdzielnie rolnicze. Wskutek tego spółdzielnie wytwórców, których z początku było w Związku najwięcej, dzisiaj liczą najwyżej, jeżeli Francję weźmiemy za przykład, 5 do 6 setek organizacji z 20 do 30.000 członków wobec 3 do 4.000 stowarzyszeń spożywców, liczących około miliona członków. W innych krajach różnica ta jest jeszcze znaczniejsza.

Co do spółdzielni rolniczych, są one co prawda bardzo liczne, a w Europie wschodniej liczniejsze nawet niż stowarzyszenia spożywców. Ale jeżeli nie stały niżej jako liczba, tym nie mniej czuły się odsunięte przez program spółdzielni spożywców, którego nie były skłonne przyjąć.

W rzeczywistości powinniście wiedzieć, że nasz program (mówię „nasz“, ponieważ reprezentujemy tu sto-

warzyszenia spożywców) nie jest widziany dobrym okiem przez inne formy spółdzielczości.

Stowarzyszenia wytwórcze są niezadowolone, gdyż widzą, że nasze hurtownie i nasze stowarzyszenia spożywców zakładają fabryki, które będą w pewnym stopniu konkurencją dla warsztatów społecznych, zakładanych przez zrzeszenia producentów.

Spółdzielnie rolnicze są jeszcze mniej sympatyczne dla stowarzyszeń spożywców. Dlaczego? Ponieważ są one złożone z właścicieli ziemskich i wielkorolnych chłopów, którzy są protekcjonistami i przerażają się za każdym razem, gdy stowarzyszenia spożywców domagają się wolnej wymiany.

Co do stowarzyszeń kredytowych, składają się one także z ziemian, o ile znajdują się na wsi, albo małych kupców, jeżeli są miejskie — gdyż stowarzyszenia kredytowe rekrutują swych członków spośród drobnego handlu — i kiedy się znajdują w obecności stowarzyszeń spożywców, które otwarcie wyrażają ambicję zniesienia wcześniej czy później handlu i nawet drobnego przemysłu, mogą tylko protestować. To właśnie nastąpiło na kongresie w Budapeszcie w 1908 roku, kiedy wielkie spółdzielnie rolnicze i kredytowe, t. j. największe organizacje niemieckie i austriackie, wycofały się z trzaskiem.

Trzecią konsekwencją tej ewolucji było stopniowe usunięcie inteligentów, kapitalistów, mieszczan, składających Centralną Radę Związku. Zastąpiono ich przez spółdzielców praktykujących, a nawet wojujących. Na kongresie w Manchester w 1902 r. działał jeszcze dawny system, na mocy którego żaden kandydat nie mógł się przedstawić bez poparcia jednego z członków Rady funkcjonującej. Na tym kongresie



obecni byli po raz pierwszy dwaj socjalistyczni delegaci francuscy. Jeden z nich stanął przy wyborach przeciwko p. Eugeniuszowi Rostandowi, osobistości wybitnej nie tylko jako ojciec słynnego Edmunda Rostanda, a więc dziadek *Cyrano de Bergeraca*, ale zwłaszcza jako dyrektor Głównej Federacji Francuskiej Stowarzyszeń Kredytowych. Niestety dla niego nie był on obecny na kongresie, a ja służyłem za wprowadzającego kandydata socjalistycznego, który został wybrany. Moi ówczesni koledzy ze Związku nie bardzo mi byli za to wdzięczni. Jeżeli przypominam ten drobny fakt, to tylko dla wyjaśnienia, jakim sposobem zarząd Związku zmieniał się pomalą.

Co do zasady, która była głównym punktem programu Związku, t. j. pogodzenia kapitału z pracą pod postacią udziału w zyskach, jeżeli nawet nie był on skreślony oficjalnie, to był zaniechany milcząco. Na kongresie, o którym dopiero co mówiłem, był on gwałtownie atakowany przez socjalistów francuskich. Jeden z nich, Guillemin, zgłosił referat przeciwko udziałowi w zyskach jako rozwiązaniu sprawy społecznej i oświadczył, że program socjalistyczny uznaje jako środek tylko walkę klas, a jako cel uspołecznienie produkcji i narzędzi produkcji. Otóż ten referat był przyjęty bez sprzeciwu. Co prawda, ponieważ referat czytany był po francusku, a na kongresie było zaledwie siedem czy osiem osób rozumiejących język francuski, nie trzeba tej jednogłośnej aprobaty brać za bardzo znamienne. Dowodem tego jest, że kiedy oddano pod głosowanie sprawę udziału w zyskach, otrzymała ona małą większość — 17 głosów przeciwko 14. Ale ta słaba większość była tylko hołdem złożonym pamięci założycieli Związku i potwierdzała wyraźnie, że

udział w zyskach był już dawno zdyskredytowany. Był zresztą dużo lepszy powód do skreślenia udziału w zyskach z programu. Mianowicie wzywając wszystkie spółki do zastosowania w życiu tego udziału w zyskach, nie można było ominąć największego ze związków spółdzielczych całego świata, jakim jest *Wholesale* (Hurtownia) w Manchester. Otóż Wholesale z Manchester zawsze odmawiała przyznawania swoim robotnikom i pracownikom udziału w zyskach. Był to stary spór wyborczy pomiędzy dyrektorami angielskiej Hurtowni a założycielami Międzynarodowego Związku Spółdzielczego. Założyciele Związku mówili dyrektorom Hurtowni: to jest skandal, żebyście nie chcieli przyznać udziału w zyskach swoim robotnikom i pracownikom, podczas gdy niektórzy przedsiębiorcy kapitalistyczni to czynią. A Hurtownia odpowiadała i jeszcze odpowiada, gdyż nie nawróciła się bynajmniej: jakże chcecie, żebyśmy dopuścili naszych pracowników i robotników do udziału w tak zwanych zyskach, kiedy właśnie celem i ideałem spółdzielczości spożywców jest zniesienie zysków? Gdybyśmy im przyznali prawo do zysków, zaprzeczylibyśmy naszemu własnemu programowi.

Nie kładę nacisku na ten trwający już pół wieku spór, który nie jest bliski zakończenia, po prostu wskazuję go tylko w przejściu dla wykazania, że z chwilą, kiedy wielka spółdzielnia angielska została przyjęta do Związku Spółdzielczego, jak to się stało na pierwszym kongresie w 1895 r., przez to samo zasada udziału w zyskach została faktycznie porzucona. Nie zupełnie jednakże, nawet dziś jeszcze, gdyż zasadę tę reprezentuje i dziś osoba przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Związku, p. Ancurin Wil-



liamsa z Londynu, członka parlamentu angielskiego, który jest kierownikiem ruchu, zwanego w Anglii *Co-partnership*; otóż ta nazwa oznacza to samo, co nasz udział w zyskach, ale pod nową formą, o której wam wspomniałem: pod formą stowarzyszenia z dopuszczeniem robotników do udziału w kapitale akcyjnym. To jest wszystko, co pozostało z udziału w zyskach dawnego Związku Międzynarodowego<sup>1</sup>.

### § 3. OKRES SAMODZIELNOŚCI

Oto w jaki sposób Związek Spółdzielczy z mieszczańskiego, jakim był na początku, zdawał się pomału przechylać ku socjalizmowi, a nawet dawał się wchłaniać przez niego. Zatrzymał się on jednak na tej pochyłości i wtedy to wszedł w trzeci okres, który należy nazwać okresem samodzielności.

W pewnym momencie rzeczywiście dokonała się reakcja przeciwko wchłonięciu przez partię socjalistyczną. W Belgii, co prawda, spółdzielczość i partia socjalistyczna tworzą jedność, a istniała tendencja naśladownictwa tego przykładu przez Międzynarodowy Związek Spółdzielczy, uczynienia z niego dodatku do Międzynarodówki socjalistycznej. Gdyby tylko kilku pozostałych z pierwszych dni mieszczań sprzeciwiało się temu wchłonięciu, ich opór byłby bezsilny. Ale znalazła się nawet między socjalistycznymi członkami Związku pewna liczba ludzi, którzy zażądali prawa autonomii dla ruchu spółdzielczego. Zbyt dumni z drogiej sobie spółdzielczości, ażeby odgrywać rolę, jaką im chciano narzucić, rolę jednania wyłącznie członków

---

<sup>1</sup> A nawet i ta reszta ginie, gdyż w dwa lata po napisaniu powyższego, w 1921 r., p. Ancurin Williams wycolał się z komitetu Związku i wkrótce potem umarł. Była to wielka strata.

dla partii socjalistycznej, dostarczania jej żywności w dniach strajków albo zapomóg w dniach wyborów, odgrywania roli mlecznej krowy, mieli oni dla ruchu wyższe ambicje, ambicje życia swoim własnym życiem i realizowania swojego własnego programu, swoich własnych celów, które nie są bynajmniej celami partii socjalistycznej ani syndykalizmu.

Przypominam sobie, że niejednokrotnie, kiedy udało mi się spotkać Jaurésa — mieszkaliśmy w tej samej dzielnicy — mówił on mi: „Ostatecznie wasz program kooperatystyczny jest tym samym, co nasz program socjalistyczny“. Odpowiadałem na to: „Niezupełnie. Program stowarzyszeń spożywców dopuszcza w pewnej mierze kapitalizm, gdyż same one są oparte na udziałach, wymagają od swoich członków wkładu kapitałów i płacą im za nie procent. I nie dąży on do wywłaszczenia, ściśle mówiąc, klas posiadających, a przynajmniej nie chce innego wywłaszczenia niż to, które można będzie osiągnąć przez grę wolnego współzawodnictwa, jeżeli się okaże, że przedsiębiorstwa spółdzielcze są wyższe od przedsiębiorstw kapitalistycznych i usuną je w tej zwycięskiej konkurencji... Ale to nie są cechy kolektywnego wywłaszczenia.“

A oto druga ważna różnica: artykuł zasadniczy programu socjalistycznego, jakim jest walka klas, nie może być wpisany do programu spółdzielczego z tej oczywistej przyczyny, że spożywca nie reprezentuje żadnej klasy ani żadnej partii: jadenie nie jest opinią. Różnice klasowe nie są tu większe niż różnice płci; wszyscy są spożywcami. Wszyscy, socjaliści czy nie, mają prawo wejść do stowarzyszenia spożywców i to wystarcza, aby nadać ruchowi spółdzielczemu prawo do autonomii.



Zasada ta została ostatecznie uznana przez samych socjalistów na kongresie socjalistycznym w Kopenhadze w 1910 r. Przegłosowano tam deklarację, uznającą prawo ruchu spółdzielczego do funkcjonowania jako ruch niezależny i autonomiczny na takiej samej podstawie jak związki zawodowe i partia socjalistyczna. A kongres Związku Spółdzielczego w Hamburgu, który się odbył natychmiast po kongresie kopenhaskim, przyjął to do wiadomości.

Wskutek tego Związek stał się jednak w znacznej mierze socjalistyczny, bo ostatecznie pomimo uczynionych przeze mnie przed chwilą zastrzeżeń program spółdzielczy, który stawia sobie za cel zniesienie wszelkiego nieusprawiedliwionego potrącania z produktu pracy, który zamierza zreorganizować sposób wymiany, opierając go na słusznej cenie, wolnej od wszystkich lichwiarskich nadwyżek, może być kwalifikowany jako system socjalistyczny. Ale w każdym razie jest to socjalizm wolnościowy i niezależny. Ten to sztandar wznosi dziś — i spodziewamy się na zawsze — Związek Spółdzielczy.

#### § 4. ZWIĄZEK SPÓŁDZIELCZY W CZASIE WOJNY I POTEM

Ale oto przyszła dla Związku straszliwa próba.

W przededniu wojny w 1913 r. Związek liczył jako członków 3.871 stowarzyszeń w 30 różnych krajach. W tej liczbie było 3.698 stowarzyszeń spożywców (więc 95<sup>0</sup>/<sub>0</sub>); pozostałe 173 stowarzyszenia dzieliły się na spółdzielnie wytwórców, kredytu, rolnicze, budowlane itd. Można powiedzieć, że te ostatnio wymienione formy stowarzyszeń są faktycznie niemal wyeliminowane. Co do mnie, żałowałbym, gdyby były usunię-

te zupełnie, sędzę bowiem, że jakkolwiek stowarzyszenia spóżywców mają prawo sprawować hegemonię, nie będą mogły jednak obejść się w swojej pracy bez współdziałania innych form spółdzielczych — ani rolniczych na wsi ani robotniczych spółdzielni wytwórczych albo pracy w drobnych przemysłach albo w służbie publicznej.

Taką więc jest liczba reprezentowanych stowarzyszeń. Ta ilość może się wydać godną szacunku, jest nią jednak mniej niż można by przypuszczać, ponieważ istnieje dziś na świecie przeszło 100.000 stowarzyszeń spółdzielczych. Te zrzeszone stowarzyszenia liczyły 6 milionów członków; liczba imponująca, ale pośpieszam dodać, że na te 6 milionów należących nominalnie do Związku Spółdzielczego nie było prawdopodobnie więcej niż setka, będących w stanie powiedzieć, czym jest Międzynarodowy Związek Spółdzielczy.

Zresztą o skromnej podówczas roli Związku może dać pojęcie fakt, że dochody jego sięgały zaledwie 40.000 franków, z czego blisko połowę wpłacały spółdzielnie angielskie, blisko czwartą część niemieckie, a Francja zjawiała się dopiero na piątym miejscu i w dużej odległości; biedny budżet, ponieważ wobec blisko 4.000 stowarzyszeń dawał on zaledwie 10 franków od zrzeszonego stowarzyszenia<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Oczywiście złotych franków. Dzisiaj całość składek wynosi około 5.000 funtów, co jest jeszcze sumą bardzo małą wobec 40 krajów zrzeszonych. Składki dzielą się jak następuje:

|                             |            |
|-----------------------------|------------|
| Wielka Brytania . . . . .   | 36%        |
| Rosja i Ukraina . . . . .   | 30%        |
| Niemcy . . . . .            | 11%        |
| Francja . . . . .           | 8%         |
| Finlandia . . . . .         | 5%         |
| 30 różnych krajów . . . . . | 10%        |
|                             | <hr/> 100% |



Widzicie więc, że Związek nie jest bogaty. Ale ostatecznie dla Związku nie jest ważną kwestia pieniędzy ani nawet kwestia liczby członków: ważne jest wiedzieć, jaką reprezentuje ideę i zwłaszcza, jaką była jego rola po wojnie, która przez cztery lata przerwała jego funkcjonowanie.

Położenie Międzynarodowego Związku Spółdzielczego podczas wojny było bardzo trudne. Siedziba jego była w Londynie, a więc w jednym z krajów wciągniętych do wojny; tym niemniej Biuro jego, jakkolwiek złożone wyłącznie z Anglików, zachowywało skrupulatną neutralność. I nawet posunęło ją do tego stopnia, że nie wzięło udziału w żadnym z kongresów, jakie się odbywały w krajach wojujących, jak ten, który się odbył przed dwoma laty w Paryżu. W przyszłym tygodniu będziemy mieli kongres spółdzielców Ententy i chociaż można już uważać tym razem wojnę jako ostatecznie skończoną, Związek zgodził się być reprezentowany tylko w charakterze doradczym<sup>1</sup>. Trzeba oddać cześć temu staraniu o utrzy-

<sup>1</sup> Druga konferencja spółdzielni państw sprzymierzonych odbyła się kilka dni potem, 7 i 8 stycznia w Paryżu. Zgromadziła ona wszystkie kraje sprzymierzone po stronie Ententy.

W tym samym roku 1919, w czerwcu, trzecia konferencja zgromadziła w Paryżu delegatów tych samych państw i oprócz tego Polski, Rumunii, Litwy, Łotwy, Finlandii, Gruzji, Ukrainy, Armenii, Szwajcarii, Holandii, Szwecji, a więc wszystkich nowych republik powstałych po wojnie, i oprócz tego trzech państw neutralnych. W mowie powitalnej wyraziłem uholewanie z powodu nieobecności trzech narodów: Niemiec, Austrii, Węgier, które nie mogły być zaproszone do Paryża, ponieważ póki nie był jeszcze zawarty (podpisano go w Wersalu w dzień zamknięcia obrad kongresu spółdzielczego), wyraziłem jednak nadzieję, że te państwa nieobecne powrócą rychło do Związku, na miejsca, które dawniej zajmowały z taką chwałą.

Rzeczywiście, Międzynarodowy Związek Spółdzielczy został w całości odbudowany, najprzód na posiedzeniu Centralnego Komitetu w Genewie, w maju 1920 r., potem na plenarnym zgromadzeniu Kongresu w Bazylei, w sierpniu 1921 r.

manie Związku Spółdzielczego nienaruszonego w swojej zasadzie międzynarodowej, aby gdy tylko pokój powrócił, mógł on po bratersku powitać tych wszystkich, którzy do niego należeli przed otwarciem działań wojennych. Związek wydawał nawet w dalszym ciągu podczas wojny jak dawniej swój *Przegląd Międzynarodowy* w trzech językach: francuskim, angielskim, niemieckim. Jest to jedyne wydawnictwo, o ile mi wiadomo, a w każdym razie jedno z bardzo rzadkich, w którym widziano współpracujących ze sobą nadal w tym samym numerze, pod tą samą różową okładką redaktorów z trzech krajów. Jest nawet prawdopodobne, że jeżeli ten Biuletyn mógł przeniknąć do Francji, stawało się to dlatego, że jego skromność przeszkadzała cenzorom rozpoznać się w sytuacji. Powinuszmy sobie tym razem tej jego bezosobowości, która pozwoliła uniknąć jego redaktorom prześladowań za zbrodnię „porozumienia z nieprzyjacielem“.

Podczas pierwszych swych lat Związek był, można powiedzieć, wyłącznie angielski i francuski. Później przyszły Włochy, ale nigdy nie brały w nim bardzo czynnego udziału, chociaż reprezentowane były w Komitecie przez znakomitą osobistość, ministra Luzzatti, który zorganizował wspaniałe przyjęcie Kongresowi w Kremonie w 1907 r. Później przyszli Belgowie, Szwajcarzy i wreszcie Niemcy. W przededniu wojny pięcioma wielkimi mocarstwami Związku były w porządku ich współpracy moralnej, jeżeli nie finansowej: Anglia, Niemcy, Francja, Szwajcaria i Belgia. Niemcy jednak zajmowali coraz większe miejsce w tym Związku: na wszystkich naszych kongresach spółdzielczych widziało się ich licznych, zdyscyplinowanych; niektórzy z nich nosili coś w rodzaju unifor-



mu o kroju wojskowym, wszyscy słusznie dumni byli z autorytetu, jaki dawała im niezaprzeczalna potęga niemieckiej organizacji spółdzielczej. Rzeczywiście, jeżeli była ona jeszcze wyraźnie niższa co do liczby od spółdzielczości angielskiej, szła naprzód krokiem tak szybkim, że nie opóźniłaby się na pewno w niezadługim jej prześcignięciu. Ambicją ich zresztą było uczynić dla spółdzielczości to, co ich rząd zamierzał uczynić dla swojej floty i handlu tj. wybić się przed Anglię. Stara rywalizacja pomiędzy lwem brytyjskim a dwugłowym orłem ujawniała się tutaj pod formą walki między dwoma ruchami spółdzielczymi.

Niemcom zależało na zaszczyście goszczenia nas w Hamburgu w 1910 r.<sup>1</sup>. Niezapomniany dla mnie pozostał ten kongres i jak byłem na nim zachwycony, zarazem organizacją prawdziwie kolosalną, żeby użyć ich usprawiedliwionego tu słowa, ich spółdzielni hamburskiej, jak świetnością tego wspaniałego portu. Celem ich było przeniesienie z Londynu do Hamburga siedziby Międzynarodowego Związku Spółdzielczego. Osiągnęliby ten cel dość szybko, byli bowiem popierani w tym programie imperialistycznym nie tylko przez swoje organizacje, o których można się wyrazić tylko z uznaniem, ale przez sympatie wielu spółdzielców innych krajów — Szwajcarów, Holendrów i nawet Belgów; popierała ich zresztą zwłaszcza dyskrecja naszych przyjaciół Anglików, którzy nie chcie-

---

<sup>1</sup> Interesującym będzie przypomnieć, że na Kongresie Hamburgskim spółdzielnie polskie i czeskie domagały się reprezentacji w Związku, odrębnej od reprezentacji spółdzielczości państw, do które zostały włączone. Nie można było wówczas, chociaż z żalem, zadośćuczynić ich protestom. Od czasu jednak Traktatu Wersalskiego zdobyły one swoje miejsca w Związku i wniosą do niego nowe życie.

li walczyć o hegemonię, jaką usiłowano im odebrać. Kilku z nas sądziło wprawdzie, że mają oni prawo zatrzymać ją, ale było nas zbyt mało, kilku Francuzów i jeden Rosjanin — dwuprzymierze — nasz doskonały przyjaciel Totomianz. Ale jakkolwiek reprezentował on jakoby 175 milionów Rosjan, tym niemniej był sam, wskutek czego nie przyprowadzał wielkiej siły na nasze pozycje. Przeniesienie siedziby Międzynarodowego Związku Spółdzielczego nie omieszkałoby prawdopodobnie wkrótce być dokonane, gdyby nie przyszła wielka wojna, która przecięła tę małą wojnę między spółdzielcami<sup>1</sup>. Ale ta wojna będzie prędzej zapomniana niż tamta.

Co? — powiedzą mi. Międzynarodowy Związek Spółdzielczy podejmie pracę ze wszystkimi swoimi dawnymi członkami — z Niemcami także?... Na pewno! Jeżeli się cofnę dwa lata wstecz, kiedy mieliśmy w Paryżu pierwszą konferencję spółdzielczą z delegatami krajów Ententy, już wówczas postawiono tam sprawę, co po wojnie uczynimy z Niemcami. Słyszałem, jak jedni mówili: nie dopuścimy Niemiec, dopóki nie wyrażą swego *mea culpa*. Inni: nie będziemy zasiadali z Niemcami, dopóki nie zgodzą się na zasadę Ligi Narodów. Jeszcze inni: to nie dosyć: nie dopuścimy Niemiec, dopóki Hohenzollernowie i ich szablista czereda nie będą wymieceni. Inni wreszcie: nie podejmiemy z nimi stosunków, aż dopiero w dniu, w któ-

<sup>1</sup> Od czasu ostatniego kongresu (Bazylea 1921) przewodnictwo w Związku po raz pierwszy nie zostało przyznane Anglikowi (a przynajmniej obywatelowi Wielkiej Brytanii, bo wychodzący prezes był Szkotem) i przeszło do rąk Holendra, p. Goedbardta. Dwie wiceprezesury przyznano Anglikowi i Francuzowi, Niemcy odmówili w imię pojednawczości postawienia swojej kandydatury, w przeciwstawieniu do Anglików i Francuzów.

(Obecnie prezesem M. Z. S. jest p. Vaino Tanner, Finlandczyk (przyj. tłum.).



rym ogłoszona będzie Republika... Tym niemniej sądzono, że w ten sposób idzie się nieco za ostro, jak mówili nasi żołnierze.

Otóż wszystkie te warunki, jakkolwiek by się wydawały nieprawdopodobne podówczas, zostały spełnione: wszystkie dynastie — królowie Prus i wielcy książęta niemieccy czy austriaccy, wszystkie orły jedno czy dwugłowe błakają się w poszukiwaniu gałęzi, na której mogłyby zaczepić swoje szpony; Republika jest proklamowana; wstąpienie do Ligi Narodów zgłoszone i nawet ostatni warunek, aby Niemcy uznały swoją winę, zostaje spełniony przez głos do tego upoważniony, choć nie ma przykładu, aby jakikolwiek naród uczynił to kiedy.

Pozwólcie mi przeczytać kilka słów z deklaracji, która nie była ogłoszona w pismach francuskich, deklaracji Prezydenta Republiki Bawarskiej, Kurta Eisnera, którą wygłosił w teatrze monachijskim dn. 17 grudnia roku ubiegłego<sup>1</sup>:

„Jesteśmy demokratami i socjalistami. Odzywamy się poprzez granice naszego kraju do narodów, które wczoraj były naszymi nieprzyjaciółmi. Wyznajemy nasze winy. Wyganiając jednak tych, którzy są odpowiedzialni za tę zbrodnię światową, dowiedliśmy, że jesteśmy ludźmi i że mamy prawo być traktowani jak ludzie.“

Czy powie kto, że odważna deklaracja Eisnera nie może być uważana za reprezentującą opinię Niemiec, może nawet nowych Niemiec? Jest to możliwe, można jednak co najmniej przypuścić, że reprezentuje ona opinię spółdzielców niemieckich, gdyż nic nie upo-

<sup>1</sup> Jak wiadomo, po tej już konferencji Kurt Eisner został zamordowany i może być, deklaracja, którą cytujemy, przyczyniła się do tego.

ważnia nas do wierzenia, że zaparli się oni uczuć, jakie żywili przed wojną<sup>1</sup>.

Czyż rolę Międzynarodowego Związku Spółdzielczego po wojnie nie będzie pomagać Lidze Narodów i starać się czynić w skromnym swym środowisku to, co ona będzie czyniła? Przed wojną był on zapowiedzią Ligi Narodów. Nie był on w tym zresztą osamotniony: składniki tej Ligi Narodów istniały już w postaci niezliczonych lig czy zrzeszeń międzynarodowych, których wyliczanie nie miałoby końca: była Unia Pocztowa i Telegraficzna, także Unia Wag i Miar, Unia Prawnej Ochrony Pracy itd., krótko mówiąc, było ich 170. Ale każde z tych zrzeszeń miało ograniczony zakres działania, podczas kiedy nasz Związek z samego swego tytułu jak i przez swój program dąży do zorganizowania współdziałania wszystkich narodów na tych samych podstawach, na których zorganizowane już jest współdziałanie jednostek i stowarzyszeń lo-

---

<sup>1</sup> Na kongresie Związku Spółdzielczego w Glasgow w 1913 r. uchwalono jednomyślnie następującą rezolucję: „Kongres stwierdza, że pokój i zgoda między ludźmi są podstawową zasadą rozwoju spółdzielczości... I że możliwość konfliktów międzynarodowych zniknie stopniowo, w miarę jak życie gospodarcze i społeczne każdego kraju zorganizowane zostanie na zasadach spółdzielczych“.

Delegaci niemieccy okazali się najbardziej gotowi do głosowania. „My wiemy, powiedział von Elm, że w obecnej sytuacji kierujący mało dbają o rezolucję spółdzielców. Tym niemniej spółdzielcy uważają za obowiązek wyrazić swoje postanowienie utrzymania pokoju międzynarodowego i z zapalem przyjmą rezolucję wszystkich przyjaciół pokoju, ponieważ kierujący nie będą mogli oprzeć się wyraźnej woli ludów angielskiego, francuskiego i niemieckiego, oświadczających: Nie chcemy wojny, chcemy pokoju“.

Dokładnie w rok po tych deklaracjach wojna wybuchła i spółdzielcy zarówno niemieccy jak francuscy nie mieli mocy powstrzymać „kierujących“. Ubolewali nad swoją bezsilnością, ale oddali tym niemniej każdy w swoim kraju usługi swojej ojczyźnie, zależnie od swej możliwości.



kalnych. Wszystkie te międzynarodowe stowarzyszenia były tak jak watek, którego nici krzyżowały się przez cały świat i wiązały ludy ze sobą. Wojna przecięła ten watek wielkimi cięciami miecza i dziś te postrzępione nitki wiszą ze wszystkich stron. Zwiążą się one z powrotem pomimo protestów kilku akademii. Taką jest siła rzeczy. I nie tylko wcześniej czy później związane zostaną z powrotem więzy stowarzyszeń międzynarodowych, które istniały przed wojną, ale wiercie mi, że stworzone zostaną inne.

Przed kilkoma dniami mogliście dowiedzieć się z pism, że sekretarz Amerykańskiej Federacji Pracy, Gompers zamierzał utworzyć międzynarodową ligę związków zawodowych w skali światowej. Z drugiej strony czytałem dziś rano, że ma być utworzone międzynarodowe stowarzyszenie finansowe. A więc jeżeli istnieją po wojnie stowarzyszenia dla obrony pracowników, dla obrony interesów finansowych, dla czegożby nie miało być stowarzyszenia dla obrony spożywców? W tych czasach braku żywności i wzrost cen, które długo jeszcze trwać będą, użyteczność takiego stowarzyszenia byłaby większą niż kiedykolwiek.

Nie trzeba sobie wyobrażać, że ta Międzynarodówka gospodarcza po powstaniu swoim przyjęta będzie przez wszystkich z uśmiechem. Na pewno nie. Spotkana wiele przeszkód, nie tylko natury politycznej, ale również gospodarczej: tu protekcjoniści, którzy będą usiłowali podwyższyć bariery między narodami, tam zmowy przemysłowców, które skorzystają z głodu dla wyzyskiwania spożywców. Rządy Ententy będą próbowały — i już próbowały — tworzyć międzysprzymierzeńcze komisje dla zapewnienia przywozu surowców i artykułów żywności pierwszej potrzeby dla dostar-

czania ich spożywców. Ale komisjom tym nie uda się ich praca, jeżeli nie stowarzyszą się z samymi spożywcami.

Kiedy chodziło o handel wewnętrzny, widzieliśmy, że urzędy żywnościowe, tworzone przez rząd albo samorządy, zmuszone były w większości wypadków odwoływać się do spółdzielni spożywców, wszędzie gdzie one istniały, żeby móc się oprzeć na nich i osiągnąć swój cel. Otóż w handlu zagranicznym Międzynarodowy Związek Spółdzielczy będzie mógł oddać Lidze Narodów tę samą usługę.

Trzeba zresztą podnieść wzrok wyżej: nie chodzi tylko w pracy jutrzejszej o sprawy aprowizacyjne; prawdziwym spółdzielcom chodzi o coś większego. Przez cały czas wojny myśleliśmy przede wszystkim o swoim kraju, było to naszym obowiązkiem; teraz trzeba myśleć o całej Europie, o tej Europie, branej w swojej jedności historycznej, swojej sławnej światowej misji cywilizacyjnej, Europie, dla której obecna straszliwa wojna była wojną domową i która musi natychmiast po zawarciu pokoju podjąć swoje dzieło cywilizacyjne.

Oto godzina, w której trzeba nadać ponownie Europie wyraz, jaki miała niegdyś, w średniowieczu. Był pewien moment w jej historii, w którym urzeczywistniła w pewnym stopniu swą jedność, pewne braterstwo pod postacią, która nosiła piękne miano chrześcijaństwa. Po wojnie trzeba będzie pod formą świecką wskrzesić tę jedność i przez współdziałanie Stanów Zjednoczonych Europy prowadzić dalej politykę światową, ale oczyszczoną, jeśli to możliwe, z ducha zaborczości, z wyzyskiwania innych kontynentów, które zbyt często i aż po dzień dzisiejszy charakteryzowa-



ły politykę europejską, tak zwaną politykę wielkich mocarstw.

Europa, mała Europa, nie jest sama na świecie, nie są nimi nawet Ameryka i Australia, które są jej córkami. Istnieją dwa olbrzymie kontynenty Azji i Afryki, które są wielkimi niewiadomymi; istnieje miliard ludności żółtej lub czarnej. Istnieje również stara rasa aryjska w Indiach, która rozwijała się politycznie i intelektualnie poza Europą i która ustami jednego ze swych świetnych przedstawicieli, poety i filozofa Rabindranatha Tagore tak wyraziła się przed kilkoma miesiącami w jednym z dzienników angielskich:

„Europa ma takie poczucie swej potęgi, iż nie myśli o tym, iż tej potęgi może jej kiedykolwiek zabraknąć. Ale obecna wojna powinna być dla niej ostrzeżeniem. Jeżeli chce się odrodzić, musi powrócić do swojej duszy i do swojego Boga oraz wypełnić swą misję, niosąc na wszystkie kontynenty swój ideał, a nie poświęcając go żądzy bogactw i panowania.“

A cóż jest tym ideałem, o którym mówi Tagore, jeśli nim nie jest ideał naszego Międzynarodowego Związku Spółdzielczego, który w programie ma właśnie oswobodzenie wymiany międzynarodowej z wszelkiego ducha współzawodnictwa i zysku?

Powiedziano o tej wojnie, że była ona największym wypadkiem świata od czasów potopu. Otóż jeśli ta wojna była potopem, niechże Związek Spółdzielczy będzie arką. Niech zbierze w sobie ponownie Sema, Chama i Jafeta, wszystkie narody świata i wszystkie rasy, białe, żółte czy czarne, dla doprowadzenia ich do współdziałania przy jednolitym dziele i przygotowania ludzkości do przyszłości lepszej niż krwawa przeszłość.

## XII

# O MIEJSCU NALEŻNYM SPÓŁDZIELCZOŚCI W KSZTAŁCENIU EKONOMICZNYM<sup>1</sup>

### § 1. WYKSZTAŁCENIE SPÓŁDZIELCZE

Niejednokrotnie zdarza się, że kiedy młoda osoba zaczyna występować w świecie, powierza się jej dziadkowi kłopot przedstawiania jej i pilnowania, dopóki los jej nie zostanie powierzony młodszymi rękami.

Dziś proszę was o przyjęcie mojego wykładu w ten sam sposób. Interesujący tutaj nie jest pierwszy występ starego profesora, tylko pierwszy występ nowej nauki i młodej Spółdzielczości, nieco onieśmiałej z zajęcia miejsca pomiędzy tyloma szanownymi naukami, które od czterech już wieków zamieszkują ten świetny dom.

Nie chciałbym jednak pozwalać wam się domyślać, że Spółdzielczość pierwszy raz dostała się na katedrę i że to Francja właśnie ma zaszczyt inaugurować te wykłady. Nie, nie należy tutaj powtarzać słowa Juliusza Lemaitre'a z jego powieści *Królowie*: „Co mi się podoba w Paryżu, to to, że każdy tu dochodzi do

<sup>1</sup> Wykład na otwarcie kursu „Historii i doktryn spółdzielczości” w Collège de France. Nowa ta katedra ufundowana była przez Federację Spółdzielczych Stowarzyszeń Spożywców w grudniu 1921 r.



celu sto lat wcześniej niż gdzie indziej.“ Za granicą są już liczne wykłady spółdzielczości: w Niemczech, w Austrii, zwłaszcza w Rosji.

Bądź co bądź jest tu coś więcej niż za granicą i muszę to stwierdzić, nie chełpiąc się tym wcale: otóż wszystkie inne kursy, o których mówiłem przed chwilą, stworzone zostały przez rządy albo przez uniwersytety. Tak w roku ubiegłym powierzono wykłady o spółdzielczości na uniwersytecie berlińskim dobrze znanemu spółdzielcy, który za cesarstwa pracował w jednym z ministerstw, p. Augustowi Müllerowi. Ale kurs ten został stworzony przez uniwersytet i nie widziano jeszcze, o ile się nie mylę, katedry ufundowanej przez organizację spółdzielczą.

Pod tym względem trzeba sprostować tu niedokładne twierdzenia, podane przez kilka dzienników: państwo nie wzięło żadnego udziału w utworzeniu tej katedry, chyba przez położenie podpisu<sup>1</sup>. Wszystkie koszty tej fundacji przyjęły na siebie stowarzyszenia spółdzielcze spożywców.

Jest to nowy fakt. W uniwersytecie paryskim, jak i w innych wyższych zakładach nauczania, nie brakuje katedr, fundowanych przez milionerów, książąt, filantropów. W złotej księdze błyszczy dużo wielkich nazwisk, wiele pięknych nazwisk, dobra liczba Mece-nasów, ale nie widziano tam jeszcze dotychczas figurującej organizacji robotniczej.

Otóż jest to dobre, że katedra spółdzielczości została utworzona przez organizacje spółdzielcze, bo sama doktryna spółdzielcza zarówno w swej realizacji, jak

---

<sup>1</sup> I to jeszcze były trudności z zatwierdzeniem fundacji i długa zwłoka przy nominacji profesora.

w swoich dążeniach, taka jaką wam będzie tu przedstawiona, była wyłącznie dziełem spółdzielców robotników. Oni to od czasów Pionierów Roczdelskich przez swoje codzienne doświadczenia, konfrontując swój ideał z rzeczywistością, wypracowali ten program, równocześnie praktyczny i idealistyczny, który potem obiegił świat. Ekonomisci nie dodali do niego wiele, chyba swoją krytykę.

Chociaż to nie jest specjalnie moją rolą kłaść nacisk na podziękowania, należne robotniczemu stowarzyszeniom spółdzielczym za tę fundację, muszę jednak zaznaczyć, że ta kreacja była zupełnie bezinteresowna, w tym znaczeniu, że spółdzielcy utworzyli tę katedrę właściwie nie dla siebie.

Na kongresie, na którym już przed trzema laty ta fundacja została przegłosowana, jeden z członków powiedział: „Po co ta katedra w Collège de France? Żaden ze spółdzielców nie będzie mógł tam uczyć się”. Odpowiedziano na to: „Mniejsza z tym <sup>1</sup>, nie jest ona utworzona dla spółdzielców, ale dla pokazania publiczności, szerokiej publiczności, że ruch spółdzielczy nie jest po prostu ruchem dla polepszenia warunków bytu klas robotniczych, ale że jest to także ruch ideowy, wart trudu dyskusowania w środowiskach inteligentnych. Dlatego to chciano tutaj mieć katedrę, a nie tylko wykłady. Takie zabiegi o podniesienie kultury u ludzi,

---

<sup>1</sup> Później zaradzono w pewnej mierze tej niedogodności przez zainstalowanie aparatu do rozpowszechnienia wykładów, dzięki uprzejmości Szkoły Poczt i Telegrafów: toż samo zresztą uczyniono dla wielu wykładów Collège de France. Z drugiej strony wykłady są stenografowane i ogłaszane co rok w broszurach albo tomach.



których działalność zamyka się w handlu, najczęściej w handlu korzennym, są doprawdy szlachetne. Tak też to zrozumiało Collège de France.

Gdyby żądanie utworzenia tej katedry nie było zgłoszone z inicjatywy i pod patronatem wielkiej organizacji robotniczej, nie jest pewne, czy byłoby ono przyjęte.

Istotnie, jeżeli miejsce dla nauczania spółdzielczego było całkowicie wskazane w szkołach praktycznych, jak np. w Konserwatorium Sztuk i Rzemiosł, wyższe szkoły handlowe, można by się zapytać, czy było ono na swoim miejscu w zakładzie jak niniejszy, który nie ma na celu formawania praktyków, tylko prowadzenie wykładów czysto naukowych.

Kolegium nie zapomniało jednak, że od samego początku było ono stworzone dla dawania schroniska każdej nowej nauce, a szczególnie tym, które się znajdują na marginesie nauki klasycznej. *Docet omnia*, uczy wszystkiego, mówi stara jego dewiza. I dlatego możemy dzisiaj wyrazić swe podziękowanie Collège de France za wpisanie tej katedry do swego sławnego rejestru.

Zresztą ten przykład Collège de France został natchniony naśladowany. Dowiedzieliśmy się przed chwilą, że wykłady spółdzielczości zostały otwarte na Uniwersytecie w Nancy i zostały powierzone naszemu koledze, p. Bernardowi Lavergne, inicjatorowi Stowarzyszenia do nauczania spółdzielczości.

A tu w pobliżu, w Wolnym Kolegium Nauk Społecznych jeden z sekretarzy Federacji Ogólnokrajowej, p. Poisson, otrzymał zlecone wykłady spółdzielczości. Tak idzie naprzód kształcenie spółdzielcze. Mamy nie-

płonną nadzieję, że znajdzie się ono również w szkołach średnich i powszechnych<sup>1</sup>.

Chciałbym teraz powiedzieć, w jakim duchu zamierzam prowadzić ten kurs. Nie sądzę, aby moją rolą było uczynić z niego kurs wykształcenia technicznego, tj. wyjaśniać statuty stowarzyszeń spółdzielczych, mniej czy bardziej dowcipny mechanizm ich organizacji, trudności pieniężne albo podatkowe, jakie mogą napotkać, jednym słowem cały bieg ich życia codziennego. Nie sądzę tak dla dwóch przyczyn.

Przede wszystkim ponieważ to kształcenie techniczne odbywa się już gdzie indziej. Wykłada się je w Szkole Spółdzielczej, założonej przez Ogólnokrajową Federację Spółdzielni Spożywców; przedmiotem jego jest kształcenie kierowników spółdzielni. Jest tam siedem czy osiem wykładów, wygłaszanych stale przez spółdzielców daleko bardziej ode mnie kompetentnych w sprawach organizacji wewnętrznej. Prócz tego istnieje w Konserwatorium Sztuk i Rzemiosł kurs. p. Simianda, który zajmie się w tym roku specjalnie mechanizmem i organizacją stowarzyszeń spółdzielczych.

Drugą przyczyną jest to, że przychodzący tu nie są bynajmniej przeznaczeni, aby stać się praktykami ani nawet brać czynny udział w życiu praktycznym spółdzielni. Większość z nich nie jest nawet kandydatami na spółdzielców. Mamy co prawda nadzieję, że zainteresują się oni ruchem spółdzielczym, ale nie bardzo, być może, zainteresowaliby się, gdyby im przedsta-

---

<sup>1</sup> Od tego czasu dzięki powstaniu Stowarzyszenia dla nauczania spółdzielczości i działalności jego sekretarza, p. Bugnon, kursy spółdzielczości, składające się co najmniej z kilku wykładów, zorganizowane zostały na kilku fakultetach Francji, w szkołach normalnych wychowawców w Sèvres, Saint-Cloud itd.



wiono praktyczne szczegóły organizacyjne stowarzyszenia.

Chciałbym więc zrobić co innego: nie zajmować się życiem wewnętrznym stowarzyszeń spółdzielczych, ale ich położeniem w środowisku gospodarczym, w szerokim świecie, w którym żyją, chciałbym zbadać, jakie działania mogą wyrzucić na niego te stowarzyszenia i jakie następują w stosunku do nich reakcje.

Zauważcie, że nie mam pretensji przynosić tu nowej wiedzy ani tym mniej przeciwstawiać ją we wrogim nastawieniu ekonomii politycznej. Nie myślę o tym. W tym kolegium, w którym czterech wielkich ekonomistów, reprezentujących całą dynastię: Jan Babtysta Say, Rossi, Michał Chevalier, Paweł Leroy-Beaulieu uczyli w ciągu stu lat ekonomii politycznej, spółdzielczość nie powinna zjawiać się jako wróg ani tym mniej jeszcze jako biedny krewny, przyjęty z miłosierdzia, ale jako mająca prawo domagać się swojego miejsca w nauczaniu, a nawet w nauczaniu klasycznym wiedzy ekonomicznej.

I jeżeli Karol Marx dla zbudowania swojego systemu kolektywistycznego mógł się oprzeć na wielkim ekonomście klasycznym, Ricardo, my znajdziemy również dla podparcia tego programu kooperatystycznego ojców ekonomii politycznej nie mniej sławnych, do których będziemy się mogli przyłączyć jako ich uprawnieni potomkowie.

Ekonomia spółdzielcza obejmie więcej rzeczy niż sobie to można wyobrazić. Ma ona prawo wglądu we wszystkie części ekonomii politycznej. Wszystkie zjawiska życia gospodarczego zależą w pewnej mierze od spółdzielczości. Jaurès powiedział kiedyś, że stowarzyszenia spółdzielcze są zadziwiającymi „laboratoriami

społecznymi“. Laboratoria? tak, dla tych, którzy w nich żyją, pracują, sami się zabierają do dzieła; ale dla słuchaczy z zewnątrz, jak ci, którzy tu przyjdą, dosyć będzie, jeżeli powiemy, iż spółdzielnie są wybor-  
nym „obserwatorium społecznym“ dla wszystkich zjawisk gospodarczych. Albo, jeżeli wolicie bardziej skromne porównanie, powiem, że stowarzyszenia spółdzielcze mogą oddać te same usługi, co stoły orientacyjne, które widzimy wystawione staraniem Touring Clubu w malowniczych okolicach. Na pewno wielu z was ubawiło się, biorąc za punkty uzgodniające cztery strony świata i przebiegając wzrokiem niezmierzony horyzont, reprezentowany przez wyrysowaną na obwodzie stołu sylwetkę.

Otóż zapraszam was dzisiaj do takiej samej rozrywki. Przebiegnijmy razem koło widnokregu gospodarczego, biorąc za punkty uzgodniające cztery główne punkty stołu gospodarczego, które są wypisane we wszystkich traktatach ekonomii politycznej:

*Produkcja — Obieg — Rozdział — Spożycie.*

I zobaczymy przy każdym z tych punktów widzenia, jaki wkład, jaką naukę może przynieść spółdzielczość<sup>1</sup>.

Ten szybki przegląd będzie zresztą korzystny dla tych, którzy tu przyszli dziś i nie mają zamiaru powrócić, a tych jest prawdopodobnie najwięcej; to im pozwoli przebiec w ciągu kilku minut kurs, który będę wykladał w tym roku, a nawet w latach następnych, jeśli się tak zdarzy.

---

<sup>1</sup> Ta podzielona na czworo klasyfikacja w niektórych traktatach ekonomii politycznej jest zredukowana do trzech części: bądź przez usunięcie spożycia (patrz dalej, str. 322), bądź włączając obieg do produkcji. Nie jest to ważne dla naszej panoramy.



Zasiądźmy więc w naszym sklepiu spółdzielczym, przerobionym na obserwatorium, i wyglądajmy kolejno przez cztery okna.

## § 2. SPÓŁDZIELCZOŚĆ W WYMIANIE

Pierwszym z okien, które otworzymy, będzie okno wychodzące na obieg, jak mówią ekonomiści, czy mówiąc bardziej prosto, jeśli wolicie, na wymianę. Dlaczego zaczynamy od niego? Gdyż przez nie w rzeczywistości mają spółdzielnie widok na świat ekonomiczny: to jest ich własna dziedzina. Każda spółdzielnia jest przede wszystkim sklepem, a nawet nie jest niczym więcej dla tych, którzy w niej widzą stronę zewnętrzna.

Jeżeli wejdziecie do sklepu spółdzielczego, nie zobaczycie tam istotnie niczego więcej niż zwykle sprząty każdego sklepu spożywczego: worki, garnki, beczulki, szuflady, ładę, wagę.

Otóż, cóż spółdzielczość chce wnieść nowego w to środowisko, które nie bardzo nadaje się do wielkich zamiarów?

Wnosi tam pojęcie *śluszej ceny*, to znaczy staranie, żeby nabywca nie płacił więcej niż ściśle to, co odpowiada równej wartości towaru, jaki otrzymuje, oczyszczając tę cenę — tak jak się wyłuskuje orzech, żeby otrzymać tylko ziarno, albo karczoch, żeby otrzymać t. zw. serce — ze wszystkich pasożytniczych nadwyżek, którymi handel wszystkich czasów okrywał jak blachą cenę zakupu. Śluszną ceną to cena uwolniona od wszystkiego, co pod nazwą zysku, dywidendy, renty, nadwartości, powiększa ją nieskończenie kosztem spożywcy, czego widzieliśmy tyle przykładów, zwłaszcza po wojnie.

Oskarżano nas często w pismach, zwłaszcza w ostatnich czasach, mianowicie od momentu ogłoszonego przez Stowarzyszenie manifestu propagandy idei spółdzielczych w środowisku uniwersyteckim, mówiąc nam: — nigdy nie zniesiecie zysku.

Zachodzi tu nieporozumienie. Jeżeli przez zysk rozumie się albo oprocentowanie kapitału, albo wynagrodzenie za pracę kierowniczą albo za wynalazek, w tym wypadku stowarzyszenia spółdzielcze nie dążą na pewno do zniesienia tak pojętego zysku. Przeciwnie, uważają go one jako jeden z niezbędnych czynników produkcji.

Jeżeli chcą co znieść, to tę nieusprawiedliwioną niczym nadwyżkę ceny, która nie jest uwarunkowana przez konieczności produkcji, która wobec tego znajduje się na marginesie ceny i istnienie swoje zawdzięcza tylko niektórym faktycznym okolicznościom, takim jak monopol sprzedawcy, ignorancja spożywcy albo po prostu wahania podaży i popytu.

Co prawda, znajdujemy się tu od początku w sporze z ekonomistami, którzy nam mówią: „Nie ma słusznej ceny. To jest stare pojęcie moralne, które pochodzi od średniowiecznych teologów. Nie ma innej słusznej ceny niż ta, która istnieje, taka jak ją określiła wolna sprzedaż. Ah, oczywiście, jeżeli chodzi o cenę, narzuconą przez przymus albo otrzymaną przez oszustwo, nie jest ona słuszna. Ale z chwilą, kiedy cena, jakakolwiek by była, jest akceptowana przez nabywcę, bez przymusu i bez oszustwa, jest ona ceną słuszną, mówiąc językiem ekonomii, tak jak się mówi o wadze, że jest słuszna, jeżeli pod jedną z szal nie przyczepiono ciężaru. Nie ma tu nic do dyskusowania,



jakie motywy mogły skłonić nabywcę albo sprzedawcę do ustalania ceny."

A jeżeli mimo to nalegamy, mówiąc: „Ale w każdym razie, jeżeli się stwierdza zbyt wielką różnicę między ceną zakupu a ceną sprzedaży, jest to samowolna nadwyżka“, ekonomiści nam odpowiadają: „Ta nadwyżka nie jest wcale samowolna, ona jest niezbędna, żeby uzgodnić popyt z podażą, kiedy podaż jest niewystarczająca. Zresztą, nie może ona istnieć w sposób trwały, ponieważ w stanie normalnym konkurencja sprzedawców zawsze wystarczy do sprowadzenia wcześniej czy później tej przesadnej ceny do poziomu, który nazywacie słuszną ceną, tj. do poziomu kosztu produkcji“.

Zatem współzawodnictwo wystarczyłoby do zapewnienia w świecie gospodarczym słusznej ceny i ochrony interesów spożywców.

Otóż my nie wierzymy w tę skuteczną i wystarczającą akcję współzawodnictwa dla ustalenia słusznej ceny. To nie jest już dziś prawdą. Producenci nauczyli się i nie są bynajmniej skłonni odgrywać rolę naiwnych, licytując się między sobą *in minus* w jedynym celu popierania interesów spożywców.

Od dawna już bardziej roztropni producenci zmówili się ze sobą:

wielcy, tworząc trusty albo kartele, które rozpowszechniają się dzisiaj we wszystkich gałęziach przemysłu i króro ograniczają podaż albo nawet powstrzymują produkcję z chwilą, kiedy zaczną przewidywać zachwianie się cen;

mali przez te milczące porozumienia, istniejące we wszystkich miastach pomiędzy kupcami tej samej branży, na mocy których nigdy żaden z nich nie zniży

dobrowolnie ceny tak długo, dopóki inni ją utrzymują. A gdyby nawet kupiec albo producent zamierzał zniżyć dobrowolnie swoją cenę dla przyciągnięcia spożywcy, naraziłby się na gwałtowną wrogość ze strony swoich współbraci<sup>1</sup>.

I nawet na wiejskim rynku, kiedy fermerka przyniesie swoje masło, jaja i drób, pierwszym jej zabiegiem jest dowiedzieć się o ceny dnia i trzymać się ich mocno.

Zresztą dzisiejszy kupiec ma o tyle mniej racji zniżać ceny, że nie byłby nawet pewien, czy przyciągnie przez to spożywcę. Dokonała się istotnie pewna ewolucja w umysłowości spożywcy, którą by warto pewnego dnia przestudiować. Dawniej wprawiało w ruch konkurencję to, że klient przybiegał do sklepu, w którym sprzedawano taniej, podczas gdy dziś ma upodobanie chodzić tam, gdzie każą mu płacić drożej, czy to przez próżność, czy to przez ignorancję sądząc, że gatunek odpowiada cenie. Wydaje się, że w miarę jak kupiec staje się coraz bardziej przezorny, spożywca staje się coraz bardziej ślepy.

Oto właściciele pralni, którzy podwyższyli swoje ceny, ponieważ mydło i węgiel — dwa czynniki produkcji tego przemysłu — zdrożały w ogromnym sto-

---

<sup>1</sup> Dzienniki opowiadały historię (listopad 1921) o pewnym właścicielu pralni, który odważył się zniżyć ceny, ale był tak prześladowany przez związek właścicieli pralni, że musiał zmienić zawód.

A potem, już po tym wykładzie, właściciel piwiarni, który zniżył cenę kufelka, został zagrożony bojkotem przez związek piwowarów. Wskutek skargi swojej ofiary dostali się oni przed policję poprawczą.



sunku. Ale dziś mydło i węgiel bardzo znacznie staniały<sup>1</sup>. Czy pracze zniżyli swoje ceny? Absolutnie nie. To był taki skandal, że rząd musiał interweniować. Sprowadzono prezesa Związku Praczy i grożono mu taksa. Wtedy oświadczyli oni, że zgodziliby się na obniżkę jednego solda na kołnierzyku i rząd ostatecznie musiał się zadowolić tą śmieszną redukcją. Co do klientów, pozostali oni obojętni.

To są małe przykłady, jeśli o to chodzi, ale mógłbym ich przytoczyć wiele dużo znaczniejszych, zwłaszcza przy sprzedaży mąki albo mięsa. Ale idźmy dalej.

Stwierdźmy tylko, że cena nigdy nie spadnie, jeżeli nie ma zewnętrznej siły, która by zmusiła sprzedawcę do jej obniżenia. Cóż to za siła?

Tą siłą zewnętrzną była dawniej konkurencja. Dziś ona już nie działa. Ekonomisci odpowiadają: to nie jest nasza wina; zawsze protestowaliśmy przeciwko wszelkiemu hamowaniu wolnej konkurencji. Zrozumiano. Przyjmujemy to do wiadomości, ale po prostu konstatujemy, że nie udało im się utrzymać tej konkurencji.

Tą siłą zewnętrzną mogłyby być także władze publiczne, działające za pośrednictwem urzędowej taksy. Próbowano i tego. Ale z powodu niekompetencji administracji i presji politycznej oraz ze strony wyborców taksa ta nie dała bardziej skutecznych wyników.

Mogłaby również być to presja spożywców, urzą-

---

<sup>1</sup> Było to powiedziane w 1921 r. podczas zniżki cen wskutek kryzysu z 1920 r. Zniżka ta była chwilowa, ale od tego czasu zdarzało się często, że wskaźnik cen detalicznych zniżał się znacznie, a jednak bardzo rzadko kupcy zniżali swoje ceny. Spora ich ilość, jak rzeźnicy, podwyższali je nawet.

dzających strajk. Ale i ta nie działa, ponieważ spożywca da się raczej wyniszczyć, aniżeli odmówi sobie czego, choćby to były małe ciasteczka i tylko na przeciąg jednego dnia. Spożywca jest to osobistość najmniej bohaterska z tych wszystkich, które figurują na scenie gospodarczej, i nie jest się bardzo dumnym, kiedy się sobie powie, że spędziło się życie w obronie tak nędznego klienta.

Przychodzimy mu jednak z pomocą tym niemniej i mówimy: ponieważ konkurencja nie działa, ponieważ urzędowa taksa jest nieskuteczna, ponieważ sam spożywca nie rozumie swojego interesu i nie umie ani targować się, ani odmówić sobie czegoś, są tu stowarzyszenia spożywców dla zastąpienia tych wszystkich sił omdlałych. Zrzeszając elitę najbardziej oświeconych spożywców, mówią do nich: staniecie się swoimi własnymi kupcami. Towary w naszych sklepach będą sprzedawane tylko po słusznej cenie, takiej jak ją określiłem, a więc po cenie niezbędnej i wystarczającej do pokrycia wszystkich kosztów produkcji i pozwalającej produkować dalej. Co prawda, spółdzielnie wolą sprzedawać po tej samej cenie co kupcy, stosując tak jak oni lichwiarską nadwyżkę, ale w końcu roku zwracają ją klientowi, co jest pewnym sposobem przekreślenia jej ze słowami: „widzi pan, jak ta nadwyżka, rzekomo tak niezbędna, jest zbyteczna. Nie potrzebujemy jej do prowadzenia nadal naszych operacji. Zapłacił ją nam pan bez racji, ale my zwracamy ją panu, żeby panu sprawę wyjaśnić.“

Oto jak spółdzielnie ustalają słuszne ceny. A jeśli nam mówią niekiedy: „Ale ostatecznie nie mają one wielkiego wpływu na rynek“ — możemy odpowiedzieć, że jeżeli nie mają większego wpływu, to dlatego, że



jest ich za mało. Wierście mi, że gdyby, biorąc wyżej podane przykłady, była pewna ilość ciastkarni spółdzielczych albo pralni spółdzielczych, zobaczylibyście bezzwłocznie spadające ceny. A jeżeli w krajach jak Anglia lub Szwajcaria zwyżka cen po wojnie była mniejsza niż w innych krajach, zależało to — częściowo tylko, nie chcę bowiem powiedzieć wyłącznie — od istnienia potężnych stowarzyszeń spółdzielczych w tych dwóch krajach.

Spółdzielnie działają daleko poza kręgiem swoich członków i nawet tam, gdzie nie istnieją. W kraju, w którym się znajdują liczne spółdzielnie, kupcy zmuszeni są utrzymywać ceny na tym samym poziomie. A kiedy naiwni krzyczą: do czego służą spółdzielnie, kiedy sprzedają po tych samych cenach co kupcy, trzeba im odpowiedzieć, że to kupcy decydują się, choć bardzo niechętnie, sprzedawać po tych cenach, co spółdzielnie. Wywierają one wpływ, który by można nazwać potencjalnym, jak ten, który czasu wojny wywierała flota angielska, zakotwiczona w jednej z zatok szkockich nieznanych publiczności; nie dostrzeżono jej obecności, ale proszę mi wierzyć, że gdyby jej tam nie było, dostrzeżonoby jej nieobecność.

Spółdzielnia wprowadza nie tylko sprawiedliwość do handlu, ale i rzetelność.

Słuszną ceną i prawdziwą ceną jest tym samym. Istotnie, słuszną ceną to nie tylko cena uwolniona od zwyżek, o których wam przed chwilą mówiłem, to jest także cena oswobodzona od kłamstw w postaci reklam i ogłoszeń, którymi kosztem miliardów cały handel światowy zatruwa publiczność.

Kiedy otwarto we Francji pierwszy sklep spółdzielczy w Lyonie, dziesięć lat wcześniej niż skład Pionie-

rów Roczdelskich, sklep ten wywiesił szyld o zadziwiającej wymowie, jeżeli się pomyśli o epoce, w której był stworzony. Brzmiał on: „Handel Prawdomówny“ (*Commerce Véridique*). Niektórzy zarzucają spółdzielczości, że nie jest rewolucyjna. Otóż samo wkroczenie prawdy do handlu, pomyślcie, czy nie byłaby to rewolucja?

### § 3. SPÓŁDZIELCZOŚĆ W PRODUKCJI

A teraz zróbmy obrót o jeden kwadrans na naszym urojonym stole i spojrzujmy na olbrzymi odcinek naszej produkcji.

Co mogą tu zrobić spółdzielnie?

Przedewszystkim istnieją spółdzielnie spożywców, które mają pretensję, iż mogą cośkolwiek zrobić. Chociaż nie zapominam bynajmniej, że kurs ten został stworzony wyłącznie przez stowarzyszenia spółdzielcze spożywców, i chociaż sędzę, że one to istotnie reprezentują formę dominującą i całkowitą ruchu spółdzielczego, zarezerwuję tym niemniej miejsce dla spółdzielni wytwórców. Moją osobistą opinią jest (jakkolwiek, być może, nie podzielaną powszechnie w naszych kołach spółdzielczych), że spółdzielnie spożywców nie będą mogły obejść się całkowicie w dziedzinie przemysłowej ani zwłaszcza w dziedzinie rolnej bez spółdzielni wytwórców.

Dziś mówię jednak tylko o spółdzielniach spożywców. Otóż co do tych, ich wejście w dziedzinę produkcji wydaje się nieco zadziwiające, gdyż ostatecznie przedsiębiorstwo wytwórcze, prowadzone przez spożywców wydaje się anomalią. Jednak istnieją fakty i to niezbite. Wiecie, że we wszystkich krajach, w których spółdzielczość jest dostatecznie zorganizowana, spół-



dzielnie spożywców weszły już na drogę produkcji, próbując wytwarzać same i własnymi środkami artykuły, które sprzedają w swoich sklepach. Hurtownia Manchesterska posiada 60 fabryk, 20.000 ha ziemi w Anglii, tyleż w koloniach i zatrudnia 40.000 robotników poza pracownikami w sklepach.

W innych krajach i we Francji wytwarzanie przez spółdzielnie spożywców jest jeszcze nieznaczne<sup>1</sup>.

Czy jest to dosyć, żebyśmy mogli wierzyć, że pewnego dnia spółdzielnia spożywców potrafi zorganizować produkcję?

I tu znowu spotykamy ekonomistów, którzy zaprzeczają temu. Spożywcy, mówią oni, nie mogą nic wiedzieć o technice przemysłowej. Ich rolą jest usiąść do stołu, a nie gotować w kuchni. Spożywcą jest byle kto. Czyż trzeba zapomnieć wszystko, czego nas nauczył podział pracy? Oddać przemysł w ręce nie zawodców byłoby czymś w rodzaju powrotu do ekonomii z czasów patriarchalnych.

Ta krytyka nie jest bardziej uzasadniona niż poprzednia, spójrzcie bowiem, proszę, na formę przedsiębiorstwa, która staje się najbardziej powszechną formą wielkiej produkcji, na spółkę akcyjną, i powiedzcie mi, czy w stowarzyszeniu tym mają kompetencję i jakiekolwiek uzdolnienie w przedsiębiorstwie ci, którzy są jego akcjonariuszami. Nie mają żadnych. Jest mnóstwo akcjonariuszy, którzy byliby w wielkim kłopotcie, gdyby im kazano powiedzieć, gdzie położone jest przedsiębiorstwo, którego malowane akcje mają w portfelu. A dlaczego ekonomiści nie mówią nigdy o niekompetencji akcjonariuszy.

---

<sup>1</sup> Z wyjątkiem Szwecji.

Odpowiedzą mi może, że akcjonariusze nie mają żadnej pretensji produkowania samym i że od tego mają inżynierów, techników. Otóż to samo jest ze spółdzielniami. Nie mamy pretensji w naszych stowarzyszeniach spóżywców, aby nasi stowarzyszeni wyrabiali sami obuwie albo konserwy z sardynkami. Bierzemy do tego również robotników albo techników.

Odsuńmy więc ten argument niekompetencji technicznej albo zawodowej spółdzielców. Miałby on wartość, gdyby powoływali się na niego zwolennicy przedsiębiorstwa indywidualnego, ale nic nie jest wart, kiedy jest przytaczany z racji przedsiębiorstwa w postaci spółek akcyjnych, jak to bywa w wielkim przemyśle.

Jedno można powiedzieć tylko, a mianowicie, że spółdzielnie znajdują mniej łatwo dobrych techników niż spółki kapitalistyczne, z tej prostej racji, że nie będą mogły i chciały płacić tak drogo. Rzeczywiście, chociaż edukacja klasy robotniczej uczyniła wielkie postępy i chociaż klasa ta zgadza się dzisiaj, że praca intelektualna powinna być drożej wynagradzana niż praca ręczna, jednak zgromadzenie spółdzielców nie zgodzi się uchwalić wynagrodzenia dziesięciokrotnie wyższego od płacy otrzymywanej przez stowarzyszonych. Jest to to samo niebezpieczeństwo, co w służbie państwowej, gdzie się widzi tak często inżynierów albo inspektorów fabrycznych, przechodzących na służbę do wielkich towarzystw przemysłowych albo finansowych.

Na tę chorobę nie ma żadnego lekarstwa oprócz nadziei, że przez rozpowszechnienie ducha społecznego większa ilość ludzi wyborowych zgodzi się robić to, co



dzisiaj czyni mała liczba w stowarzyszeniach spółdzielczych albo w służbie publicznej.

#### § 4. SPÓŁDZIELCZOŚĆ W ROZDZIALE

A teraz trzeci odcinek: rozdział. Zdaje się, że stowarzyszenie spóżywców nie narusza w niczym tego, co przyjęte jest nazywać podwalinami istniejącego ustroju gospodarczego. Nie znosi ani własności, ani dziedziczenia, ani pożyczania na procent, ani oszczędności, ani nawet najemnictwa, gdyż zatrudnia w swoich zakładach pracowników i robotników, którzy są przecież najemnikami. Oto dlaczego wielu socjalistów, a przynajmniej socjalistów - komunistów oświadcza, że spółdzielczość jest burżuazyjną albo — przymiotnik jeszcze bardziej obraźliwy — że jest po prostu reformizmem.

Jednak zauważcie, że realizacja słusznej ceny, o której mówiłem (str. 310) mieści w sobie zniesienie zysku. Otóż jeżeli poszukacie, skąd biorą się wielkie fortuny: nie mówię o małych fortunach, które mogą powstać przez oszczędzanie, ani o pewnych zyskach olbrzymich ale wyjątkowych gwiazd kinowych albo bohaterów boksu — zobaczycie, że fortuny robi się tylko w interesach.

Cóż to są interesy? Powiedziano już dawno: interesy to cudze pieniądze. Tak, nie można bowiem rozszerzyć zysków, jeżeli się zadowala puszczeniem w grę pieniędzy, jakie się posiada, ale kiedy można pożyczyć od publiczności, zyski nie mają już żadnych innych granic, jak tylko granice zaufania albo łatwości publiczności. Gdyby więc kredyt zgiął z tego świata — co za rewolucja!

Mówią nam, że po dziś dzień żadne przedsiębiorstwo

w świecie, w dziedzinie przemysłowej, rolnej, handlowej, nie powstało bez nadziei na kredyt. I że w przyszłości nie mogło by być inaczej.

Ale mogło by być. Widzimy, wręcz przeciwnie, dwie kategorie przedsiębiorstw, których ilość wzrasta codziennie i które zakładane są bez nadziei na kredyt. Przede wszystkim należą tu wszystkie przedsiębiorstwa municypalne albo państwowe (z wyjątkiem tych, które jak tytoń mają na celu zapewnić dochody skarbowi), a także wszystkie te kooperatywy, o których dopiero co mówiliśmy. Są to dwie obszerne dziedziny, których pole działania rośnie z każdym dniem.

I jeżeli spółdzielczość będzie mogła uczynić to na wielką skalę, co rozpoczęła na małą, konsekwencje tego będą nieobliczalne, ponieważ jedyne źródło wielkich fortun wyschłoby, a w konsekwencji wielkie nierówności zostałyby usunięte.

Spółdzielczość wpisała też do swojego programu zniesienie najemnictwa: ale jak to należy rozumieć?

Jeżeli weźmie się formułę dosłownie, okaże się ona nie do zrealizowania nawet w Rzeczypospolitej Spółdzielczej, gdyż realne zniesienie najemnictwa może istnieć tylko wtedy, gdy robotnik posiada własne narzędzia pracy, produkuje na swój rachunek i zachowuje dla siebie owoce swej pracy. Otóż to byłby ustrój małego przemysłu, małej własności, indywidualizmu, zasady „każdy dla siebie“, która jest nie do pogodzenia z obecną ewolucją gospodarczą i której żaden spółdzielca nie chciałby wskrzeszać.

A więc przypuściwszy, że produkcja może się odbywać tylko w formach przedsiębiorstw kolektywnych, w jakimkolwiek ustroju wyobrazilibyście ją sobie — czy to będzie ustrój komunistyczny, kolektywistyczny,



spółdzielczy — pracownik będzie zawsze służył przedsiębiorstwu, które go będzie zatrudniało, a w tych warunkach zawsze można będzie powiedzieć, że jest on najemnikiem.

Ale jeżeli weźmiemy formułę „zniesienia najemnictwa“ w istotnym znaczeniu, jakie mieć powinno, to znaczy, jeżeli będziemy rozumieli przez to stan gospodarczy, w którym pracownik będzie wiedział, że jego praca nie będzie służyła do wzbogacenia kapitalisty, przedsiębiorcy, właściciela, a mieć będzie pewność, że produkt jego pracy będzie do niego należał w całości, a przynajmniej, że z części, która mu nie przypadnie, skorzysta cały naród; kiedy będzie wiedział, że w przedsiębiorstwie, w którym jest zatrudniony, jest on u siebie, jest u siebie w domu; że w tej republice, jaką będzie nowe przedsiębiorstwo, będzie nie poddanym ale obywatelem — wtedy będzie się miało prawo powiedzieć, że najemnictwo jest zniesione w takiej mierze, w jakiej było to możliwe. Otóż to wszystko przedsiębiorstwo spółdzielcze może ofiarować tym, którzy zechcą przyjść do niego.

#### § 5. SPÓŁDZIELCZOŚĆ W SPOŻYCIU

Skończmy nasz przegląd horyzontu i zajmijmy się ostatnim odcinkiem: będzie to spożycie.

Spożycie! Ach, powinienem był od tego rozpocząć. Spożycie dla naszych spółdzielni spożywców to nasz punkt uzgodniający, nasza gwiazda północna. Z tej strony szukamy dla siebie orientacji: zadajemy sobie pytanie, co jest interesem spożywcy i jakimi środkami będzie on najlepiej zaspokojny.

Tu znów znajdujemy ekonomistów, ale tym razem nie krytykują oni, tylko domagają się pierwszeństwa:

mówiliśmy to już przecie, krzyczą nam. To prawda. Dawno przed nami ojcowie ekonomii politycznej powiedzieli, że w każdej sprawie trzeba zapytać o interes spożywcy. Bastiat mówił to nawet na łożu śmierci, jak nas o tym informuje jego przyjaciel, Paillottet.

Mówili tak, to prawda. Ale zamiast namawiać spożywców do zorganizowania się między sobą dla obrony swoich interesów, oddali je w opiekę tej dobroczynnej bogini, którą nazywają konkurencją, — czy to konkurencją narodową czy międzynarodową. Otóż, jak dowiedliśmy tego przed chwilą, producenci boginię tę uczynili swoją służącą.

Ekonomiści wyrażali się, co prawda, z sympatią o spożywcy, nazywali go imieniem, które stało się słynne: trzeci zapomniany. Ale oni sami często zapominają o nim, a w każdym razie zapominają o miejscu należnym spożyciu jako prowincji nauki ekonomicznej. W większości książek o ekonomii politycznej, tak samo jak w wykładach i programach egzaminów, spożycie jest całkowicie usunięte albo zredukowane niemal do zera. Miałem w tych dniach w rękach Traktat o Ekonomii Politycznej o 700 stronach: część związana ze spożyciem liczyła dokładnie 7 stron<sup>1</sup>. Jest to dziedzina, której się wyrzeczono.

Miało by się prawo przypuszczać, że wojna uwypukliła olbrzymią wagę spożycia. Istotnie w ciągu tej wojny ekonomia spożycia zajmowała tyleż miejsca w zainteresowaniu rządu i w prowadzeniu wojny, co ekonomia produkcji. A jednak tak nie było.

Jesteśmy dziś świadkami, przeciwnie, bardzo charakterystycznego ruchu, który domaga się rządu dla pro-

---

<sup>1</sup> „Kurs Ekonomii Politycznej“ Ojca Antoniego, ale jest dużo innych tego samego rodzaju.



ducentów, dla korporacji i to nie tylko rządu gospodarczego ale i politycznego. Wszędzie dokoła nas w nowych czasopismach, jak to, które nosi znamieny tytuł „Producent“, w manifestach związkowych Powszechnej Konfederacji Pracy, w ruchu angielskim zwanym *Guild Socialism*, w książkach jak dzieło inżyniera Francq'a, które się nazywa znamienne „Praca przy władzy“, widzimy domaganie się rządów nad narodem dla pracowników, bądź to ręcznych, bądź intelektualnych.

Bez wątpienia, jako spółdzielcy jesteśmy w zgodzie ze związkami zawodowymi, przypuszczając, że państwo nie zawsze było wiernym stróżem interesu publicznego, ale nie jesteśmy bynajmniej skłonni uwierzyć, że gdyby państwo zostało zastąpione przez organizacje producentów, bądź ręcznych bądź intelektualnych, interes publiczny byłby lepiej chroniony. Widzieliśmy zawsze, wręcz przeciwnie, ten interes publiczny deptany nogami przez organizacje zawodowe, zarówno fabrykantów kapitalistów jak i pracowników ręcznych. I nie może być inaczej: interes zawodowy będzie zawsze dominował wśród zawodowców nad interese publicznym.

Rolą pracy nie jest brać władzę w ręce ale spełniać swą misję, którą jest służba publiczna. To dla spożywców, przeciwnie, wymagać będziemy prawa brania na serio tego zwrotu stylistycznego, który spotykamy we wszystkich listach handlowych: „Róbcie swoje zapotrzebowania, dajcie swoje zlecenia; będziecie dobrze obsłużeni“.

Istotnie, wykonywanie kontroli należy do tych, którzy dają zlecenia, jak mówi amerykańskie powiedzonko o produkcji. Powinni i mogą czynić.

Funkcją zaś spółdzielni spożywców, dotychczas co prawda ignorowaną, nie jest zachęcanie do wydatków

ale regulowanie ich. Do niej to należy „racjonalizacja“ spożycia, nie mniej ważna niż racjonalizacja produkcji.

Nie znaczy to bynajmniej, żebyśmy przyznawali spożywcy więcej zasług i więcej cnót niż producentowi: dopiero co powiedzieliśmy coś przeciwnego. Nie jest to jeszcze zmniejszaniem wybitnej godności Pracy powiedzieć jej, że jedynym jej celem jest „służyć“ — służyć nie jako władca ale jako sługa publiczności, to jest zaspokajać potrzeby wszystkich. Dumę producenta i jego pretensje do władzy mogłaby usprawiedliwiać jedynie teza, że tylko Praca tworzy bogactwo. Ale doktryna ta jest dzisiaj porzucona przez wszystkich neoekonomistów. Można podtrzymywać zdanie, że w zasadzie było by lepiej, gdyby tylko praca miała właściwość tworzenia bogactwa; i ja chciałbym tego, ale w rzeczywistości tak bynajmniej nie jest. Praca tworzy formę, jaką nadaje się rzeczom, i również, jeżeli chcecie, pożytek, jaki wynika dla każdej rzeczy z formy nadanej materii. Ale tak samo jak nie tworzy surowca, nie tworzy też ona tego, co nazywa się wartością. Zgromadźcie całą, jaką się wam podoba, pracę, przerabiacie żelazo lub glinę, a zawsze otrzymacie tylko rzecz nie do sprzedaży, niepotrzebną w konsekwencji, aż do dnia, w którym żądanie spożywcy ożywi tę bezwładną materię, wdmuchując jej duszę, która się nazywa wartością.

Tylko spożywca więc swoim żądaniem tworzy nie sam przedmiot, nie jego przeciętną pożyteczność, rozumiejąc przez to jego własności fizyczne lub chemiczne, ale jego wartość; otóż praca może tworzyć bogactwo tylko tam, gdzie uwzględnia, a niekiedy wyprzedza pożądanie spożywcy.

Oto dlaczego spółdzielcze stowarzyszenia spożywców mają rację, a nie błędą w utopii, usiłując stworzyć



kontrolę spożywczy w przeciwstawieniu do kontroli organizacji pracowników i producentów.

#### § 6. NADZIEJE SPÓŁDZIELCZOŚCI

Przebiegłem z wami bardzo obszerne pole, choć całe ono mieści się w naszym małym sklepiku. Wielu ludzi powie nam na pewno, że jest ono przesadnie wielkie. Mój słynny poprzednik w tym kolegium, p. Paweł Leroy-Beaulieu, który, odróżniając się tym od swoich kolegów, czynił spółdzielczości zaszczyt często o niej mówiąc, nie przestawał nigdy zalecać jej skromności i ostrzegał ją przed wszelką ambicją ożywiania z martwych, wielkie słowo, które często wracało pod jego pióro i które miało znaczyć budowanie nowego świata.

Dobrze, oddamy cześć jego rozsądnym radom. Nie mam zamiaru wygłaszać tu kursu wychwalającego spółdzielczość, ale raczej kurs krytyki spółdzielczej. Tym nie mniej zgodzimy się z przekonaniem, że kooperatyzm jest tylko systemem utopijnym, jakich tak wiele następowało już po sobie w dziejach społecznych. Wiem, że jest wiele systemów społecznych, które swego czasu uprzedzały przyszłość, a które dzisiaj są już tylko przeszłością. Jak w otchłaniach, w których według wierzeń kościoła katolickiego snują się melancholijnie dzieci zmarłe bez chrztu, istnieją też otchłanie, w których śpią systemy społeczne, martwe już zanim żyć zaczęły, utopie, ikarie, falanstery.

Ale nasza Republika Spółdzielcza nie znajduje się u boku tych melancholijnych cieni, bo ona przynajmniej żyła. Nie tylko żyła, ale ujawniała swoje życie przez najbardziej pewną z realizacji — przez tworzenie życia wśród innych.

Trzeba jej się przyglądać przy pracy nie tylko w kra-

jach Europy zachodniej, ale i w krajach środka i wschodu Europy. Była ona jedyną organizacją gospodarczą, która pozostała na nogach pośród zrujnowanego handlu. Trzeba patrzeć, jak przeciwstawiała się ona rządowi sowieckiemu i jak dalece rząd ten zdawał sobie sprawę z jej potęgi, zwracając jej autonomię po próbach upaństwowienia jej. Trzeba ją oglądać tam, na tych ziemiach — jest wspaniała. Powtórzyła ona cud z Ewangelii, mnożąc chleby i napoje dla nakarmienia zgłodniałych rzesz.

Uczyniła ona nie tylko ten cud, ale i inny. W ciągu wojny związki spółdzielcze każdego kraju wypełniły wprowadzić swój obowiązek patriotyczny, pomagając swoim rządom wykonać ich zadania, ale równocześnie związki te nie zerwały węzłów, które je łączyły w łonie Międzynarodowego Związku Spółdzielczego. Związek ten był jedyną organizacją międzynarodową, która przez całą wojnę nigdy nie przestała wypełniać swojego zadania i która, narażając się nawet prawom, karzącym śmiercią za „porozumiewanie się z nieprzyjacielem“ w dalszym ciągu zrzeszała pod różową okładką swojego trójjęzycznego Biuletynu współpracowników ze wszystkich krajów wojujących.

Po tych wielkich wysiłkach były może cofnięcia się. We wszystkich ewolucjach gospodarczych zdarza się bardzo często, że po silnym rozkwicie przychodzą okresy zastoju. W Anglii nie mniej niż we Francji wiele stowarzyszeń cierpi silnie wskutek obecnego kryzysu gospodarczego. Ale gdyby nawet spółdzielczość nie zrealizowała wielkiego programu, którego wizję dałem wam dzisiaj, gdyby nawet trzeba było wyrzec się wszelkiego wskrzeszania zmarłych, mogłaby ona sobie co najmniej powiedzieć, żeniosła do milionów domków



dużo małego szczęścia — jest ono często najlepsze — podobnego radosnym darom choinkowym. Nie jest to nic nie znaczące, że pierwszy sklep spółdzielczy, Rochdale, otwarty został w przededniu Wigilii. Dary te to jeden więcej półmisek na stole, jeden więcej mebel w pokoju, jedno więcej ubranie w szafie, wyzwolenie od jakiegoś starego długu, pewność jutra. A w żadnym z tych domów spółdzielczość nie zawiodła.

I jeżeli nawet kiedyś piszący historię gospodarczą postawią jej kilka zarzutów, ufam tym nie mniej, że potomność będzie dla niej względna, gdyż nawet jej błędy okażą się niewinne. Nie będą one kosztowały ani kropli krwi, ani jednej łzy czyjejkolwiek, a nie wszyscy ci, którzy dokonywali doświadczeń społecznych, mogliby się tym pochwalić.

### XIII

## WIELKIE DATY

## Z HISTORII SPÓŁDZIELCZOŚCI<sup>1</sup>

W tym właśnie roku spółdzielczość osiąga setny rok swego życia. Nie mam pretensji wyczerpać w ciągu jednej godziny historii stu lat, ale chciałbym, żeby przesunęły się przed wami jak film rozwijający się z szybkością, zdaje mi się, trzydziestu obrazków na sekundę kolejne etapy ruchu spółdzielczego, każdy z nich opatrzone datą jak kamiennym słupkiem, znaczącym przebyłą drogę<sup>2</sup>.

Przyszła teraz moda na święcenie setnych rocznic. Można się więc zdziwić, że spółdzielcy, zwłaszcza angielscy, zapomnieli, iż rok 1827 oznacza początek i narodziny spółdzielczości spożywców.

1827  
BRIGHTON

Bo właśnie w Brighton w 1827 r. dr. King założył spółkę pod nazwą „Stowarzyszenie handlu spółdzielczego“, które ze swej strony zrodziło kilka setek

<sup>1</sup> Odczyt wygłoszony w Międzynarodowej Szkole Spółdzielczej w Saltjobaden w czasie Kongresu Międzynarodowego Związku Spółdzielczego w Sztokholmie, w sierpniu 1927 r.

<sup>2</sup> Ten przegląd historyczny dokonany jest raczej pod specjalnie francuskim kątem widzenia; sądzę jednak, że te wielkie daty są pamiętne również w historii spółdzielczości wszystkich krajów.



spółdzielni. Co prawda, jak przedwczesne wiosenne kwiaty zwarzone przez mróz, ruch ten nie udał się i podjęty był ponownie dopiero po 17 latach przez Pionierów Roczdelskich. Dla nich to z tego powodu zapewne rezerwuje się zaszczyt pierwszej setnej rocznicy. Nie trzeba jednak, żeby ci, którym się udało, zaćmiewali tych, których szczęście zawiodło, gdyż tym zwyciężonym winni są oni swoje zwycięstwo. A następnie, jeżeli się chce zaczynać od Rochdale'u, trzeba strzec się, gdyż w takim razie pierwszeństwą zażądataj Francuzi. Istotnie, jeszcze przed Pionierami, w 1835 r. dwóch robotników, także tkaczy, Dernion i Reynier, stworzyli w Lyonie spółdzielnię spożywców, której nadali miano zadziwiającej i mogącej służyć za hasło całemu ruchowi: „Pod rzetelnym handlem“. Ale jeżeli cofnąć początki ruchu do spółdzielni w Brighton, kwestia będzie załatwiona, gdyż przed tą datą znaleźć można w przeszłości zaledwie tu i owdzie kilka odosobnionych prób bez znaczenia.

Cóż ten noworodek przynosił ludziom? Na razie niewiele. W myśli swojego założyciela była to tylko udoskonalona kasa oszczędności. Indywidualna kasa oszczędności była już w tym okresie znana, ale wymagała ona wielkich poświęceń, prawdziwego odmawiania sobie wszystkiego ze strony robotników, którzy z takim trudem utrzymywali się przy życiu, w zamian za co dawała im bardzo małe korzyści. W każdym razie nie mogła zmienić ich położenia najemników, podczas gdy spółdzielnia spożywców, mówił King, nie narzuca swoim członkom żadnej ofiary, co najwyżej wpłacenie kilku szylingów na początku, a dzięki zrealizowanym przez sprzedaż produktów korzyściom może dać 10 lub 20 razy więcej niż procent w kasie oszczędności.

Jednak, zastrzeżmy się, w tej pierwszej formie spółdzielni zyski te nie były rozdzielane pomiędzy członków — były one zatrzymywane przez stowarzyszenie dla formowania zbiorowego, niepodzielnego kapitału, wiecznego, przeznaczonego dla przyszłych pokoleń kapitału. Dzięki tej akumulacji przyszli członkowie stowarzyszenia nie byłiby już we właściwym tego słowa znaczeniu proletariuszami, znaleźliby oni gotowy kapitał, z którego korzystaliby darmo.

Ten pomysł wieczystego zbiorowego funduszu, podobnego do funduszy kongregacji religijnych, do martwej ręki, jak mówią juryści francuscy, do „endowment“, jak mówią Anglicy, zjawiał się później u źródeł innych form spółdzielczości: we Francji z Buchezem w pierwszym robotniczym stowarzyszeniu wytwórczym, w Niemczech z Raiffeisenem w pierwszej spółdzielni kredytowej, zwanej kasą wiejską. Jest on istotnie pociągający, fascynujący, nosi aureolę podobną tym, jakie malarze nakładają świętym. Pięknie jest widzieć ją na czole spółdzielczości w kołysce. Ale jest to idea zbyt mistyczna, zbyt pozbawiona interesu dla biednych ludzi, jakimi byli podówczas robotnicy i dziś jeszcze są wszyscy ludzie. Ci stowarzyszeni nie mieli niczego do oczekiwania od swojej spółdzielni—ani dywidendy, ponieważ stowarzyszenie zatrzymało ją dla siebie, ani procentu od swoich akcji, ani nawet zmniejszenia cen, gdyż spółdzielnia potrzebowała sprzedawać po dobrej cenie, ażeby otrzymać zyski i powiększyć w ten sposób swój fundusz zbiorowy. Wymagano więc od nich poświęcenia na rzecz tych, którzy przyjdą po nich. Było to naprawdę zbyt wiele wymagać od ducha solidarności zwykłych ludzi.

Założyciele wiedzieli o tym dobrze, to też stosowali



surowy wybór przy jednaniu członków. Do wejścia potrzebne były liczne warunki, a liczba członków była bardzo ograniczona, prawie tylu, co 12 apostołów. Ale w tych warunkach oczywiście udać się nie mogło, bo jeżeli tak mała liczba wiernych wystarczała do założenia kościoła, nie wystarczała ona do utrzymania przy życiu sklepu. Spółdzielnie umierały jedna po drugiej z braku klientów.

1844

## ROCHDALE

Trzeba było zstąpić z nieba, a właściwie z obłoków na ziemię. To było dziełem Pionierów Roczdelskich. Zrozumieć oni, że na to, żeby spółdzielnia mogła żyć i rosnać, trzeba, żeby dawała swoim członkom bezpośrednią korzyść i żeby zamiast ograniczyć się do elity, otwierała się dla wszystkich; trzeba było, żeby uczyniła jak jest powiedziane w przypowieści o Wielkim Festynie: „Idź przez ulice i przynaglaj do wejścia tych, których znajdziesz“.

Jakąż dać korzyść spółdzielcom? Bez wątpienia rozdział zysków jak w każdym przedsiębiorstwie. Tak, tylko w odróżnieniu od innych przedsiębiorstw, zwanych kapitalistycznymi, rozdział ten czyniłoby się nie w stosunku do wniesionego kapitału, ilości posiadanych akcji, ale w stosunku do wysokości zakupów. W ten sposób zyski będą nie dla najbogatszych, nie dla najgrubszych akcjonariuszy ale dla najwięcej kupujących, pobudzając w ten sposób ich wierność dla sklepu społecznego. I nawet „człowiek z ulicy“ zaproszony był do wchodzenia i kupowania, tyle tylko, że dopóki nie został członkiem, otrzymywał zaledwie połowę zwrotów.

Taka była genialna idea Pionierów, której zasługę przypisują jednemu z nich, Karolowi Howarth'owi i która miała mieć cudowne powodzenie, gdyż dziś jeszcze dziesiątki tysięcy spółdzielni zawdzięcza swój rozwój praktycznemu stosowaniu tej reguły, dzięki której mogły zwerbować dziesiątki milionów członków. Ale ten hołd, złożony Pionierom, nie powinien nam pozwolić zamykać oczu na fakt, że reguła Howarth'a była ustępstwem uczynionym zasadzie indywidualistycznej, gdyż rozdział nadwyżek, jeżeli nie ma nawet charakteru zysku, nierówności, oligarchii, odwołuje się tym niemniej do interesu osobistego i trzeba przyznać, że niecierpliwe oczekiwanie zwrotów nie bardzo jest zgodne z prawdziwym duchem spółdzielczym. To też cały wysiłek wychowania spółdzielczego w Anglii i w innych krajach dąży do stopniowego zmniejszenia wysokości dywidendy celem poświęcenia całości niemal zysków na sam rozwój ruchu spółdzielczego i na poczynania zbiorowego interesu. A jednak nawet w spółdzielniach o barwie socjalistycznej indywidualny podział nadwyżki czyż jest całkowicie zniesiony?

1848

## REPUBLIKA W WARSZTACIE

Ta data odpowiada wielkiemu politycznemu ruchowi wyzwolenczemu w Europie — rewolucji we Francji, w Niemczech, w Austrii, we Włoszech — który odbił się echem w ruchu społecznym. Był to okres wielkiego nacisku francuskiego socjalizmu, a w dziedzinie spółdzielczości była to jeżeli nie data urodzenia, to co najmniej wielkiego rozkwitu spółdzielczych stowarzyszeń wytwórczych we Francji i w Anglii, a także data na-



rodzin spółdzielni kredytowych w Niemczech w ich podwójnej postaci: Raiffeisena i Schultzego-Delitsch.

Inicjatorzy spółdzielni kredytowych w Niemczech mieli jedynie za cel wyzwolenie średnio zamożnych chłopów od plagi lichwy, ale inicjatorzy spółdzielni wytwórczych we Francji i w Anglii mieli większe ambicje, mianowicie oswobodzenie klasy robotniczej od najemnictwa i od przedsiębiorców przez danie robotnikom środka, pozwalającego im stać się swymi własnymi przedsiębiorstwami, a przez spółdzielczość spożywców swoimi własnymi kupcami.

Cel był za wysoki i jeszcze dziś nawet spółdzielnia wytwórcza nie zbliżyła się wcale do niego. Jednak we Francji, we Włoszech, w Anglii kilkaset stowarzyszeń osiągnęły ten cel na własną rękę i zachowują wiernie nadzieję, iż ujrzą, jak ich wyzwolenie się rozpowszechni.

Rok 1848 jest jednak ważną datą nie tylko dla spółdzielczości wytwórczej i kredytowej, ale również i dla spółdzielczości spożywców. „Chrześcijańscy socjaliści” — jest to nazwa, którą nosili, — nadali ruchowi charakter religijny, ewangeliczny, który dał mu zjednać później wielką ilość kościołów chrześcijańskich, zwłaszcza w krajach protestanckich. Dlaczego? Ponieważ reguła Howarth’a, zwrot zysków kupującym, to jest tym, na których zostały osiągnięte, nabrała dla chrześcijańskich socjalistów nowego znaczenia: stała się dla nich negacją, potępieniem zysku. Znaczenie to mieści się zresztą jasno wyrażone w słowie używanym we Francji: mówimy *trop-percu* (nadebrane). Sami Anglicy zaczynają zmieniać nazbyt już kapitalistyczną nazwę „*divi*” na nadwyżki.

Dlatego to kościoły chrześcijańskie witały w tej regule zjawienie się nowego sposobu wymiany, koniec królestwa Mamona, zniesienie ducha zysku, spełnienie się proroctw, wołających głosem Zachariasza: „Nie będzie już więcej handlarzy w domu Wiekuistego“, a także powtórzenie gestu Jezusa, wyganającego kupców ze świątyni<sup>1</sup>.

1864

## HURTOWNIA

Jest to data urodzin *Wholesale* (Hurtowni) manchesterskiej, to jest zorganizowania dwupiętrowej spółdzielczości. Jest to utworzenie spółdzielni, jednoczącej ruch, dającej młodym i małym stowarzyszeniom te same korzyści, co wielkim i starszym. Jest to data, pod którą spółdzielczość zajmie miejsce pomiędzy wielkimi formami przedsiębiorstw, zacznie rywalizować z firmami kapitalistycznymi i używać tych samych sposobów postępowania, mianowicie tego, co się nazywa „integracją“, produkując sama, własnymi środkami wszystko, czego potrzebuje i w tym celu tworząc fabryki i zakładając fermy. Jednym słowem, dokonawszy podboju handlu detalicznego, dąży teraz spółdzielczość do opanowania handlu hurtowego, przemysłu i nawet rolnictwa. Zapowiada się coś w rodzaju imperializmu spółdzielczego. I stopniowo w ciągu następujących po sobie dziesięcioleci wszystkie kraje tworzą z kolei te spółdzielnie centralne, jakimi są hurtownie. Przed spółdzielczością otwiera się olbrzymia przyszłość gospodarcza.

---

<sup>1</sup> Patrz wyżej odczyt p. t. *Zniesienie zysku*.



## ZWYCIĘSTWO MARKSIZMU

Na drodze spółdzielczości zjawia się groźny przeciwnik w postaci marksizmu. Jeżeli w Anglii spółdzielczość nie ucierpiała wskutek tego wcale, inaczej jest w krajach kontynentu europejskiego. We Francji, w Niemczech spółdzielczość będzie odrzucona przez tych, którym podawała rękę, przez klasę robotniczą<sup>1</sup>.

Dotychczas szkoły socjalistyczne z Owenem w Anglii, z Fourierem i Ludwikiem Blanc'iem we Francji zachowywały się przychylnie w stosunku do spółdzielczości i nawet adoptowały ją jako częściową realizację swego programu; nawet klasa robotnicza oddała jej swe serce. Ale nowa szkoła spółdzielcza, proklamując walkę klas, mogła tylko pogardzać tym duchem zgody spółdzielczości, który uznawała za „drobnomieszczaństwo“. W Niemczech Ferdynand Lassale ośmieszał spółdzielnie Schultzego-Delitsch. We Francji Juliusz Guesde oświadczał, że spółdzielczość jest bezsilna. I jeżeli umieściłem wyżej datę 1878, jakkolwiek słynna książka Karola Marxa, *Kapitał*, ukazała się w 1867 r., to uczyniłem to dlatego, że właśnie w 1878 r. na Kongresie robotniczym w Marsylii uchwalona została rezolucja, oświadczająca, że spółdzielczość nie jest w stanie zrealizować swoich celów, i twierdząca, że jedyną drogą otwartą dla klasy robotniczej jest uspołecznienie narzędzi produkcji przez wywłaszczenie klas posiadających.

Nawet w Anglii, jeżeli szkoła marksowska miała mało zwolenników, kolektywizm zaczął tym niemniej stawać się dla klasy robotniczej potężną atrakcją

---

<sup>1</sup> Patrz pierwszą konferencję w tej książce.

i tworzyć pewien antagonizm pomiędzy związkami zawodowymi a kooperatyżmem.

1885

### SZKOŁA W NÎMES

Jest to data narodzin tego, co się nazywa szkołą z Nîmes. Bez wątpienia można by pomyśleć za granicą a nawet we Francji, że jest to nadawanie temu faktowi zbytnej wagi, jeżeli go się umieszcza między wielkimi etapami ruchu spółdzielczego i że ma się prawo zapytać, co przyniósł on ze sobą.

Możemy powiedzieć, w tym co się tyczy Francji przynajmniej, że uratował on spółdzielczość, która była podwójnie zagrożona: z jednej strony przez nowy socjalizm, który, jak powiedzieliśmy, odrzucał ją albo redukował do roli sługi partii robotniczej, z drugiej, przez liberalną ekonomię polityczną, która go sprowadzała do roli kasy oszczędności jak w pierwszych dniach pionierów w Brighton, i która nie chciała w niej widzieć nic więcej niż sposób przekształcenia proletariusza na małego właściciela, małego kapitalistę, małego przedsiębiorcę i przez to uczynić z niego obrońcę istniejącego porządku społecznego, tarczę przeciwko rewolucji społecznej.

Przeciwko ekonomii politycznej *laisser-faire'yzmu* Szkoła w Nîmes — albo jeśli kto woli tak powiedzieć: neokooperatyżm — wystąpiła z twierdzeniem o niedostatecznej skuteczności, a nawet o złym wpływie tego, co się nazywa wolnym współzawodnictwem i przeciwstawiła niezbędną organizację społeczną, która nie byłaby już więcej opanowana przez pogoń za zyskiem, ale byłaby stopniową, wolną i pokojową socjalizacją wszystkich przedsiębiorstw.



Można by powiedzieć, że jeżeli to było nowością we francuskim ruchu spółdzielczym, było to już znane w spółdzielczości zagranicznej, czymże bowiem było, jeżeli nie stosowaniem zasad roczdelskich? To prawda, ale oto co było bardziej nowe: — uznając w spółdzielczości jeden z wyrazów socjalizmu, Szkoła z Nîmes przeciwstawiła ją równocześnie socjalizmowi marksowskiemu, krytykując jego podstawowe zasady. Zaprzeczała ona, że wszelka wartość tworzona była przez pracę, lecz przeciwnie, wykazała, że wartość jest tworzona przez pożyteczność, przez potrzebę, przez pożądanie przedmiotu, i logicznie wywnioskowała stąd, że zarząd gospodarczy nie powinien należeć ani do robotników, ani do kapitalistów; przeciwnie, zażądała go ona dla spożywców, twierdząc, że istnieje interes publiczny, przekraczający i dominujący nad interesem klasy robotniczej i że ten interes publiczny reprezentują lepiej jeszcze niż państwo zorganizowani spożywcy.

Ta idea „królestwa spożywcy“, następująca po królestwie producenta, była tak mało znana w Anglii, że jak wiadomo, słowo „spożycie“ nigdy nie było używane jako określenie tych stowarzyszeń: mówi się tam stowarzyszenia rozdziału (*distributive societies*)<sup>1</sup>.

Podwójną charakterystyką tego ruchu jest więc stwierdzenie autonomii spółdzielczości jako specjalnego programu i żądanie przelania zarządu gospodarczego z rąk producenta w ręce spożywcy.

---

<sup>1</sup> Dopiero w książce miss Beatryczy Potter, obecnie pani Sidney Webb (*Consumers Societies*) była wyłożona ta sama idea, ale było to dokładnie w tym samym czasie: 1885.

## MIĘDZYNARODOWY ZWIĄZEK SPÓŁDZIELCZY

Pod tą datą dodane zostało trzecie piętro w gmachu spółdzielczym. W 1864 r. widzieliśmy stowarzyszenia lokalne, jednoczące się w związku krajowym. Teraz te krajowe związki połączyły się z kolei w *Międzynarodowym Związku Spółdzielczym*. Co prawda jak dotąd Związek ten ma, jak wskazuje jego nazwa, jedynie charakter moralny, ale zawiera on w sobie zarodek międzynarodowego związku zakupów, nadhurtowni, którego kilka realizacji częściowych już widzimy <sup>1</sup>.

Ta międzynarodowa kooperatywa, która po utworzeniu jej obejmowała jedynie Anglię, Francję i Włochy, liczy dziś 34 państwa, wkrótce tyleż co Liga Narodów, której jest starszą siostrą. Ta zdolność przyswajania jest cudowną własnością spółdzielczości. Zapewne, nie wszystkie dziedziny są dla niej jednakowo odpowiednie. Jak to już często zauważałem, ta szczególna roślina kwitnie i daje owoce raczej wśród narodów północy niż południa, raczej pod niebem smutnym i szarym, zaciemnionym przez mgły fabryczne, niż pod niebem błękitnym. Więcej jest spółdzielni na mroźnej ziemi Islandii i nawet Alaski, niż na jasnych wyspach morza Śródziemnego albo na Antyllach. Jednak żaden ruch społeczny nie rozszerzał się z taką szybkością. Gdyby mierzyć żywotność organizmu jego zdolnością rozmnażania się, spółdzielczość powinna stać na pierwszym miejscu. Ileż to krajów ona skolonizowała! Ile miast, w których dziś się znajduje zatknięty sztandar o siedmiu kolorach! Jakże uderzająco wygląda

<sup>1</sup> Patrz konferencję o Historii Międzynarodowego Związku Spółdzielczego.



mapa świata, na której znajdują się oznaczone zatkniętymi szpileczkami spółdzielnie.

I co za zadziwiająca organizacja w służbie pokoju. O ileż bardziej skuteczna niż inne organizacje międzynarodowe; syndykalizm na przykład, jakkolwiek również międzynarodowy, jest często zakażony nacjonalizmem: związki zawodowe amerykańskie i australijskie nie życzą sobie białych pracowników z Europy. Spółdzielczość kłamałaby swemu imieniu, gdyby nie miała za cel współdziałania ludów. Wolna wymiana, wolny handel męczestwowski twierdzi, iż jest również ustrojem pokojowym w przeciwieństwie do protekcjonizmu, a jest on tylko rozciągnięciem na rynek międzynarodowy współzawodnictwa i walki o zysk, rodzącej wojnę. Spółdzielczość ma w programie swoim tworzenie ze wszystkich narodów stowarzyszenia spółdzielczego spożywców, związku trzeciego stopnia, nie mającego innego celu niż jak najlepsze zaspokojenie potrzeb każdego przez wymianę bogactw narodowych bez celu zysku. To właśnie oświadcza Związek Spółdzielczy na wszystkich swoich kongresach.

Nie było by więcej zakazów wwozu czy wywozu, równie dobrze dla towarów jak dla kapitałów, a zwłaszcza dla ludzi. Ziemia wolna dla wszystkich. Sztandar Związku zawiera siedem kolorów tęczy i wita jednakowo życzliwie wszystkich towarzyszy: białych, żółtych, czerwonych czy czarnych.

1914

## WIELKA WOJNA

Oto Wielka Wojna. Jak spółdzielnie zniosą tę próbę, próbę ognia? Zwycięsko. Daleko lepiej niż tyle innych organizacji społecznych, osłabionych i rozpro-

szonych. Zapewne, spółdzielczość nie cierpi wojny i na Kongresie Międzynarodowego Związku Spółdzielczego w Glasgow, w 1913 r. Francuzi i Niemcy obiecali sobie przeszkodzić jej powrotowi. Niestety, spółdzielczość była jeszcze zbyt słaba, ażeby przeciwstawić się temu kataklizmowi; uczyniła ona jednak przynajmniej wszystko, co leżało w jej mocy, ażeby nie dopuścić do ostatecznego przecięcia węzłów solidaryzmu europejskiego, i natychmiast po skończonej wojnie zaczęła się starać nawiązać stosunki pomiędzy byłymi stronami wojującymi.

Wojna dała spółdzielczości we wszystkich krajach wielkie zwiększenie liczby członków, prestiżu, wziętości. W momencie, kiedy spekulacja puszcząca sobie wolno cugle, stowarzyszenia spółdzielcze zjawiały się jako miejsca schronienia dla spożywców. Publiczność i rząd były im wdzięczne za oddane usługi. Dopiero poczynawszy od tej daty zaczęto widywać kierowników spółdzielczości w wielkich komisjach narodowych i międzynarodowych i nawet w rządach. Jeden z nich, w Polsce, został Prezydentem Rzeczypospolitej, inny Dyrektorem Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie. Prawie wszyscy członkowie obecnego rządu w Finlandii są kierownikami spółdzielni. Można powiedzieć, jednym słowem, że od czasu wojny spółdzielczość została urzędownie uznana za jedną z wielkich służb narodowych.

1920

### SPÓŁDZIELCZOŚĆ KOMUNISTYCZNA

W tym to roku, nazajutrz po Rewolucji rosyjskiej, uznał rząd sowiecki spółdzielczość za obowiązującą dla całej ludności.



Można się dziwić a nawet oburzać z powodu wpisania pomiędzy wielkie daty historii spółdzielczej aktu, przeciwko któremu protestowali wszyscy spółdzielcy i który rząd sowiecki zmuszony był odwołać w trzy lata potem. Widziano w tym raczej zamordowanie spółdzielczości, zredukowanej do roli zwykłego organu państwa.

To wszystko prawda, ale próba pochłonięcia kooperacji przez państwo polityczne była tym niemniej hołdem, złożonym spółdzielczości, wysiłkiem dla zrealizowania Rzeczypospolitej Spółdzielczej, którą przepowiadaliśmy i której oczekiwaliśmy od trzydziestu lat.

Dziś, chociaż spółdzielczość w Rosji przestała być obowiązująca, jest ona nie mniej przeto w ścisłych stosunkach z państwem. Podtrzymywana przez nie przeciwko handlowi prywatnemu i odradzającemu się kapitalizmowi, biorąc udział w monopolu państwa dla handlu zagranicznego, stanowi ona wiaźadło gospodarcze całej Rosji. Jej program nie jest naszym, gdyż my chcemy spółdzielczości otwartej dla wszystkich, a nie ograniczonej do wyłącznego obsługiwania partii politycznej ani nawet proletariatu. Tym niemniej jest to wielka data, pod którą widzimy cały olbrzymi kraj skooperatyzowany <sup>1</sup>.

Pod tą samą datą analogiczna rewolucja dokonywała się we Włoszech, ale w duchu wręcz przeciwnym. Jeżeli bolszewicy zniszczyli dawną spółdzielczość jako zbyt burżuazyjną, faszyci zburzyli ją jako zbyt według ich smaku socjalistyczną. Ci zmusili

---

<sup>1</sup> Spółdzielczość miejska została już w Sowietach dekretem rządu zniesiona, a jej czynności przekazano organom rządowym. (Przyp. tłum.).

ją siłą do noszenia czarnej koszuli, tamci czerwonej czapki. Dekretem królewskim z 1925 r. spółdzielnie zarówno jak związki zawodowe podniesione zostały do szeregu urzędów państwowych jako działu służby publicznej. Nie skarżylibyśmy się na to, gdyby ten zaszczyt nie był opłacony ceną ich niezależności.

Ale w faszystowskich Włoszech w odróżnieniu do Rosji Sowieckiej nie spółdzielczość stała się fundamentem organizacji gospodarczej, stał się nim syndykalizm albo według urzędowej terminologii korporatyzm, co nie jest zupełnie tym samym. Korporatyzm patronacki i robotniczy daje rządowi narzędzie władzy daleko powolniejsze niż kooperacja.

\* \* \*

Oto film skończony. Obawiam się, że nie znaleźliście go zbyt pasjonującym, gdyż ta historia nie jest równie dramatyczna jak historie innych wielkich ruchów społecznych. Spółdzielczość nie bardzo jest fotogeniczna.

Gdybym miał opowiedzieć historię socjalizmu, było by to co innego. Tam przechadzalibyśmy się po cudownych grodach, wszystko jedno zrealizowanych czy nie, po Utopiach, Ikariach, miastach słońca, Nowych Harmoniach, falansterach. Byłaby ona uświetniona wielkimi imionami tych, którzy zasiadają w Panteonie socjalistycznym: Owenów, Saint Simonów, Fourierów, Proudhonów, Karolów Marxów, Leninów. Wywoływałyby wspomnienia stu rewolucji, które wybuchły pod czerwonym sztandarem i z których ostatnia dźwignęła na nogi 130 milionów ludzi w Rosji i wstrząsnęła Azją aż do jej głębin. Tak, to byłaby dramatyczna historia.



Nawet historia syndykalizmu byłaby bardziej wzruszająca. Jego bolesne dzieciństwo, jego walki o zniesienie najemnictwa, jego coraz groźniejsze strajki w oczekiwaniu Strajku Powszechnego, który ma zmobilizować klasę robotniczą i w którym Jerzy Sorel widział mit równie doniosły jak nim było pierwsze tysiąclecie dla pierwszych chrześcijan; tak, to jest także historia epiczna.

Wzajemna pomoc ma także piękną historię. Świecka córka chrześcijańskiego miłosierdzia, wiodła również pełną chwały walkę, nie przeciwko kapitalistom i przedsiębiorcom, ale przeciwko demonom, przeciwko wszystkim naturalnym fatalizmom, które zagrażają życiu lub zdrowiu ludzi: chorobie, inwalidztwu, starości i śmierci. Ochraniała dziecko wraz z matką.

Ale kooperacja, a zwłaszcza kooperacja spożywców, nie posiada nic z tego. Nie ma ona wcale pióropusza. W krzątaniu codziennego życia nosi na ogół fartuch służącej albo koszyk gospośi. Jej pałacem jest sklep spożywczy, kiedy rozpoczyna, dom towarowy kiedy podrośnie. Miała wprawdzie w swoich dziejach kilka walk do stoczenia — czy to przeciwko wrogom zewnętrznym, kupcom, protekcjonistom, trustom, fałszywym spółdzielniom, niekiedy przeciwko urządowi podatkowym, często również przeciwko swym pracownikom — ale to są drobne kłótnie, które bynajmniej nie pasjonują publiczności i o których nie wzmiankowałem nawet w ciągu tej krótkiej historii.

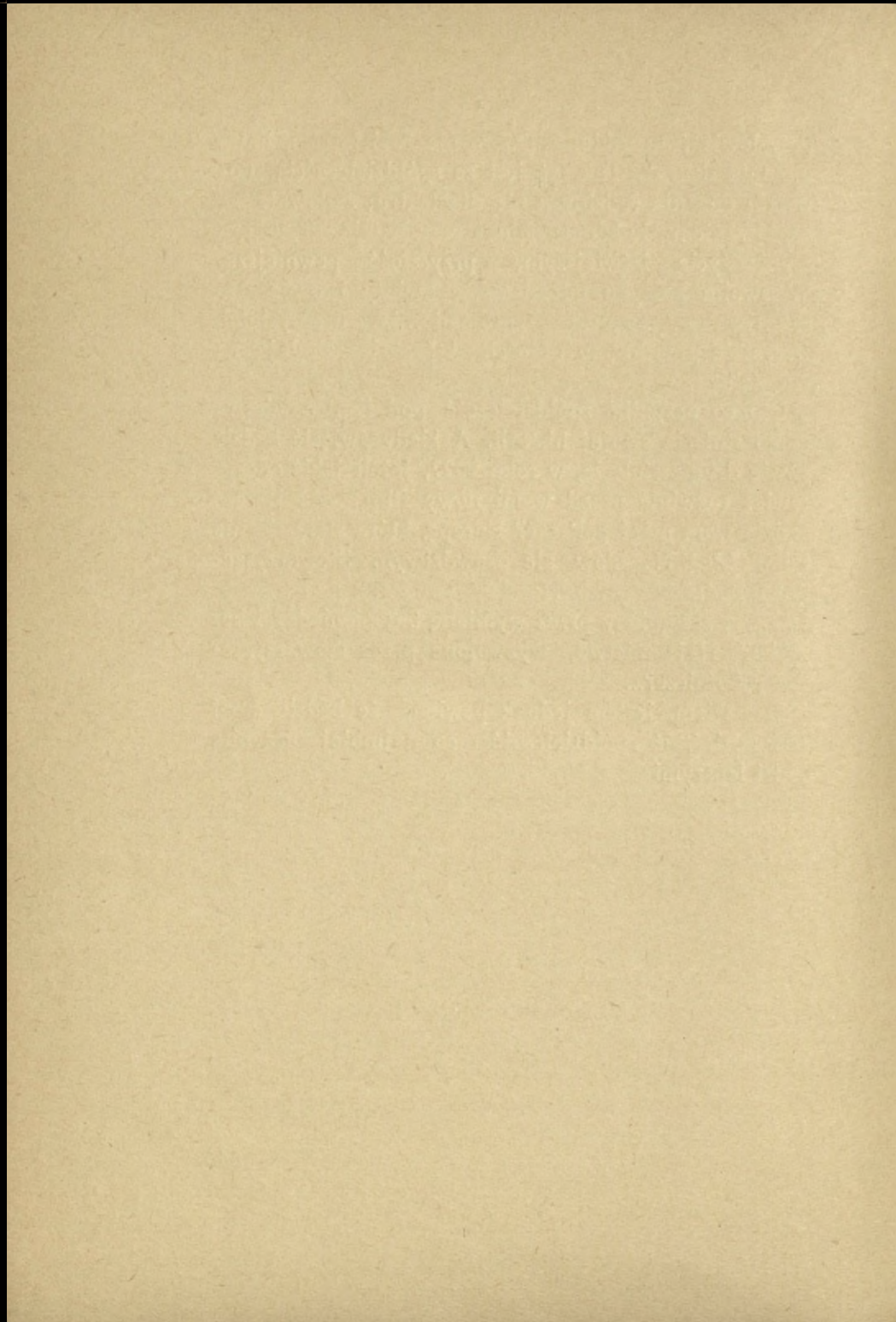
Ale jeżeli historia spółdzielczości jest bezbarwna, bez blasku i zgiełku, czyżby to było cechą jej niższości i czy mamy się czuć z tego powodu poniżeni? Znacnie to często powtarzane powiedzenie: „Narody szczęśliwe nie mają historii“ i być może znacie również inne

przysłowie francuskie: „Dobro nie robi hałasu, hałas nie robi dobra“. Tak też jest ze spółdzielczością. Powstała ona dla rodziny a nie dla teatru; zadowala się rozdawaniem ludziom chleba powszedniego, to jest czyni życie łatwiejszym, przyszłość pewniejszą. W swoim koszyku mieści także kwiaty i owoce, to znaczy odpoczynek, zgromadzenia, uroczystości, wszystkie te drobne radości, które się składają na szczęście.

Oto co uczyniła spółdzielczość pod koniec pierwszego stulecia swojej historii. A kiedy święcić będzie swoje drugie stulecie, w roku 2027, jeżeli jakiś odczytowiec rozwinie przed wami nowy film, cóż jeszcze będzie wam mógł pokazać? Europę, która stała się nie tylko Ligą Narodów ale prawdziwym Stowarzyszeniem Spółdzielczym. Handel, narodowy i międzynarodowy, zastąpiony przez wymianę bez pieniędzy i bez zysku? Najemnictwo, wyzwolone przez stowarzyszenia robotnicze?...

Nie wiem, jestem jednak pewien, że będzie mógł powiedzieć, iż spółdzielczość co najmniej uczyniła ludzi lepszymi.





## SPIS RZECZY

|                                                                                                            | Str. |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| OD TLUMACZA . . . . .                                                                                      | 7    |
| PRZEDMOWA . . . . .                                                                                        | 23   |
| I. SPÓŁDZIELCZOŚĆ I PARTIA ROBOTNICZA                                                                      |      |
| WE FRANCJI . . . . .                                                                                       | 27   |
| 1. Dawny program spółdzielczy Partii Robotniczej . . . . .                                                 | 30   |
| 2. Walka kooperatyizmu z kolektywizmem . . . . .                                                           | 37   |
| 3. Organizacja ruchu spółdzielczego . . . . .                                                              | 41   |
| 4. Kooperatyzm międzynarodowy . . . . .                                                                    | 43   |
| 5. Krytyka programu spółdzielczego . . . . .                                                               | 45   |
| 6. Spółdzielnia jako środek wychowania . . . . .                                                           | 58   |
| II. PRZYSZŁOŚĆ SPÓŁDZIELCZOŚCI . . . . .                                                                   |      |
| 1. Udoskonalenia praktyczne . . . . .                                                                      | 66   |
| 2. Zalety zrzeszania się . . . . .                                                                         | 70   |
| 3. Przeszkody . . . . .                                                                                    | 81   |
| 4. Spółdzielczość czy rewolucja . . . . .                                                                  | 88   |
| III. PRZEMIANY W USTROJU GOSPODARCZYM,<br>DO KTÓRYCH WYKONANIA SPÓŁDZIEL-<br>CZOŚĆ JEST POWOŁANA . . . . . |      |
| 1. Konieczność wspólnego celu . . . . .                                                                    | 99   |
| 2. Niezbędność rewolucji dla spożywców . . . . .                                                           | 101  |
| 3. Program spółdzielczy . . . . .                                                                          | 109  |



|                                                                                            | Str. |
|--------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| 4. Robotnicze stowarzyszenia wytwórcze . . . .                                             | 117  |
| 5. Rzeczpospolita Spółdzielcza . . . . .                                                   | 120  |
| IV. WROGOWIE SPÓŁDZIELCZOŚCI . . . . .                                                     | 125  |
| 1. Kobiety . . . . .                                                                       | 127  |
| 2. Kupcy . . . . .                                                                         | 129  |
| 3. Socjaliści . . . . .                                                                    | 140  |
| 4. Wrogowie wewnętrzni . . . . .                                                           | 145  |
| V. DWANASCI ZALET SPÓŁDZIELCZOŚCI . . . .                                                  | 151  |
| 1. Lepsze życie . . . . .                                                                  | 152  |
| 2. Płacenie gotówką . . . . .                                                              | 154  |
| 3. Oszczędzanie bez trudu . . . . .                                                        | 155  |
| 4. Zniesienie pasożytów . . . . .                                                          | 157  |
| 5. Zwalczanie sprzedaży napojów wysokowych .                                               | 158  |
| 6. Zdobycie kobiet dla spraw społecznych . .                                               | 160  |
| 7. Kształcenie gospodarcze ludu . . . . .                                                  | 162  |
| 8. Ułatwianie wszystkim zdobycia własności .                                               | 165  |
| 9. Odbudowanie własności zbiorowej . . . .                                                 | 167  |
| 10. Ustanawianie słusznej ceny . . . . .                                                   | 169  |
| 11. Usunięcie zysku . . . . .                                                              | 171  |
| 12. Zniesienie konfliktów . . . . .                                                        | 173  |
| VI. PANOWANIE SPOŻYWCY . . . . .                                                           | 176  |
| 1. Funkcja spożywcy . . . . .                                                              | 177  |
| 2. Głupota spożywcy . . . . .                                                              | 180  |
| 3. Prawa spożywcy . . . . .                                                                | 185  |
| 4. Obowiązki spożywcy . . . . .                                                            | 188  |
| 5. Panowanie spożywcy . . . . .                                                            | 194  |
| VII. WSPÓŁZAWODNICTWO CZY WSPÓŁDZIA-<br>ŁANIE . . . . .                                    | 199  |
| 1. Współzawodnictwo w postaci wolności pracy .                                             | 201  |
| 2. Współzawodnictwo w postaci walki o byt . .                                              | 206  |
| 3. Współzawodnictwo samo siebie niszczy . .                                                | 211  |
| 4. Czy współzawodnictwo jest niezbędne do po-<br>stępu gospodarczego i moralnego . . . . . | 215  |

|                                                                                 | Str. |
|---------------------------------------------------------------------------------|------|
| VIII. PIONIEROM ROCZDELSKIM . . . . .                                           | 226  |
| IX. ZNIESIENIE ZYSKU . . . . .                                                  | 230  |
| 1. Skąd się bierze zysk . . . . .                                               | 234  |
| 2. Dlaczego zysk musi zniknąć . . . . .                                         | 243  |
| 3. Przypuszczalne skutki zniesienia zysku . . . . .                             | 248  |
| X. PASOŻYTNICTWO SPOŁECZNE . . . . .                                            | 253  |
| 1. Pasożytnictwo w naturze i w historii . . . . .                               | 253  |
| 2. Pasożytnictwo w ustroju gospodarczym . . . . .                               | 259  |
| 3. Sposoby walki z pasożytnictwem . . . . .                                     | 266  |
| 4. Czy należy się obawiać, że solidaryzm tworzy<br>nowe pasożytnictwo . . . . . | 273  |
| XI. MIĘDZYNAROD. ZWIĄZEK SPÓŁDZIELCZY . . . . .                                 | 279  |
| 1. Okres mieszczański . . . . .                                                 | 280  |
| 2. Okres socjalistyczny . . . . .                                               | 284  |
| 3. Okres samodzielności . . . . .                                               | 290  |
| 4. Związek Spółdzielczy w czasie wojny i potem . . . . .                        | 292  |
| XII. O MIEJSCU NALEŻNYM SPÓŁDZIELCZOŚCI<br>W KSZTAŁCENIU EKONOMICZNYM . . . . . | 303  |
| 1. Wykształcenie spółdzielcze . . . . .                                         | 303  |
| 2. Spółdzielczość w wymianie . . . . .                                          | 310  |
| 3. Spółdzielczość w produkcji . . . . .                                         | 317  |
| 4. Spółdzielczość w rozdziale . . . . .                                         | 320  |
| 5. Spółdzielczość w spożyciu . . . . .                                          | 322  |
| 6. Nadzieje spółdzielczości . . . . .                                           | 326  |
| XIII. WIELKIE DATY Z HISTORII SPÓŁDZIELCZOŚCI . . . . .                         | 329  |
| 1827. Brighton . . . . .                                                        | 329  |
| 1844. Rochdale . . . . .                                                        | 332  |
| 1848. Republika w warsztacie . . . . .                                          | 333  |
| 1864. Hurtownia . . . . .                                                       | 335  |
| 1878. Zwycięstwo marksizmu . . . . .                                            | 336  |
| 1885. Szkoła w Nîmes . . . . .                                                  | 337  |
| 1895. Międzynarodowy Związek Spółdzielczy . . . . .                             | 339  |
| 1914. Wielka Wojna . . . . .                                                    | 340  |
| 1920. Spółdzielczość komunistyczna . . . . .                                    | 341  |



45. —

1298/101159

